

Marcin Wolski  
Jedna przegrana bitwa  
Dlaczego

Dlaczego piszemy historie alternatywne?

Dlatego, że tradycyjna powieść historyczna wyczerpała swoje możliwości?

Wszystko zostało już napisane i kroczenie śladami Kraszewskiego, Sienkiewicza czy Gąsiorowskiego to jedynie mnożenie plagiatów i kopanie w wyeksploatowanych odkrywkach?

A może wymaga tego postmodernistyczna moda i wrażliwość rodem z gier komputerowych? Zapotrzebowanie na mieszanie konwencji, szukanie nowych klimatów i szokujących zderzeń?

W moim wypadku najważniejsze były dwa powody A nawet trzy. Jeśli przyjmiemy założenie, że „historia jest nauczycielką życia”, to ustalenie wyłącznie tego, jak było, wydaje się niewystarczające. Prawdziwa nauka pojawia się wówczas, gdy odpowiedź na pytanie: jak było? skonfrontujemy z odpowiedzią na pytanie: jak mogło być? Nie bez powodu w akademiach wojskowych rozgrywa się powtórnie dawno stoczone bitwy – owocuje to analizami przydatnymi dla przyszłych strategów.

Podobnie dla ludzi zainteresowanych polityką i futurologią, wskazówką do przewidzenia tego, co będzie jutro, jest zbadanie wariantów dotyczących wczoraj.

Drugi powód jest jeszcze istotniejszy. Dość często przechodzimy do porządku nad historią. Było, zdarzyło się... Nie wgłębiamy się w sens słów Churchilla: „nigdy w historii ludzkich konfliktów tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak niewielu”. Wydaje się oczywiste, że strzelcy wyruszający z Oleandrów musieli nam zapewnić niepodległość, że ochotnicy w 1920 roku nie mogli przegrać pod Warszawą, a protest grupy robotników ze Stoczni Gdańskiej z powodu wyrzucenia z pracy jednej suwnicowej

nieuchronnie prowadził do rozpadu Imperium Zła. Owszem – tak się zdarzyło. Mieliśmy szczęście!

Ale czy na pewno nie mogło potoczyć się inaczej? Po dwóch historiach optymistycznych, jakie przedstawiłem w „Alterlandzie” i „Wallenrodzie”, tym razem pozwoliłem wygrać złu.

Przynajmniej na pół wieku. Tylko w ten sposób, unikając namolnego hurratriotyzmu czy ckliwej hagiografii, potrafię oddać hołd bohaterom tamtych czasów. Ludziom z Wczoraj, którzy ocalili nasze Dziś. A przy okazji spłacić dług swoim dziadkom, stryjom, ojcu – statystom wielkiej batalistyki.

Czy to nie symboliczne, że z czterech braci Wolskich urodzonych na przełomie wieków jeden zginął, walcząc z bolszewikami nad Dźwiną, drugi w Oświęcimiu, trzeci zmarł wkrótce po wyjściu ze stalinowskiego więzienia, a czwarty, mój ojciec, zdołał być i pod Warszawą w 1920, i w Mauthausen w latach 1944-1945, i zostać przez komunę pozbawionym prawa wykonywania zawodu adwokata.

Ta historia żyła we mnie od zawsze, dzięki opowieściom Babci, mamy, gosposi, dzięki pamiętnikowi mojego ojca, który aż do 13 sierpnia 1920 roku przytaczam nieomal dosłownie. Wiedząc, jak historia mojej rodziny i naszego świata rozegrała się naprawdę, nie mogłem odmówić sobie podjęcia próby sprawdzenia, jak mogłaby potoczyć się inaczej.

Marcin Wolski

I

Laureat

Byłem niewolnikiem.

Urodziłem się jako niewolnik. I wszystko wskazywało, że jako niewolnik umrę. Co ciekawe, bardzo długo nie zdawałem sobie sprawy ze swojego niewolnictwa. Przeciwnie, uważałem się za

człowieka wolnego. W dodatku wolnego ową wolnością absolutną, jaką daje przekonanie o swobodzie myślenia, nieskrępowanej przez przesady i zabobony, a także współuczestnictwo w budowie najlepszego z możliwych światów, w dodatku egzystującego w zbiorowości przyjaznej, koleżeńskej, tworzącej praktycznie idealny organizm.

Z obecnej perspektywy dostrzegam, że ten ideał, nawet przy pobieżnej obserwacji, zdradzał rysy i pęknięcia, a ja sam nie byłem aż takim zaślepionym idiotą, aby nie widzieć niejednej usterki w praktyce, a nawet miewałem, drobne zresztą, zastrzeżenia do teorii. Tyle, że nie bardzo chciałem je zauważać, a już na pewno – nie eksponować.

„Myślenie boli” – zauważył pewien głupiec, zostawszy mędrcom. Myślenie nieprawomyślne boli w dwójnasób.

Tak więc dożyłem dwudziestego pierwszego roku życia niczym współczesny Kandyd, człowiek całkiem szczęśliwy, z niezłymi perspektywami przeżycia następnych czterdziestu lat w równie przyjemnym kokonie, kiedy kokon ów pękł. I to w sposób uniemożliwiający jego ewentualne sklejenie.

Rzecz zaczęła się dokładnie o godzinie piętnastej dwadzieścia osiem, w piątek 8 marca roku 1968, na łączce czy raczej wydeptanym klepisku poniżej Uniwersytetu im. Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego w Warszawie, stolicy Polskiej Socjalistycznej Republiki, niezłomnego ogniwa EZSR – czyli Eurosocu, jak powszechnie nazywano Europejski Związek Socjalistycznych Republik. Na skraju owej łączki znajdował się barek piwny, który w przystępie dobrego humoru władze otwierały lub zamykały, kokietując nieabstynencką część społeczeństwa. Aktualnie trwała faza przyjazna, bo barek był otwarty, co pozwalało stykać się braci studenckiej z ludem roboczym warszawskiego Powiśla.

Było dość chłodno i wcale bym się nie zdziwił, gdyby zaczęło śnieżyć, co tradycyjnie zaskakiwało służby miejskie, dostarczając niewyczerpanego zasobu żartów dla pracowników warszawskiej sekcji i satyrycznego czasopisma „Krokodyl”, jako że do początku

kalendarzowej wiosny pozostawało zaledwie paręnaście dni, a plan solenia i piaskowania wykonano przed terminem w ostatnim kwartale roku ubiegłego.

Tego dnia nie miałem już zajęć, bo ćwiczenia z historii starożytnej, których tematem było dowodzenie, że ludy Urartu i Wielkiego Stepu wyprzedzały w rozwoju sił wytwórczych Egipt i Mezopotamię odwołano z powodu choroby pani profesor, natomiast zebranie partyjne, poświęcone heroicznej walce narodu Konga przeciwko imperializmowi amerykańskiemu, mogłem sobie odpuścić, choćby z powodu nieposzlakowanej opinii, a także dlatego, że nasza grupowa w KPP, Nadia Finger, od paru tygodni była moją dziewczyną.

Gdyby ktoś zapytał o powód zmiany normalnego toku zajęć, odpowiedź byłaby prosta. Próżność. W końcu rzadko się zdarza, żeby młody autor piszący do „Listów Literackich” otrzymywał korespondencję od jakiegoś wielbiciela jego talentu, i to w dodatku z propozycją spotkania się w restauracji. Może – myślałem – jest to jakiś znakomity krytyk, albo reżyser filmowy, gotowy przenieść mój utwór na ekran? Czyżbym był dzieckiem szczęścia?

Raczej tak. Pozycja mojej Mamy, do niedawna primabaleriny „Wielkiej Rewii na Łodzi”, a obecnie wykładowczyni Wyższej Szkoły Baletowej zapewniała mi życie, o jakim większość kolegów, gnieźdzących się w domach studenckich, nie mogła nawet marzyć. Mielśmy nawet samochód – oliwkową warszawę, na wakacje jeździliśmy do Włoch albo Francji; mieliśmy także gosposię, postać w społeczeństwie socjalistycznym rzadką, jak szynka u rzeźnika. Z tym że nas przejściowe kłopoty zaopatrzeniowe nie dotyczyły. Nomenklaturowy rozdzielnik i towarzysz Martow, pozostający w luźnym związku z moją Matką, zapewniaли nam stały dostęp do sklepów za żółtymi firankami, owej Ziemi Obiecanej handlu i konsumpcji.

Co gorsza, uważałem, że jest to sytuacja normalna. Przecież dopiero w komunizmie wszyscy mieli otrzymywać dobra według potrzeb. Obecnie rozdzielano je według pracy. I zasług.

Co do tych ostatnich nie miałem wątpliwości. W pokoju Mamy na trzciniowych matach wisiało mnóstwo medali, odznaczeń za zasługi dla „fizykultury i sporta”, na kredensie i w jego wnętrzu piętrzyły się (w dziesiątkach egzemplarzy) puchary, wazoniki i brązowe statuetki za tryumfy w Spartakiadach Armii Zaprzyjaźnionych, zawodach o Puchar Służby Bezpieczeństwa; był także srebrny medal z olimpiady w Tbilisi w roku 1940 i złoty z igrzysk w Tuluzie cztery lata później.

Mama miała autentyczny talent i szczęście. Gdy miała niespełna dziesięć lat i jeździła na osiedlowym lodowisku na śniegórkach, żalostnej imitacji łyżew na dwóch płozach, wypatrzył ją jakiś trener i zaprowadził do klubu Spartak na Grochowie; tam zdecydowano, że będzie uprawiać łyżwiarstwo figurowe. A potem szła już od sukcesu do sukcesu, ku zachwytowi Babci krawcowej i brata księgowego, a passa ta najwyraźniej przeszła na jej syna, i trwała w najlepsze, póki owego feralnego popołudnia nie uruchomił się mechanizm zegarowy totalnej destrukcji dotychczasowego ładu.

\*

Mężczyzna, który na mnie czekał, sącząc piwo Jasny Bursztyn, które od Ciemnego Bursztynu różniło się procentarzem i kolorem, nie wyglądał na krytyka literackiego ani reżysera filmowego. Należał raczej do tego typu ludzi, których od dzieciństwa wolałem omijać. Zniszczona twarz i fioletowy nos, zdradzający predylekcję do kiepskich gatunków alkoholi, nie zachęcały do kontaktu, w dodatku całość wizerunku uzupełniały ręce, czerwone jak u Wokulskiego. Ubrany był biednie, ale czysto, i mimo pozorów menelstwa w oczach, w zarysie szczęki dostrzegałem coś, jakby ślad dawnego dostojęstwa. Podobne wrażenie odniosłem zaskoczony sposobem wyrażania się, dalekim od gwary kamieniarzy z Powązek czy wozaków węgla.

– Proszę wybaczyć ów drobny wybieg, towarzyszu Wolak – powiedział na powitanie. – Chciałem jednak, aby nasze spotkanie

nie spowodowało komplikacji dla pana ani dla mnie.

Spojrzałem na niego lekko zdziwiony, nie mając pojęcia, jakie komplikacje może mieć na myśli.

– Jestem jedynie posłańcem – dodał – od pańskiego ojca.

Zjeżyłem się. O Ojcu – draniu, który porzucił Matkę wraz z siedmioletnim dzieckiem i nie przysyłał nawet alimentów – słyszałem dotąd jedynie przykre rzeczy. A, prawdę powiedziawszy, nie chciałem słuchać w ogóle.

– Zanim umarł, prosił, abym dostarczył panu przesyłkę – to mówiąc, wcisnął mi w rękę coś, co wyglądało jak włoski orzech zawinięty w kawałek gazety, lecz było od niego dużo cięższe.

– Proszę to schować do kieszeni! – zachrypiał.

Wiadomość o śmierci mojego rodzica, którego ledwie pamiętałem, przyjąłem bez większego żalu.

– Gdzie umarł? – zapytałem z grzeczności. Bo, prawdę powiedziawszy, informacja ta nie miała dla mnie znaczenia.

– W Magadanie. Pół roku po opuszczeniu łagru.

Przełknąłem ślinę. Facet łągał w sposób oczywisty. Mój ociec był zapewne draniem, ale tacy jak on nie trafiali do przeznaczonych dla kryminalistów kolonii karnych.

– Prosił, abym przekazał panu ten rękopis – tu wepchnął mi pękata, sfatygowaną teczkę z tektury. – Jeśli będzie miał pan jakieś pytania, to znajdzie mnie pan za tydzień, w piątek o tej samej porze, pod mostem Kierbedzia... chciałem rzec – Suworowa.

Dopił piwo i wyszedł, nie zaszczycając mnie uściskiem ręki.

Wyszedłem i ja. Zaszokowany i rozdarty pomiędzy decyzją o przeczytaniu rękopisu, a decyzją o ciśnięciu go do pierwszego kosza na śmieci. Akurat żadnego kosza w pobliżu nie było.

Tymczasem słońce przedarło się właśnie przez chmury, toteż kiedy sięgnąłem do kieszeni i rozpakowałem otrzymane zawiniątko, błysk rzekomego orzecha nieomal mnie oślepił.

Czytałem „Winnetou” i jeszcze parę opowieści o Indianach eksterminowanych przez podłych Jankesów i nie miałem trudności z rozpoznaniem suweniru. Kimkolwiek był tajemniczy

posłaniec, wcisnął mi autentyczny, ogromny samorodek złota.

\*

Wróciłem na Krakowskie Przedmieście, ciągle nieświadom posiadania tykającej bomby. Przez moment wahalem się, czy nie stanąć na przystanku autobusowym pod Muzeum Ateizmu, mieszczącym się w dawnym kościele Świętego Krzyża, ale tłumek oczekujących pasażerów był mocno zniechęcający. Nigdy nie mogłem pojąć, dlaczego autobusy, rano, kiedy trzeba dowieźć ludzi do pracy, chodzą w miarę regularnie, za to po południu poruszają się bez żadnego planu, stadami albo zgoła wcale. W dodatku koło przystanku dostrzegłem Grzesia Majewskiego, a to groziło poważniejszymi komplikacjami. Grzesio z pewnością zapytałby mnie o pękata teczkę, a jego wodniste oczka jak nic wyczułyby złotą bryłę w kieszeni. Grzesio miał ciekawość zapisaną w genach odziedziczonych po ojcu – pułkowniku Milicji Obywatelskiej i matce – bufetowej z Jednostki GPU na Gocławku. Wprawdzie w nowym kodeksie karnym za posiadanie złota i obcych walut nie groziła już kara śmierci, jednak takie precjoza, jeśli nie zostały oddane do banku, podlegały natychmiastowej konfiskacie.

Majewski na szczęście mnie nie zauważył. Zaczytany w popołudniowym wydaniu „Warszawskiego Komsomolca” stał na schodach muzeum, tuż obok miejsca, gdzie na starych rycinach można było zobaczyć Chrystusa pochylonego pod ciężarem krzyża. Rzeźbę usunięto jeszcze w latach trzydziestych, argumentując, że stanowi zagrożenie dla ruchu ulicznego, ponieważ odwraca uwagę kierowców od pieszych i od innych pojazdów.

Stacja kolei średnicowej, przemianowanej na metro, znajdowała się prawie vis-à-vis Domu Partii, jednego z pięciu wieżowców zbudowanych w stylu „baroku socjalistycznego”, jakie od kilkunastu lat wznoszono w moim mieście, burząc ohydne, secesyjne kamienice z przełomu wieku, uosabiające

drobnomieszczański brak gustu i wyzyskiwanie człowieka przez człowieka. Podobno liczba „drapaczy chmur” świadczyła o ważności miasta – w Moskwie było ich dwanaście, w Berlinie osiem...

Długie schody (nieruchome – bo ruchome zepsuły się już jakiś czas temu) wyprowadziły mnie na peron stacji „Czerwone Powiśle”, znajdujący się już poniżej skarpy wiślanej. Za pomocą łokci wcisnąłem się do pociągu, tratując po drodze chuderławą staruszkę i pozostawiając na peronie jakiegoś emeryta. Z powodu wybitego okna wagon był luźniejszy niż inne, także można było swobodnie stać na dwóch nogach, chłonąc czosnkowo-nikotynowy zapach wnętrza. Miałem ogromną ochotę zajrzeć do teczki, ale opanowałem się. Zresztą warunki do lektury nie były najlepsze. Przejechaliśmy Wisłę, wjeżdżając w praską dzielnicę przemysłową, ale kominy czy fabryczne budynki nie interesowały mnie w ogóle. Intensywnie myślałem. Co ja w ogóle wiem o Ojcu?

Pamiętałem go jak przez mgłę. Zapach wody kolońskiej, dotyk wygolonego policzka i wąsów, błysk inteligentnych oczu spoza tafli okularów. Co jeszcze? Pasemka siwizny we włosach, śmiech donośny, kiedy coś go rozbawiło i zazdrość, jaką odczuwałem, gdy przytulał Mamę... Pamiętam też, jak majsterkowaliśmy wspólnie w szopie na podwórku, jak uczył mnie jeździć na rowerze i zjeżdżać na nartach z pagórków na terenie starej cegielni. A potem zniknął.

Moja pamięć nie zarejestrowała tego momentu. Może oszczędzono mi sprzeczek i awantur, jakie zazwyczaj towarzyszą ludzkim rozstaniom. Po prostu był, był, a potem już go nie było? Poszedłem wtedy do pierwszej klasy podstawówki i bardzo byłem dumny z powodu tornistra, czerwonej chusty...

Czy tęskniłem? Chyba tak. Pamiętam, że zrobiłem się płaczliwy i sikałem w nocy do łóżka. Co do zniknięcia mojego Taty – Babcia udzielała wykrętnych odpowiedzi, a Mama? Mama albo była na zawodach, albo na występach.

Miałem jakieś dziesięć lat, kiedy powiedziała, że Ojciec nas



opuścił. Że poznał inną panią. I założył sobie nową rodzinę. Byłem wstrząśnięty. Jak to inna pani?! Przecież moja Mama jest najpiękniejsza na świecie! Teraz inna rzecz nie dawała mi spokoju. Dlaczego nigdy nie rozmawiano ze mną o tym, w jaki sposób mój Ojciec, znakomity prawnik, trafił na ścieżkę przestępczą?

Tymczasem dojechałem do Marysina. Zaraz za stacją, gdy spojrzano się w stronę lasu, zaczynało się osiedle im. Akademii Nauk, złożone z budynków o podwyższonym standardzie, po trosze bloków, a po trosze jakby domków jednorodzinnych. Domy liczyły tylko dwa piętra i miały nie więcej niż sześć mieszkań, co odróżniało je od „mrówkowców”, stawianych w miejsce dawnych ruder. W takich blokach kuchnia przypadała na dwa mieszkania, a dwie łazienki na jeden korytarz. Nasz „apartament” miał trzy sypialnie, pokój „stołowy” i kuchnię z małą wnęką, w której sypiała Nastka.

Nastka była więcej niż gosposią. Była u nas od zawsze, a przynajmniej od chwili, kiedy moja Mama zjawiała się na świecie. Nikt nie znał jej wieku, a może sama go nie znała, trafiła bowiem do mojej Babci wkrótce po wielkiej fali przemian, które przyniosła rewolucja. Zrazu pomagała „na przychodne” i trochę szyla; to było w czasach „małego eksperymentu”, kiedy Babcia prowadziła własny punkt krawiecki. Później, kiedy eksperyment się skończył, a Babcia poszła do fabryki, została u nas w charakterze pomocy domowej. Była oficjalnie inwalidką; złamana w bliżej nieokreślonych okolicznościach noga zrosła się krzywo, eliminując jej posiadaczkę z szeregów pełnosprawnych pracowników socjalistycznych przedsiębiorstw.

Mimo swojego kalectwa Nastka miała mnóstwo zalet. Doskonale gotowała, a przed Wielką Rewolucją pracowała w jakimś magnackim dworze, skąd wyniosła płynną znajomość francuskiego, a także znakomity talent narracyjny. Opowiadała mi cudowne bajki, a gdy trochę podrosłem, godzinami gawędziła ze mną o życiu sfer wyższych, podejrzewam – mocno koloryzując. Nie było bowiem w jej historiach karbowych chłostających

chłopów, panów wykorzystujących dziewczki w ramach prawa pierwszej nocy, rozwiązłych grafiń żyjących najchętniej z popem w ramach tak zwanych praktyk religijnych. W majątku Nastki miała być rzekomo i ochronka dla dzieci, i szpitalik dla chłopów, i szkoła dla młodzieży... Zaiste, pasożytnicza klasa umarła, a pozostawiła po sobie taką ładną legendę.

W jednym stara Anastazja była konsekwentna. Choć barwnie opowiadała o wielkiej smucie, kampaniach napoleońskich, wojnie krymskiej – zawsze kończyła swoje gawędy na wymarszu trzech synów magnata na wojnę w roku 1914. Tak jakby lata następne stanowiły jedną czarną dziurę. Kiedy czasami usiłowałem pociągnąć ją za język, odpowiadała:

– E tam, nic ciekawego!

Jedno jej zawdzięczam: rozbudziła we mnie zainteresowania historyczne. Wbrew szkole, w której ten przedmiot należał do najnudniejszych i wykładany był przez belfrów, których z nieznanymi mi powodów obawiała się reszta grona nauczycielskiego.

Kiedy miałem dziesięć lat, przeczytała mi znośne ze strychu powieści Sienkiewicza, wydane jeszcze przed wojną, które – lubo pełne wstecznictwa i nacjonalizmu – opisywały fantastyczne przygody. Mimo wszystko nie byłem aż tak ograniczony, aby nie zauważać różnicy między tamtymi, kipiącymi życiem opowieściami, a nudą współczesności, w której nawet najlepsze pióra, na przykład Wandy Wasilewskiej czy Zbigniewa Nienackiego, nie umywały się do klasyków. Kładłem to jednak na karb trudności rozwojowych, wierząc, że po nieuchronnym etapie nie do końca sprawnych Rejów narodzą się genialni Kochanowscy.

Chciałem być jednym z tych Kochanowskich. Wiersze pisywałem praktycznie od momentu, kiedy nauczyłem się stawiać litery. Gdy podrosłem, pisałem dla dziewcząt sonety, a dla kolegów świńskie wierszyki, operujące głównie słownictwem okolic pasa.

Występowałem też na apelach, czy to z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej, czy też dla upamiętnienia wyzwolenia

Warszawy 20 września.

Poklask, jaki zyskiwałem, skłonił mnie do pisania dzieł: poważniejszych. Parę moich utworów ukazało się w gazetach, aż wreszcie, gdy usłyszałem o konkursie literackim ogłoszonym przez redakcję „Listów Literackich”, napisałem ten poemat, który stał się przyczyną zmian w moim życiu:

„Był jak zasiew Mickiewiczowy,  
jak historii burz – kamień młyński  
nasz Feliks Edmundowicz.  
Nasz Wielki Towarzysz Dzierżyński.  
W Litwie mnogo zaścianków małych,  
pokolenia w nich żyły i marły,  
jednym wielkość muzy śpiewały,  
miana innych deszcze zatarły.  
Szable mieli drewniane, trud chłopski  
nie raz pot im wyciskał od rana,  
magnat dawno ujarzmił ich wioski,  
w których tuczyć musieli plebana...  
Aż któregoś dnia, niczym grom,  
który echem się toczy przez niwy,  
bladym świtem urodził się – On  
Feliks – imię to znaczy szczęśliwy.  
Dookoła świat podły i mały,  
grad o dachy bębnił, o ganek,  
lecz jemioly krzak u powały –  
wieszczyl zmianę...  
Dziewiętnasty wiek – zgniła pustka,  
w niej burżujskie tycie i pycha,  
zapomnieli Marata, Saint Justa,  
żrąc i pijąc przy pełnych kielichach.  
Mijał wiek – jak kiepski scenariusz,  
jeśli bunt w nim był, to złamany,  
nie miał żadnych praw proletariusz,  
do stracenia jedynie kajdany!

Myśli Marksa trudno przecenić,  
lecz by zmienić je w triumf nadziei  
na to musiał pojawić się Lenin,  
a tuż obok towarzysz Feliks.

Rewolucja rzecz nie dla panien,  
nie w gadaniu potęga tkwi.

Nastał czas dialogu naganem,  
era potu, prochu i krwi.

– Nianiu dość mam słodzonej bajki  
śpiewaj dziś mi prawdziwą piosnkę  
o legendzie Czerezwyczajki,  
o tworzeniu przyszłości w Polsce!

Nianiu, nie mów o jakimś Bogu,  
co w kosmosie barłóg umości.

Mów, jak wstaje z ruin i grobów  
lepsze jutro całej ludzkości...!!!

Kiedyś się policzy ofiary,  
bez rozpaczy, choć bez radości,  
gdy zwycięskie czerwone sztandary  
damy w łapę Statui Wolności.

Nowy Świat odkryjemy na nowo,  
niosąc wolność pełną, rozumną –  
Towarzyszu Feliksie, to słowo  
jest przysięgą nad twoją trumną!”

Rzecz nosiła tytuł „jak Feliks z popiołów” i liczyła dziesięć ksiąg wierszem, przeplatanych cytatami z nielicznych skądinąd pism samego bohatera, który, jak sam twierdził, za pisaniem nie przepadał, a i mówił nad wyraz oszczędnie. Poemat wzbudził szczerzy zachwyt mamy, która jako dziecko widziała pierwszego sekretarza osobiście podczas pochodu pierwszomajowego, dość powściągliwą aprobatę Babci, która, pytana o zdanie, powiedziała, że się na poezji nie zna. I zdumiewającą reakcję starej Nastki, która radziła, żebym nie publikował utworu. – Po co ci to? Nie lepiej trzymać się wierszy o miłości? Może bym i posłuchał, ale

akurat wpadł na kolację Martow, Mama pokazała mu fragment, on zapał z zachwytu i powiedział, że kultura Polscy dawno nie miała takiego talentu, jak ja. Byłem zaskoczony. W końcu czego, jak czego, ale poetów nam nie brakowało. Choć Broniewski i jasiński już nie żyli, mieliśmy takich tuzów jak Baczyński, Słonimski, Hollender czy Szenwald...

– Bardzo dobrze, że nie chcesz drukować tego we fragmentach, tylko od razu wysyłasz na konkurs młodych talentów i pochwalił Rosjanin.

– Jeśli uhonoruje cię nasze znakomite jury, nikt nie powie, że sukces zawdzięczasz jakiegokolwiek protekcji.

Zrobiłem, jak zaproponowałem. Wysłałem maszynopis zaopatrzonego godłem, a potem co poniedziałek biegałem do kiosku kupować kolejne numery „Listów Literackich”, tak jakby utwór mógł się tam ukazać jeszcze przed zakończeniem konkursu. Tak minęły dwa miesiące niepokoju, nadziei i oczekiwania.

Zadzwoniono do mnie zaraz po obradach jury. Jego sekretarz, towarzysz Putrament, poinformował mnie osobiście, że zostałem laureatem. Z oszołomienia wyrwał mnie komunikat w głównym wydaniu Dziennika Telewizyjnego. „Pierwszą nagrodę otrzymał towarzysz Marcin Wolak, student III roku historii Uniwersytetu im. Feliksa Dzierżyńskiego”. Nazajutrz słynna Sonia Sztajn, wedle plotek kochanica samego prezesa Szenwalda, zaprosiła mnie do swych telewizyjnych wywiadów, które szły „na żywo”, to znaczy z ledwie piętnastominutowym poślizgiem.

Z dnia na dzień stałem się osobistością. Profesorowie (wliczając w to mojego mistrza od starożytności Orlando Piazzolego) zaczęli odnosić się do mnie ze wzmożonym szacunkiem, a Nadia Finger, za którą dotąd mogłem wodzić jedynie tęsknym wzrokiem, jak pies za kiełbasą na wystawie u rzeźnika, z własnej inicjatywy umówiła się ze mną na ciastka, aby pogadać o wzmocnieniu mojej roli w kolektywie partyjnym naszej uczelni.

I tak się to zaczęło. Ona mówiła „partia”, a ja myślałem o jej piersiach rozsadzających białą bluzkę, ona podkreślała rolę styczniowych tez Lenina z roku 1921, a ja myślałem o miejscu,

w którym kończą się jej pończochy i za pośrednictwem podwiązek przechodzą w pasek, ciasno opinający jej wdzięki. Chociaż nie aż tak ciasno, żeby nie można go było zdjąć.

Mimo tych, drobnych jak się okazało, rozbieżności w podejściu do rzeczywistości, po pięciu godzinach rozmowy, dwóch kawach, czterech lampkach gruzińskiego koniaku i półlitrowce czystej, kupionej w bramie u jakiegoś nieznanego obywatela, który przypadkowo miał ją na zbyciu, osiągnęliśmy pełną płaszczyznę porozumienia. W jej pokoiku przy alei Tuchaczewskiego (dawnej Świętokrzyskiej), na łóżku chybotliwym i skrzypiącym, które wydało mi się dywanem Aladyna połączonym ze sterowcem „Mendelejew”.

W ten prosty sposób straciłem cnotę z najpiękniejszą i najważniejszą dziewczyną mojego wydziału i, co istotniejsze, to wyborne danie miało się okazać jedynie przystawką do kolejnych dań, zaczęliśmy bowiem spotykać się często i esencjonalnie.

Dlaczego nie zamieszkaliśmy razem?

Dziś myślę, że wówczas stanowiłem dla Nadii inwestycję. Ważną, chociaż nie jedyną. Można sądzić, że miała więcej niż siedmiu braci (z nią) śpiących, o których opowiadały wydziałowe legendy. I dlatego nie mogłem traktować jej posagowego ciała, której praksytelesowe proporcje psuła nieco zbyt szeroka miednica i przyciężkie piersi, jako swojej wyłącznej własności (ale już Engels wspominał o wspólnocie żon w komunizmie, do którego zmierzaliśmy). A co do duszy, mam powody sądzić, jak gorliwi wyznawcy islamu, że pewne kobiety, w dodatku komunistki, w ogóle jej nie mają.

\*

Obiad czekał w kuchni. Wystarczyło tylko podgrzać, ale nie byłem głodny. Zajrzałem do Babci, która po niedawnym wylewie prawie nie opuszczała swojego pokoiku. Spała. Od paru miesięcy bałem się, że pewnego dnia wejdę i nie będzie to już sen... Zabrałem niedopitą herbatę z nocnej szafki i wtedy zobaczyłem

książeczkę, obłożoną gazetą. Wziąłem ją do ręki. Był to sczytany do cna modlitewnik, wydany jeszcze w 1911 roku.

No cóż, starzy ludzie pozostają więźniami swoich śmiesznych poglądów aż do końca. Palilem się do lektury. Nie czekając, aż się zagotuje woda na herbatę, siadłem przy moim biurku (kiedyś, dawno temu, było to biurko Ojca) i rozłożyłem rękopis.

W tym momencie zadzwonił telefon. To musiała być Nadia.

I była. Niby każdy dzwonek telefonu brzmi identycznie, ale jakaś metafizyka powoduje, że jestem w stanie wyczuć, kto telefonuje.

Mam dwa bilety do kina na dziś wieczór – zaćwierkała towarzyszka Finger – francuski film z Brygidą Bardotową „Żniwa w Camargue”.

– Na którą? – zapytałem, próbując wykrzesać z siebie entuzjazm.

Francuskie filmy niespecjalnie różniły się od rosyjskich, były tylko odrobinę bardziej przekombinowane. Chociaż gdyby Bardotowa miała się w nim rozebrać, jak w filmie „De Sade”, który jakoś nie trafił na nasze ekrany, ale wśród wtajemniczonych, których dopuszczono na zamknięte pokazy, krążyły o nim prawdziwe legendy...

– Na dwudziestą! – odpowiedziała.

– Będę! – rzuciłem okiem na zegarek. Chcąc zdążyć, powinienem wyjść za godzinę. Mnóstwo czasu!

Odłożyłem słuchawkę i sięgnąłem po manuskrypt. Znów nic z tego. Teraz dla odmiany odezwał się czajnik. W pustym mieszkaniu zabrzmiało to niczym gwizd pociągu, pod który rzuca się Anna Karenina. Zaparzyłem cały garnuszek uzbeckiego Smaku Samarkandy – od czasu nowych scysji z władzami Chin znajomy Junan znikł z półek sklepowych – co powinno mi starczyć na ową godzinę, i otworzyłem teczkę.

Na pierwszej stronie było jedynie parę zdań. Pierwsze skierowane było do mnie. „Synu, jeśli masz dość odwagi, przeczytaj to!”.

Drugie zaadresowane zostało do nieznanego czytelnika. „Jeśli wpadło ci to w ręce przypadkiem, potraktuj moje wspomnienia jako beletrystykę, a jeśli w ramach obowiązków służbowych, spróbuj scedować lekturę na kogoś innego. Możesz mieć kłopoty”.

Niestety, odnosiło się to również do mnie.

II

Pamiętnik Ojca (1)

„Przypadek układa los człowieka” – zapewne zdanie to jest prawdziwe również wtedy, gdy w miejsce pojęcia człowiek podstawimy pojęcia naród, państwo, imperium. Nasi ciemężyciele piszą i mówią wiele o nieuchronnych mechanizmach, historycznych koniecznościach. Ja, patrząc na życie ludzi i zbiorowości, dochodzę do wniosku, że zawsze decydujące okazują się czyjeś zaniechanie, głupota, lenistwo lub zbieg okoliczności, jakim jest znalezienie się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Jak ja. Jak my wszyscy.

Urodziłem się na przełomie stuleci – w pierwszym roku nowego, XX wieku, który miał być wiekiem tryumfu ludzkiego rozumu i postępujących wedle jego wskazań, umiaru, harmonii – słowem wszystkiego tego, co ludzkość sublimowała od czasów antyku. W swojej pysze uznaliśmy, my jako gatunek, że aby zbudować nowy, wspanialszy świat, niepotrzebny jest ani Bóg, ani dekalog; wystarczy czysty rozum. I cóż z tego, że dziś po wydostaniu się z łagrowego piekła powtarzam sobie: jeśli by nawet Boga nie było, to należałoby go sobie wymyślić!

Jesteś, mój synu, jedynakiem, właściwie półsierotą, więc nawet nie możesz sobie wyobrazić, czym jest pełna, liczna rodzina... Czterech nas było w domu, czterech gotowych w miarę potrzeby w ogień skoczyć jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Jak Atos, Portos, Aramis – Stach, Stefan, Zbyszek i ja – d'Artagnan. Oczywiście nosiliśmy wtedy inne, zdecydowanie ładniejsze nazwisko. W ogóle wszystko było inne. Mój ojciec był wziętym łódzkim notariuszem, mama zajmowała się domem, pięknym pięciopokojowym mieszkaniem przy Piotrkowskiej, w którym urwisowaliśmy, ile wlezie. Może poza Stachem, ledwie trzy lata



starszym ode mnie i rok od Stefana, ale o ile doroślejszym, zazwyczaj zajęтым sprawami poważniejszymi, zgoła niedzielnymi.

Choć pamiętam, jak raz, było to parę lat przed wojną europejską i trwały właśnie zmagania na Bałkanach, mój brat przyszedł do pokoju dziecinnego i powiedział:

– Bawimy się w wojnę bałkańską – Stefan jest Bułgarią, Jurek Serbią, a Zbyszek Czarnogórą.

– A ty? – zapytałem.

– Ja będę Turcją!

Niestety, tym razem Bałkany nie zostały wyzwolone, a mój najstarszy brat uporał się z nami wszystkimi. Stach był urodzonym przywódcą, w dodatku takim, u którego dominacja brała się nie z siły mięśni, lecz z mocy charakteru. Nieco niższy od pozostałych braci, bardziej krępy, miał coś takiego w spojrzeniu sponad szkieł binokli, co wymuszało posłuch rodzeństwa, później harcerzy, wreszcie podkomendnych. Kiedyś, jeśli starczy mi czasu, opowiem więcej o tworzonym przez niego harcerstwie, o naszych obozach, o konspiracji w POW. Wreszcie o wielkiej, niespełnionej miłości do Jadźki z sąsiedztwa.

Dziś przypomina mi się najwyraźniej pamiętna noc 11 listopada 1918 roku, kiedy nagłą ciszę rozdarł grzmot wystrzałów. „Nasi atakują Niemców. Bronią się koszary na Konstancyńskiej” – wołano na ulicy. Czuję, wiedziałem, że tam musi być Stach i koniecznie chciałem biec, ale mama mnie nie puściła. W rzeczy samej, kierował owym zwycięskim szturmem, choć nie starczyło mu czasu, by zapisać to w swoich ówczesnych pamiętnikach.

Po przeniesieniu do Warszawy jego oddział został włączony do Batalionu Harcerskiego. Wypełniał tam zadanie bardzo ważne, ponieważ brakowało policji, a elementy przestępcze i wywrotowe dopuszczały się grabieży i gwałtów. Ale jemu taka rola nie wystarczała. Napisał do samego Piłsudskiego z prośbą o przydział na front. Został oficerem oświatowym i w szybkim czasie zlikwidował analfabetyzm w swoim batalionie. Co nie przeszkadzało mu brać udziału w walkach liniowych. Pisywał też

artykuły do „Polski Zbrojnej”. Pamiętam, że bardzo wiele szumu wywołała jego publikacja „Dosyć tego!”. Piętnował w niej gwałty polskich żołnierzy, jakich dopuszczali się na kobietach z wyzwolanych terenów Litwy i Białorusi. „Nie wchodzimy do kraju obcego i wrogiego – pisał – wracamy do prastarych ziem Rzeczypospolitej, których ludność jest kość z kości naszymi braćmi!”. Posypały się gromy, autorowi insynuowano, że jest bolszewikiem, że sieje defetyzm i pacyfizm...

Trzeciego stycznia 1920 roku podchorąży Stanisław W., prowadząc kompanię piechoty na stanowiska sowieckich karabinów maszynowych, padł skoszony celną serią. Padł, walcząc o oswobodzenie Litwy, Łotwy, Estonii. Za naszą i waszą wolność.

Czasami cieszę się, że zginął wtedy, jak bohater, że nie doczekał późniejszych czasów, kiedy głupota świata zgotował nam wszystkim los, jakiego nie mogliby przewidzieć najbardziej pesymistyczni wróżbici.

Piękne lato tamtego roku spędzałem na wsi, kursując między domkiem, który świeżo nabył mój ojciec, przenosząc się do Tomaszowa, a majątkiem kuzynostwa Kopciwiczów, kilkanaście kilometrów za miastem, gdzie mogłem flirtować z pięknymi pannami z sąsiedztwa i doświadczać pierwszych, jeszcze niewinnych pocałunków. Nie trwało to długo. Telegram z Łodzi od przyjaciela zmaćcił ziemiańską sielankę. „Wszyscy idziemy do wojska. Przyjeżdżaj natychmiast. Józwicki”. Dopiero wówczas uprzytomniłem sobie, że na wschodnich kresach Rzeczypospolitej toczy się wojna, a nasze wojska, niedawno jeszcze zajmujące Kijów, cofają się coraz bardziej, zaś wróg zbliża się niebezpiecznie.

Po przybyciu do Łodzi dowiedziałem się, że większość naszych kolegów zgłosiła się do trzeciego pułku ułanów. Choć jeździłem na koniu całkiem dobrze, ta służba nie bardzo mi odpowiadała, udałem się więc do koszar dwudziestego dziewiątego pułku piechoty Strzelców Kaniowskich i tam się zarejestrowałem. Rozpoczęły się intensywne szkolenia i nie kryję, że doświadczenia

harcerskie przydały mi się bardzo. Rzadkie przepustki spędzałem w domu państwa Brzozowskich, gdzie w ostatnim roku mieszkałem na stacji, spotykając się z moją ówczesną miłością Irką Królikowską, w której oczach z pozycji jednego z licznych adoratorów wyrosłem na prawdziwego bohatera.

Wkrótce przewieziono nas do Torunia, gdzie formował się pierwszy pułk Strzelców Syberyjskich (drugi taki powstawał w Grudziądzu). Rozpaczliwie brakowało oficerów. Moja kompania miała dowódcę – kapitana Trznadla, jego zastępcę porucznika Górnego, sierżanta Dymowskiego i kaprała Wieczorka. I to wszystko. A żołnierze... To był niestety dopiero materiał na żołnierzy – uczniowie, młodzi robotnicy, nie brakowało też „niebieskich ptaków” z przedmieść...

Ćwiczenia, ćwiczenia i jeszcze raz ćwiczenia. Z powodu braków kadrowych powierzono mi nawet prowadzenie musztry. Trudno sobie wyobrazić – ja, dziewiętnastolatek i osiemdziesięciu chłopa, w znacznej części starszych ode mnie. Szło nam nieźle i jeśli czegokolwiek mi brakowało, to treningu strzeleckiego. Po kilku dniach przewieziono nas na Dworzec Zachodni, skąd przemaszerowaliśmy przez całe miasto – Alejami Jerozolimskimi, Nowym Światem, Krakowskim Przedmieściem na Dworzec Brzeski. Żegnały nas tłumy warszawiaków, wiwatujące na naszą cześć i błogosławiące nas. „Zwyciężajcie i wracajcie!”.

Jak bardzo pragnąłem nie zawieść ich nadziei.

Wręczano nam kwiaty, papierosy i słodycze. Zdawaliśmy sobie sprawę, że byliśmy ostatnią rezerwą mogącą powstrzymać napór wroga na Warszawę.

Pociąg dowiózł nas jedynie do Zegrza. Nastął wieczór 12 sierpnia 1920 roku. Wyruszyliśmy o zmierzchu, przez Modlin, aż do wsi Borkowo nad Wkrą. Tu zapadliśmy na wzgórzach nad rzeką, w polu zrytym okopami pozostałymi po ostatniej wojnie europejskiej. Z oddali niósł się huk dział. Noc spędziliśmy kuląc się z chłodu i ogrzewając się paleniem papierosów. Rozmów prawie nie było słyhać. Panował nastrój niepokoju i oczekiwania. Wczesnym rankiem dowieziono śniadania, a plutonowi rozdali

ludziom chleb i konserwy. Po paru godzinach ożywiło się na przedpolu. Zza rzeki niosła się palba pojedynczych wystrzałów i morderczy terkot karabinów maszynowych. Zjawił się kapitan Trznadel i chodził niespokojnie przed frontem, tam i z powrotem. Rosło napięcie. W pewnym momencie przypadł do nas major Czapla. Niski, krępy, jasny blondyn z odkrytą głową. W ręku trzymał nagan.

– Czwarta kompania, naprzód marsz! – krzyknął.

Rozkaz powtórzył kapitan, nie precyzując wszakże, co dokładnie mamy czynić. Jako dowódca pierwszego plutonu sprawilem mój oddział czwórkami i pomaszerowaliśmy w kierunku mostu. Kiedy szedłem na czele, czułem pustkę w głowie.

Byliśmy w połowie przeprawy, kiedy zaterkotał z przeciwnej strony karabin maszynowy i seria pocisków z gwizdem przeleciała nad naszymi głowami. Czy szły za wysoko, czy za nisko – nie zdawałem sobie sprawy, pierwszy raz strzelano do mnie.

Instynktownie pochyliłem się nieco i obejrzałem za siebie. Twarze moich ludzi były napięte i przerażone. Zapominając o strachu, prawie bez zastanowienia, zakomenderowałem:

– Pluton, biegiem marsz!

Ledwo znaleźliśmy się na drugim brzegu, płaskim, zarośniętym rzadkimi krzakami, zawołałem:

– Tyralierą w lewo!

Żołnierze wykonali rozkaz, po czym otworzyli bezładny ogień, ale poleciłem go wstrzymać – przed nami mogła się znajdować nasza linia. Byłem bezradny, nie wiedziałem co robić. Być może powinienem wysłać czujki do sąsiednich oddziałów, nie miałem za grosz doświadczenia. Więc czekaliśmy. Po jakimś czasie zjawił się porucznik Górny i zarządził przesunięcie mojego plutonu kilkaset kroków naprzód i tak znaleźliśmy się na zewnętrznym skraju zarośli. Przed nami ciągnęło się paręset metrów otwartej przestrzeni, za którą wznosił się niewielki, rzadki las. Ponad nim widać było wieżę kościoła z czerwonym dachem. Dostaliśmy rozkaz okopania się. Łopatki saperskie owszem, mieliśmy, ale dotąd nie przeprowadzaliśmy z nimi żadnych ćwiczeń. Każdy

wykopał sobie jakiś dołek, po czym leżeliśmy pod prażącymi promieniami sierpniowego słońca.

Gdzieś daleko przed nami huknął wystrzał armatni. Pocisk z grzechotem przeleciał nad nami i rozerwał się z tyłu. Szrapnele! Zaraz huknął drugi, trzeci. Macali nas... Co kilkadziesiąt sekund rwał się kolejny szrapnel. Ostrzał zaczynał się od lewej flanki i przesuwał w prawo. Ale niecelnie. Nie wyglądało to groźnie, tak że kiedy przycichło, ze zmęczenia usnąłem. Obudził mnie okrzyk któregoś z żołnierzy:

– Panie plutonowy, atakują!

Spojrzałem na przedpole. Z lasu wysypywały się bezładne gromady bolszewickich żołnierzy. Na ich bagnety błyszczało słońce. Odruchowo krzyknąłem:

– Pluton, szybki ogień!

Bluznęła salwa, przechodząc w bezładną strzelaninę. Sam wstałem i z tej pozycji słałem kulę za kulą w stronę zbliżających się z wrzaskiem wrogów. Nasz ogień nie był skuteczny, a do tego dość rzadki. W tym momencie przed frontem pojawił się porucznik Górny. Wymachując saperką, krzyknął:

– Kompania, do ataku, na bagnety!

Podjąłem komendę:

– Pierwszy pluton do ataku, hurra!

Odpowiedziało mi dziwne milczenie. Obejrzałem się. Moi chłopcy wahali się. Jedni ledwie podnosili się nieśpiesznie, drudzy trwali w pozycji kucznej, inni stali w miejscu rozważając ucieczkę. Krew uderzyła mi do głowy. Wymierzyłem w nich karabin i krzyknąłem:

– Kto się cofnie, dostanie ode mnie kulę w łeb. Na przód, do ataku!

Już nie oglądając się, ruszyłem przed siebie; poszli za mną, ile sił w płucach krzyząc „Hurra”!

Linia bolszewicka zawahała się, zatrzymała w miejscu, a po chwili Sowietci uciekali w popłochu. Biegliśmy za nimi, strzelając chaotycznie. Przecieliśmy las i wydostaliśmy się na jego drugą stronę. Przebiegała tam bita droga prowadząca w stronę kościoła.

W tym kierunku uciekała gromada bolszewików. Strzelaliśmy do nich coraz celniej. Nagle dobiegły nas podniesione głosy z tyłu:  
– Cofać się, cofać się!

Popatrzyłem za siebie. Droga, na którą weszliśmy, skręcała i prowadziła na most przez Wkrę. Tą drogą cofali się w popłochu nasi żołnierze, gonieni przez żołdatów czerwonej armii.

Zorientowałem się, że znaleźliśmy się w pułapce. Nieprzyjaciel był zarówno za nami, jak i przed nami. Krzycząc: „Pluton cofać się, za mną”, pobiegłem w stronę rzeki.

Ponieważ nieprzyjaciel był już na moście, rzuciliśmy się w wodę, aby sforsować ją w bród. Szczęściem było płytko, do kolan, ale dno kamieniste i nierówne, więc co i rusz ktoś z naszych przewracał się. A z mostu bolszewicy krzyczeli: „E ja pan zdajsia, a to strielat budiem!”. I strzelali do nas jak do kaczek, z broni ręcznej i maszynowej, aż woda się pieniała wokół nóg. Co i rusz ktoś z naszych padał w wodę, by już nie powstać.

Jak dobrnąłem do brzegu, sam nie wiem. Pamiętam tylko, że wpadłem między jakieś opłotki i wydostałem się na wolne pole. Wszędzie uciekały grupki naszych żołnierzy.

Nieprzyjaciel zatrzymał się wprawdzie, ale prażył do nas gęsto. Czuję się okropnie zmęczony, dodatkowo dręczyło mnie potworne pragnienie. Obejrzałem się. Rosjanie strzelali do nas nadal ze swych toczonych na kółkach maksimów, ale było mi to dziwnie obojętne. Natknąłem się na jakąś chałupę. Pusto... Pić!!! W środku stało jakieś wiadro. Uniosłem je. Mleko z czarnymi jagodami...? Ale to były tylko wielkie muchy. Nie szkodzi!

Wreszcie, pod wieczór, za jakąś kępą drzew, natknąłem się na większą grupę naszych żołnierzy. Dowodził nimi kapitan Trznadel. Zaraz dowiedziałem się, że dowódca naszego batalionu, major Czapla, poległ. Ale to nie była najgorsza wiadomość tego dnia. O zmierzchu, początkowo plotka, a potem wieść straszna obiegła żołnierzy. Naczelnik Państwa i Wódz Naczelny, Józef Piłsudski, nie żyje! Znacznie później dowiedzieliśmy się, że zginął z ręki mordercy.

\*

Zamachowiec nie był nieznanym nikomu samotnym młodzieniaszkiem. Liczył sobie pięćdziesiąt jeden lat i należał do elity kulturalnej Warszawy. Notki w gazetach: „Eligiusz Niewiadomski – artysta malarz” nie wyczerpywały wszystkich jego talentów. Uczeń Wojciecha Gersona, pracownik warszawskiej politechniki, konspirator i więzień caratu, organizator Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, pionier taternictwa, wreszcie kierownik Wydziału Malarstwa i Rzeźby w Ministerstwie Kultury i Sztuki w rządzie Rady Regencyjnej. W roku 1918 uczestniczył w rozbrajaniu Niemców, a następnie, mimo starszego wieku, zgłosił się do wojska i z polecenia generała Kazimierza Sosnkowskiego został przyjęty do pracy kontrwywiadowczej w II Oddziale Sztabu Głównego. Nie był pracownikiem łatwym. Zasypywał zwierzchników memoriałami, wietrząc wszędzie spiski. Domagał się zintensyfikowania walki z komunistyczną agenturą i dywersją, ale jego koncepcje były odrzucane. Jego narastającą obsesją była zdrada, która jakoby zaległa się na czele państwa. W ostatnich tygodniach przed zamachem nie krył się z opinią, że uważa wszystkich członków PPS za kryptobolszewików, a Józefa Piłsudskiego za agenta Trockiego. Czy był wariatem? Studiując polskie i niemieckie publikacje, nie sposób było nie zauważyć dwóch poważnych wypadków, zdolnych nawet najzdrowszego człowieka zmienić w szaleńca – Niewiadomski przed dwudziestu laty doznał rozległych poparzeń podczas pożaru pracowni malarskiej w Paryżu, zaś 28 lutego 1918 roku, wyskakując z tramwaju, uległ ciężkiemu wypadkowi. Ale czy te wydarzenia miały związek z jego postępkami? Wiadomo było od przyjaciół, że przez ostatnie pół roku leczył się u niejakiego doktora Ernesta Szapiro, choć daremne było szukanie takiego nazwiska w ówczesnym spisie lekarzy. Nie wiadomo też, kto w kwaterze w Puławach dopuścił Niewiadomskiego do pokoju Komendanta, któremu miał, jak twierdził, przekazać listę agentów sowieckich w Sztabie

Generalnym. Tajemnicą pozostaje też, kto sprawił, że nie poddano go nawet pobieżnej rewizji. W każdym razie sam sprawca nie mógł złożyć żadnych zeznań. Po wpakowaniu czterech kul w ciało przywódcy Polski, piątą kulę przeznaczył dla siebie i strzelił sobie w usta.

Czym jest śmierć Naczelnego Wodza w przeddzień decydującej polskiej kontrofensywy, nie potrafi sobie wyobrazić nikt, kto tego nie przeżył. Opóźnione o dwa dni natarcie znad Wieprza poprowadził Rydz-Śmigły, ale załamanie nastąpiło pod Radzyminem, do czego przyczyniło się nieudolne dowodzenie generałów Józefa Hallera i Latinika. Rydz pośpieszył na pomoc Warszawie, ale niewiara w zwycięstwo była już powszechna; panowały panika i rozsyпка. Ten czas pozwolił otrząsnąć się Tuchaczewskiemu, podciągnąć posiłki i amunicję. Wojska Budionnego ruszyły na Lwów, którego obrońcy wycofywali się na Kraków i Czechosłowację. Rozmiary klęski stały się nieprawdopodobne.

Skutki zabójstwa Piłsudskiego można by jeszcze zminimalizować, gdyby udało się utrzymać mord w tajemnicy. Niestety, dyskrecja nie jest polską specjalnością. Kiedy zmarł na stole operacyjnym w praskim szpitalu – zabiły wszystkie dzwony w Warszawie, ukazały się czarne wydania popołudniówek i wszystko stało się jasne.

Zapewne wnikliwie przeprowadzone śledztwo pozwoliłoby ustalić, kto animował Niewiadomskiego i kto mu pomagał. Niewątpliwie swoje urojone teorie „narodowej” zdrady (na przykład dotyczące telefonów z Belwederu do Lenina na Kreml) czerpał z prasy „narodowej”; może był pod wpływem księdza Adamskiego, wprost zarzucającego Piłsudskiemu zdradę. A może stali za nim także wojskowi. Późniejsze kariery kilku wyższych oficerów, z generałem Roją czy słabego charakteru i żadnej władzy późniejszym marszałkiem Żymierskim na czele, nie pozostawiają pod tym względem wątpliwości. Wówczas jednak nie było czasu na śledztwo. Na nic nie było czasu.

Klęska na przedpolu warszawskim, przeniesienie rządu Witosa do



Poznania, kompletny upadek morale Polaków... Czegóż więcej mogliby życzyć sobie Trocki, Lenin i Tuchaczewski? Nowy głównodowodzący, generał Kazimierz Sosnkowski, nie miał charyzmy Komendanta, nie mógł też zapobiec wewnętrznym konfliktom w dowództwie, Sikorski żarł się z Rozwadowskim i Rydzem-Śmigłym, do wszystkiego wtrącał swoje trzy grosze Francuz Weygand.

Uratować nas mogła jedynie szybka i sprawna pomoc Ententy. Ale decyzja o nieinterwencji zapadła jeszcze w Spa. Dla prezydenta Wilsona najważniejsze były zbliżające się wybory. A proletariat krajów Zachodu skutecznie blokował nawet owe nieliczne dostawy broni, jakie miały być wysłane do Polski.

Obserwowałem te wydarzenia z perspektywy żaby. W dodatku żaby z przetrąconą kończyną. Rozkazy wycofania się na linię Wisły, aby tam stawić opór, okazały się niewykonalne. Wróg przełamał front w co najmniej dwóch miejscach. Piętnastego sierpnia był już na Pradze, a pierwsze zagony kawalerii dotarły do Płocka, gdzie, wzorem dawniejszych zdobywców Warszawy, zamierzano przeprowić się przez Wisłę i zaatakować stolicę od strony Woli.

Odcięci od głównych sił, umykając przed wrogiem, szliśmy pomiędzy dwoma wielkimi armiami ku granicy pruskiej, by następnie dążyć jej skrajem ku Kujawom i Pomorzu, gdzie podobno w rejonie Bydgoszczy przewidywano ponowną koncentrację naszych wojsk. Przedzierając się wśród fal czerwonego morza, rzekłbyś cała Azja wyruszyła tego lata przeciw Europie, nasz coraz szczuplejszy oddziałek wytrwał 5 dni. To kąsając nieprzyjaciela, to uskakując mu. Raz idąc na zachód, raz na wschód, to ku północy, bez końca nękani nie tylko przez wroga, lecz także przez coraz gorsze, nie wiadomo skąd lęgające się wieści, wedle których bolszewicy już zajęli Warszawę, a jakakolwiek walka nie ma sensu. W tym przekonaniu miały nas utwierdzić ulotki, zrzucone z przelatujących samolotów. Ale pisane koślawą polszczyzną, z mnóstwem błędów ortograficznych, przynosiły skutek odwrotny do zamierzonego.

Jednak jak długo mogło się nam udawać wydostawać z kolejnych opresji?

Na ostatek, kiedyśmy zmierzali ku Brodnicy, wzięto nas w straszliwe kleszcze, zasypano lawiną ogniową, skłuto bagnietami, tak że ledwie kilkunastu chłopaków przedarło się przez granicę pruską.

Ze zwichniętą kostką, przestrzelonym barkiem, płytką raną w piersi (wraży bagniet zsunął się szczęśliwie po żebrach) i dłońmi mocno po – parzonymi w trakcie przedzierania się przez płonący las, wylądowałem w lazarecie urządzonym na starym, jeszcze krzyżackim, zamku w Nidzicy. Prusacy nie darzyli nas sympatią, ale trzeba przyznać, traktowali po ludzku. Zresztą wielu z nich, szczególnie kobiet, nie tało lęku wobec dalszych poczynań Sowietów. Pielęgniarki, w odróżnieniu od niemieckich sztabowców, nie miały wątpliwości, że Armia Czerwona nie zatrzyma się na dawnej granicy imperium rosyjskiego, lecz po przekroczeniu trupa Polski poniesie dalej żagiew rewolucji. Jedna z pielęgniarek, siostra Truda, całkiem przystojna jak na Prusaczkę i, jak przystało na rodowitą mieszkankę tych stron, mówiąca trochę po polsku, zapytała mnie, czy prawdą jest, że żołnierze bolszewicy nie przestrzegali żadnych reguł na zajętych terenach, tylko rabowali, gwałcili i mordowali? Słyszałem na ten temat mnóstwo relacji ze wschodu, ale powiedziałem, że jeśli nawet wkroczą do Prus, to z pewnością będą traktować Niemców jak sojuszników. Kłamałem!

Warszawa skapitulowała ostatecznie 20 września. Obchodzicie dziś ten dzień jako Święto Wyzwolenia. Wyzwolenie! Trudno o bardziej ponury żart historii. Mimo zapewnień sowieckiego dowództwa, prawie natychmiast po kapitulacji dokonano rozdziału wedle kryteriów klasowych – na żołnierzy (tych puszczono wolno) i oficerów, których powieziono w głąb Rosji. Nie słyszałem, żeby ktokolwiek, prócz paru odszczepieńców, powrócił. W najtrudniejszej sytuacji znaleźli się podoficerowie, którym dano do wyboru niewolę lub służbę w niezwyciężonej Armii Czerwonej.

Zapytaj kiedyś swoją babcię, jak zginął twój dziadek, o którym na co dzień nigdy się nie mówi? Stary PPS-owiec. Organizator robotniczych oddziałów obrony Warszawy. Aresztowany już pierwszego dnia okupacji, został wywieziony, jak wielu podoficerów odmawiających zaciągu do zwycięskich wojsk. Z tego co wiem, nie dojechał na Sybir.

Mówiono mi, że całą ich grupę rozstrzelano w Puszczy Białej, zaraz za Wyszkowem.

Następnego dnia po kapitulacji odbyła się w Alejach Ujazdowskich defilada zwycięzców. Prawdziwi patrioci nie wyszli z domu, za to jak z podziemi wylały się wszelakie męty społeczne, trochę ludzi o autentycznie lewicowych poglądach, sporo gapiów, a prócz nich dziesiątki tysięcy Żydów, głównie biedoty, witających bolszewików jak wyzwolicieli spod jaśniepańskiego jarzma. Ponad Zamkiem Królewskim załopotał rewolucyjny sztandar. Miejskie mury pokryły się czerwienią komunistycznych flag. Podobno przypominało to krew.

Tej też nie zabrakło. Prawie natychmiast zaczęły się aresztowania, szczególnie wśród funkcjonariuszy państwowych, którzy nie mieli tyle rozsądku, aby bezzwłocznie uciec z miasta albo się ukryć.

Pełniący obowiązki Naczelnika Państwa generał Kazimierz Sosnkowski, widząc, że słowo dane przez bolszewika nic nie znaczy, a próby interwencji u Dzierżyńskiego, który został komisarzem Nowej Polski, nie mają najmniejszego sensu, popełnił samobójstwo.

Niepodległy Berlin przetrwał jedynie pięć dni dłużej niż Warszawa. Wystąpienia niemieckiego proletariatu trwały praktycznie od pierwszych dni września. Powołany rząd socjalistyczny nie potrafił zaprowadzić porządku. Dwudziestego czwartego września grupa dokoptowanych do niego komunistów, na czele z Ernestem Thalmanem, Klarą Zetkin i Willim Münzbergiem, zwróciła się o bratnią pomoc do Sowietów, stojących za Poznaniem. Ci naturalnie nie odmówili pomocy. Pierwsze oddziały dojechały koleją już nazajutrz.

Kontrrewolucyjny zryw Niemców, potężnie osłabionych wojną,

trwał około miesiąca. Dłużej broniła się jedynie Bawaria. W rocznicę szturm na Pałac Zimowy w Petersburgu, 7 listopada 1920 roku, z trybuny pod Bramą Brandenburską Klara Zetkin proklamowała powstanie Niemieckiego Państwa Robotników i Chłopów.

W Prusach Wschodnich rewolucja wybuchła w ostatnich dniach września. Mogłem obserwować ze szpitalnego okna, jak jednego dnia zniknęło z ulic regularne wojsko, a pojawiły się milicje robotnicze. W typowo niemiecki porządek wdarł się chaos, potęgowany przez tłumy koczujących uchodźców z Polski, a sytuacja rannych gwałtownie się pogorszyła. Nagle przestało funkcjonować zaopatrzenie. Po kilku dniach w szpitalu zjawili się funkcjonariusze bolszewickiej Czeki w celu dokonania lustracji wśród Polaków. Dzięki Bogu, czułem się już znacznie lepiej i mogłem chodzić. Nie na tyle jednak dobrze, by próbować ucieczki.

Nie wiem, skąd wzięło się tyle przenikliwości u młodej pielęgniarki. Truda jeszcze poprzedniego wieczoru wcisnęła mi dokumenty niejakiego Jurka Wolaka, który zmarł przed paru godzinami. Widząc, ku czemu zmierza sytuacja, bo miejscowe gazety zdążyły jeszcze przekazać wieści z Warszawy, sugerowała, abym nie podawał ani swojego nazwiska, ani statusu społecznego. Zapisałam wśród zmarłych twoje nazwisko – powiedziała mi do ucha. Przygarnąłem ją i pocałowałem.

– Nie tutaj, pobudzisz chorych – szepnęła.

No więc kochaliśmy się w maleńkiej, smrodliwej ubikacji na końcu korytarza. Coś się jej należało za pomoc.

Już następnego dnia mogłem błogosławić jej przezorność.

Przesłuchujący mnie czekista, inteligentny Izraelita nazwiskiem Henryk Jagoda, obejrzał papiery stwierdzające, że jestem szeregowcem, robotnikiem folwarcznym spod Tarnopola.

– Ukrainiec, znaczy się! – skomentował, a widząc, że nie zaprzeczam, dorzucił – Pokażcie ręce.

Uniosłem moje kończyny i zacząłem odwijać bandaż, ujawniając oparzenia.

– Zostawcie, towarzyszu! – mruknął po chwili, a potem dodał po polsku, lekko żydłaczając. – Wyglądaliście mi jak inteligent. Ale może wasza matka puściła się z dziedzicem. – Tu zaśmiał się ze swojego konceptu i poszedł dalej. A ja ocalałem. Jako Jerzy Wolak. Inni, którzy meldowali się zgodnie z prawdą, podając swoje stopnie oficerskie lub podoficerskie, jeszcze tego samego dnia, niezależnie od stanu zdrowia, zostali wywiezieni w nieznanym kierunku.

### III

#### Różne dziwne incydenty

– Telefon do ciebie! – do pokoju znienacka zajrzała Anastazja. Zaczytany, nie słyszałem nawet, kiedy wróciła z miasta. Jednak nie było w tym nic dziwnego. Anastazja ma sporo cech ducha. W dodatku ducha zaprawionego do życia w socjalistycznej rzeczywistości! Do jej cech należy fantastyczna umiejętność wtapiania się w tło, niepostrzeżone wklejanie się w kolejkę, choć gdy jest już w tej kolejce, staje się widoczna, twarda jak beton i nieusuwalna nawet przy użyciu sprzętu ciężkiego. Nie koniec na tym. Nastka opanowała do perfekcji kontrolę nad swymi zmysłami, potrafi być ślepa i głucha, nie reagować na najgłośniejsze nawet polecenia Mamy, jeśli nie są po jej myśli, ale z drugiej strony słyszeć doskonale, jak chrobocą myszy w piwnicy doktorowej Wrońskiej.

– Telefon do ciebie! – powtórzyła moja piastunka. Niechętnie podszedłem do aparatu. Krzyk Nadii, doskonale słyszalny, mimo kiepskiej jakości ulicznego automatu, był w stanie obudzić umarłego, nawet gdyby spoczywał w Alei Zasłużonych.

– Gdzie ty jesteś?!

– W domu – odparłem prostodusznie.

– W domu? Przecież umówiliśmy się w kinie...

– Właśnie się wybierałem...

– Teraz, z twojego Marysina?! Nie wiedziałam, że dysponujesz helikopterem! Seans zaczął się kwadrans temu, a ja zostałam z dwoma biletami w ręku!

Chciałem coś powiedzieć, że zasnąłem i że... ale piękna towarzyszka Finger cisnęła słuchawkę. Popatrzyłem na zegar. Faktycznie minęła ósma. Tak się zaczytać!... Naraz ogarnęła mnie złość. Cholerny manuskrypt! Brednia na bredni, a mimo to nie mogłem się oderwać.

Tymczasem Anastazja ciągle stała w drzwiach, drobna i tak bezbarwna, że ledwie widoczna na tle szarości wypełniającej przedpokój.

– Było mi powiedzieć, obudziłabym... – powiedziała śpiwnie, widząc, że na nią spojrzalem.

– Nie ma problemu! – usiłowałem bagatelizować sprawę. Odwróciła się, ale nim całkowicie zniknęła, powstrzymałem ją pytaniem.

– Nastiu? Mogłabyś powiedzieć, jak umarł mój Dziadek? Zamarła i skurczyła się jeszcze bardziej.

– Powinieneś porozmawiać z Babcią, ja wtedy... Mnie wtedy jeszcze nie było w Warszawie.

– Ale wiesz przecież. Na pewno Babcia nie raz ci opowiadała. Ma taki gawędziarski talent.

– Zginął podczas działań wojennych – odparła sucho. Znałem tę formułę. I zawsze mi wystarczała. Do dziś.

– Chciałbym wiedzieć konkretnie, jak zginął, w walce z ran, na hiszpankę czy może... z innego powodu? – powiedziałem z naciskiem.

– To proszę porozmawiać z babcią. Ja nie wiem. Ja nic nie wiem – i nie czekając na dalsze pytania, zamknęła drzwi.

Po wylewie Babcia miewała lepsze i gorsze dni. Czasem myliła mnie z wujkiem Kazimierzem, czasem ze swoim własnym ojcem. Tego wieczora wydawała się nawet dość przytomna, na kołdrze leżało jej ulubione pudełko po czekoladkach, w którym przechowywała stare fotografie. Na paru z nich był Dziadek. Z sumiastymi wąsami, w mundurze carskiego podoficera...

Pogłaskałem ją po bezwładnej ręce. Uśmiechnęła się, tak jakby nie widziała mnie bardzo dawno.

– Aleś ty wyrósł i zmężniał Marcinku!

Podniosłem najlepszą z fotografii Dziadka. Pochodziła z czasów, gdy odbywał służbę hen daleko, w Azji Środkowej. Zdjęcie, jak na owe czasy, miało doskonałą głębię. Widać było nawet ośnieżony Pamir.

– To Dziadek, prawda?

– Tak, mój Tadzio. Jaki to był piękny mężczyzna, a jaki rycerski. Mówiłam ci jak się poznaliśmy?

Opowiadała mi tę historię z setką razy, więc znałem ją na pamięć, ale co szkodziło posłuchać jeszcze raz. Jako piętnastolatka chodziła po pniu powalonego przez wiatr drzewa, którego konary oparły się na wysokim, cmentarnym murze. W pewnym momencie straciła równowagę, zachwiała się... Spadłaby jak nic, ale szczęściem przejeżdżał tamtędy mój Dziadek, konno, w mundurze. Złapał w locie... Przytulił.

– I w tej sytuacji nie pozostało mu nic innego, jak prosić mnie o rękę – zakończyła Babcia. – Ślub wzięliśmy w kościółku na Powiślu, a zaraz potem musiał wracać do wojska...

– A jak zginął? – zapytałem.

– Jak zginął? – powtórzyła, chyba ciągle znajdując się poza rzeczywistością. – Normalnie. Po zajęciu Warszawy zamordowali go bolszewicy. W lasu brzozowym, strzałem w tył głowy. Zatkąło mnie. Wedle oficjalnej historii, jaką można było przeczytać we wszystkich podręcznikach, encyklopediach, a także artykułach rocznicowych i przemówieniach z okazji Dnia Wyzwolenia – nic takiego nie miało prawa się wydarzyć. W roku 1920 burżuazyjno-obszarnicza Polska, rządzona przez dyktatora Piłsudskiego, który zimą 1918 roku bestialsko zdławił zawiązki władzy ludowej, dokonała agresji na miłującą pokój Rosję radziecką – głosiła wersja, którą znałem od najmłodszych lat. W następstwie kontrofensywy Tuchaczewskiego i Budionnego bandy białych najemników poniosły sromotną klęskę. W całym kraju spontanicznie odrodziły się rady robotnicze i żołnierskie,

a proletariat przejął władzę w swoje ręce. Udzielając pomocy polskim rewolucjonistom Armię Czerwoną wszędzie witano jak wyzwoliciela. Z kwiatami, chlebem i solą, bywało, że z orkiestrą! (jest taki film „Jesień ludów” Aleksandra Forda, stylizowany na dokument). Nie było mowy o żadnym gwałcie i terrorze. Obszarnicy, przemysłowcy i biskupi sami uciekli (nikt nigdy nie wspominał o zamordowanych arcybiskupach Rakowskim i Dalborze, o spalonych kościołach, zdewastowanych klasztorach). Józef Piłsudski zginął z ręki polskiego patrioty (nigdzie wcześniej nie znalazłem nazwiska tego gieroja). Bezzwłocznie z woli narodu objął władzę Tymczasowy Rząd Koalicyjny z Kohnem, Marchlewskim i Dzierżyńskim na czele, w którym znalazły się, jak informował podręcznik, liczne polskie autorytety, takie jak Ignacy Daszyński i Wincenty Witos. Zorganizowano „prawdziwie wolne wybory, bez nacisków reakcji i kleru”, które w styczniu 1921 roku wygrał Sojusz Ludowy utworzony przez KPP i odnowiony PPS, rozpoczynając niepodzielne panowanie, trwające do dziś. Kiedyś, z prostej ciekawości usiłowałem się dowiedzieć czegoś o dalszych losach Witosa i Daszyńskiego czy Romana Dmowskiego, którzy mieli jakoby poprzeć nową władzę, choć nigdy nie pisano, w jakich okolicznościach. Nawet zastanawiałem się kiedyś, nie mając pojęcia o perswazyjnych metodach Czeki, czy ich działaniami nie kierowały pragmatyzm lub naiwność. Zresztą wzmianki w podręcznikach ograniczały się do tego pierwszego okresu, potem nie sposób było znaleźć o nich ani słowa, nie mieli również swoich biogramów w Wielkiej Encyklopedii i nie sposób było odnaleźć nawet dat ich śmierci. Mój profesor od historii, którego o to zapytałem w szkole, rzucił lakonicznie, że nie sprawdzili się na kolejnych etapach przemian i zaproponował, żebym wybierał sobie ciekawsze tematy swoich zainteresowań.

Cicho zamknąłem drzwi od pokoju Babci i wróciłem do siebie.

Nastia poderwała się znad manuskryptu.

– Spal to koniecznie! – powiedziała cicho.

– Nie mam zamiaru. Chcę poznać prawdę.



Popatrzyła na mnie, jakby zobaczyła ducha.

– Prawda zabija... – szepnęła.

– Zaryzykuję!

Coś dziwnego zapaliło się w jej oczach, ni lęk, ni podziw... Jednak do czytania już się nie zabrałem. Najpierw wróciła do domu Mama. Jak zwykle świeża i pachnąca, kipiąca najświeższymi ploteczkami ze sfer artystycznych, które przy kolacji wyrzucała z siebie w formie monologu. Dziś mówiła głównie o młodym, ale już znakomitym reżyserze Romku Polańskim, autorze głośnego „Sztyletu w ogniu”, który w swojej najnowszej produkcji „Wampiry nadchodzą” zatrudnił nieletnie statystki do scen mocno rozbieranych. Wybuchł skandal, ale, jak się okazało, wszystkie artystki miały dowody osobiste stwierdzające pełnoletniość. Dziś wiem, że gdyby trzeba było, dostałyby nawet papiery stwierdzające zmianę płci. Inna sprawa, że choć o podobnych incydentach wiedziała cała Warszawa, próżno byłoby szukać o nich wzmianki w gazetach. Kiedy kolacja dobiegła końca, charakterystyczny dzwonek do drzwi ostrzegł mnie, że przybyła Nadia. Szybko ukryłem manuskrypt pod poduszką i wyszedłem na jej przywitanie.

– Jesteś sam? – rzuciła od progu.

– Oczywiście, a z kim niby miałbym być?

Weszła do mojego pokoju, rozglądając się czujnie. Czułem, że ma ogromną ochotę zajrzeć do szafy. Sam jej ułatwiłem zadanie, otwierając drzwi szeroko. Niby tylko po to, żeby zamienić marynarkę na sweter.

– Już myślałam, że masz inną – powiedziała, zarzucając mi ręce na szyję. – Co cię tak zatrzymało?

Rozpaczliwie szukałem jakiegoś wykrętu, na szczęście prawie natychmiast zajrzała Mama.

– Witaj, Nadiu – powiedziała dość oficjalnie. – Czy to trochę nie za późno na wizyty? Jak później wrócisz do miasta?

– Wezmę taksówkę.

Normalnie przy takich okazjach obie panie padały sobie w objęcia, dziś wyczułem w zachowaniu mojej Mamy znaczną

powściągliwość. O co chodziło? Kilka razy Nadia nocowała u mnie i wówczas Anastazja „dla przyzwoitości” rozkładała dla mnie starą połówkę, choć nikt nie sprawdzał, gdzie i jak spędzamy noc. Teraz taka propozycja się nie pojawiła.

Nadia, całkowicie pomijając kwestię kina, zagadnęła mnie o podręcznik do „Ekonomii politycznej”, tak jakbym nie mógł przynieść go nazajutrz, pytała też, czy już zacząłem się przygotowywać do egzaminu „Ruch robotniczy w krajach świata zachodniego”, ponieważ ona zamierza zdawać w terminie zerowym. – Nie zacząłem – odparłem szczerze.

Rozmowa, wzbogacona kwadransiem umiarkowanych pieszczot trudno kochać się, mając za ścianą trzy kobiety i inkryminowany manuskrypt pod poduszką – sprawiała wrażenia zastępczej, tak jakby dziewczyna poruszała wszystkie tematy z wyjątkiem najistotniejszego. Zresztą i ja zachowywałem się bardzo podobnie. Powinienem powiedzieć jej o posłańcu, samorodku, pamiętniku Ojca... Ale nie powiedziałem.

Idąc na przystanek nocnego tramwaju, Nadia przytuliła się do mnie. Wyglądała na osobę zagubioną, więcej – przestraszoną. Choć nie powiedziała o tym ani słowa. Takiej jej dotąd nie znałem. Obok urody, jej pewność siebie w każdej sytuacji imponowała mi najbardziej. Zresztą trudno nie być pewnym siebie, mając ojca wiceministra kultury i matkę naczelną „Kobiety Polskiej”.

– Bardzo cię kocham! – powiedziała, odrywając swoje wargi od moich i wchodząc na stopień tramwaju. – Naprawdę, możesz mi wierzyć, podobno nikt nie kocha na świecie tak, jak Żydówki.

Tramwaj zadzwonił i odjechał w noc, pozostawiając mnie osłupiałego na pustym przystanku. Nigdy dotąd panna Finger nie powiedziała nic na temat swojej nacji. Być może wiedziała już o drukowanym tej no artykule w organie naszej partii noszącym nazwę „Proletaryat”. Był przekład wystąpienia drugiego sekretarza WKP(b) Georgija Maleńkowa zatytułowany „Powstrzymać syjonizm”.

\*

Niezwykły dzień powinien mieć dramatyczne zakończenie. I miał. Wracając z przystanku, byłem tak zatopiony w swoich myślach, że omal nie wpadłem na dwóch facetów, którzy zastąpili mi drogę.

– Kopsnij szluga, koleś! – zagaił ten wyższy, wyraźnie zdradzający sporą ilość wypitego alkoholu.

– Niestety nie palę – odparłem.

– Nie szkodzi, może być w gotówce – mruknął niższy, którego twarz wydała mi się skądś znajoma.

Wysupłałem 3 eury, marząc, żeby incydent skończył się jak najszybciej. Jak każdy jedynak, wychowany przez kobiety, odczuwałem piekielny strach przed elementami z ulicy, których jakoś nie udało się zlikwidować w procesie socjalistycznego budownictwa. Jednak ten drobny haracz ich nie zadowolił, zażądali mojego zegarka. Zaprotestowałem nieśmiało. Niemiecka cebula była prezentem od mamy, otrzymanym po maturze. Chyba się obrazili.

– A może dasz nam to? – młodszy wskazał wpiętą w klapę oznakę młodego komunisty, nazywaną pieszczotliwie „Dzieciątko Feluś”, i zerwał ją szarpnięciem, warcząc:

– Ty dzierzyniaku!

Jeszcze jeden znawca poezji zaangażowanej? Naraz zdałem sobie sprawę, że są zdecydowanie mniej pijani, niż pierwotnie sądziłem i, być może, czekali specjalnie na mnie. Przerazenie ścisnęło mnie za serce. Próbowałem rzucić się do ucieczki. Przewidzieli ten manewr. Jeden przyładował mi w zęby, drugi zręcznie podciął nogi. Klęli przy tym okropnie, nazywając mnie, dziś myślę, że zupełnie słusznie, komunistycznym pomiotłem. Kiedy ich buciory kopały mnie gdzie popadnie, skuliłem się w pozycji płodowej, instynktownie chroniąc głowę. Myślę, że zabić mnie nie chcieli, ale nauczkę planowali dać dobrą. Przed poważniejszymi obrażeniami ocalił mnie jakiś wolno jadący samochód. Zniknęli jak cienie, zapominając nawet o moim zegarku. Wybawcą okazał się nasz sąsiad, doktor Wroński, pracownik kliniki rządowej.

Szczupły, ascetyczny, w okularach o wąskiej, złocistej oprawie. Nie tylko zawiózł mnie do domu, lecz także zbadał. Na szczęście, potłuczenia, choć bolesne, były dosyć powierzchowne. Zalecił jednak, abym na wszelki wypadek pozostał w domu ze względu na możliwość wstrząsu mózgu. Wezwał też milicję.

Funkcjonariusze zjawili się po kwadransie. Przez ten czas musiałem przyjąć posłusznie uzalania się wszystkich trzech kobiet nad moją osobą oraz wysłuchać pouczeń, żeby nie szwendać się po ciemku. Milicjanci wysłuchali moich zeznań, zapewne obecność takich prominentów, jak doktor Wroński i moja Mama, podziałała stymulująco na ich ochotę do pracy. Powiedzieli, że dołożą wszelkich starań, by sprawcy napadu zostali złapani, ukarani i przestali sprawiać kłopoty mieszkańcom Wawra, Gocławka i Anina.

Nie wiem dlaczego, ale nie powiedziałem o wyzwiskach ani o zerwanej odznace młodego komunisty. Podniosłem ją zresztą z ziemi i wpiąłem ponownie w marynarkę. Marzyłem wyłącznie o śnie. Byłem zmęczony, obolały, więc mimo wielkich chęci już nie zajrzałem do manuskryptu. Anastazja zrobiła mi jakiś cudowne okłady z nieznanym mi specyfików, po których następnego dnia nie odczuwałem żadnego bólu, choć rzecz jasna, pozostały ogromne sińce.

Mój sen tej nocy był wyjątkowo nieprawomyślny. Przyśnił mi się krajobraz po bitwie. Realistyczny w każdym szczególe.

W porannej mgle zobaczyłem pole, niedawno skoszone rżysko zasłane ciałami, dopalające się resztki chałup, porzuconą broń, taczanki z lufami karabinów maszynowych sterczącymi w niebo. Wszędzie leżały trupy koni i ludzi. Tych było najwięcej – żołnierzy źle obutych, kiepsko umundurowanych, ale dobrze uzbrojonych. Nie byli to nasi żołnierze. PerKate nosy, wystające kości policzkowe, niebieskie, wytrzeszczone oczy, wlepione w niebo bez Boga. Bitwa musiała zakończyć się wieczorem, pojawiło się już sporo drapieżnego ptactwa... I ja tam byłem. Półprzytomny, wylazłem spod zwału trupów. Ja? A może mój ojciec? Mogłem się tylko zastanawiać, w jaki sposób znalazłem

się na tym pobojuwisku... Byłem przypadkowo oswobodzonym jeńcem czy brawurowym harcownikiem, który zapędził się między wrogie szeregi i został ogłuszony wybuchem kartacza... Tymczasem na wprost mnie, z mgły, wyłonił się niewielki oddziałek. Przodem podążał mężczyzna na gniadym koniu, wąsaty, w błękitnym mundurze. Niewiele widziałem rycin przedstawiających Piłsudskiego, jeśli nie liczyć nienawistnych karykatur, ale niewątpliwie to był on. W moim śnie wydawał się całkiem zwyczajny, jechał wolno i oglądał pobojuwisko. Potem zobaczył mnie i podjechał bliżej. Myślałem, że zapyta, kim jestem, zażąda wyjaśnień, każe zaprowadzić mnie na tyły. On tymczasem zwrócił się do mnie, jak do starego przyjaciela. – Popatrz tylko, jak niewiele brakowało, żebyśmy przegrali tę bitwę.

\*

To, że zgodnie z zaleceniem lekarza miałem spędzić w domu sobotę bardzo mi odpowiadało. Nie przepadałem za zaplanowanymi na ten dzień zajęciami z greki, która szła mi opornie, a co do WF-u i szkolenia obronnego, uważałem je za zwyczajną stratę czasu. Zamierzałem być historykiem, badaczem przeszłości, nie sportowcem albo żołnierzem.

Obudziłem się koło dziewiątej. Mamy już w domu nie było, a Babcia miała znów jeden ze swoich słabszych dni. Apatycznie wpatrywała się w sufit. Dobrze, że chociaż pozwoliła Anastazji nakarmić się łyżeczką, a także zaprowadzić do toalety.

Nastia wyraźnie unikała rozmowy ze mną, ja jednak nie dałem za wygraną. Z trzech kobiet w domu właśnie ona poświęcała mi najwięcej czasu, czułem też, że bardzo mnie kocha. Skąd więc dzisiejsze zachowanie?. Chciała mnie chronić, tylko przed czym? Zdybałem ją w kuchni, gdzie wzięła się za zmywanie po śniadaniu.

– Czy coś się stało, Nastiu? – zapytałem.

– Dorastasz – powiedziała po dłuższej pauzie.

- To chyba nieuchronne.
- Niewątpliwie tak. Jednak zawsze chciałam, żebyś był szczęśliwy.
- Nie będę szczęśliwy, jeśli nie dowiem się prawdy o moim Ojcu.
- Odkrycie jednej prawdy nieuchronnie pociąga poszukiwanie następnej. Nie da się zatrzymać upadającego domina.
- Jak na zwyczajną kuchnię, wysławiała się nad wyraz poetycko.
- Chcę jedynie wiedzieć, czy naprawdę zdradzał Mamę?
- On? – nieoczekiwanie zaśmiała się. – Nigdy w życiu nie widziałam lepszego męża, poza moim.

– To ty miałaś męża, Nastiu?

Zobaczyłem, jak zadrżały jej kąciki warg. Ale opanowała się, otarła twarz wierzchem dłoni.

– Kiedyś miałam. W innym życiu, w innym świecie.

– I nigdy mi o tym nie mówiłaś?! O czym jeszcze mi nie opowiedziałaś? O rewolucji i okresie przebudowy? O moim Tacie? Dlaczego?

– Nie chciałam rozbijać kryształowej kuli, w której żyjesz – odparła, patrząc mi prosto w oczy.

– Nie chciałam, żebyś, ze swoją wrażliwością, musiał wybierać między wygodnym kłamstwem a gorzką prawdą. Wiedziałam, że kiedyś przyjdzie dzień, gdy – chcąc nie chcąc – zderzysz się z rzeczywistością, ale pragnąc twojego szczęścia, w co mam nadzieję nie wątpisz, chciałam, żeby zdarzyło się to możliwie jak najpóźniej. Może popełniłam błąd. A teraz wybac, mam bardzo dużo roboty!

Chwyciła kosz ze świeżo wypraną bielizną i pobiegła na strych. Nie goniłem jej. Pragnąłem jak najszybciej skończyć czytać rękopis i dopiero potem zadać szereg trudnych pytań. Jej, Mamie, Babci. Jeżeli żyłem w kokonie, który moi najbliżsi stworzyli rzekomo dla mojego bezpieczeństwa, to nadeszła najwyższa pora, żeby go rozerwać.

Nie mam żadnej pewności, czy moje zapiski trafią do rąk mojego syna, a jeśli nawet, to w jaki sposób je wykorzysta. Jest jednak we mnie wielka potrzeba pisania. Cóż, wśród wielu innych

niespełnień, marzenie o zaistnieniu w literaturze jest dla mnie niespełnieniem najboleśniejším. Czy znów mam winić przypadek, który osobnika takiego jak ja, nawet przy całej skromności wyznać muszę, nieprzeciętnego, skazał na wegetację? Czy raczej wypada zrzucić całą odpowiedzialność na Panią Historię czy raczej Towarzystkę Klio?

IV

Pamiętnik Ojca (2)

Ze szpitala wyszedłem o własnych siłach, lekko wspierając się na Trudzie, która zaproponowała, abym zamieszkał u niej przez kilka dni.

– Tak będzie bezpieczniej dla nas obojga – twierdziła.

Nie zapomniano jednak o mnie, gdzieś po tygodniu wezwano mnie na komisję wojskową, a uznawszy za czasowo niezdolnego do służby, skierowano, zgodnie z kwalifikacjami robotnika folwarcznego, do przejętego przez władzę majątku pruskiego junkra Kniprode. Oznaczało to dla mnie ciężką próbę. Krowy i świnie widziałem dotąd głównie na fotografiach, zboże znałem przeważnie w postaci mąki albo napojów spirytusowych, i tylko poparzone, ciągle niesprawne ręce zabezpieczały mnie przed natychmiastową wyspą. Owszem, przebywałem jakiś czas w majątku Kopciewiczów, ale tam interesowały mnie bardziej młode dziewczyny niż dojrzewająca pszenica. Profilaktycznie zgłosiłem się do pomocy w stajniach. Konia potrafiłem przynajmniej dosiąść i rozkulbaczyć. Szczęściem upodobał mnie sobie miejscowy pererol – jak w komunistycznym slangu nazywano pełnomocnika do spraw reform rolnych. Nie wiedzieliśmy, że podział ziemi obszarniczej między bezrolnych i małorolnych stanowi jedynie etap przejściowy przed zaplanowanym upaństwowieniem. Trzeba było pilniej studiować Lenina. Pererol Aleksy Lichtenberg, w miarę odczytany, miłośnik skrzypiec i muzyki klasycznej, podobno, zanim wciągnął go wir

działań rewolucyjnych, ukończył nawet dwa lata petersburskiego konserwatorium, od dawna szukał kogoś takiego jak ja. Oficjalnie Lichtenberg był jedynie doradcą towarzyszy niemieckich ale, jak się okazało, zaufanych komunistów w zapóźnionych, rolniczych Prusach było bardzo mało. Na dobitkę, kiedy po paru tygodniach pierwotnego zaskoczenia ujawnił się wróg klasowy i zaczął strzelać z za węgla, liczba chętnych do współpracy z nową władzą jeszcze spadła. Gdy więc okazało się, że jestem piśmienny, a w dodatku znam zarówno niemiecki, jak i rosyjski, z podstajennego awansowałem na pisarza w biurze pełnomocnika. Lichtenberg dziwował się, jak wiele umiem, ukończywszy zaledwie parę klas, ale odpowiadałem, że to była bardzo dobra szkoła.

Zbrojny opór kontrrewolucyjny zduszono bardzo prędko.

W Prusach starczyło kilkanaście publicznych egzekucji i wywózka miejscowej elity, aby miejscowi Niemcy, z właściwą temu narodowi systematycznością, ruszyli realizować narzucone im zadania wedle reguł nowego systemu. W Niemczech właściwy opór trwał dłużej, walki były krwawsze, toteż represje objęły społeczeństwo na znacznie większą skalę.

Jak to możliwe? – zadawałem sobie pytanie, czytając „Pruską Prawdę”, czterostronicową szmatę, z której połowę zajmowały partyjne wystąpienia, a resztę mniej lub bardziej prawdziwe wiadomości. Gromada brudnych obdartusów w dziurawych butach, z karabinami na sznurkach, upokorzyła i opanowała pierwsze mocarstwo współczesnej Europy? Czasami wydawało mi się, że śnię i pewnego dnia obudzę się w naszym starym mieszkaniu przy Piotrkowskiej albo w domu pod Tomaszowem, albo w ramionach Irki, w starym, dobrym świetle czarnej kawy i truskawek z bitą śmietaną... Koszmar jednak nie ustępował.

Ale – pocieszałem się – to nie może potrwać długo. Ten mroczny eksperyment, oparty na najpodlejszych cechach ludzkiego charakteru – zawiści, tchórzostwie, instynkcie przetrwania za wszelką cenę, musi zbankrutować! Nie można żyć cały czas, stojąc na głowie, wbrew prawom ekonomii, a co więcej, grawitacji. Myliłem się głęboko. Żyjemy w tej paranoi blisko



pięćdziesiąt lat. Inna sprawa, mniemałem wówczas, że nie trzeba czekać, aż system zawali się sam z siebie. W końcu wmiesza się w to wszystko Ententa – Francja, Anglia, Stany Zjednoczone i nasze wojsko, dowodzone na emigracji przez generałów Hallera i Sikorskiego.

Niewiele dochodziło do nas wiadomości o działaniach Polaków. Na szczęście te, które się pojawiały, były pocieszające – praktycznie całej naszej armii udało się wydrzeć z okrążenia w Wielkopolsce, przebić przez niechętne Czechy, walczyć krótko w Bawarii i przejść do Francji, gdzie Ignacy Paderewski utworzył Rząd na Uchodźstwie. Strumyczkami ściągali do tej armii uciekinierzy z okupowanej Polski, dezercerzy wcieleni przymusowo do Armii Czerwonej, wspomagającej komunistów niemieckich. W tych pierwszych latach opresyjny system nie był całkowicie szczelny, kto chciał uciec i miał dość odwagi – uciekał. I mnie krążyły takie myśli po głowie, jednak z Prus wszędzie było cholernie daleko.

Tymczasem Nowy Rok minął i nic nie zapowiadało powstrzymania biegu wydarzeń. Kolejne rewolucje wybuchały w Czechach, na Węgrzech, na Bałkanach i wszędzie kończyły się sukcesem. Mocarstwa protestowały, ogłosiły nawet wstępną mobilizację, ale nie posłały ani jednego żołnierza jako wsparcia dla prawowitych władz. Próżno w brytyjskim parlamencie Winston Churchill, zwolennik tezy „że komunizm należy zdusić w zarodku”, przestrzegał, że „czerwony reżim pożre cały świat taktyką skrawanego po plasterku salami”. Nie znajdował posłuchu nawet we własnym kraju. Demokratyczne społeczeństwa miały dość wojny, a stanowisko ich przywódców najlepiej oddawała wypowiedź Alexandra Milleranda, socjalistycznego premiera Francji: „Bolszewizm w Niemczech daje gwarancję, że ten kraj nie będzie nam w stanie zagrozić przez następne stulecie”. Początkowo wyglądało na to, że mogą mieć rację. Lenin powstrzymał Tuchaczewskiego przed dalszym marszem, a i Trocki przestał wygłaszać frazesy o ogólnoświatowej rewolucji. W Polsce zdruzgotanej przez Armię Czerwoną, wykrwawionej

egzekucjami i wywózkami władza krzepła z każdym miesiącem. Pół roku wystarczyło, aby zniknęli ostatni dekoracyjni przedstawiciele legalnych władz (Daszyński, Witos czy Dmowski, którzy krótko figurowali jako członkowie rządu, pozostając faktycznie w aresztach domowych). Demonstracje uliczne zdarzały się coraz rzadziej, strajki kończyły się masowymi represjami, a partyzantka w lasach nie stanowiła większego zagrożenia dla reżimu, tym bardziej że braki w zaopatrzeniu, system kartkowy, przepisy meldunkowe i dziesiątki drobnych utrudnień w życiu codziennym, pomagały utrzymać społeczeństwo w ryzach. Najważniejszym jednak instrumentem kontroli okazała się cenzura i likwidacja niezależnych gazet. Na korzyść polskich komunistów działało również to, że Dzierżyński odbiegał wyraźnie od innych bezbarwnych acz bezwzględnych przywódców bolszewickich satrapii. Na de całkowicie podległych centrali Węgier Beli Kuna czy Czech Klementa Gottwalda „Krwawy Felek”, jak go nazywano, prezentował się nieomal jak polski patriota. Nie puszczając z rąk kierownictwa Czeki, wykroił sobie z Polski osobiste dominium. Co ważniejsze, spierając się dziko ze Stalinem, który 1 sierpnia utworzył w Tarnopolu Halicki Komitet Rewolucyjny (Galrewkom), wcielił okręg lwowski do Polskiej Republiki Socjalistycznej, a w trakcie kampanii przeciwko burżuazyjnej Litwie odbił Wilno i Suwalszczyznę, a niewiele brakowało, by uległ rzuconemu podówczaś hasłu: „marsz na Kowno”. Podejmując te działania, tłumaczył Leninowi, że „Ukraina aż po Zamość mogłaby stać się za silna”. Z równym animuszem zdławił proniemiecką ruchawkę na Śląsku i, co ciekawe, wcielił do swej domeny również Gdańsk. I choć jeszcze niedawno obowiązywało hasło KPP: „polskie ręce precz od Górnego Śląska”, po zajęciu dawnej Rzeszy pojawiły się w Moskwie obawy, że komunistyczne Niemcy mogą kiedyś stać się konkurentem dla rosyjskich bolszewików. Stąd nie było nawet dyskusji o Wielkopolsce czy Pomorzu, których domagali się towarzysze z Berlina.

– Czy ty nigdy nie potrafisz odmawiać Feliksowi

Edmundowiczowi – narzekał Stalin na posiedzeniu Politbiura – zobaczysz towarzyszu Włodzimierzu, że Polacy staną się zakałą światowej rewolucji!

Ale Dzierżyński miał zbyt silne wsparcie Trockiego i Tuchaczewskiego, żeby się tym przejmować. Mówiono też, że w represjach oszczędza najwartościowszych – tak uchronili głowy i Sieroszewski, i Kaden-Bandrowski, i Żeromski, i Reymont, a nawet słynny autor „Carobójców” Wacław Gąsiorowski (który, ścigany na osobisty rozkaz Lenina, na fałszywych papierach uszedł do Szwecji). Choć zlikwidował klasztory i walczył z klerem, to jednak chronił pamiątki przeszłości. Dzięki temu ocalała częstochowska Jasna Góra, Wawel i wiele innych zabytków.

W plotkach szeptanych na temat towarzysza Feliksa pojawił się jeszcze jeden element, przysparzający mu swoistej popularności – mówiono, że nie przepadał za Żydami. Być może była to jedynie celowo kreowana legenda, jako że sowieckie kierownictwo zdominowane było przez tę nację i tak prominentne postacie, jak Trocki, Kamieniew, Zinowiew, Radek, podczas gdy frakcja wielkoruska mogła liczyć jedynie na Stalina, Kalinina i Tuchaczewskiego. Sam Lenin, jak zwykle, zajmował postawę centrową, choć nie przeszkadzano w emigracji Żydów do Palestyny, zwłaszcza tych ortodoksyjnych, których nie udawało się przerobić na ateistów.

\*

Prusy Wschodnie tej zimy były chłodne, głodne i przerażone. Przydziały kartkowe okazały się niewystarczające. Na szczęście zapobiegliwa Truda zawsze znajdowała sposób, aby poprawić moją dietę. Na przekór wszystkim represjom kwitł także czarny rynek i handel wymienny. Jedyłą walutą, którą dysponowałem w tym barterze, była odrobina męskości, ale najwyraźniej to mojej energicznej Prusaczce wystarczało. Mimo przeniesienia do Olsztyna spotykałem się z nią nadal, choć wyznam, że powaby jej

ciała nigdy przesadnie mnie nie pociągały.

W tej przerażającej pomroce pojawił się jeden jasny punkt – nawiązałem kontakt z rodziną. Udało się to znowu dzięki Trudzie. Wykorzystując jej adres, napisałem do rodziców. Ponieważ zdawałem sobie sprawę z wszechobecności cenzury, zachowałem wszelkie procedury bezpieczeństwa. Na początek napisałem lakoniczną odkrywkę: „Z najlepszymi życzeniami noworocznymi pozdrawia Wasza Gertruda”. Najważniejsze było PS „Romek czuje się dobrze”. Posłużyłem się tu moim drugim imieniem, mając nadzieję, że rodzice zrozumieją sens informacji. Zresztą byłem pewien, że na pierwszy rzut oka rozpoznali mój staranny, nieco pochyły charakter pisma.

Pocztówkę, a właściwie dwie identyczne pocztówki, wysłałem na adres w Tomaszowie Lubelskim oraz do Łodzi, do państwa Brzozowskich. Pierwsza przepadła, ale druga dotarła na miejsce, bo już w lutym dostałem kartkę z odpowiedzią.

„Kochana Trudo! Za życzenia dziękujemy. Bardzo się cieszymy z wiadomości. U nas w porządku, przeprowadziliśmy się na Bałuty, Funio zasmakował w ślimakach, a mały w drwalstwie, ale już napisał. Wszystkiego najlepszego. Stanisława i Franciszek”. Parę słów, a ile informacji. Miałem bezpośredni łódzki adres, dowiedziałem się że Stefan znalazł się we Francji, zapewne z naszym wojskiem, a Zbyszek wprawdzie został wywieziony i karczuje tajgę, jednak przynajmniej żyje.

Zresztą w połowie marca dostałem już prawdziwy list, wysłany z Królewca, w firmowej kopercie Poczty Wolnych Niemiec, co dowodziło sporej przezorności moich starszuchów i pozwoliło uniknąć cenzury.

„Kochany synku! – pisała moja mama – nie masz pojęcia, jak się cieszymy, że żyjesz. Od sierpnia ojciec był w strasznej rozpacz, a ja, choć wierzyłam, że żyjesz, modliłam się i czekałam na choćby najmniejszy znak od ciebie. Nie było cię na listach poległych, więc ciągle miałam nadzieję. »Oni« też nie wierzyli w twoją śmierć, dwa razy byli i pytali. Wiem, że interesowano się wszystkimi kolegami z twojej klasy. Jóźwickiego złapali. Reszty

nie. Stefan, jak zapewne się domyśliłeś, przedostał się do Francji z armią polską i kończy tam kurs oficerski. Był lekko ranny w wielkiej bitwie o Stuttgart, ale podobno nic mu nie jest. Zbyszek jeszcze jesienią wdał się w jakąś szkolną konspirację. Więc go zaraz aresztowali i wywieźli. Jest gdzieś koło Irkucka. Píše rzadko, ale pisze. Płaczę nocami, myśląc o tym chudzinie w ciemnym, zimnym borze. Z Tomaszowa uciekliśmy w ostatniej chwili. Było strasznie. Dworu Kopciewiczów, u których spędzałeś wakacje, już nie ma. Spłonął! Wuję Feliksa powiesili, a Helenkę wielokrotnie zgwałcono. Tego samego dnia popełniła samobójstwo. Świeć Panie nad jej duszą. O losie dziewcząt żadnego pojęcia nie mam...”

Przed oczami stanęła mi wiotka, wiośniana, pełna nieśmiałego wdzięku Janka, i poczułem dojmujący ból. Chyba to on zagłuszył dalszą część listu, z którego nic więcej nie pamiętam.

Tymczasem któregoś dnia wezwał mnie Lichtenberg i, cytując leninowskie hasło: „Kadry decydują o wszystkim”, zapytał, czy nie myślałem o podwyższeniu swojego wykształcenia.

Obawiam się, że w moim wieku na naukę jest trochę za późno – odparłem kokieteryjnie.

– A ile ty masz lat, człowieku? – wykrzyknął pererol – dwadzieścia!? Toż to cały świat przed tobą. Cały świat! – powtórzył z naciskiem, niczym Trocki, kiedy mówił o żagwi światowej rewolucji.

No więc poszedłem do szkoły. Lichtenberg załatwił mi wielokrotną przepustkę umożliwiającą podróżowanie, tak że mogłem przenieść się do Torunia. Wybrałem miasto Kopernika, bo tam było najbliżej, a poza tym do Warszawy jechać nie chciałem, bojąc się, że ktoś mnie może rozpoznać. Chociaż ryzyko nie było wielkie, bo bardzo się zmieniłem.

Zapuściłem rewolucyjną bródkę i zacząłem nosić okulary, choć wzrok mój ich szczególnie nie wymagał. Minus jeden – to żadna wada.

Szkoła Wyrównawcza nr 7, do której uczęszczał aktyw robotniczo-chłopski, była najbardziej zdumiewającym fenomenem

edukacyjnym, jaki zdarzyło mi się poznać. Spotykały się w niej niedorostki, których koleje wojny i rewolucji wyrzuciły z normalnego toku nauki, i starzy działacze, samoucy bez papierów, ale z głową pełną jak encyklopedia, i partyjne głąby, którym brak papierka przeszkadzał w dalszej karierze. Co do mnie, jedynym kłopotem było maskowanie mojej prawdziwej wiedzy i niewybijanie się ponad przeciętność. Robiłem więc celowo błędy ortograficzne i popełniałem proste „aszybki” rachunkowe, doprowadzając tym do rozpaczy moich nauczycieli, wystawiających mi opinie w rodzaju – „słuchacz dobry, ale nierówny”, albo „leniwy, choć zdolny”.

Mimo to w pół roku „uzupełniłem braki” ze szkoły elementarnej i poszedłem do gimnazjum. Przez cały czas mieszkalem w bursie, jeździłem co jakiś czas do stęsknionej Trudy, wyznam jednak, że coraz rzadziej. W końcu doszło do rozstania, co przyszło tym łatwiej, że w jej życiu pojawił się inny mężczyzna, a ja nie miałem do niej o to pretensji.

Pod koniec sierpnia, kiedy broda wyrosła mi już na tyle, że sam bym siebie nie poznał, pojechałem do Łodzi. W rocznicę zwycięstwa pod Warszawą Dzierżyński zniósł obowiązujący dotąd stan wojny i znikła większość ograniczeń komunikacyjnych. W odróżnieniu od Rosji, wewnątrz Polskiej Socjalistycznej Republiki można było poruszać się bez przepustek, choć naturalnie obowiązywały rygory meldunkowe, a każdy patrol mógł zapytać obywatela o cel podróży. W kasie kolejowej, kupując bilet, też lepiej było mieć jakąś urzędową podkładkę. Ja zaopatrzyłem się w pismo ze szkoły o treści „zgoda na wizytę rodzinną”. Jako Wolak miałem wymyśloną legendę, udawałem się pod Lwów do krewnych. A te przez Łódź? Z Torunia to najkrótsza droga! I tak po roku znowu stanąłem na Piotrkowskiej.

Najbardziej zaskoczyło mnie, jak niewiele się zmieniło. Chwilę trzeba było postać, żeby zobaczyć zmiany. Oczywiście nie dotyczyły one murów. Ulica stała się trochę bardziej pusta, brakowało mnóstwa szyldów knajpek, sklepików, kantorków. Ale, dzięki Bogu, nie powróciły te sprzed wojny, pisane cyrylicą.

Nasza bolszewia zachowała przynajmniej alfabet łaciński. Kręciło się też zdecydowanie mniej ludzi. Zniknęło mnóstwo barwnych typów: przekupniów, posłańców, żebraków, a przede wszystkim Żydów. Jeśli nadal byli, nie odróżniali się od reszty. Przepadli gdzieś pejsaci chałaciarze, ortodoksi noszący tałesy i patriarchalne brody. Dla równowagi trzeba przyznać, że nie sposób było wypatrzyć księdza lub zakonnice. Niewątpliwie przyczynił się do tego dekret o świeckości państwa, zakazujący noszenia strojów duchownych poza miejscami kultu. Zresztą liczba „miejsc kultu” stopniała również jak śnieg na wiosnę. O drugim, bardziej prozaicznym powodzie spadku liczby przedstawicieli tej mniejszości narodowej, dowiedziałem się od ojca.

Polska przestała być jedyną Ziemią Obiecaną – powiedział. – Dla rzutkich internacjonalistów otworzyły się Niemcy. Tam do rewolucji mniejszość żydowska nie przekraczała paru procent, a ile jest posad do objęcia przez kandydatów na komisarzy, politruków, czekistów...?

Trudno było nie zgodzić się z jego opinią, choć wyrazisty antysemityzm ojca raził mnie już jako wyrostka.

– Naród wybrany – mówił dalej mój ojciec – znalazł nową religię. Nazywa się ona marksizm-leninizm i potrzebuje mnóstwa kapłanów. Jest uniwersalna, internacjonalistyczna i świetnie pasuje do talmudycznych umysłów. A komu nie odpowiada, temu pozostaje syjonizm. Wiesz, ilu znajduje się chętnych do powrotu do Palestyny...?

Spotkanie z rodzicami przeprowadziłem według ścisłych zasad konspiracji. Pojechałem tramwajem na Bałuty. Tam dałem jakiemuś dzieciakowi kartkę i parę moniaków, z prośbą o zanieśenie na wskazany adres. Tekst brzmiał lakonicznie: „Górka Gołębiarzy. Romek”.

Ojciec nie miał trudności z odszukaniem tego niewielkiego wzniesienia, położonego właściwie już na granicy miasta, na którym z braćmi puszczałem latawce, a całkiem do niedawna stało tam parę gołębników, z których jakiś namiętny hodowca

wypuszczał ptaki w niebo, śledząc z satysfakcją swoją powietrzną flotyllę. Obecnie gołębniki świeciły pustkami. Gołębie, które przetrwały nawet głodowe lata wielkiej wojny, gdzieś się zawieruszyły. Odleciały do ciepłych krajów? Czy też pożarli je komuniści?

Wdrapałem się na najwyższy z baraków i śledziłem ścieżkę prowadzącą do tramwaju. Wkrótce zobaczyłem moich staruszków i odetchnąłem z ulgą, upewniwszy się, że nikt za nimi nie idzie. Były uściski, radość i łzy. Mama uważała, że powinienem uciekać na Zachód, choć niekoniecznie po to, żeby wstępować tam do naszego wojska:

– Dość się już nawalczyłeś.

Ojciec był bardziej sceptyczny w kwestii moich europejskich marzeń.

– Jeśli uciekać, to do Ameryki. Zobaczysz, ta zaraza rozprzestrzeni się aż do Atlantyku – jego słowa miały się okazać prorocze.

Mimo próśb matki nie chciałem iść z nimi do domu. Byłoby to narażanie siebie i ich w imię sentymentów. Obiecałem, że znów się pojawię, kiedy się trochę uspokoi, a co do wyjazdu za granicę – spróbuję...

Więcej już nie zobaczyłem mojego rodziciela. Umarł kilka lat później, w nadzwyczajnie banalny sposób, który dziś, w dobie antybiotyków, trudno sobie wyobrazić. Skaleczył się zardzewiałym drutem kolczastym, podając chleb internowanym Francuzom, w obozie przejściowym w Radogoszczy. Gangrena, brak miejsc w szpitalu... Ale o dalszych losach rodziny jeszcze napiszę.

Rozmawiając z ojcem o europejskiej rewolucji, myślałem w kategoriach dziesięcioleci. Naiwnie sądziłem, że strawienie Rzeszy zabierze im parę lat, dając reszcie Europy czas na przygotowanie się do odparcia ewentualnego zagrożenia.

Tymczasem zdarzenia potoczyły się szybciej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Wydawało się, że niepewna sytuacja w Rosji – Lenin był coraz bardziej chory, praktycznie nigdy nie



wydobrzał po zamachu Fani Kapłan, walka między Stalinem a Trockim zaostrzała się dramatycznie – sprawi, że bolszewickie imperium nie będzie skłonne do dalszej ekspansji.

Myliłem się. Zresztą Sowiety zostały niejako zaproszone do eksportu rewolucji. Najśłabszym ogniwem kapitalistycznego świata okazały się Włochy. W październiku 1922 roku, w obliczu zapowiedzianego przez socjalistów strajku generalnego, Benito Mussolini, przywódca rosnącej w siłę partii faszystowskiej, zrzeszającej głównie kombatantów ostatniej wojny, groteskowy łysoł o wysuniętej szczęce małpoluda, zagroził marszem „czarnych koszul” na Rzym. Dwudziestego ósmego października dobrze zorganizowane bojówki faszystowskie opanowały Pizę i Cremonę. Król Wiktor Emanuel III, przerażony perspektywą rozlewu krwi, wysłał do Mediolanu telegram zapraszający Mussoliniego do rozmowy. Zabrzmiało to nieomal jak powołanie na premiera rządu. Zapewne by do tego doszło, jednak agentura moskiewska wyczuła w tym momencie swoją szansę. W Turynie i Neapolu wybuchły gwałtowne zamieszki sprowokowane przez skrajną lewicę. A przywódca faszystów nigdy do Rzymu nie dojechał. Do historii przeszła rozmowa Mussoliniego z zawiadowcą stacji w Mediolanie, odprawiającym pociąg specjalny:

– Chcę odjechać punktualnie co do minuty – mówił Benito. – Od dziś musi wszystko funkcjonować jak w zegarku.

– Szwajcarskim czy rosyjskim? – miał ponoć zapytać rezolutny kolejarz.

Nikt nie dowiedział, czy bomba podłożona pod filarami mostu przerzuconego ponad rzeką Arno zbudowana była z komponentów rosyjskich. W każdym razie sprawiła, że w spektakularnej katastrofie, z której zdjęcia dotarły nawet do prasy w Toruniu, zginął jedyny człowiek, który miał szansę zatrzymać postępy komunizmu w Italii. Po śmierci Mussoliniego w całym kraju rozszalała się anarchia. W Mediolanie faszystowski szturm na redakcję socjalistycznego „Avanti” przemienił się w prawdziwą bitwę. Nie wiadomo skąd w rękach robotników pojawiła się broń.

Faszyści zostali odparci, ale nie zamierzali rezygnować. Koła wojskowe i powołany po raz szósty na premiera Giovanni Giolitti wymusili na chwiejnym monarsze delegalizację partii faszystowskiej. Wcale nie poprawiło to sytuacji. Nowy przywódca czarnych koszul, Italo Balbo, nie uznał dekretów królewskich, zaś aresztowanie posłów faszystowskich wywołało rewoltę w całym państwie. Część armii przeszła na stronę Balbo. Rozszerzające się walki objęły również Turyn i Neapol. Kolejna zmiana rządu wyniosła do władzy socjalistę Matteotiego. Ten, widząc praktyczny rozpad Włoch, których mapa zaczęła przypominać średniowieczną Italię walczących ze sobą księstw, popełnił kardynalny błąd, który miał go kosztować władzę i życie. Zgodził się na pomoc sowiecką.

Pierwszego marca 1923 roku Brygada Międzynarodowa imienia Garibaldiego wylądowała się na Sycylii...

\*

Dzieje włoskiej wojny domowej, która trwała cztery lata, znasz niewątpliwie z waszych podręczników, podających najważniejsze fakty, choć okraszone ciężkostrawnym sosem ideologicznym. Oczywiście, wszystko, co jest tam napisane, nie oddaje nawet w jednym procencie prawdy o rozmiarach rozpętanego bestialstwa, o niszczeniu historycznych kościołów, mordowaniu księży, zbiorowym gwałceniu zakonnicy. Właściwie nastawieni ideologicznie autorzy nie wspominają ani słowem szaleństwie wewnątrz obozu władzy, w którym górę wzięli anarchiści i komuniści. Matteotti, jako „zbyt miękki”, został obalony przez rewolucyjnych ekstremistów i rozstrzelany w Weronie.

Opis ostatecznego szturmu na Rzym znam jedynie z wykonywanych domowym sposobem samizdatów, krążących poza oficjalnym obiegiem z zagranicznego radia. Miasto skapitulowało ostatecznie 15 marca 1926 roku, król uciekł za granicę, a ostatniego papieża, Piusa XI (to ten sam dzielny nuncjusz Achille Ratti, który we wrześniu 1920 roku nie chciał

opuścić Warszawy i został z niej wydalony dopiero przez Dzierżyńskiego), dosłownie ukrzyżowano na placu Św. Piotra, na tle wypalonej i ograbionej ze szczytem wielkiej bazyliki. Jako ostatnia, pod koniec lipca, upadła Sardynia. Przebywałem już wtedy we Francji jako sędzia spraw cywilnych. Jak możesz się domyślać, po ukończeniu w ciągu dwóch lat gimnazjum, poszedłem na przyśpieszone kursy prawnicze, które ukończyłem wiosną 1926 roku. Zaiste, przejść w ciągu pięciu lat od czwartoklasisty do „towarzysza mecenasa” to całkiem niezłe osiągnięcie. Tym bardziej że moje życie miało swoje uroki. Jeszcze przed śmiercią Lenina rozluźniono komunistyczne rygory – w ramach „nowej polityki ekonomicznej” dopuszczono do wznowienia działalności rzemieślniczo-handlowej, a chłopci dostali zgodę na sprzedaż swoich nadwyżek produkcyjnych. Prawie natychmiast rozkwitły bazary, a za nimi knajpy. Pojawiło się mnóstwo „trofiejnego” towaru, zagrabionego na Zachodzie. Korumpowanie towarzyszy okazało się dziecinnie łatwe, toteż mimo zakazów zaczęły działać nawet burdele, których, wybac synu, stałem się chętnym klientem. Niektórym wydawało się, że wraz z tworzeniem nowej, czerwonej burżuazji rewolucja zakończyła swoją fazę jakobińską i wkroczyła nieuchronnie w epokę „dyrektoriatu”, a może nawet – biorąc pod uwagę podboje i pozycję Tuchaczewskiego – „cesarstwa”, po której mogła nastąpić jedynie jakaś „restauracja”. Kampanie podejmowane przeciw korupcji, mimo zarządzanych okresowo przez Dzierżyńskiego egzekucji łapowników, funkcjonowały bardziej na pokaz. Poza tym sądzę, iż służyły głównie wewnątrzpartyjnym rozgrywkom. Póki trwała wojna, nikt, łącznie z oszalałym na tle czystości rewolucyjnej Trockim, nie chciał kontynuowania komunizmu wojennego i ruchawek na zapleczu. Bogaciły się więc bardziej przedsiębiorcze jednostki, a jeszcze bardziej – partyjni promineneci. Dom pierwszego sekretarza toruńskiej KPP, niejakiego Zachsa, nie ustępował przepychem pałacom łódzkich fabrykantów. Wiem, co piszę, w 1925 roku przez parę miesięcy udzielałem korepetycji jego córce Soni, więc

mogłem podziwiać zarówno wnętrza, jak i gustownie urządzone ogrody, opadające ku Wiśle. Co prawda, w parze z bogactwem postępował kompletny brak gustu, a zrabowane we włoskich kościołach obrazy z epoki cinquecenta sąsiadowały ze swojskim „Leninem na rykowisku”, jak nazywano oleodruki z wodzem rewolucji przemawiającym w Pałacu Taurydzkim lub bawiącym się z dziećmi w Smolnym. Można było żywić nadzieję, że kolejne pokolenia – na przykład to, do którego należała Sonia, panienka bystra, temperamentna (nasze lekcje zostały szybko uzupełnione o przedmiot „wychowanie seksualne”, tyle że, o dziwo, tu korepetytorką okazała się moja uczennica) – doprowadzą do powolnej ewolucji w stronę normalności.

Niestety, wszelkie podobne rachuby nie miały żadnych realnych podstaw. NEP okazał się jedynie pieriedyszką, a ten, kto o tym zapomniiał, skończył jak sekretarz Zachs, z kulą w potylicy lub jak jego córka, w łagrze. Podobnie wiara, że rewolucyjny walec zatrzyma się i pęknie w zderzeniu z siłami wolnego świata, zakończyła się wyjątkowo bolesnym przebudzeniem.

Wobec zmagania we Włoszech pozostała część Zachodu okazała zadziwiająco obojętną. Sprzyjała temu dyplomacja rosyjska, forsując sprawy wojny jako wewnętrzną sprawę Włoch i szermując hasłem „nieinterwencji”. Okazało się wkrótce, jak wielu stronników ma ta polityka wśród opiniotwórczych dziennikarzy. Hasło: „nie będziemy umierać za Warszawę”, zamienione na „nie będziemy umierać za Berlin”, wkrótce trzeba było zmodyfikować na „nie będziemy umierać za Rzym”.

A przecież sprawa była do wygrania. Włosi bronili się długo i dzielnie, dając mnóstwo czasu na przygotowanie się do obrony. Francja dysponowała potężną, doskonale wyszkoloną armią lądową. Dodatkowo istniały wspaniałe kadry, złożone z emigrantów polskich i niemieckich, gotowe natychmiast z wielomilionowej rzeszy emigrantów odrodzić armie sojusznicze. Zabrakło woli. Doświadczenia ostatniej wojny i hekatomba Verdun sprawiały, że nie chciano słyszeć głosu nielicznych Kasandr. Opowieści na temat tego, co się dzieje w krajach

rzządzonych przez Sowiety, uważano za antykomunistyczną propagandę. Tym bardziej że wycieczkom dziennikarzy i twórców pokazywano świat spreparowany – szczęśliwych robotników i chłopów oraz docenianej inteligencji. W Berlinie i Warszawie działały teatry, a nawet kabarety. Likwidowano analfabetyzm, tłumy dzieci robotników i chłopów kierowano na wyższe uczelnie...

Pacyfistyczne tendencje zaczęły się zmieniać po puczu w brytyjskiej partii konserwatywnej, którego efektem było objęcie przywództwa partii i teki premiera przez Winstona Churchilla w czerwcu 1924 roku. „Wróg stoi u bram, obudź się Brytanio” – powiedział w swoim exposé.

I nie poprzestał na słowach. W pierwszej kolejności zdelegalizowano partię komunistyczną, dokonano też prewencyjnie lustracji w wojsku i policji. Wzięto pod lupę emigrację rosyjską i Żydów, a także rozdyskutowane kręgi wyższych uczelni. Efekty były zastanawiające. Niejeden „biały arystokrata” okazał się agentem czerwonego wywiadu. Brytyjski przywódca szybko nawiązał kontakt z Arystydem Brandem, ówczesnym premierem Francji, i próbował przekonać USA do zerwania z praktyką izolacjonizmu. Niestety, po przedwcześnie zmarłym Woodrow Wilsonie, wybranym w 1921 roku na drugą kadencję, krótką – po dwóch latach przerwana udarem mózgu – i krótkiej, nieudanej prezydenturze Thomasa Marshalla, w roku 1924 władzę objął Calvin Coolidge, polityk o horyzontach ciasnych jak buty o trzy numery za małe. Ten nawet słuchać nie chciał słuchać o interwencji w Europie.

Także obiecujące rokowania z Francją załamały się, gdy po Briandzie objął władzę Edouard Daladier, jak się później okazało, agent sowiecki. Formalnie rozmowy sojusznicze trwały przez połowę roku 1924, lecz nie przynosiły rezultatu. Dopiero w grudniu powołanie koalicyjnego gabinetu Pierre’a Laval’a zmieniło sytuację. W Bordeaux podpisano nawet tajny pakt brytyjsko-francusko-hiszpański o pomocy dla królestwa Włoch oraz o „rewitalizacji” armii polskiej i niemieckiej. Jego ujawnienie

z początkiem stycznia 1925 roku przez młodego dziennikarza i pisarza Louisa Aragona wywołało falę pacyfistycznych zamieszek, inspirowanych przez komunistów. Na ulicach Paryża poląła się krew.

Laval, zapewniany przez pochlebców o masowym poparciu, popełnił typowy błąd zadufanych w sobie polityków. Skłonił parlament i prezydenta do rozpisania przedterminowych wyborów. Poniósł miazdzącą klęskę. W nowym parlamencie socjaliści i komuniści mieli większość. W maju 1925 roku powstał rząd socjalisty Leona Bluma. O żadnym tajnym pakcie z Brytyjczykami nie mogło być mowy. Francuskie porty, z których płynęła pomoc dla władz Włoch, zostały zamknięte. Ochotników, z których część już przybyła do Włoch, zawrócono. Zerwano współpracę wojskową z Wielką Brytanią. Poniechano rozpoczętego z tak ogromnym zapalem formowania oddziałów cudzoziemskich, a wkrótce wydano dekrety, na mocy których zaczęto wydalać emigrantów z krajów ogarniętych przez komunizm. Zagrożeni perspektywą wydania bolszewikom, uciekinierzy z okupowanej części Europy rozpoczęli chaotyczny exodus do Hiszpanii i na Wyspy Brytyjskie. Podpisano za to układ o przyjaźni ze Związkiem Rad i powrócono do powstrzymanej przez wybuch wielkiej wojny walki z Kościołem. W sierpniu 1925 roku wydano dekret o częściowej nacjonalizacji przemysłu, a we wrześniu parcelacji wielkiej własności. Nie wszystkim się to podobało, zwłaszcza stosowane metody przymusu, za pomocą których rozpoczęto realizację tego pomysłu. Wybuchły bunty. Tradycyjnie stanęła w ogniu Wandea, Gaskonia, za broń chwyciły Lyon i Tuluza...

Dla spółki Daladier-Blum sposobem na rozwiązanie sytuacji było dolewanie oliwy do ognia, czyli zwiększenie udziału komunistów we władzy. Do rządu weszli Marcel Cachin, Alfred Rosmer, Jacques Duclos młody Maurice Thorez, który objął tekę ministra spraw wewnętrznych. W Sureté pojawili się rosyjscy doradcy... Z początkiem roku 1926 nastąpiła zmiana premiera; zrezygnowanego Bluma, który pojął wreszcie, iż wyzwolił

żywiły, nad którymi nie jest w stanie zapanować, zastąpił komunista Cachin, a obok trójkolorowej flagi zaczęto wszędzie wywieszać czerwoną.

Tymczasem zachwyty nad nowym ustrojem starczyło Francuzom na pół roku. Wrodzona dyscyplina Niemców, ułatwiająca rządy nad nimi komukolwiek, kto stał na czele, nie znalazła odpowiednika za Renem.

Rygory, trudności zaopatrzeniowe, zaostrzająca się cenzura nie mogły się podobać mieszkańcom Galii. Dopóki władza walczyła z Kościołem, nacjonalizowała huty i parcelowała wielką własność ziemską – zyskiwała poklask. Kiedy jednak na przednówku zaczęło brakować jedzenia, zniecierpliwienie zmieniło się we wściekłość. W lutym 1926 roku zbuntowała się część armii i większość floty. Armadzie z Nantes udało się zbiec do Dakaru, gdzie ukonstytuowały się władze Wolnej Francji, na czele z admirałem François Darlanem. Eskadra z Tulonu wybrała samozatopienie. Sam Darian, mimo że pozostał na mostku kapitańskim w chwili zatapiania flagowca, jakimś cudem przeżył i w ciągu następnych lat wyrósł na niekoronowanego króla Wolnych Francuzów. Efektem buntu wojsk lądowych, zdławionego po dwóch tygodniach, było wprowadzenie na stałe w całej Galii garnizonów Armii Czerwonej.

Ponieważ zrywy i strajki złamano siłą, Francuzom pozostawał bierny opór. Sabotowali władzę urzędnicy, inżynierowie, a także personel techniczny znacjonalizowanych fabryk. Policjanci i sędziowie. Ale od czego jest bratnia pomoc, od czego są kadry doradców z krajów, w których socjalizm zdążył już zapuścić swoje rakowate korzenie. Około miliona internacjonalistów, niczym szarańcza, spadło na „republikę żabojadów”, jak w zamkniętym gronie określał najnowszy nabytek towarzysz Trocki. Trybunały rewolucyjne zaczęły działać szybko i skutecznie, eliminując wrogów, a wahających się – wysyłając na długą reedukację za koło polarne.

I tak, jako świeżo upieczony sędzia, zostałem skierowany do Francji, mając nadzieję, że pozostanę przy sprawach cywilnych,

a nie zrobią mnie na przykład przewodniczącym trybunału rewolucyjnego.

\*

We Francji pozostałem 16 lat. Poznałem ten kraj dobrze, jego mieszkańców jeszcze lepiej, ze szczególnym uwzględnieniem Francuzek. Początkowo traktowany byłem jako okupant, z czasem zawarłem sporo przyjaźni, zwłaszcza że starałem się pomagać ludziom, gdzie tylko mogłem. Udawało mi się to tym lepiej, że z początkiem lat trzydziestych zrobiłem aplikację adwokacką. Pracowałem na prowincji, później w Paryżu, i było to najlepsze zajęcie, jakie mogło mi się trafić. W dodatku operacja przepukliny, dokuczającej mi od dłuższego czasu, uchroniła mnie przed wysłaniem do Hiszpanii, którą brutalnie podbito w roku 1927.

Pewnie zadajesz sobie pytanie, dlaczego wówczas nie uciekłem? Wbrew temu, co się wydaje, pod koniec lat dwudziestych, nawet po zakończeniu działań wojennych, ucieczki z krajów ogarniętych przez komunizm były możliwe. Wedle różnych szacunków na rozmaite sposoby opuściło wtedy Europę od kilku do kilkunastu milionów obywateli. Władze przymykały na to oko, często nawet pomagały, za sowitych haracz, wszystkim tym, którzy tutaj mogli stanowić potencjalny element wybuchowy, a za wodą powiększali jedynie rzesze sfrustrowanych emigrantów. Czemu więc tego nie zrobiłem? Sam się nad tym nieraz zastanawiałem. Może dlatego, że nie chciałem zaczynać wszystkiego od nowa, tu zrobiłem, jakby nie było, błyskotliwą karierę, może bezpodstawnie wierzyłem w powolną zmianę i złagodnienie systemu. Może wreszcie dałem się opanować przez wygodnictwo? Albo po prostu zabrakło odpowiedniego impulsu?

Rozmiar moich wspomnień nie pozwala mi na opisywanie wszystkich stadiów zniewolenia, jakie przyszło przechodzić kolejnym krajom, coraz bardziej uniformizującym się i zmierzającym ku tej amorficznej postaci, która trwa obecnie.



Być może powinienem na tym zakończyć i przejść do swych losów prywatnych. Jednak sprawdzając to, co figuruje w waszych podręcznikach, nie mogę nie opowiedzieć o wydarzeniach, które w kolejnych wydaniach Historii WKP(b) podlegały tak licznym przeróbkom, że nawet ich uczestnicy zapewne nie pamiętają, jak było naprawdę. A przede wszystkim nie wiedzą, co o tym myśleć. Lenin, chory od dłuższego czasu – nigdy nie doszedł do siebie po zamachu z 30 sierpnia 1918 roku – umarł na początku roku 1924, nie wyznaczając następcy. W pierwszej chwili władzę przejął triumwirat Trocki-Stalin-Dzierżyński. Stalin miał w ręku aparat partyjny, Dzierżyński czerezwyczajną zamienioną już na GPU, Trocki – armię.

Ponieważ Feliksowi wystarczało stanowisko wielkorządcy Polski, a większych aspiracji nie wykazywał, nie ulegało wątpliwości, że Stalin, przebiegły, pracowity i bezwzględny, ma większe szanse na sukces w tej rywalizacji. Ale Trocki miał także silne atuty. Teoria „eksportu rewolucji” święciła sukcesy, a w dodatku wspierał go Michaił Tuchaczewski, mianowany marszałkiem zaraz po opanowaniu Niemiec. Próżno więc Josif Dżugaszwili motał intrygi, kokietował Kamieniewa, Zinowiewa, Radka, Bucharina, sugerował utworzenie stanowiska prezydenta Związku Sowieckiego i oddanie go Tuchaczewskiemu, co oznaczałoby odebranie mu kontroli nad armią. Wszystko na nic. Pasma zwycięstw w latach 1924-1927, które rzuciło Sowietom pod nogi całą kontynentalną Europę Zachodnią, sprawiło, że obaj towarzysze T. byli nie do obalenia. Stalinowi pozostawało jedynie zgrzytać w samotności zębami i czekać. Szansę na zmianę stosunku sił przyniosła wielka wojna północna w 1928 roku – desant na Wielką Brytanię, połączony z szeroko zakrojoną kampanią, na kraje nordyckie.

– Nareszcie proletariusze wszystkich stron posmakują oryginalnej whisky z lodem! – obiecywał Trocki. Na wyrost! Dzięki przezornemu Churchillowi Anglia była dobrze przygotowana na agresję. Również propagandowo. Dziesiątki opowieści i obrazów z okupowanej Europy publikowane w prasie, przy jednoczesnym

szlabanie dla sowieckiej propagandy, zrobiły swoje. Nawet piewcy nowego wspaniałego ustroju, Wells i Shaw, zamilkli. Wprowadzono zakaz strajków i niemal wojenne rygory. Zdemaskowano kilku wpływowych szpiegów, w tym dwóch autentycznych lordów, których niezwłocznie stracono. W kwietniu 1928 roku seria incydentów, w tym wymiana ognia między statkami wojennymi w cieśninach duńskich, sprowokowała wojnę. Symboliczne było to, że w pojedynku z brytyjskim niszczycielem „Francis Drake” poszedł pod wodę krążownik „Czerwony Październik”. Tuchaczewski uważał, że siły sowieckiej Europy nie są do tej wojny wystarczająco przygotowane. Armada była słaba – kriegsmarine jeszcze się nie odbudowała po Wielkiej Wojnie, floty włoska hiszpańska umknęły, francuską (jak wspominałem) zniszczyły akty sabotażu i ucieczka kilkunastu jednostek do Dakaru. Mimo to Stalin parł pełną parą do inwazji, kalkulując nie bez racji: jeśli agresja się nie uda, winą obciąży się Tuchaczewskiego i Trockiego, a jeśli uda – przeklęta wyspa, ów niezatapialny lotniskowiec zakotwiczony u boku Europy – nie będzie stanowić dłużej zagrożenia dla komunistycznego eksperymentu.

Pierwszego maja ruszył atak z morza i powietrza. Lotnictwo sowieckie okazało się jednak zbyt słabe i niesprawne, aby zadać wyspiarzom ciężkie ciosy. A marynarka...? Nie bez powodu nazywa się Anglię władczynią mórz. Marzenia o wyzwoleniu Brytyjczyków z okowów imperializmu legły w gruzach wraz z dziesiątkami tysięcy żołdatów poległych na polach Kentu, Kornwalii i Yorkshire. Desant na wyspę White okazał się zupełną katastrofą, a próba ataku od północy przyniosła komunistycznej flocie los, jaki trzy i pół wieku wcześniej przypadł w udziale hiszpańskiej „niezwycięzonej armadzie”.

Była to klęska, ale honorowa. Natomiast inwazja na Skandynawię przyniosła tylko wstyd. Wprawdzie w Danię udało się wejść jak w masło, ale już Przesmyk Karelski okazał się pułapką. Przez pięć miesięcy Rosjanom udało się ledwie zająć miasto Wyborg. W dodatku Norwegowie zaminowali Murmańsk, blokując tam

flotę północną, mającą dostarczyć wsparcie do drugiej inwazji na Wielką Brytanię. Co gorsza, w sojuszniczych oddziałach mnożyły się dezercje i całe bataliony Polaków, Niemców i, co ciekawe, Czechów przechodziły na stronę wroga.

Obserwowałem konflikt, czytając codziennie „l’Humanite”. Organ komunistów francuskich był wprawdzie do cna zakłamany, ale posiadałem całkiem niezłą sztukę czytania między wierszami.

Entuzjazm pierwszych dni, który najlepiej ilustrowały nagłówki „Za tydzień w Londynie”, szybko ustąpił miejsca artykułom ukazującym bohaterstwo Armii Czerwonej, męstwo bolszewickich żołnierzy i braterstwo broni sojuszników z komunistycznej Europy. Jednak nawet najgłupszy czytelnik musiał zadawać sobie pytanie: jeśli odnosimy same sukcesy, to dlaczego Anglia ciągle się broni, a jej samoloty dość bezkarnie bombardują porty i węzły kolejowe w Paryżu, Brukseli czy Hamburgu? Idiotyzm tej metody propagandowej został w końcu zauważony i naraz wiadomości z frontu odpłynęły na dalsze strony, gdzie zmieniły się w krótkie wzmianki. Za to na stronach tytułowych pojawiły się produkcyjniaki o przygotowaniach do żniw, sukcesach radzieckich uczonych czy nowych filmach Eisensteina i Pudowkina.

Brak informacji zastąpiła plotka, mimo że za tak zwane szeptanki groziły wysokie wyroki. Mówiono więc, że Brytyjczycy wylądowali w Normandii, że wojska fińskie oblegają Petersburg, że Trocki popełnił samobójstwo, a Stalin zwariował. Szeptano o strajkach w ZSRR, zamachach na komunistów w Polsce i o tym, że bliski już jest koniec „czerwonego caratu”.

Tymczasem wsparcie, zrazu ekonomiczne, potem również militarne, udzielone Sojuszowi Północnemu przez Stany Zjednoczone oznaczało ostateczny kres sowieckich marzeń o sukcesie. Jedenastego listopada 1928 roku Stalin postanowił działać, zgodnie z pierwszym wariantem swej strategii.

Korzystając z nagłej śmierci Feliksa Dzierżyńskiego (niesprawdzona plotka mówiła o otruciu, ale był to raczej atak serca), zwołał posiedzenie Biura Politycznego, które uchwaliło pozbawienie Trockiego funkcji Przewodniczącego Rady

Komisarzy Ludowych. Lejba Bernsztajn znalazł się w areszcie na starej Łubiance. Wyglądało na to, że przesądzony jest również los Tuchaczewskiego, którego odwołanie było kwestią godzin. Sytuację zmienił jeden człowiek – Wiaczesław Rudolfowicz Mienżyński, prawa ręka Dzierżyńskiego, podobnie jak on polski szlachcic, a po śmierci Feliksa pełniący obowiązki szefa GPU. Poleciał on małym samolotem do kwatery Tuchaczewskiego w Brukseli i uświadomił marszałkowi rozmiary zagrożenia. Być może kiedyś wyjaśnione zostaną dokładnie kulisy przewrotu. W każdym razie na zwołanym 19 listopada plenarnym posiedzeniu Komitetu Centralnego Stalina i kilku jego najzagorzalszych popleczników już nie było. Trockiego jednak też. Jak ogłoszono, w przeddzień plenum popełnił w celi samobójstwo.

Szybko wybrano nowe władze – spodziewano się, że Tuchaczewski zażąda dla siebie pełni władzy, że rewolucję bolszewicką, jak wiele innych, zakończy etap bonapartystyczny. Marszałek nie zdecydował się na to – pierwszym sekretarzem został przywódca organizacji partyjnej w Leningradzie, Siergiej Kirow, a głównym ideologiem – Nikołaj Bucharin. Czytając szpalty „l’Humanite”, wypełnione portretami i biogramami nowych przywódców postępowej ludzkości, jak wielu, zauważyłem znamieny fakt – prawie wszyscy byli rodowitymi Rosjanami.

Wojnę północną zakończono zgoła inaczej niż rozpoczęto – cichym rozejmem w marcu 1929 roku. Chyłkiem wycofano się nawet z okupowanej Danii, która odtąd stała się ulubionym celem wszystkich uciekinierów. Cała prasa nabrała wody w usta, tak jakby nigdy nie było żadnej wojny. Dopiero po paru tygodniach ukazał się programowy artykuł Bucharina w „Prawdzie”, zatytułowany „O narodach, które muszą dopiero dojrzeć do socjalizmu”. Mój Boże, jak zazdrościliśmy Brytyjczykom i Skandynawom ich ideowej niedojrzałości.

Jednocześnie zwiększono rolę Międzynarodówki Komunistycznej, czyli, używając sowieckiego języka skrótów, Kominternu.

Międzynarodówka teoretycznie stanowiła ciało zwierzchnie wobec władz Rosji, która miała w prezydium jednego członka, podobnie jak Ukraina czy Estonia, ale w istocie cały ten twór wisiał na kłance Kierownika „Wydziału Zagranicznego KC WKP(b), niejakiego Wiaczesława Mołotowa, i mógł co najwyżej udawać, że działa. Choć wszystko zależało od indywidualnych kontaktów z aktualnym przywódcą Kremla.

Co prawda Przewodniczący Kominternu, Francuz Paul Vaillant-Couturier, pogodził się z rolą figuranta, ale za to sekretarz tego gremium, Włoch Palmiro Togliatti, nie ukrywał swoich ambicji, zaś najciekawszą figurą w tym gronie był nowy sekretarz do spraw propagandy, komunista zaledwie od paru lat, „człowiek do wynajęcia”, jak sam mówił o sobie, młody profesor filozofii na Uniwersytecie w Heidelbergu Joseph Goebbels. To on był autorem formuły kamuflującej dalsze działania komunizmu. Formuła ta brzmiała: „Walka o pokój”.

V

Przerwa w lekturze

Tak się zaczytałem, że dopiero trzeci dźwięk dzwonka wyrwał mnie z otchłani czasu. Anastazja gdzieś wyszła, w niepisanym kontrakcie miała niedzielę zastrzeżoną na wychodne i zawsze korzystała z tej możliwości, chociaż nie miałem pojęcia, dokąd się udawała. Może przygruchała sobie jakiegoś amanta w swoim wieku. Choć było to mało prawdopodobne – mężczyźni aż tak długo nie żyją.

– Kto tam? – zawołałem przez drzwi.

– Milicja – usłyszałem w odpowiedzi.

Zdrętwiałem. Czyżby już wiedziano, że studiuje teksty wrogie wobec przodującego ustroju, ładu politycznego w naszym państwie i całym obozie z Rosją radziecką na czele? Natychmiast też pomyślałem o rozłożonym manuskrypcie. Jeśli tylko go zobaczą, będę ugotowany...

– Chwileczkę, tylko się ubiorę – powiedziałem.

– Poczekamy – zgodzili się łaskawie.

Idąc do pokoju, wyrząłem przez okno i zobaczyłem policyjną budę z zakratowanymi okienkami. Mój strach zmienił się nagle w lodowaty spokój. Będzie, co będzie. Zgarnąłem materiały z biurka i wcisnąłem za szafę, potem naciągnąłem ciepły sweter... Zupełnie zapomniałem o złotym samородku w kieszeni mojej marynarki, wystarczyłaby najbardziej nawet pobieżna rewizja i mógłbym się długo tłumaczyć...

Zaprowadzono mnie w kierunku osiedlowej bramy, za którą zatrzymała się „suka”.

Jednego z opryszków chyba już mamy – zacierał ręce posterunkowy. – Jeśli to on was pobił, obóz pracy ma zapewniony...

– To recydywista? – zapytałem.

– Gorzej, element antysocjalistyczny. Dwa lata temu wyleciał z zawodówki za malowanie wrogich haseł. Nigdzie niezatrudniony, podejrzewamy, że utrzymuje się z prac dorywczych i rozboju. Nazwisko tego drugiego drania wyciśniemy z niego w try miga. Mamy swoje metody. W to akurat nie wątpię.

Policjant szarpnął drzwi samochodu. Otworzyły się z łoskotem.

W świetle dnia wczorajszy napastnik wydał mi się młodszy i szczuplejszy. Może aktualne wrażenie potęgowała zmaltretowana twarz, podbite oko i strużka świeżo zakrzepłej krwi na czole. Poznałem go natychmiast, ale w tym samym momencie przypomniało mi się, dlaczego podczas ataku wydał mi się znajomy. Dość krótko chodziliśmy do tej samej szóstej klasy, ale on (Darek albo Czarek) został na drugi rok. Niepokorny, zadawał nauczycielom trudne pytania, lubił się bić... Choć miewał również szlachetniejsze odruchy. Pamiętam, jak podczas jakiejś ogólnej rozróby ciśnięta przeze mnie gąbka trafiła prosto w nos wchodzącego nauczyciela od rosyjskiego. Powiało grozą. Rusek, wojskowy inwalida, o jednej nodze krótszej i protezie na lewej ręce, osłoniętej czarną rękawiczką, nie miał za grosz poczucia

humoru.

– Kto eto zdziełał? – zapytał krótko.

Nie zgłosiłem się, świadom represji, jakie mogły na mnie spaść.

– Kto eto zdziełał? – powtórzył, dorzucając, że do momentu niezgłoszenia się winowajcy nikt nie opuści klasy. Znów powiało grozą. I wtedy mój kolega (Czarek albo Darek) uniósł dwa palce do góry.

– Ja tawarisz profiesor...

– Jak zwykle ty, parień, toż ja już nie mam gdzie ci dwójek stawiać! – zaśmiał się belfer i przystąpił do lekcji.

Właściwie był to jedyny moment, kiedy nasze losy się zbiegły.

Wychowawczyni, ciepło nazywana Larwą, twierdziła, że młody rozrabiaka źle skończy. I rzeczywiście. Wykryła! Po ukończeniu podstawówki zniknął mi z oczu. Z tego co pamiętałem, mieszkał w zrujnowanych blokach na Wygodzie... Teraz miał spuszczoną głowę i wyraźnie nie chciał mi popatrzeć prosto w oczy. Przez moment poczułem ogromną satysfakcję, rozkoszowałem się swoją władzą nad cudzym losem, czułem słodki smak odwetu.

– Poznajecie go? – milicjant był pewien mojej odpowiedzi. Ale ponieważ milczałem, powtórzył pytanie. – To ten napastnik?

– Nie, towarzyszu – odparłem, sam zdumiony, że to mówię. – Podobny, ale nie ten. Tamten miał jaśniejsze włosy i szerszy nos. Obwieś tak się zdziwił, że otworzył usta ze zdumienia, znów zobaczyłem krew i wybite zęby.

– Przyjrzyjcie mu się uważnie – funkcjonariusz nie krył rozczarowania. Chyba bardzo pragnął, abym go rozpoznał. – A ty wyłaż! – wypchnął chłopka na ulicę. Mając skute na plecach ręce, z trudem zachował równowagę. – To on? Prawda? Biorąc pod uwagę jego wcześniejsze dokonania, nietrudno będzie udowodnić, że napaść na was, członka partii i poetę, miała charakter politycznego zamachu.

– Przykro mi, ale nie mogę potwierdzić...

Milicjant nie ustępował:

– Wystarczy nam, jeśli powiecie, że to mógł być on, przecież było dość ciemno. Żarówki w latarniach znowu potłukli...

Podejrzewamy, że nie tylko was napadli w ostatnich dniach. To niech inni ich rozpoznają – przemknęło mi przez głowę. Nie miałem w sobie dość mocy, aby wpakować młodego człowieka do pudła. Wysłać do obozu pracy, skąd zapewne wróci jeszcze gorszy. Przecież właściwie nic mi nie zrobił. Ten głupi zegarek mogłem im oddać. Jeśli miałem już być komunistą, to powinienem uznawać wspólnotę własności. A to, że miał mi za złe wysławianie Dzierżyńskiego...? Głośno powiedziałem: – Naprawdę nie mogę potwierdzić, że to był on... Zresztą jestem krótkowidzem, a w trakcie zamieszania spadły mi okulary.

\*

W książkach, które wydawano masowo w krajach naszego obozu, człowiek, który postąpiłby tak, jak ja, godzien byłby najwyższej wzdry i potępienia. Bohaterowie czytanek i powieści dla młodzieży nie miewali takich wątpliwości. Występowali zawsze jako ochotniczy pomagierzy czerezwyczajki. Na własną rękę tropili szkodników, kułaków, dywersantów, a bywało że i tajnych popów, zmuszających nieświadome, stare kobiety do praktyk religijnych. Ci komuniści od urodzenia, jeśli było trzeba, potrafili zadenuncjować własnego ojca i donieść, że ukrywa kołchozowe zboże, lub dziadka, że słuca, dzięki własnoręcznie skonstruowanej antenie, plugawych audycji „Voice of America”. W „Szpiegu, który przybył balonem” młoda dziewczyna – komsomołka Zoja – wykrywa i zabija amerykańskiego agenta, który przyjechał, by wykraść nowoczesną technologię, pozwalającą leczyć raka, a w powieści „Długa noc” żona inżyniera Iwanowa Tatiana, dzięki gadającemu przez sen mężowi, wpada na trop antypartyjnego spisku. I oczywiście donosi o tym, gdzie trzeba.

Nie byłem entuzjastą podobnych metod, a w domu miałem przedwojenne wydania powieści Marka Twaina „Tom Sawyer” czy „Huckleberry Finn”, opowiadających historie o chłopakach kierujących się trochę inną logiką. Wszelako nie da się ukryć, że



postąpiłem jak idiota. Przecież pomagając władzy, nie denuncjowałem niewinnego człowieka, lecz bandziora, mściciela...? Co się z tobą dzieje, Marcinku?

W dodatku straciłem mnóstwo czasu, musiałem jeszcze pojechać na komisariat, obejrzeć album ze zdjęciami kryminalistów. Zachowałem konsekwencję, nie rozpoznałem także drugiego z napastników, recydywisty, który zaledwie przed tygodniem wyszedł z więzienia.

Milicjanci zachowywali się zgodnie z tekstami czytanek. Przeprosili za kłopot, prosili o telefon, gdyby mi się coś przypomniało, a nawet odwieźli z powrotem do domu. Było to miłe, właśnie zaczęło padać, a nie wziąłem płaszcza.

Jadąc obok lasu, na wydmach zobaczyłem drobną postać wyłaniającą się zarośli. Anastazja? Co ona robiła w tym zagajniku, przy takiej pogodzie? Szukała grzybów? W domu zastałem Mamę dziwnie podnieconą. – Igor będzie na kolacji! – oznajmiła tonem, jakby zamierzał odwiedzić nas co najmniej marszałek Rokossowski.

Zastanowił mnie sposób, w jaki to powiedziała. Igor Martow odwiedzał nas bardzo często. Czym ta wizyta miała różnić się od innych? Może władza zamierzała go rzucić w jakiś inny kąt imperium i przybywał się z nami pożegnać, co przyjąłbym z niekłamaną radością? Nie żebym jakoś szczególnie nie lubił Martowa, chociaż przyznam, że swoją posturą niedźwiedzia, wygoloną czaszką i ogromnymi dłońmi wywoływał we mnie taki strach, że nigdy nie próbowałem mu się przeciwstawić.

Skądinąd nie musiałem. Martow czynił wiele, aby pozyskać moją sympatię. Odbyliśmy razem podróż do Włoch, zdobywał dla mnie trudno dostępne książki i mapy. Podejrzewam, że na naszych relacjach ciążyła moja podświadoma zazdrość o Matkę. Jak sięgam pamięcią, w domu bywała rzadko i zawsze miała jakichś adoratorów. Ten romans trwał jednak za długo i wyglądał zbyt poważnie. Czy była w nim zakochana? Jeśli nawet wszystko na to wskazywało, wiedziałem, że to jeszcze niczego nie oznacza – znałem moją Mamę i widziałem, że bardzo wiele rzeczy, nawet

uczucia, potrafi sobie wmówić tak perfekcyjnie, że w końcu sama w to zaczyna wierzyć. Prawie. Martowa знаła od lat, jeszcze wtedy, kiedy był trenerem rosyjskiej kadry hokejowej i spotykali się z okazji igrzysk zimowych. Ich doraźne kontakty nasiliły się, kiedy znalazł się w Warszawie, nigdy nie dowiedziałem się, w jakim charakterze. Ponoć był doradcą, ale czym i w jakich sprawach doradzał...?

W każdym razie Babcia i Anastazja raczej za nim nie przepadały. Osobiście, zanim jeszcze zaproponował mi przejście na „ty”, nazywałem go w myślach „pan niet problema”. Było to jedno z najczęstszych wyrażen, jakich używał. I to go różniło od innych obywateli socjalistycznej Europy, których życie stanowiło jeden wielki problem, będący sumą pomniejszych problemów.

Problemem było kiepskie zaopatrzenie, niesprawny transport, ciasnota mieszkaniowa, stosunki w pracy, sąsiedzka nieżyczliwość, powszechne chamstwo, a także strach przed władzą w każdej postaci – czy była to panienka z okienka, kierowniczką stołówki, ekspedientka czy dozorca w bloku. Dla Martowa i poniekąd dla nas większość tych kłopotów można było określić zwrotem „niet problema”.

Mama, która lubiła dogadzać swemu Rosjaninowi, upiekła tej niedzieli kaczkę z jabłkami, kupiła czerwone wino, a nawet wysłała mnie do sklepiku na plac Szembeka, żebym nabył ozdobne świece, które w jej mniemaniu najlepiej zapewniały nastrój. Świec nie znalazłem na Szembeka, pojechałem więc na Brzeską, gdzie działało tolerowane targowisko, i tam udało mi się kupić cztery stearynowe kule. Po drodze zadzwoniłem do Nadii, dowiedzieć się, czy przeszła jej chandra, ale w jej domu nikt nie odpowiadał. Potem godzinę czekałem na autobus, a gdy wreszcie wróciłem do domu, zastałem Mamę okropnie rozczarowaną. Dygnitarz zadzwonił koło piątej, przepaszając, że musi zostać w pracy i nie wyrwie się nawet późnym wieczorem.

– Nie dadzą mu nawet odpocząć w niedzielę – westchnęła ciężko, dodając, że w ramach zadośćuczynienia szarmancki Rosjanin zaprasza nas we wtorek na kolację do restauracji

„Leningradzkiej”, cieszącej się opinią najlepszej w Warszawie. Przyszło nam więc zjeść tę kaczkę, która czasy swojej młodości miała dawno za sobą, bez niego. Oprócz Nastii, którą przy rodzinnych posiłkach zazwyczaj dopraszano do stołu, towarzyszył nam wujek Dżek. Nie wiem, czy już o nim wspominałem? Wujek Dżek (jako malec nie byłem w stanie wymówić poprawnie imienia Andrzej czy tym bardziej Andrzejek) był starszym bratem mojej Mamy. Co niedziela wpadał, aby odwiedzić Babcie, po czym zostawał na obiedzie. Był jeszcze trzeci powód. Z jakiejś przyczyny wujek nie lubił komunalnych filtrów, które brudną wodę z Wisły za pomocą najlepszych socjalistycznych metod przekształcały w kryniczną strugę. Za każdym pobycem u nas udawał się do ogrodu, gdzie stała się stara studnia, pozostałość po dawno wyburzonej chałupce. Studnię należało najpierw zalać. Potem długo pompować, nie zważając na wydawane przez pompę odgłosy, kojarzące się z agonią suchotnika, wreszcie po spuszczeniu paru wiader nabrać płynu do butelek i mieć zamiast kranówki wodę na herbatę na cały tydzień. Czym różniły się obie ciecze, nie wiem. Nastia też nabierała wodę ze studni, choć doktor Wroński przestrzegał przed jej piciem, wskazując na pobliską bazę samochodową i garbarnię... Inna sprawa, że poza obsesją związaną z wodą, wujek nie należał do osobników kłopotliwych – nawet kiedy przebywał z nami, mogło się wydawać, że go nie było. Drobnny, czarniawy, wypowiadający się zawsze ściszym głosem, należał do ludzi, o których moja Mama mówiła, iż „przepraszają, że żyją”.

Czasami zastanawiałem się, co sprawiło, że ten zdolny człowiek o dużej erudycji, zdolnościach malarskich i muzycznych (podobno nawet pięknie śpiewał, ale osobiście jego wokalnych popisów nigdy nie słyszałem) właściwie wegetował? Zaborcza miłość Babci? Jakaś trauma z dzieciństwa? Nigdy nie ożenił się, nie miał przyjaciół, w pracy (zatrudniony był w jakimś urzędzie centralnym) zadowalał się nisko płatną posadą pracownika rachuby, nie pił, nie palił, nie wyróżniał się jakimś szczególnym hobby. Im dłużej myślałem, tym częściej dochodziłem do

wniosku, że w młodości musiał go ktoś zdrowo przestraszyć. Dlaczego wcześniej o tym z nim nie porozmawiałem? Przecież, jeśli udało się umiejętnie podejść wujka Dżeka, ten posepny, zamknięty w sobie człowiek otwierał się, wywijał na zewnątrz jak faworek. Potrafił opowiadać o starych żaglowcach, tak jakby pół życia strawił na pokładzie wspaniałej fregaty. Geografia i zoologia nie miały przed nim tajemnic. Skądinąd nie słyszałem, żeby wyjechał gdziekolwiek dalej niż do Żelazowej Woli czy Kazimierza nad Wisłą. Nie, pardon, kiedyś wyrwało mu się zdanie na temat Paryża, dowodzące, że musiał go odwiedzić, ale wyraźnie spłoszony własną gadatliwością resztę wieczoru milczał jak zaklęty. Kto wie, czy i on nie miał swoich zasług w rozwijaniu moich zainteresowań. Pamiętam, że w dniu, w którym po raz pierwszy opowiadał mi o Champollionie i odczytaniu przez niego hieroglifów, pokochałem starożytny Egipt. Co prawda miłość tę zachwiały jego opowieści o zagładzie Pompei i Herkulanum. Gdzieś po drodze przeczytałem religianckie, ale jakże wciągające „Quo vadis”... Czy trudno się dziwić, że na uniwersytecie wybrałem seminarium u profesora Piazzolego?

Z wujkiem nigdy nie rozmawialiśmy o współczesności.

Zainteresowanie flotą kończyło się u niego na żaglowcach. Kiedy przed paru laty prasa doniosła o zwodowaniu atomowego lodołamacza „Lew Trocki” i zacząłem na ten temat wypytywać Dżeka, zauważyłem, że pobladł na twarzy i natychmiast zmienił temat...

Siedząc tego wieczora przy kolacji, zastanawiałem się, co by było, gdybym, zaprosiwszy go do pokoju, pokazał mu manuskrypt mojego Ojca. Wskoczyłby ze strachu przez okno?

Tego wieczora rozmowa wyjątkowo się nie kleiła. Mama była smutna i rozkojarzona, Anastazja nieco spięta, a ja cały czas przebierałem nogami, chcąc wrócić do przerwanej lektury.

Wreszcie wujek poczłapał na przystanek, a Mama poprosiła, żebym jeszcze chwilę z nią został.

– Igor chce cię poprosić o moją rękę – powiedziała bez ogródek. Zdrętwiałem. A więc o to chodziło. Mama chyba zauważyła mój

stupor, bo dodała bardzo szybko:

– W naszym życiu niewiele to zmieni, bo zaraz po ślubie Igor wyjedzie na daleką placówkę. A ja nie będę mogła zostawić szkoły. Przynajmniej do końca roku.

– W takim razie po co to robisz...?

– Bo myślę o twojej przyszłości, synku. Jako Polak możesz najwyżej zrobić karierę w Warszawie. Jako syn Martowa będziesz miał otwarty cały świat.

Trzeba go tylko podbić do reszty – pomyślałem w duchu. Ale nie powiedziałem nic. Nie umiałem się sprzeciwić, nigdy nie przeżyłem fazy buntu, właściwej innym młodym ludziom. Zresztą wiedziałem, że protest mój byłby bezowocny. Byłem zależny od Matki, zależny od Martowa, zależny od partii, która poparła moje przyjęcie na studiach... Jak miałem stanąć okoniem? Zresztą – po co?!

Wróciłem do pokoju i pomacałem za szafą. Nic. Pomacałem głębiej, a kiedy to nie pomogło, odsunąłem mebel pamiętający jeszcze czasy przedrewolucyjne. Manuskrypt zniknął. Z wrażenia aż usiadłem na podłodze. Najbardziej niedorzeczne myśli zaczęły przelatywać mi przez głowę. Milicja zrobiła rewizję pod moją nieobecność? Matka znalazła tekst i go spaliła? Do drzwi cicho zaskrobała Anastazja.

– Jesteś nieostrożny – powiedziała, wchodząc do pokoju. – Gdyby ten bolszewik zajrzał do ciebie, jak nic zobaczyłby plik papierów, wystający zza szafy.

– Zabrałaś tekst?

– Zabezpieczyłam. Zresztą jest nadal w twoim pokoju – podeszła do rogu i zwinnie podważyła listwę, biegnącą przy podłodze, potem wyjęła dwie klepki. Ukazał się wąski schowek, o którego istnieniu nie miałem pojęcia. Szybko wydobyła rękopis.

– Strzeżonego pan Bóg strzeże. Na przyszłość nie zostawiaj niczego na wierzchu – powiedziała. I wyszła.

A ja wziąłem się za lekturę, niepomny, że termin oddania mojego artykułu profesorowi Piazzolem niebezpiecznie się zbliżał, a był to jeden ze wstępnych stopni, prowadzących ku upragnionej

(zwłaszcza przez moją Mamę) asystenturze.

VI

Pamiętnik Ojca (3)

A więc wiodłem sobie żywot francuskiego mieszcza. Dość wygodny, choć pozbawiony planów i większych ambicji. Kariery politycznej, z oczywistych powodów, robić nie chciałem, a walka z systemem wydawała mi się przedsięwzięciem ponad moje siły. Może gdybym silniej wierzył w Boga... Wtedy, jako nieodrodne inteligenckie dziecię przełomu wieków, w ogóle nie wierzyłem. Nie widziałem dla Niego miejsca w świecie rządzonym przez prawa fizyki i chemii. Okrucieństwa, widziane dookoła, jeszcze potęgowały moje zwątpienie. Gdzież był Bóg, kiedy bolszewik dokonywał kolejnej rzezi Pragi, rozstrzeliwał wziętych do niewoli oficerów, topił barki z elementami politycznie wrogimi w Morzu Białym, Bałtyckim i Śródziemnym? Odnalazłem Go dopiero, z wielkim trudem, na samym dnie piekła. Nad Kołymą! Chociaż już wcześniej zadawałem sobie pytania: jeśli jest jedynie iluzją, opium dla ludu, projekcją marzeń głupców – czemu czerwoni tak usilnie z Nim walczą? Pewnie nie ja jeden ponieważ do takich konstatacji. I cóż z tego. Komunistom udało się wmówić Europejczykom, że świat toczy się w lewą stronę, a bolszewickie barbarzyństwo, mimo całej swej ohydy, jest dziejową nieuchronnością, taką samą jak upadek imperium rzymskiego czy przyjście kapitalizmu po feudalizmie. Jak zatem buntować się przeciwko czemuś, co jest tak naturalne, jak burze w czerwcu czy śnieg w styczniu?

Jednej iluzji towarzyszyła druga – powszechnie wydawało się, że osiągnąwszy naturalne granice i nie mogąc ani iść dalej, ani szczególnie obawiać się ataku z zewnątrz, bolszewia zajmie się sobą, zacznie się ulepszać, reformować, a z czasem przekształci na tyle, że da się w niej żyć. W końcu taka była kolej rzeczy dotychczasowych rewolucji. Ta okazała się inna! Pieriedyszkę

w ekspansji bezzwłocznie wykorzystano do silniejszego wzięcia za mordę własnych obywateli. Nastąpił odwrót od NEP-u. Jak Europa długa i szeroka poczęto forsować kolektywizację i rozbudowywać przemysł ciężki. Inwigilacja obywateli przekroczyła poziom absurdu. Kontrolowały nas partia, związki, policja, безпеka, cenzura, inspekcja robotnicza, komitety domowe, organizacje młodzieżowe, a nawet organizacje postępowych księży. Co gorsza, mimo zmienionych haseł, sowiecki reżim nie zaprzestał marzeń o podboju (pardon – „wyzwoleniu”) świata. Bardzo forsownie się zbroił, w istocie podporządkowując całe państwo machinie wojennej. Zamiast samochodów dla ludzi budowano kolejne czołgi, samoloty, lotniskowce. Przeciwno komu? Gdzie był wróg, poza zdecydowaną podążać własną drogą Wielką Brytanią? Można go było znaleźć na każdym plakacie, w każdej propagandowej czytance w wierszach i piosenkach. Ameryka!

„Tyrańskie USA,  
gdzie pieniądz zwycięża,  
gdzie milionerów w bród  
co uciskają lud!”

śpiewano w popularnej komedii muzycznej z Lubow Orłową wyświetlanej we wszystkich kinach.

„Atlantyk jest kałużą,  
gdy nas Jankesi wkurzą,  
to może już za rok,  
zrobimy przez nią skok”

nucono w innej. I przez krótki czas bałem się, że może się to im udać.

\*

Często zastanawiałem się nad sekwencją zdarzeń, która w tamtych latach uratowała Stany Zjednoczone, a w efekcie obie Ameryki i resztę świata. W połowie lat dwudziestych sprawy przedstawiały się dosyć marnie. Zgodnie z ugruntowaną praktyką wybierania bezbarwnych prezydentów, którzy nikomu w niczym nie przeszkadzają, Calvin Coolidge miał przed sobą dwie pewne kadencje prezydenckie. A może i trzecią... Zapewne, wedle planów Kremla, w tym czasie powinien rozpocząć się w USA scenariusz przetestowany przez agentów sowieckich w Europie Zachodniej. Co gorsza, miał on szanse powodzenia. Elity intelektualne, grube ryby przemysłu filmowego, znaczna część postępowej prasy, mniej lub bardziej skrycie sprzyjały bolszewizmowi. Środowiska te, niepomne przestroóg płynących z okupowanej Europy, upewniane przez agentów wpływu, że dzięki rewolucji będzie im tak dobrze jak dotąd, a nawet jeszcze lepiej, plotły brednie o wolności i demokracji, krytykowały władzę centralną, wielki kapitał, domagały się redukcji wydatków na siły zbrojne. Zastanawiam się, ilu z tych mędrków zapoznało się głębiej z pracami Lenina, który mówił otwartym tekstem o „użytecznych idiotach” oraz o kapitalistach „gotowych sprzedać nam sznurek, na którym ich powiesimy”.

Na szczęście istniała także druga Ameryka – farmerów, drobnych kupców i rzemieślników, Ameryka ludzi wierzących, przywiązanych do rodziny. I, co ważniejsze, stanowiła przytłaczającą, milczącą większość. Wiadomości z Europy, mimo silnych tendencji izolacjonistycznych, nie przechodziły tam bez echa. W dodatku, nawet wśród części politycznej zaczęła kiełkować świadomość, że bolszewicy, mimo swych pokojowych zapewnień, nie poprzestaną na Europie, pójdą dalej i dalej, aż „związek ich bratni, ogarnie ludzki ród”.

Jako pierwszy uderzył na trwogę właściciel koncernu medialnego William Randolph Hearst, dla którego nie było rzeczy niemożliwych. Nie bez przyczyny w młodości nazywano go „marzycielem, który spełnia swoje sny”. Zgromadził gigantyczny majątek, zbudował sobie zamek Hearst Casde na wybrzeżu



Pacyfiku, ale jego prawdziwą, dotąd niespełnioną miłością, była polityka. Na początku stulecia dwukrotnie bezskutecznie kandydował na stanowisko burmistrza Nowego Jorku; przegrał również sromotnie wybory na stanowisko gubernatora stanu. Ale nie rezygnował, w 1924 roku wszedł do Kongresu. Wkrótce potem zerwał z Partią Demokratyczną, z ramienia której startował, tworząc Partię Amerykańskiego Odrodzenia. W głoszonych poglądach stał się bardziej prawicowy i na każdym kroku manifestował przywiązanie do tradycyjnych wartości amerykańskich. Wiele sformułowań zapożyczył od Churchilla. Jego hasło – „nikt nas nie obroni, jeśli nie obronimy się sami” – trafiało do szarych Amerykanów. Oczywiście elita go wyśmiewała, nazywając „Mussolinim z popcornu”. Do czasu. Dwudziestego siódmego września 1926 roku pewien szaleniec rzucił bombę pod samochód Calvina Coolidge’a, jadący Pennsylvania Avenue. Prezydent przeżył zamach, ale stracił w nim rękę i oko. Zmarł dwa tygodnie później z powodu odniesionych ran.

Zamachowiec, zastrzelony przez ochroniarzy, nazywał się Isaac Levisohn i był bezrobotnym skrzypkiem. Wprawdzie urodził się w USA i od paru lat leczył się na schizofrenię, ale samo nazwisko wystarczyło, aby zrobić z niego agenta Komunistycznej Międzynarodówki. Gazety i rozgłośnie radiowe należące do koncernu Hearsta rozpętały prawdziwą psychozę. W Nowym Jorku, na dolnym Manhattanie, doszło do krwawych pogromów Żydów. W dniu śmierci Coolidge’a prezydentem został zaprzysiężony dotychczasowy wiceprezydent finansista Charles Dawes. Jego doradcy, zapewne sowicie opłaceni przez medialnego magnata, zaproponowali, aby na stanowisko swojego zastępcy powołał niezależnego senatora Hearsta. Dawesowi, specjaliście od odszkodowań wojennych, wydawało się, że takie posunięcie zapewni mu przychyłność mediów, zwłaszcza nowego, dynamicznie rozwijającego się środka przekazu – radia, z którego po raz pierwszy skorzystał podczas inauguracji swej prezydentury Coolidge. Poza tym, wiceprezydent w amerykańskim systemie

władzy jest praktycznie nikim, chyba że z jakiegoś powodu zabraknie jego szefa. W swych zabiegach o popularność Dawes odwołał również osiemnastą poprawkę do konstytucji, która w roku 1919 wprowadziła prohibicję, wywołując więcej szkód niż pożytku, a przede wszystkim przyczyniając się do niebywałego rozkwitu szmuglu i gangsterstwa w USA. Prezydent, kokietując klasę robotniczą, obiecywał też reformy socjalne. I oczywiście neutralność w polityce zagranicznej.

Hearst miał jednak własne plany i z Dawesem, nazwanym po odwołaniu prohibicji „podwójną szkocką”, nie było mu po drodze. A ściślej mówiąc – było mu po drodze, ale na bardzo krótkim odcinku. W dodatku sprzyjało mu szczęście. Udało mu się znaleźć sojusznika i zwolennika swoich planów – trzydziestoparoletniego Johna Edgara Hoovera, dyrektora Biura Śledczego, pierwszej amerykańskiej policji ponadstanowej, przemianowanej wkrótce na Federalne Biuro Śledcze – FBI.

Czy obaj maczali palce w zabiciu Coolidge’a – nie ma dowodów, w każdym razie Dawesa załatwili w sposób, który mógł zadziwić największych mistrzów intrygi. Nie mam pojęcia, czy wykorzystali przypadek, czy też dokonali misternie skonstruowanej prowokacji. W każdym razie zniecka ujrzały światło dzienne dowody homoseksualnych zainteresowań urzędującego prezydenta. W dodatku jeden z jego „przyjaciół”, niejaki Mason, został przyłapany publicznie na uprawianiu seksu z nieletnim. Jakby tego było mało, pytanie na temat Forestera Masona zadała młoda dziennikarka podczas prezydenckiej konferencji prasowej transmitowanej na żywo przez radio. Zaskoczony Dawes zapomniał języka w gębie, zaczął się plątać w wypowiedzi, plótł jakieś bzdury, wreszcie uciekł. Następnego dnia podał się do dymisji, a William Randolph Hearst został pierwszym amerykańskim prezydentem niewybranym przez naród. „Silny człowiek” mógł przystąpić do akcji. Postawić tamę bolszewizmowi!

Hoover, który już wcześniej pod hasłem „walki z gangsteryzmem” wziął się energicznie do roboty, wyposażony w takie instrumenty,

jak instytucja prowokacji policyjnej czy świadka koronnego, teraz bardzo szybko zabrał się za ujawnianie głównego przeciwnika. Rozmiar komunistycznych spisków zaskoczył Amerykę nie mniej niż atak na Wielką Brytanię. Zdemaskowano kilkadziesiąt (później kilkaset) wpływowych postaci polityki i kultury pozostających na żołdzie Moskwy. A tandem panów H-H nabierał impetu. Uchwalona przez Kongres 5 maja 1928 roku dwudziesta poprawka do Konstytucji „O szczególnej ochronie ludności, terytorium i bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych” przyznała ogromne uprawnienia władzy wykonawczej i FBI. Dawała ona możliwość internowania, bez wyroku sądowego, elementów groźnych dla ładu politycznego, a także możliwość wydalania osób, zwłaszcza nieposiadających amerykańskiego obywatelstwa, a stanowiących zagrożenie dla państwa. Tolerując napływ uciekinierów z Europy, pozbawiono tego przywileju jedną, dotąd wpływową nację – Żydów.

\*

Mogło się wydawać, że Naród Wybrany nigdy nie miał korzystniejszych warunków do rozwoju niż w pierwszej połowie XX wieku. Dzięki deklaracji lorda Balfoura z 1917 roku i aktywności prezesa Brytyjskiej Federacji Syjonistycznej barona Rotszylda, trwające blisko dwa tysiące lat marzenie o powrocie Żydów do Syjonu i stworzeniu tam własnego państwa stało się rzeczywistością. Projekt udało się zrealizować tym łatwiej, że inicjatywa budowy państwa żydowskiego w Palestynie cieszyła się również poparciem w bolszewickiej Rosji. Trocki upatrywał w migracji Żydów szansy na upieczenie dwóch pieczeni przy jednym ogniu – pozbycie się elementów niepopierających komunistycznego eksperymentu i zyskanie ważnego przyczółka na Bliskim Wschodzie. Emigracja do Palestyny, zrazu słaba, zmieniła się w roku 1920 w potężną falę, wywołując gwałtowne protesty zamieszkałych na tym terenie Arabów. Ale kto przejmowałaby się tą, jak powiedział Churchill, „garstką brudasów

na wielbłądach”. Popierana była forma socjalistycznych gospodarstw – kibuców. Wkrótce osadnicy, zarówno miejscy, jak i wiejscy, dysponowali własną armią, a w roku 1922 uformowali rząd państwa Izrael. W kolejnych, zwycięskich wojnach w latach 1922-1924, 1932, 1941 ze skłóconymi i kiepsko uzbrojonymi Arabami zbudowano prawdziwe minimocarstwo, obejmujące całą tradycyjną Palestynę, Liban i sporą część Syrii, z Damaszkiem włącznie, zdobywając zasięg większy niż za czasów króla Salomona. Obszar ten na początku lat czterdziestych zaludniony był przez około 20 milionów Żydów. W dodatku powstała republika spełniała przez wiele lat rolę pomostu między światem komunistycznym a burżuazyjnym. Tam, głównie do Bejrutu, okupowanej w 1928 roku Szwajcarii przeniosły się najważniejsze banki. Tam toczono tajne negocjacje, wymieniano szpiegów. Pomagał tu niezwykle pragmatyzm żydowskich elit, niemających powodu kochać ani Rosjan – zoologicznych antysemitów, ani Amerykanów, którzy zachowali się tak podle. Robiono więc interesy z obiema stronami, aż do lat pięćdziesiątych ciesząc się zrównoważonym poparciem Wschodu i Zachodu, co pozwalało lekceważyć otaczające ich morze arabskie, wściekłe, ale bezradne wobec Żandarma Bliskiego Wschodu.

Na przełomie lat dwudziestych stosunki żydowsko-amerykańskie cechowała werbalna nienawiść, nie przeszkadzając wszakże korzystnym biznesom. Poprawka z roku 1928 „O szczególnej ochronie ludności, terytorium i bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych” nie tylko praktycznie zamknęła USA na emigrację Żydów, lecz także zapoczątkowała ich exodus. Aktywistów Komunistycznej Partii USA wyłapano najwcześniej, a już 12 września tego roku, dzień po storpedowaniu (prawdopodobnie przypadkowym) pasażerskiego transatlantyku „Filadelfia”, w atmosferze hysterii i spekulacji na temat możliwości sowieckiej inwazji w Ameryce, podjęto decyzję o internowaniu całej mniejszości etnicznej, nazywanej „koniem trojańskim Kominternu”. Towarzyszyła tej akcji gigantyczna kampania propagandowa. W artykułach, karykaturach, audycjach

radiowych i filmach przypomiano stereotyp Żyda lichwiarza, wiecznego spiskowca. Ukazywały się kolejne dodatki do Protokołów Mędrców Syjonu, prasa brukowa bredziła o rytualnych mordach, a Ezra Pound napisał tyle głośny, ile demagogiczny wiersz ze znamieną frazą „Kiedyś zatruli studnie, a dzisiaj mózgi”. Hearstowi nie przeszkadzało to, że jego liberalni przeciwnicy nazywali go Neronem (nota bene Hoover dorobił się przydomku Torquemady) i, mimo że zagrożenie bezpośrednim atakiem sowieckim było czysto iluzoryczne, doprowadził, zresztą w porozumieniu z władzami państwa Izrael (tajny protokół z Puerto Rico), do emigracji większości Żydów amerykańskich do Izraela. Opuszczający Amerykę otrzymywali sowite odszkodowania, dzięki którym Izrael szybko stał się najbogatszym państwem na kuli ziemskiej.

Nie gorszą koniunkturę od syjonistów przeżywali Żydzi wykorzenieni bądź zasymilowani, z których setki tysięcy zaangażowało się w ruch komunistyczny. Gwoli ścisłości nie wszyscy. Sporo znalazło się w szeregach polskiego wojska na Zachodzie, a na zaniedbanym cmentarzu w Stuttgarcie, w kwaterze naszej armii, znajduje się 280 nagrobków z gwiazdą Dawida. Wszelako, jak ktoś skrupulatnie policzył, „internacjoniści” stanowili 74% pracowników centrali Międzynarodówki Komunistycznej, znajdującej się od roku 1931 w wyzwolonej z rąk kapitalistów Genewie. Przy okazji zniknęły też wszystkie zegarki...

Jeszcze większy był ich udział w kierownictwach władz bezpieczeństwa i wymiarze sprawiedliwości krajów komunistycznej Europy. Dość powiedzieć, że w warszawskiej palestrze w połowie lat czterdziestych pracowało ledwie dwudziestu gojów. Ja byłem dwudziesty pierwszy. Choć moja inteligencja i poczucie humoru sprawiały, że mogłem uchodzić za szabesgoja. Biorąc pod uwagę tradycyjny rosyjski antysemityzm, w mniejszym nasileniu występujący w innych państwach Europy, taka dysproporcja stanowiła zarzewie potencjalnych konfliktów. Poza tym między frakcjami „narodowców” a „internacjonałów”

(tak eufemistycznie określano owe grupy na Kremlu i pomniejszych „kremlikach”) cały czas toczyła się wojna podjazdowa, którą, jak zwykle nieoceniony, Churchill nazwał „walką buldogów pod dywanem”.

Przejęcie władzy przez trio Kirow-Bucharin-Tuchaczewski i odesłanie Stalina na podrzędne stanowisko pierwszego sekretarza Komunistycznej Partii Gruzji oznaczało przynajmniej formalne zwycięstwo frakcji narodowej. Nie miało jednak większego wpływu na zmianę rewolucyjnego kursu. Wprost przeciwnie. Jak już pisałem, forsowano intensywną industrializację i kolektywizację, co zresztą zaowocowało serią klęsk głodowych.

Tymczasem lata mijały, a do upragnionego komunizmu, wraz z zapowiadającym dobrobytem, równością i swobodami obywatelskimi było ciągle daleko. Ponieważ ojcowie założyciele – Lenin i Trocki (spoczywający obok siebie w mauzoleum) – mylić się nie mogli, wypadało poszukać winowajców gdzie indziej. I nie trzeba było czekać za długo.

„Przeгляд kadr partyjnych”, jak eufemistycznie nazwano tzw. wielką czystkę, rozpoczął zamach w Tbilisi w 1935 roku, którego ofiarą padł pierwszy sekretarz Komunistycznej Partii Gruzji Józef Stalin.

„Soso” jak nazywano go w dzieciństwie vel „Koba” – tak mówili o nim nieliczni przyjaciele – zginął w tajemniczych okolicznościach, podczas odwiedzin matki w swoim starym domu w Gorii. Zasztyletowali go nieznanymi sprawcy, po tym jak ktoś odwołał ochronę. Jedna legenda mówiła o „mścicielach z gór”, inna o komandzie Turków. Dużo później wyszło na jaw, że przygotowywana była poprawka w postaci bomby, podłożonej na głównym prospekcie gruzińskiej stolicy, tam gdzie on sam przed laty rozpoczynał swoją karierę od podkładania bomb. Ale jakakolwiek „poprawka” okazała się niepotrzebna. Oczywiście, jak zwykle przy takich okazjach, bezpośrednich sprawców zamachu nie znaleziono. Dużo wskazywało na udział ludzi z Czecha, kto wie czy nie maczał w tym palców sam Sergo

Ordżonikidze, który parę dni później w tajemniczych okolicznościach popełnił samobójstwo. Jednak nikt nie zajmował się poszukiwaniem prawdy. Zamach posłużył ekipie Kirowa do ataku na kontrrewolucjonistów, sabotażystów, szkodników i dywersantów, którzy zdradziecko ukryli się w szeregach partii. Równocześnie Bucharin ogłosił odkrywczą tezę „o zaostrzeniu się walki klasowej w ramach budownictwa socjalistycznego”. Represje, zapoczątkowane przez tzw. proces jedenastu czołowych przywódców KP Gruzji, którym przyszyto łąkę „inspiratorów zbrodni”, szybko objęły Rosję centralną i sięgnęły szczytów partii. Po dramatycznym plenum w grudniu 1936 roku usunięto z partii grupę starych komunistów: Zinowiewa, Kamieniewa, Radka, przypadkowo wszystkich pochodzenia żydowskiego. Osadzono ich w aresztach domowych. Procesy, zrazu toczone zgodnie z procedurami, w których ferowano umiarkowane kary, nabrały rozmachu w roku 1937, kiedy generalnym prokuratorem został eksmienszewik Andriej Wyszyński, a rolę szefa GPU (w które przekształciło się Czeka) przejął, oskarżany pokątnie o aranżację zabójstwa Stalina, drugi sekretarz KP Gruzji Ławrientij Beria. Jego poprzednik na Łubiance Gienrich Jagoda został aresztowany, osadzony i stracony.

Przykład idący z góry miał swoje doniosłe konsekwencje w całej Rosji i okolicach. A im dalej docierały, tym były bardziej okrutne. To wtedy powołano słynne „trójki”, sądzące metodą taśmową, niedające najmniejszych szans obrony podsądnemu. W trakcie tzw. wielkiej czystki zginęło wiele milionów ludzi, a większość wpływowych Żydów straciła swoje posady. Inni przezornie zmieniali nazwiska i poddawali się zabiegom chirurgicznego przywracania napletka...

Tymczasem ponownie zaostrzyła się sytuacja międzynarodowa. Po opanowaniu w latach trzydziestych Grecji, podjęto próbę przewrotu w Turcji i w Iranie. Z początkiem października 1936 roku pałac Ahmad Szaha w Teheranie został zajęty przez spiskowców pod wodzą generała Rezy Pahlawiego, wspieranego po cichu przez Sowietów, a prezydent Turcji Mustafa Kemal,

zwany Atatürkiem, zginął w Stambule od strzału zamachowca. Jednak dobra koniunktura dla Sowietów nareszcie się skończyła. W obu wypadkach przewrót zakończył się niepowodzeniem. Fatalna pogoda w rejonie Morza Czarnego uniemożliwiła Rosji szybkie zajęcie cieśnin, co wykorzystali Amerykanie, wprowadzając swoją flotę i wspierając działania Międzynarodowej Legii Cudzoziemskiej. Napastnicy zostali odparci i powrócił dawny porządek rzeczy. Parę lat później na Dalekim Wschodzie wspieranie przez Komintern komunistycznej partyzantki w Chinach doprowadziło do konfliktu z Japonią. W listopadzie 1938 roku, w bitwie nad jeziorem Chałchyn-goł, Rosjanie ponieśli druzgocącą klęskę, a ich dowódca generał Żuków trafił do niewoli. Wojska japońskie opanowały Władywostok i kraj Nadamurski, wylądowały też na Kamczatce... Wybacz synu, że piszę o tym wszystkim tak obszernie. Jest mi podwójnie głupio, jako że ja historyk amator – ośmielam się pouczać profesjonalistę. Jednak, z tego co wiem, nie miałeś dotąd okazji, aby zapoznać się z większością wspomnianych faktów, albo znasz je w formie, której nie zawaham się nazwać smutną karykaturą.

W waszych podręcznikach próżno by szukać na przykład opisu obalenia ekipy Kirowa. Zarówno on, jak i Tuchaczewski do dziś mają swoje ulice, pomniki i szczyty górskie. Duża w tym zasługa diabelsko inteligentnego Berii – który, osadzając Kirowa w areszcie domowym po przewrocie dokonanym w 1939 roku, a potem systematycznie go trując – nie odbierał mu ani, czci ani zaszczytów. Podobnie stało się z Tuchaczewskim. Krótco był przewodniczącym Rady Najwyższej, a w roku 1941 został głównodowodzącym frontu wschodniego. Tam bolszewikom działało się najgorzej; Japończycy i sprzymierzeni z nimi Chińczycy z Kuomintangu dotarli już do Bajkału, a przez Kotlinę Dżungarską zagrozili Kazachstanowi. Tuchaczewski odniósł wprawdzie kilka zwycięstw, ale powiadomiony przez przyjaciół z Moskwy, że jego los został przesądzony i że pismo wzywające go do stolicy (czytaj: na Łubiankę) znajduje się w drodze, postanowił zbiec do Chin.



Jego samolot zestrzelono nad Mandzurią. Oczywiście w twoich podręcznikach stoi, że poległ w katastrofie wywołanej burzą piaskową podczas inspekcji frontu tuwiańskiego. I pewnie tak już zostanie. Bardziej poszczyliło się Bucharinowi – wyblągawszy u Berii posadę ambasadora w Indiach, przy pierwszej okazji oddał się w ręce Amerykanów i do dziś pełni tam rolę dyżurnego sowietologa. Przy okazji – wraz z nim zbiegł do USA attache kulturalny ambasady, uzdolniony literat Michaił Bułhakow, twórca całego kierunku fantastycznego kina w Hollywood, autor znakomitej serii tragikomedii o diable Wolandzie sterującym wydarzeniami na Ziemi.

Lata 1941-1943 w całym Eurosocu wydawały się okresem kolejnej „pieriedyszki”. Represje wyhamowano, poprawiła się pozycja Żydów. Do ścisłego kierownictwa, składającego się obecnie z osobników bezbarwnych, tak jakby odlanych z jednej komunistycznej formy, wrócił nawet Jewrirej Lazar Kaganowicz. W Polsce po Adolfie Warskim, straconym w roku 1938, stanowisko genseka czy raczej generalnego gubernatora objął prawnik Teodor Duracz, chociaż praktycznie wielkorządcą został Konstantin Rokossowski, utalentowany dowódca wojskowy, który z dnia na dzień dowiedział się, że ma pełnić obowiązki Polaka. Resztki narodowych odrębności zachowanych przez Dzierżyńskiego, teraz zaczęły zniknąć. To, że nie zniknęły zupełnie, możemy zawdzięczać tarapatom, w jakich znalazł się komunizm dzięki doktrynie MacArthura.

W roku 1940 Randolph Hearst wygrał po raz kolejny wybory prezydenckie i rozpoczął swoją czwartą kadencję. Nie ulega wątpliwości, iż dwanaście lat jego rządów zmieniło kraj i starsi Amerykanie musieli przyznać, że współczesne Stany zupełnie nie przypominają krainy ich młodości.

„Czy warto bronić demokracji, za cenę rezygnacji z demokracji?” pisał w jednym z swych płomiennych apeli pisarz Ernest Hemingway, odsiadujący ciężki wyrok za współpracę z rosyjskim wywiadem w więzieniu Alcatraz. Ale czy było inne wyjście? Chcąc zwyciężyć w historycznym starciu, Ameryka musiała stać

się zmilitaryzowana, konserwatywna i biała. „Nie da się walczyć puddingiem z piłą tarczową” – mawiał Hoover. Po usunięciu Żydów zajęto się Murzynami, których objęto w latach trzydziestych wielkim programem „Powrotu do korzeni”. Czarnoskórzy mieszkańcy USA otrzymali szansę, by zamiast obywatelami drugiej kategorii stać się panami świata. Kto chciał, mógł zaciągnąć się do Legionu Amerykańskiego pacyfikującego Latynoamerykę i w krótkim czasie stać się tam członkiem miejscowej elity, otrzymując ziemię i kredyt na otwarcie własnego interesu. W ciągu piętnastu lat z szansy tej skorzystała większość czarnoskórych Amerykanów. W kolejnych generacjach wielu z ich potomków wyrosło na wybitnych przywódców Peru, Wenezueli czy Boliwii.

Krucjatę w Ameryce Łacińskiej zapoczątkowało zdławienie rewolucji meksykańskiej, a kolejne interwencje przyniosły realizację doktryny Monroe, głoszącej, jak wiadomo, hasło „Ameryka dla Amerykanów”. Wielką sławą okrył się tu generał Douglas MacArthur, od roku 1940 wiceprezydent u boku Hearsta. Do roku 1942 wszystkie kraje obu Ameryk (poza Gujaną) otrzymały status państw stowarzyszonych z USA, a Kongres Panamerykański w Panamie ogłosił, że do roku 2000 cała Ameryka winna stać się jednym organizmem militarnym, celnym, gospodarczym i politycznym.

Oczywiście transformacja nie przebiegała bez cierpienia. Interwencja w Meksyku kosztowała kilka milionów ofiar, jednakże wprowadziła ten biedny kraj na drogę dobrobytu. Demonstracje Murzynów z Alabamy i Luizjany, protestujących przeciw wyjazdom, opanowano bardziej politycznymi metodami. Podobnie strajki w Detroit lub Chicago. Inna sprawa, że przez cały ten okres trwała gigantyczna koniunktura, a prorocy ekonomiczni zapowiadający wielki kryzys pod koniec lat dwudziestych pomylili się haniebnie.

Gwoli ścisłości, kolejne autorytarne rządy Hearsta uporały się także z innymi wielkimi problemami. Szef FBI Hoover praktycznie zlikwidował mafię, kolejne ustawy

antymonopolistyczne ograniczyły potęgę wielkich koncernów, wprowadzając państwową kontrolę w sektorach strategicznych. Kara śmierci za produkcję i sprzedaż narkotyków zdławiła ten proceder w zarodku.

Cierpiała oczywiście wolność słowa. Hollywood, zdominowany przez koncern Walta Disneya, produkował głównie skrzące się pomysłami i nowinkami technicznymi produkcyjniaki. Amatorzy niezależnego kina musieli przenosić się do Kanady lub Australii. Tam również schronił się młody, zdolny radiowiec Orson Welles, ścigany przez FBI ze względu na swoje słynne słuchowisko „Wojna światów” poświęcone inwazji komunistycznej na Florydzie, które wprowadziło w stan paniki połowę Stanów i kosztowało nie mniej niż wojna z Argentyną.

Welles, wyklęty w swoim kraju i poszukiwany listem gończym, zemścił się na Hearście okrutnie, kręcąc w roku 1940 w australijskim Melbourne wstrząsający film „Obywatel Randolph” określany mianem „studium tyranii”.

Obraz był tak dobry i sugestywny (choć sceny spisku przeciw Coolidge’owi były mocno naciągnięte), że pociągnął za sobą ofiary. Hearst tak się nim przejął, że zmarł w noc po projekcji filmu w sypialni Białego Domu, a Hoover złożył rezygnację ze względu na zły stan zdrowia. Niezwłocznie zaprzysiężono nowego prezydenta, bohatera interwencji w Iranie, zdobywcę Baku i przejściowego gubernatora Erewania, generała MacArthura. „Odszedł demagog, przyszedł żołdak” – zapisał w swym więziennym pamiętniku Ernest Hemingway.

Było to z pewnością określenie krzywdzące. Douglas MacArthur był nie tylko wybitnym dowódcą i niezwykle odważnym człowiekiem, lecz także miał wizję. Nie wystarczyło mu powstrzymanie komunizmu przez Hearsta. Leninowski reżim należało zniszczyć i przynieść wolność wszystkim uciemiężonym ludom. I mogło mu się to udać.

W latach 1944-1945 wiele wskazywało na to, że upragniona wolność jest na wyciągnięcie ręki. W roku 1942 zawarto pakt w Hongkongu pomiędzy Stanami, Japonią a kuomintangowskimi

Chinami. Za cenę Syberii i Mandżurii Japończycy wycofywali się z Pekinu, obiecując pomoc Czang Kai-Szekowi w zdławieniu resztek komunistycznej partyzantki. Uznano także pretensje Chin do Azji Środkowej, Kazachstanu i Pogórza Pamirskiego.

Amerykanie natomiast dostali wolną rękę w sprawie Indochin...

W ciągu 1944 roku walki na Dalekim Wschodzie nabrały przyspieszenia, a Sowieci ponosili kolejne, ciężkie straty.

Amerykanie i Anglicy umacniali pozycje w północnej Afryce i rozbudowywali bazy w Turcji oraz Iranie.

W Europie „zimna wojna” zmieniła się w gorącą po incydencie w rejonie Malty w lutym 1945. Wyglądało na to, że admirał sowiecki, który wydał rozkaz zaatakowania amerykańskiego lotniskowca, był szaleńcem. W każdym razie na odpowiedź nie trzeba było czekać. Na przełomie kwietnia i maja 1945 roku walki na dobre przeniosły się na teren Europy. Koalicja zaatakowała od strony miękkiego podbrzusza. Błyskawicznie oswobodzono grecki Peloponez i Sycylię. Turcy wkroczyli do Tbilisi, a Persowie ponownie do Erewania. W czerwcu wyzwolono Ateny, w lipcu Sofię i Belgrad...

Reszta Europy nie przyglądała się temu beczynnym, władze popadły w panikę, a społeczeństwa upomniały się o swoje prawa. Wybuchły antykomunistyczne powstania w Madrycie, Rzymie, Krakowie...

Kierownictwo Eurosocu zdawało się tracić głowę. Nagle pojawiły się dawno niesłyszane akcenty patriotyczne. Otwarto cerkwie i część kościołów. Wyszedł dekret o drobnej przedsiębiorczości zwany drugim NEP-em... Czy cokolwiek mogło przeszkodzić rozpadowi czerwonego imperium?

Również w Azji latem 1945 roku sytuacja bolszewików wyglądała naprawdę nieciekawie. Japończycy dochodzili już do Uralu, Chińczycy zajęli Ałma Atę. Dwudziestego drugiego lipca desant generałów Eisenhowera, Pattona i Montgomery'ego wylądował na plażach Bretanii i szedł jak burza w kierunku serca Francji.

Mówiono o buntach w wojsku rosyjskim... W Paryżu już szykowano flagi na powitanie zwycięzców i mrożono szampana

czekający na ten moment od lat.

Warszawa – spiała, chłopsko-robotnicza, zaludniona wyrosła na czerwonym oborniku klasą urzędniczą, pozbawiona przywódców – czekała. Dni były gorące, noce krótkie. Jednak nie miałem wątpliwości, że pewnego dnia wybuchnie jak wulkan, wyleje się na ulice, powywiesza na latarniach kolaborantów i ciemężycieli. Choć obawiam się, że latarni mogłoby zabraknąć... W domach podczas długich nocnych rozmów czyniono zakłady, kiedy szlag trafi komunę – we wrześniu czy dopiero w październiku?

Niestety... Do dziś dnia ludzie zachodzą w głowę, czy była to osobista interwencja szatana?

Jeszcze w 1940 roku do rąk Berii trafił list Alberta Einsteina, kiedyś znakomitego naukowca, aktualnie łagiernika ośrodka reedukacyjnego numer 1324. Einstein, który w roku 1923 uciekł z Europy do USA, a następnie opuścił USA, kierując się do Izraela, jesienią 1932 roku, skuszony katedrą na uniwersytecie w Leningradzie, wybrał ostatecznie sowiecką Rosję, gdzie, trzeba przyznać, stworzono mu znakomite warunki do prowadzenia badań. Na krótko. Jak wielu jego współbraci, został aresztowany w trakcie tzw. wielkiej czystki. Oskarżony o szpiegostwo na rzecz Ameryki dostał 10 lat łagru. Jednak nie pogodził się z wyrokiem. W liście wysłanym do Berii, a następnie podczas słynnej rozmowy na Łubiance w styczniu albo w lutym 1941 roku, o której krążą legendy (Bucharin dowiedział się o niej już będąc w USA), złożył sowieckiemu przywódcy interesującą ofertę. Stawką miała być wolność jego i jego ludu. Cenę miał zapłacić cały świat.

Znamienne, że represje wobec Żydów skończyły się, jak ucięte nożem, z początkiem 1941 roku. Jednocześnie w całej Europie rozpoczęła się prawdziwa łapanka na fizyków. Ściągano ich do tajnego ośrodka pod Moskwą i zatrudniano w supertajnym programie „Połtawa”.

Pierwszego sierpnia 1945 roku nad miastem Cherbourg w Normandii wykwitła kula ognia, niszcząc wszystko i zabijając ponad 100 tysięcy żołnierzy antysowieckiego desantu. Trzeciego sierpnia ognista śmierć spadła na obóz chiński w Kazachstanie.

Szóstego sierpnia siłę bomby atomowej poznali Japończycy szturmujący Nowosybirsk. Nazajutrz nuklearne przebudzenie nastąpiło na Bałkanach.

Nie udał się jedynie atak na Londyn. Dziewiątego sierpnia polski pilot Stanisław Skalski stracił rosyjską maszynę, kierującą się na stolicę Zjednoczonego Królestwa. Samolot spadł na polach Kentu, a wybuch bomby zabił jedynie kilkuset wieśniaków. Era atomowa stała się faktem.

Dziesiątego sierpnia na falach Radia Moskwa i wszystkich afiliowanych z nią rozgłośni usłyszano ultimatum sekretarza Kaganowicza. Sowietci nie żądali wiele. Utrzymania status quo, zwrotu Syberii oraz deklaracji uznających Europę za wyłączną strefę ich wpływów. Rozejm, zawarty w Tangerze 1 października tego samego roku „przyklepał” warunki Kremla.

Świat został trwale podzielony. Czy nie skapitulowano zbyt pochopnie? Odsyłam cię do pamiętników MacArthura czytanych w radio Wolna Polska. Rosjanie nie mieli już więcej bomb. Do wyprodukowania następnych potrzebowali miesięcy. Tylko kto o tym wiedział?

Chociaż istniała wskazówka. Dlaczego, dysponując nuklearną przewagą, nie poszli dalej? Co powstrzymywało Kreml przed ekspansją?

Trudności wewnętrzne? Niepokoje na zapleczu? A może zwyciężyły rachuby, że za parę lat Komintern na spokojnie podyktuje światu warunki kapitulacji, spełniając marzenia Lwa Trockiego?

Po Moskwie kursowała w tym czasie anegdotka, oddająca nastroje zachodniego przeciwnika: „Lepiej być czerwonym niż martwym – powiedział rak, wskakując do garnka z wrzątkiem”.

Nie doceniono Amerykanów. Tylko pozornie pogodzili się z przegraną, zdając sobie sprawę, że najważniejsze jest zyskanie na czasie. Monopol Sowietów nie miał trwać długo.

Zresztą MacArthur już dużo wcześniej dostrzegł niebezpieczeństwo, choć chyba nie do końca zdawał sobie sprawę, jak jest bliskie. Stąd pośpiech z antykomunistyczną krucjatą.

Również dlatego jeszcze w 1944 roku z Izraela ściągnięto Oppenheimera, a w Chicago nieograniczone środki otrzymał dla swych badań nad konstrukcją reaktora Enrico Fermi.

Zorganizowano gigantyczne sumy, zgromadzono naukowców, zapewniono tereny doświadczalne.

Półtora roku później wiadomość nadana do Białego Domu z poligonu w Nevadzie brzmiała: „Sukces. Nie jesteśmy już bezbronni!”.

VII

Paskudny poniedziałek

Sen zmorzył mnie koło drugiej. Najchętniej czytałbym dalej, jednak odcyfrowywanie ręcznego pisma, mimo nienagannej kaligrafii Ojca, okropnie męczyło oczy. Poza tym czekał mnie ciężki dzień na uczelni, a przecież ciągle byłem studentem pilnym i subordynowanym.

Jednym z wyznaczników naszego wyjątkowego statusu było to, że mleko, świeże bułki i gazety znajdowaliśmy co rano przed drzwiami. Prosta rzecz, a niedostępna dla większości mieszkańców blokowisk. Od paru lat prasa stanowiła nieodłączny dodatek do kawy i bułek z twarożkiem i, jak dotąd, nie szkodziła mi na apetyt. Tego dnia jednak serek wydał mi się nieświeży.

Wielkie nagłówki na pierwszej stronie „Proletaryatu” głosiły: „Stop dla syjonistycznych knowań!”. Wydrukowano też uchwałę IX Plenum KPP, które odbyło się w niedzielę.

Nie oglądałem tego dnia telewizji, więc jej treść stanowiła dla mnie spore zaskoczenie. W referacie pierwszego sekretarza KC KPP Marszałka Polski Rokossowskiego wybito tłustymi wersalikami kilka tez: „Wzmóc czujność partyjną”, „Wróg ukrył się wśród nas”. Na dalszych stronach przeczytałem więcej o zdemaskowaniu klikii antypartyjnej – dwóch członków politbiura i dwunastu członków KC podało się do dymisji. Obok ich pospolicie brzmiących nazwisk: Jabłoński, Kowalski, Rybicki

dodano w nawiasach również nazwiska rodowe: Apfelbaum, Hammer, Fiszer...

Nazwiska Aaron Finger nie znalazłem na tej liście, dopiero nieco później zauważyłem, że znikło ze stopki redakcyjnej partyjnego dziennika. A przecież jako wicekomisarz Kultury i Sztuki należał do kolegium. Resztę artykułów zamierzałem przeczytać w pociągu. W wagonie zauważyłem jeszcze kilkunastu takich jak ja pożeraczy druku, skupionych, milczących i niechętnych do dzielenia się opiniami.

Na Olszynie Grochowskiej wsiadł beznogi akordeonista i, ledwie ruszyliśmy, rozciągnął swój instrument. Hałaśliwy jęk przebił się przez stukot kół, a zaraz po nim rozległ się chropawy śpiew:

„Piątego lutego, chętnie bez przymusu  
wydupczyły Żydki biednych Arabusów.  
Złomotały szejków, przyodzianych w kiecki,  
aż gubili oręż, świetny, bo radziecki.  
Widzą nawet u nas, to już nie przelewki,  
i że mogą Żydki wrócić na Nalewki.  
Zająć znowu Leszno, Grzybów i Muranów,  
odgonić od żłoba Ruskich oraz chamów.  
Ale partia czuwa, partia wstaje z kolan,  
i wygoni Żydków aż na wzgórza Golan...  
Czuyność oraz pała – najlepszym lekarstwem.  
Tylko co się stanie z Trockim oraz z Marksem.”

Słuchano z kamiennymi twarzami, zachowując pozorną obojętność. Inwalida czy nie inwalida, mógł być prowokatorem. Zaklaszczesz takiemu, wrzucisz monetę do kapelusza, a on ci blachą w oko błysnie i warknie: „Służba bezpieczeństwa, obywatel pozwoli ze mną”.

Naraz zobaczyłem, jak przez gęsty tłum przecisnął się młodzieniec z gęstą, czarną brodą. Paweł Bagiński! Syn profesora Bronisława Bagińskiego, znakomitego językoznawcy, mój kolega z roku. Prymus, studiujący dodatkowo archeologię



śródziemnomorską. Trudno powiedzieć, że byliśmy przyjaciółmi. Chyba ceniliśmy się nawzajem i trochę rywalizowaliśmy podczas zdawania egzaminów. Paweł należał do nielicznych, którzy nie pogratulowali mi „Poematu o Dzierżyńskim”. Miał zresztą powód, żeby za mną nie przepadać. Był jednym z chłopaków Nadii, wprawdzie jakiś rok przede mną, ale rzadko kiedy lubi się swoich „szwagrów”. Nie miałem pojęcia, że jedzie w sąsiednim wagonie, choć parę razy zdarzyło mi się go spotkać na tej linii. Paweł wyjął dziesięć euro i rzucił do kapelusza harmonisty.

Impulsywnie poszedłem w jego ślady. Trudno opisać, co się porobiło. Pasażerowie dosłownie poszaleli, tracąc klasową czujność i nabytą przez lata ostrożność. Kiedy wysiadałem na Powiślu, inwalida odłożył instrument, próbując zebrać pieniądze zaścierając podłogę. Musiał się śpieszyć, na nieruchomych ruchomych schodach zobaczyłem trójkę mundurowych, pędzących w stronę pociągu. Rozejrzałem się za Pawłem. Znikł bez śladu.

\*

Nadia Finger nie pojawiła się na wykładzie o marksistowskiej filozofii; co ciekawe, odwołał swoją obecność (ze względu na stan zdrowia) również profesor Adam Schaff, do poprzedniego tygodnia bezlitosny kat wszelkich odchyłeń od głównego kursu. Zamiast niego ćwiczenia poprowadziła doktor Budziszowa, przezwisko „Minoga”, bezbarwna kobieta w wieku nieokreślonym, która przez półtorej godziny bredziła o socjalistycznej etyce, nawet nie usiłując przekonywać nas, że coś takiego istnieje. Potem był lektorat starocerkiewno-słowiański i ćwiczenia z dziejów feudalizmu (bardzo ciekawe, jak zwykle u profesora Małowista).

Po południu Włodek Rybarczyk, zastępca Nadii, zwołał zebranie wydziałowego Komsomołu z udziałem studentów – członków organizacji partyjnej. Referat wygłosił jakiś ponury typek przysłany z KC, nazwiskiem Gontarz. W swoim wystąpieniu

skupił się na zjawisku „konia trojańskiego”.

W środowisku przyszłych historyków nie muszę szerzej rozwijać tego terminu – mówił. – Zwrócę uwagę jedynie na dwa jego elementy, dominujące w całej tej historii: kłamstwo i zdradę. Nie da się ukryć, że syjoniści (słowo to podkreślał z lubością) do perfekcji doprowadzili technikę kamuflażu. Żyli wśród nas, często rządzą nami, mając w istocie na względzie wyłącznie korzyści własne i dobro państwa Izrael. Dziś trzeba z całą jaskrawością uwypuklić element trzeci – wysługiwanie się zbrodniczemu imperializmowi amerykańskiemu.

Popatrzyłem na siedzącego opodal Grzesia Majewskiego, który zazwyczaj z rozanieloną miną nieomal pił słowa z ust prelegenta. Dzisiaj jednak nawet on wyglądał na lekko zaskoczonego.

Tak, towarzysze! – kontynuował Gontarz. – Jakkolwiek dziwnie to zabrzmie – rzekomy exodus Żydów z Ameryki był w istocie podłą mistyfikacją, wynikającą ze zmyślenia elit. Czymże bowiem było powstanie owego sztucznego tworu, który zawłaszczył prastare ziemie arabskie, jeśli nie budowaniem forpoczty międzynarodowego kapitału? Czymże był masowy udział syjonistów w ruchu robotniczym, jeśli nie próbą zdominowania go i podporządkowania własnemu celowi, po to by rządzić światem. Jeśli pod tym kątem prześledzimy historię WKP(b) znajdziemy mnóstwo dowodów świadczących o obecności czynnika rozkładu, pasożyta żerującego na zdrowym ciele klasy robotniczej.

– A Marks? – wyrwało się komuś z tylnych rzędów.

– W każdym narodzie zdarzają się jednostki wybitne, idące pod prąd. Równie dobrze mógłby kolega wymienić Jezusa Chrystusa, pod warunkiem że nie był on wytworem późnożydowskiej legendy. Powróćmy jednak do współczesności. Zarówno kamuflaż, owo chowanie wilczej paszczy w owczej skórze, jak i cierpliwość międzynarodowej wspólnoty trwały zbyt długo. Wojna lutowa, zajęcie Kanału Sueskiego przepełniły tę czarę. Dość pobłażliwości! Właściwą drogę wskazały nam odważne posunięcia kierownictwa WKP(b). Zdemaskowanie syjonistycznej klikki również u nas, w łonie Komunistycznej Partii Polski,

upoważnia nas do wzniesienia okrzyku – „Koniom trojańskim nie!”. Jeśli komuś nie podoba się pokojowe budownictwo socjalistyczne, my go tutaj nie trzymamy. Nieprawdaż, towarzysze?

Rozległy się brawa, zrazu słabe, ale potem wyrównały się, stały się rytmiczne, wszyscy powstali, ja też klaskałem, jak inni. Oczywiście myślałem swoje, tylko po co miałbym się wychylać? Po zebraniu wracałem korytarzem i nawet nie zauważyłem uchylonych drzwi, dopóki nie wysunął się z nich profesor Piazzoli i gestem nie zaprosił mnie do środka. Od pewnego czasu nasze kontakty przekroczyły poziom relacji wykładowcy i studenta, awansowaliśmy do ról mistrza i terminatora.

Orlando Piazzoli był uznawany na naszym wydziale za prawdziwą legendę. Zdażył być w Egipcie, zanim jeszcze nastały nowe czasy. Powiadają, choć nie potwierdzają tego źródła, że jako jednego z pierwszych dopuszczono go do grobowca Tutenchamona.

Jednak nie padł ofiarą słynnej klątwy faraona. Zdażył jeszcze zrobić doktorat w Bolonii, potem gdzieś przepadł w rewolucyjnej zawierusze, ale po kilkunastu latach, o których wolał nie wspominać, odnalazł się jako papuczyk wśród awangardy postępowej ludzkości. Nieco później dowiedziałem się, że praktyką władz Kominternu było tasowanie ludzi. Jednostkom naprawdę wybitnym, choć o niesłusznym pochodzeniu i kłopotliwym życiorysie, pozwalano pracować w zawodzie, ale poza swoim środowiskiem. Stąd na przykład Ortega y Gasset wykładał w Pradze, von Ossietzky – póki żył – w Budapeszcie, a Piazzola w Warszawie. Okrągłutki i rumiany, nieprawdopodobny erudyta, uwielbiany był przez studentów i przez studentki – mimo że zbliżał się do siedemdziesiątki. Wszystkich urzekał jego niepowtarzalny akcent, z jakim wybornie mówił po polsku.

– Przykra sprawa – powiedział półgłosem, tak jakby patrzący z portretów klasycy marksizmu-leninizmu mogli nas podsłuchać.

– Chciałem cię prosić, Martino, żebyś zachował zimną krew, nie poddał się emocjom i cały czas zdawał sobie sprawę z proporcji naszego krótkiego życia wobec ogromu historii. Czymże jest

nawet stulecie wobec sześciu tysięcy? Wielcy faraonowie są dziś jedynie nazwiskami na liście Menethona, ale piramidy stoją... Nie miałem pojęcia, do czego pije. Do sprawy Żydów czy do mojego romansu z Nadią?

– Pamiętaj – zakończył – jeśli będziesz miał jakieś problemy, przychodź do mnie, wspólnie spróbujemy temu zaradzić.

Nie miałem szansy zareagować ani zapytać, o co mu chodzi, bo zajrzała sekretarka, zapraszając profesora do dziekana. Piazzoli poprzestał na uśmiechu i poklepaniu mnie po plecach.

Ruszyłem w stronę szatni, wracając do swoich poprzednich myśli. Zastanawiałem się przede wszystkim nad tym, dlaczego do antysemickiej hecy dochodziło właśnie teraz. O poprzedniej akcji tego typu dowiedziałem się, pisząc artykuł o dekolonizacji.

Dostałem na parę dni prawo do korzystania z prohibitów. Nie ze wszystkich, ale umożliwiono mi dostęp do naszych gazet z lat

1947-1948. I tam trafiłem na opis procesu Rosenbergów, pracowników z Dubnej pod Moskwą, którzy za judaszowe srebrniki sprzedali tajemnicę broni atomowej Stanom

Zjednoczonym. Razem z nimi zasiadło na ławie oskarżonych kilkunastu naukowców, choć dziś, po lekturze pracy mojego Ojca, domyślam się, że musiał to być wierzchołek góry lodowej...

Juliusz i Ethel Rosenbergowie oczywiście przyznali się do wszystkiego i zostali straceni. Za to w numerze wydanym parę tygodni później znalazłem wzmiankę o tym, że zmarł na serce światowej sławy naukowiec, twórca teorii względności Albert Einstein. Nekrolog podpisała Ogólnoeuropejska Socjalistyczna Akademia Nauk, co było pewną wskazówką, że Einstein nie był ostatnio najlepiej notowany. Naprawdę zasłużonych żegnał Komitet Centralny WKP(k).

Mimo wszystko sojusz z Izraelem, dystansującym się wówczas od USA, był ciągle potrzebny, bo nie znalazłem w gazetach wiadomości o dalszych procesach. A nawet pojawiły się wzmianki o wizycie przyjaźni, jaką na zaproszenie Kaganowicza złożył w Moskwie przywódca państwa Izrael Ben Gurion.

Dlaczego więc teraz?... Co się zmieniło? Z pewnością

antymperialistyczne rewolucje w Egipcie, Libii, Algierii sprawiły, że kierownictwo Eurosocu postanowiło wymienić sobie przyjaciół. W końcu muzułmanów było więcej niż Izraelitów i dysponowali ogromnymi zasobami strategicznego surowca, jakim jest ropa naftowa. Czemu jednak z porzuceniem techniki gry na dwóch fortepianach czekano aż do teraz? Czemu sowieckie kierownictwo i Komintern dopuścili do klęski arabskich sojuszników w wojnie lutowej? Lektura wspomnień Ojca skłoniła mnie do myślenia wielowarstwowego. Być może, poza aspektem zagranicznym, istniał jeszcze element soceuropejski. Może walka z syjonizmem była w istocie nośnym hasłem, dzięki któremu młodszy hierarchowie zamierzali pozbyć się rządzącego od blisko trzech dekad Kaganowicza? Ale pal sześć Kaganowicza. Dziś ważniejsza była dla mnie Nadia. I jej los.

Z uniwersytetu na ulicę Tuchaczewskiego miałem parę kroków. Jednak, jeśli nawet panna Finger przebywała w mieszkaniu, nie otworzyła mi. Ani nie dała znaku życia. Telefon cały czas milczał. Do diabła, gdzie się podziewała ta dziewczyna?

\*

Starzy Fingerowie mieszkali na Saskiej Kępie, w niedużym, wolno stojącym domu o podwyższonym standardzie. Nazywano go obiektem jednorodzinny, choć biorąc pod uwagę obowiązujące normatywy budowlane, zmieściłoby się tam parę rodzin. Nigdy nie byłem w środku, ale raz odprowadziłem Nadie pod same drzwi. Dziś dotarłem tam już po zmierzchu i zadzwoniłem do furtki. Brak reakcji. Zresztą w całym domu nie świeciło się żadne światło. Obszedłem budynek od strony Wisły i zobaczyłem w blasku latarni, że jacyś wandale powybijali większość szyb. Na okalającym murze pojawiła się gwiazda Dawida i najwyraźniej świeży napis: „Syjoniści do Syjonu!”. Kiedy i kto zdążył to zrobić? Chuligani? Chuligani nie czekają w gotowości na wyniki plenum. Jeszcze raz popatrzyłem od frontu. Pchnąłem furtkę. Ale trzymała się solidnie. Podobnie

brama przed garażem.

Na rogu, po przekątnej, znajdowała się mała kwiaciarenka, obsługiwana przez piersiastą babę. Właśnie zamykała, ale wydawała się osobą rozmowną. Na pytanie o mieszkańców domu naprzeciwko wzruszyła ramionami.

Pańska rodzina?

– Nie.

– To i lepiej. Zabrali ich w nocy z soboty na niedzielę. Raczej nie wrócą.

– A córka? Nie wie pani co stało się z ich córką? Nadzieją?

– Nie wiem, ostatnio nie przychodziła tu często. I szkoda, bo wcześniej kawalerowie kupowali dla niej kwiaty... Ale – tu pochyliła się ku mnie – na pańskim miejscu bym jej nie szukała. Jeszcze raz obszedłem dom, szukając jakiejś dziury, aby wślizgnąć się do ogrodu. Ale ogrodzenie było solidne, nowe... Postanowiłem się odpryskać, kiedy usłyszałem pisk hamulców i trzaśnięcie drzwiczek samochodu. Ktoś zatrzymał się pod domem. Czyżby Fingerowie?

Idąc w cieniu płotu usłyszałem głosy. Zadrzałem. Znałem doskonale mówiącego mężczyznę...

– Oczywiście trzeba będzie dokonać remontu. Wciąć te kusty, poszerzyć wjazd do garażu. Najważniejsze, żeby ci się podobało.

– Bardzo mi się podoba Igorze i jestem zdumiona, jak ci się udało wypatrzeć coś takiego.

– Miałem ją na oku od dawna, Kristina i we właściwym momencie zaklepałem sobie przydział. Chcesz zobaczyć rozkład wewnątrz? Mam klucze. Na pewno zastaniemy straszny bałagan. Poprzedni lokatorzy wyprowadzali się w dużym pośpiechu – tu zarżał śmiechem. – W bardzo dużym pośpiechu!

Trzasnęła furтка. Martow i moja Matka weszli do środka.

Zastanawiałem się, co by było, gdybym wszedł za nimi. Ale nie zrobiłem tego.

Na rondzie Martyrologii Indiańskiej (ongis, tuż po wielkiej wojnie, miało nosić imię Jerzego Waszyngtona) wsiałem do zatłoczonego autobusu. Dalsze szukanie Nadii nie miało sensu.

Mogła być wszędzie i nigdzie. Jutro pogadam z Zośką Haber, zawsze uchodziły za papużki nierozłączki, a dziewczyna była w poniedziałek na wykładach.

Nieoczekiwanie poczułem klepięcie w plecy. Znowu Bagiński. Przypadek, a może z jakiegoś powodu nasz prymus postanowił mnie śledzić.

– Napiłbyś się piwa? – rzucił bez wstępów. – Mordownia na Gocławku powinna być jeszcze czynna.

– Z przyjemnością.

Kwadrans później w gospodzie należącej do spółdzielni „Zdobycz Robotniczo-Chłopska” raczyliśmy się chłodnym Jasnym Bursztynem z wyszczerbionych kufli.

– Fatalna sprawa z tą Nadią – powiedział, ocierając wąsy i brodę Paweł.

– Myślisz... – zacząłem i ugryzłem się w język.

– ...że została zwinięta, jak jej starzy? Nie sędzę. Ale że ma kłopoty, to jasne. Sama jest sobie winna.

– Rodziców się nie wybiera.

– Nie o tym myślę. Musiała bawić się w aktywistkę partyjną, wiedząc, że prędzej czy później mogą dobrać się do jej pochodzenia?

– Może właśnie w ten sposób próbowała się zabezpieczyć.

– Miała dość atutów, ładna buzia, żywa inteligencja, brak hamulców moralnych. Trzeba było tylko opętać jakiegoś goja, takiego jak ty albo ja, i natychmiast się z nim ożenić... Zresztą – znów upił piwa – może miała taki zamiar, ale nie zdążyła.

– Wiesz, gdzie może teraz przebywać?

– Nie mam zielonego pojęcia. Pewnie przywarowała u jakiejś kumpeli, albo u dalszych krewnych i liże rany.

– Powinienem ją odszukać.

– Nie radziłbym. Jeśli będzie potrzebowała twojej pomocy, sama się zwróci. Zresztą, jak można jej pomóc? Pomachać chusteczką przy wyjeździe. Tu nie ma już żadnych szans. Przecież skreślili ją z listy studentów.

– Skąd wiesz?

- Moja matka pracuje w rektoracie, a ojciec, jakby nie było, jest dziekanem filologii. Już w piątek przyszły listy wyznaczonych do relegowania...
- Ale z jakim uzasadnieniem?
- Niechętny stosunek do socjalistycznej władzy. Wystarczy. Musiałem mieć bardzo głupi wyraz twarzy, bo dodał po chwili:
- Wiesz Marcin, od trzech lat próbowałem cię rozgryźć. Czy jesteś tak naiwny, czy aż tak nieprawdopodobnie cwany.
- I jaka diagnoza?
- Test w pociągu wypadł dla ciebie korzystnie, a co do reszty...? Mam nadzieję, że kiedyś sam ze sobą ustalisz, kim chcesz być? Rozległ się brzęk szkła i okrzyki w centralnej części knajpy. Zanosilo się na niezłą rozróbę.
- Chyba powinniśmy wychodzić – mruknął Paweł. – Nie lubię tłoku.
- Ruszyliśmy z wolna ku drzwiom, zastanawiając się, jak wyminąć pijaną gromadę.
- Przejście dla panów studentów – usłyszałem nagle. – Ale już! Zobaczyłem chuligana, mojego byłego kolegę, teraz przypomniało mi się jego nazwisko – Misiak. Trzymał w ręku chryzantemę, czyli rozbitą butelkę, i rozgarniał walczący tłum, torując nam drogę.
- Kiedy znaleźliśmy się przy drzwiach i ogarnął nas powiew świeżego powietrza, Misiak (Czarek albo Darek) zbliżył się do mnie i rzucił do ucha:
- Nie wiem dlaczego zrobiłeś to koleś, ale pamiętaj. Po tej stronie Wisły możesz na mnie zawsze liczyć.
- Dobrze mieć takich znajomych – w głosie Pawła zabrzmiał niekłamany szacunek. Na placyku obok pętli tramwajowej stały dwie taksówki. Bagiński pociągnął mnie ku pierwszej z nich.
- Odwiozę cię do domu – zaproponował.
- A ty?
- Jadę do starych, do Falenicy.
- Taksówką? Wydasz majątek!
- I co z tego. Raz się żyje. Góra dwa!



## VIII

### Pamiętnik Ojca (4)

Krystynę poznałem w knajpie. Przez przypadek. Nie przyszłoby mi do głowy chodzić i podziwiać rewię na lodzie, mimo że występ „Varsovie sur glace” ogłoszono wielkim wydarzeniem artystycznym. Socjalistyczny Paryż, w którym nieczynne były kabarety – w słynnym „Moulin Rouge” otwarto bar mleczny, a „Chat Noir” owszem działał, ale wyłącznie na zamkniętych pokazach dla VIP-ów i dyplomatów – był głodny rozrywki i połykał ją łapczywie, nawet gdy zapewniał ją Cyrk Radziecki, akrobaci z Rumunii czy łyżwiarze figurowi z Polski.

W restauracji hotelu Moskwa, pierwszego budynku w stylu twórczego socrealizmu wzniesionego przy Polach Elizejskich (obecnie alei Lenina), oboje znaleźliśmy się z prozaicznych powodów. Dla niej była jedynym miejscem, w którym wygłodniała artystka mogła coś zjeść po spektaklu, dla mnie jednym z niewielu miejsc, w których można było coś wypić bez ryzyka oberwania po mordzie. Normalnie była dostępna wyłącznie dla gości hotelowych, ale portier Gaston bywał liberalny wobec stałych bywalców, zwłaszcza wciskających mu do łapy sowite napiwki. W tamtych czasach popijałem nieźle. Oswoiłem się już z myślą, że nigdy się nie wydostanę z Europy, w związku z czym muszę pożyć może nie tyle bardzo długo, ile przyjemnie.

Był środek października roku 1942. Przyjaciel, z którym tego wieczora miałem zamiar katować wątrobę, nie nadchodził, siedziałem więc samotnie, popijając trunek (nie do wiary, w ojczyźnie koniaku podawano wyłącznie armeński Ararat), kiedy dotarły do mnie odgłosy z sąsiedniego stolika. Dwie bardzo młode dziewczyny bezskutecznie usiłowały dogadać się w języku, który uważały za francuski, choć moim zdaniem równie dobrze mogłby uchodzić za portugalski. Nie zwykłem pchać nosa w nieswoje sprawy, ale kiedy usłyszałem parę słów wypowiedzianych po

polsku, włączyłem się w charakterze tłumacza.

Pierwsza z dziewcząt, wysoka jak tyka, nie zrobiła na mnie wrażenia. Natomiast ta druga... Porażenie trzeciego stopnia, od pierwszej chwili! Niezbyt wysoka, bardzo zgrabna, o regularnych rysach, zabawnym nosku i niesamowitych oczach. Nogi zobaczyłem dopiero gdy wstała i, delikatnie kołysząc się, poszła w kierunku toalety, zapewne, żeby zawrzeć znajomość z miejscową funkcjonariuszką w stopniu „starszej Babcy klozetowej”. To były nogi, z powodu których bogowie schodzą na ziemię, a ziemscy władcy rozpoczynają wojny.

Okazało się, że jest łyżwiarką i występuje w polskiej rewii na lodzie. Miała 22 lata i, w zależności od makijażu, wyglądała na dziecko albo kobietę w pełni dojrzałą. Nasze pierwsze spotkanie trwało krótko. Zespół podlegał żelaznej dyscyplinie (zwłaszcza na wyjazdach) i o jedenastej wszystkie panienki musiały być w łózkach. Wychodząc, wyjątkowo trzeźwy, nie miałem pojęcia czy parę żartów i fakt zapłacenia przeze mnie rachunku zrobiły na Krysi większe wrażenie. Przed rozstaniem zaproponowałem, że pokażę jej Paryż. Koleżance również! Zgodziły się z entuzjazmem i w rewanżu obiecały zaprosić mnie na ich spektakl do Pałacu Sportu.

Jesień roku 1942 byk długa i bardzo ciepłych barw. W pewnym sensie Paryż przypominał kobietę, która mimo że przyodziana w produkcyjny drelich, gumofilce i czapkę uszatkę, pozostaje piękna.

W ciągu kilku godzin zwiedziliśmy Luwr i Muzeum Religioznawcze w Notre-Dame, przejechaliśmy się stateczkiem po Sekwanie, wjechaliśmy niedawno nareperowaną windą na szczyt wieży Eiffla, po czym odprowadziłem obie panie do hotelu.

Wieczorny spektakl zrobił na mnie wrażenie – feeria świateł, barw, polskie i rosyjskie tańce ludowe przykuwały wzrok. Krysia, chociaż wicemistrzyni olimpijska i ciągle czynna zawodniczka, nie miała wielu partii solowych – a i tak zachwycała w piruetach i wywoływała palpację serca, kiedy w spirali śmierci, nieprawdopodobnie wygięta, smagała włosami lód.

Czy już wtedy byłem w niej zakochany? Czy stało się to dopiero następnego dnia?

Rewia wyjeżdżała do Lyonu. Transport i wypoczynek przed kolejnymi spektaklami miały zająć dwa dni. zaproponowałem, by została dzień dłużej w Paryżu. Pozostało tam mnóstwo miejsc, które pragnąłem jej pokazać.

– Ale ja muszę być na spektaklu! – zawołała ze smutkiem w głosie.

– I będzie pani na spektaklu. Gwarantuję!

– Jak?

– Po prostu zawiozę panią na spektakl samochodem.

– Ma pan również samochód? – oczy jej, normalnie wielkie, teraz zmieniły się w dwa księżycy.

Miałem. Był to jeden z przywilejów, jakich się dochrapałem, służąc wiernie wymiarowi ludowej sprawiedliwości i kosztowało mnie to wstąpienie do Francuskiej Partii Komunistycznej. Ale, słowo honoru, była to przynależność absolutnie formalna. Jednak w kontaktach oficjalnych napis „Camarade Georges Volaque” na mojej wizytówce wyglądał nadzwyczaj korzystnie i nieraz ułatwiał mi życie.

– Ale Teresa będzie musiała również pojechać razem z nami – zastrzegła półgłosem.

Nie miałem nic przeciwko przyzwoitce. A nawet załatwiłem dla niej partnera, mojego kumpla Raula, który w kręgach paryskiej palestry cieszył się opinią niebywałego podrywacza. Z tego co wiem, uwiódł biedne dziewczę jeszcze pierwszej nocy. Ja postanowiłem zachowywać się bardziej powściągliwie.

Spędziliśmy z Krystyną cudowny dzień, spacerując po mieście, oglądając interesujące miejsca i zabytki, a wieczorem poszliśmy na tańce do restauracji na statku zakotwiczonym na Sekwanie, w pobliżu du Pont Neuf. Nie skłamię, jeśli powiem, że tańczyłem jak zawodowiec. Pół roku żyłem w Marsylii z zawodową tancerką egzotyczną.

Tańczyliśmy więc zabronione fokstroty w aranżacjach Glenna Millera, które jakimś sposobem, pomimo kordonów, dostawały się

na Stary Kontynent. W pewnym momencie zobaczyłem na parkiecie dookoła nas pustkę. Ludzie przestali tańczyć, utworzyli krąg i zaczęli nam bić brawo. Odprowadziłem Krystynę do hotelu i, korzystając z tego, że etażowa gdzieś zniknęła, dotarłem aż do jej pokoju, a nawet wszedłem do środka. Teresa, jej koleżanka, którą straciliśmy z oczu jeszcze na tańcach, do tej pory nie wróciła. Trwaliśmy więc w półmroku przytuleni do siebie, całując się jak wariaci.

Wiem, że może budzić to twoje zgorzienie. Starszy pan i prawie maślanka... Ale niech cię pocieszy, tym razem powściągnęliśmy zmysły!

– Nie chodzę z mężczyzną do łóżka na drugiej randce – oświadczyła Krystyna.

Odniosłem się do tego stwierdzenia z szacunkiem. Myślałem wprawdzie, że będzie to jedynie przyjemny epizod. Ale pomyliłem się. Choć wkrótce wyjechała z Francji, nie potrafiłem o niej zapomnieć. Czyżby miała to być, jak pisał ongiś Rastif de Bretonne, „Ostatnia miłość czterdziestoletniego mężczyzny”? A może ostatecznie dorosłem do założenia rodziny. Zapraǳnałem mieć normalny dom i potomstwo. Tylko, czy chcąc założyć hodowlę drobiu, wybiera się na partnerkę rajskiego ptaka? Inna sprawa, że ona również chyba czuła coś do mnie i chyba zależało jej na podtrzymaniu kontaktu... Pisywaliśmy do siebie sążniste, coraz bardziej namiętne listy. A ja zaraz po Nowym Roku przyjechałem do Warszawy.

Zastałem miasto szare, ciasne i brudne, poza głównymi ulicami nikt nie uprzętał śniegu; co najwyżej zrzucano go w brudnoszare przyzmy. Mimo to wybraliśmy się z Krysią na spacer. Zauważyłem, że sklepów jest jeszcze mniej niż w Paryżu, a przed tymi nielicznymi, które były otwarte, tworzyły się ogromne kolejki. Oczywiście, pod warunkiem że akurat coś rzucili. Zazwyczaj jedynym mięsem w masarni był sam rzeźnik. Trochę lepiej niż reszta wyglądało stare miasto, które niedawno odnowiono i pomalowano, wyburzając oficyny wewnątrz podwórek. Zauważyliśmy tam może dwie czynne restauracje, jakąś

kawiarnię... Pustawa katedra był chyba jedynym działającym kościołem w mieście, ale poza paroma starszami nie zauważyłem wielu modlących się. A jednak stół przygotowany przez panią Kazię, mamę Krystyny, uginał się od mięsiwa. Nawet w tych okropnych czasach Polacy radzili sobie jakoś, zwłaszcza że nowy pierwszy sekretarz, prawnik Teodor Duracz, następca nieszczęsnego Adolfa Warskiego, który zginął w czystkach lat trzydziestych, był dość inteligentnym, aby utrzymać „specjalną politykę rolną” zapoczątkowaną przez Dzierżyńskiego, polegającą na tolerowaniu działek przyzagrodowych u kołchozowego chłopstwa. Działały również bazary, a także handel pokątny, którego symbolem były tzw. baby z cielęcina. Z tego co wiem, instytucja ta funkcjonuje do dziś.

Trzy dni spotykałem się z Krystyną, która musiała urywać się z treningów, prób i obowiązkowych szkoleń, a potem desperacko poprosiłem ją o rękę. Ku mojemu zdumieniu – nie odmówiła. I tak, wiosną 1943 roku urzędnik stanu cywilnego uroczyście ogłosił nas mężem i żoną.

\*

W świetle tego wszystkiego, co wydarzyło się później, można zadać sobie pytanie, jakie motywy kierowały Krystyną, kiedy mówiła sakramentalne „tak”? Wydaje mi się, że mogę wyliczyć co najmniej kilka:

– Status panny czynił ją zależną. W domu od zaborczej matki, w pracy od nieustannych zaczepek mężczyzn, z których paru, mam na myśli trenera i szefa POP-u, nie mogła bez końca odmawiać. Dobrze chociaż, że reżyser rewii był pederastą. Mimo sportowej i artystycznej kariery w głębi ducha pozostała normalną drobnomieszczanką, marzącą o domu i dzieciach.

– Zrobił na niej wrażenie mój paryski blichtr, status majątkowy, samochód... Nie mam też powodu sądzić, żeby nie doceniała mojej inteligencji. Nie wykluczam nawet, że zakochała się we mnie, nawet jeśli początkowo kierowała nią trzeźwa kalkulacja.

W każdym razie przeżyliśmy ze sobą kilka wspaniałych lat. I z ręką na sercu mogę ci powiedzieć synu, że byłeś dzieckiem upragnionym, zrodzonym z autentycznej miłości.

Można też powiedzieć, że przez pewien czas sprzyjała nam historia. Wojny z koalicją amerykańsko-japońską, toczące się na odległych od nas rubieżach, paradoksalnie poszerzyły zakres wolności. Zagrożona władza, jak imperium długie i szerokie, postanowiła odwołać się do uczuć patriotycznych – otworzono liczne kościoły, sporo ludzi represjonowanych wróciło do domów. Nabrały życia drętwe dotąd gazety. I nawet zdławienie powstania krakowskiego w sierpniu 1945 roku przez Konstantego Rokossowskiego, który ostatecznie przejął schedę po Duraczu, nie zahamowało bardziej liberalnego (zresztą, jak pewnie wiesz, Wawel i Kościół Mariacki ocalały).

Oczywiście użycie broni atomowej wywołało w Polakach głęboki szok i pozbawiło ich marzeń. Zapytaj kiedyś wujka Dżeka o wrażenia z zagłady – był wówczas w Normandii... Mimo wszystko codzienne życie było jeszcze znośne. Pełne przykręcanie śruby zaczęło się dopiero wówczas, gdy Amerykanie powiadomili świat, że również dysponują bronią jądrową, a w Moskwie ruszyła cała antysemitka szopka z procesem Rosenbergów.

Jeśli chodzi o nas, całkiem nieźle udało nam się ułożyć sobie życie. Dostaliśmy przydział na nowe dwupokojowe mieszkanie przy alei Leningradzkiej (dawniej alei Grochowskiej), przyjęto mnie do socjalistycznej kancelarii adwokackiej numer 29 na Grochowie i, muszę powiedzieć, był to najszcześniejszy okres w moim życiu. Nie wiem, na ile pamiętasz tamte czasy – nasze wypadki nad ciepły, rozlany Świder, kiedy wołając „boję dody” uciekałeś na brzeg, saneczki na górze Delmaka w lasach anińskich, wyprawy na nadwiślańskie łąki, śledzenie bażantów i łapanie motyli, z których zamierzaliśmy zrobić całą kolekcję. Przypominasz sobie może wieczór, kiedy wielka ćma „trupia główka” usiadła ci na głowie? Znieruchomiałeś, a ja złapałem ją ręką, zaniósłem cię uśpić, a ćmę włączyłem do zbiorów. Ciekawe, czy masz jeszcze album ze znaczkami, które ci zostawiłem...?

I skrzynkę ze sprzętem do majsterkowania?

Ja pamiętam to wszystko, tak dokładnie i wyraziście, jakby działo się wczoraj, i jeszcze dziś moglibyśmy wrócić do budowy statku. Skąd mogłem wiedzieć, że pozornie trwała stabilizacja pęknie jak bańka mydlana. Nie interesowałem się przecież polityką, mając nadzieję, że polityka nie będzie interesować się mną. I znów pomyłka! Choć muszę wyznać, że tym razem napytałem sobie biedy osobiście.

Kontakt z łódzką rodziną utrzymywałem nader ostrożnie.

Pocztówki i listy do matki wysyłałem z różnych miejscowości podwarszawskich. Ona sama, pisząc do mnie, podpisywała się Stanisław i wysyłała korespondencję najczęściej ze Zgierza. Z tej korespondencji dowiedziałem się, że mój brat Stefan przebywa w Stanach, że dorobił się stopnia majora, a po odejściu z wojska założył jakiś dobrze prosperujący biznes. Ożenił się (oczywiście!) z Polką i ma dwa wspaniałe dzieciaki. American dream!

Jeszcze w 1929 roku wrócił z zesłania Zbyszek. Szybko się ożenił i, zgodnie z wyuczonym w Rosji zawodem, zaczął pracować w przemyśle drzewnym. Pracując, zdał maturę, a następnie skończył zaocznie technologię drewna. Czy nadal konspirował? Nie sądzę, życiowa nauka, jaką odebrał, mogła każdego zniechęcić do konspiracji. Poza tym, po powstaniu w Krakowie i wybuchu atomówek nowego sensu nabrał stary carski zwrot: „Żadnych marzeń, panowie!”. Nasze życie musiało polegać na pogodzeniu się z rzeczywistością.

Co innego Krzysztof, urodzony w 1935 roku syn Zbyszka, z charakteru najbardziej przypominający swojego stryja Stacha, choć wzrostem bił go o dwie głowy. Od dziecka był chłopakiem niepokornym. Za trudne pytania zadawane na lekcji musiał nawet zmienić szkołę. Demonstracyjnie nie zapisał się do pionierów, a także chodził do jedyne go czynnego w Łodzi kościoła (po roku 1947 liberalne traktowanie katolików przeszło do historii).

Właściwie nie był to nawet kościół, tylko baraczek, do którego przeniesiono naczynia liturgiczne z katedry zamkniętej parę lat temu – „na czas remontu”. Jednak po masowych obchodach świąt

Bożego Narodzenia w 1953 roku łódzkie władze, a szczególnie ich szef Mikołaj Demko, postanowiły skończyć z katolickim skansenem. Na miejscu świątyni miano zacząć budować nowe, socjalistyczne osiedle dla przodowników pracy. Plan imponujący, niestety „ciemni ludzie” zaprotestowali, stawili się gremialnie, otoczyli baraczek żywym murem i mimo ostrzegawczych wezwań milicji nie chcieli się rozejść. Doszło do przepychanek, potem regularnej bójki. Jeden z wyjątkowo zapalczywych milicjantów oberwał w łeb cegłą i zmarł w szpitalu. Pech chciał, że rzucającym tę cegłę był właśnie mój bratanek.

Władza wpadła w furję, aresztowano kilkudziesięciu „młodzieżowych warcholów” i ich „reakcyjnych podżegaczy”, do których zaliczono mojego brata. Niczego mu nie udowodniono, ale i tak dostał 5 lat. Za Krzysiem wysłano list gończy. Na prośbę mojej mamy ukryłem go w Warszawie. Nie było to łatwe. Strach był wszechogarniający. Po trzydziestu latach reżimu, po złamanym buncie krakowskim i wielokrotnie utraconych nadziejach społeczeństwo spsiało. Donosicielstwo i szpiegowanie wzajemne było na porządku dziennym. O zaufaniu trudno było marzyć nawet w rodzinie. Jediną szansą była ucieczka na Zachód. Ponieważ słyszałem o rybakach, trudniących się nielegalnym przerzutem ludzi do Szwecji, stanąłem na głowie, aby zorganizować taki transfer. Gotów byłem poświęcić na to wszystkie oszczędności i, choć sam nie zamierzałem wypuszczać się za wodę, z początkiem marca zjawiłem się z Krzysiem w lokalu kontaktowym we Władysławowie. Tam już na nas czekano.

Lokal kontaktowy okazał się pułapką, informacja o rybakach-przemysłowcach była fałszywa i miała na celu łapanie takich „antysocjalistycznych elementów”, jak my. Z naszej, w gruncie rzeczy banalnej sprawy, zrobiono spisek. Krzysiek za zabójstwo milicjanta dostał karę śmierci, zamienioną, dzięki interwencji siostry Feliksa Dzierżyńskiego Aldony, do której dotarła jego matka, na 25 lat. A i tak serce Babci Stasi nie wytrzymało tego procesu. A ja nie mogłem być na jej pogrzebie! Zrobiono ze mnie



prawdziwego herszta tajnego sprzysiężenia i oskarżono o współpracę z ośrodkami zachodniej dywersji.

Wydawało mi się, że najlepiej zrobię, mówiąc prawdę.

Przyznałem się więc do zmiany nazwiska, a potem konsekwentnie tłumaczyłem moje postępowanie solidarnością rodzinną. Mogłem sobie tłumaczyć. Proces miał udowodnić z góry postawioną tezę. Prokurator Kochan i oficer śledczy Nawrot robili wiele, by mnie złamać. Pokazywano mi nawet szansę ratunku – wystarczyło, bym obciążył kilku, a najlepiej kilkunastu kolegów z palestry o udział w antyustrojowym spisku. Antyinteligencka nagonka wprawdzie przygasła, ale zawsze można było ją ożywić. Dawano mi do zrozumienia, że w wypadku złożenia wartościowych zeznań, mógłbym liczyć na krótką odsiadkę w kraju i objęcie kolejną amnestią. Z perspektywy moich dzisiejszych doświadczeń żałuję, że tego nie zrobiłem. Mogłem przecież umieścić na takiej liście parę kreatur, z Kochanem i Nawrotem na czele. Dodałbym jeszcze Różyńskiego, mojego osobistego adwokata, który ostatecznie mnie dobił, występując na procesie de facto w roli dodatkowego oskarżyciela. Ale okazałem się zbyt głupi lub zbyt uczciwy, co na jedno wychodzi. W rezultacie, mimo nieudowodnienia żadnego z postawionych mi zarzutów głównych – dywersji, szpiegostwa, kierowania spiskiem (jedyne, co można mi było zarzucić, to nielegalną zmianę nazwiska i sprawstwo pomocnicze w próbie nielegalnego przekroczenia granicy) – dostałem dwadzieścia lat łagru.

Program mej katorgi okazał się bogaty – Workuta, Wierchojańsk, Kołyma (gdzie przebywałem najdłużej), same kurorty, w których zimą temperatura spada do pięćdziesięciu stopni poniżej zera. Ale w końcu ktoś musiał zaludniać zwróconą przez Japończyków Syberię. Podczas pierwszego, a zarazem ostatniego widzenia przekonałem Krystynę, aby odcięła się ode mnie, wzięła rozwód i zapomniała, że kiedykolwiek mnie znała.

– A co powiem Marcinowi, jak dorośnie? – pytała, cała we łzach.

– Powiesz mu, że rozstaliśmy się z powodu innej kobiety. Zresztą nie będzie to wielkim kłamstwem, jest przecież w moim życiu

inna kobieta – nazywa się Polska.

Z tego samego powodu powstrzymałem się od korespondencji. Znając charakter Krystyny, wiedziałem, że sobie poradzi, że wesprze ją matka i bezgranicznie oddana Anastazja, a resztę załatwią jej uroda i wola przetrwania. Wy tłumaczy sobie, że tak musiało być, i zapomni...

Właściwie wiele więcej nie mam do dodania. Pisanie o życiu łagrowym wiele nie da, ci którzy tam nie byli – nie uwierzą, tym którzy tam byli i bez lektur koszmary śnią się po nocach.

Wyszedłem po piętnastu latach. Stosunkowo szybko. Poznałem wielu, którym raz zasądzone wyroki przedłużano w nieskończoność. W dodatku nie byłem szczególnie sponiewieranym więźniem. Znów przydała mi się znajomość języków. W obozie siedziało bardzo złożone towarzystwo, znalazł się nawet Amerykanin i dwóch Brytyjczyków, których rodziny daremnie usiłowały dowiedzieć się czegoś o ich losach.

Tymczasem w komendanturze obozu poliglotów nie było. To pozwoliło mi załapać się na rolę łagrowego tłumacza, potem doszła rola instruktora kulturalno-oświatowego. Łagiernicy musieli być weseli, zwłaszcza gdy przybywał ktoś z kierownictwa GUŁAG-u. Prowadziłem więc teatr, zespół pieśni i tańca, a nawet kółko poetyckie. W sumie przyjemniejsze zajęcie niż płukanie złota, poszukiwanie diamentów czy wydobywanie rudy uranowej bez żadnych zabezpieczeń.

W trakcie wykonywania tych zadań poznałem „Złotego Wanię”. Iwan Wasiliewicz – podobieństwo jego otczestwa do otczestwa Iwana Groźnego nie było przypadkowe, był zekiem, więźniem kryminalnym, jednym z szefów przestępczego podziemia. Podejrzewam nawet, że głównodowodzącym, choć sam nigdy tego nie potwierdził.

Iwan miał piękny głos – baryton i wnet stał się podporą obozowego zespołu. Nikt równie pięknie jak on nie śpiewał „Pieśni o Trockim”. Ta aktywność artystyczna bardziej była sposobem na nudę, niż wynikała i potrzeby ukrywania przestępczej działalności. Niby uwięziony, kierował całym

podziemnym rynkiem złota, a przynajmniej miejscami, gdzie zaczynały się jego stróżki – miał przekupionych strażników, urzędników, ludzi z wojska, z GPU. Prowadził nawet mały dom publiczny, mimo że kupczenie ciałem było jednym z najgorszych grzechów przeciw moralności socjalistycznej. Jak mu to wszystko uchodziło płazem – nie wiem. W każdym razie sam komendant, niska, beczkowata kanalia na pałakowatych nogach, czuł wobec niego respekt. Ciekawe, że mnie ten wytatuowany na całym ciele gangster wyraźnie polubił i na swój sposób chronił. A kiedy pytałem go, dlaczego to czyni, odpowiadał:

– Łagier to nie jest dla was właściwie miejsce, Juriju Frankowiczu. Wy jurist, pisatiel. Durna władza, która zamyka takich ludzi, jak wy.

Trudno było nie zgodzić się ze zdaniem kryminalisty.

Obok „Złotego Wani” poznałem jeszcze jedną istotę, w której realność wcześniej wątpiłem – Jezusa Chrystusa. W tych nieludzkich warunkach bywał dla więźniów jedynym pocieszeniem, jedynym znakiem człowieczeństwa. Miałem czas na rozmyślanie. Niebo gwiazdziste lśniło nade mną, a ja szukałem w sobie tego moralnego prawa, o którym w pruskim Królewcu pisał Kant. I długo nie mogłem go znaleźć. Aż którejs nocy nagle uświadomiłem sobie, że bez Boga byłbym jedynie zwierzęciem, sprowadzonym do popędów oraz instynktu przetrwania. Że jego istnienie i wszechobecność wynika ze wszystkich wzorów, usiłujących opisać nasz świat jako sensowną całość. Jednym z moich pomagierów w chórze był pewien niemłody pop, który otworzył mi umysł na reguły wiary. Poznałem też... Ale o tym później. Do tego, że można połączyć tradycyjną wiarę ze współczesną nauką doszedłem sam. Niegdyś myślałem, że teoria ewolucji to najlepszy bat na religię. Tam nad Kołymą, widząc w nieskończoności cień Wielkiego Reżysera, pojąłem, że to jedynie jedna z metod Jego działania... Dasz wiarę, że dziś modłę się dwa razy dziennie? A jak trzeba – częściej.

Wania załatwił mi przedterminowe wyjście, a ponadto podarował pół kilo złota na dobry początek. Dał mi też namiar na znajomego

w Magadanie, który miał mi załatwić fałszywą tożsamość.

A zatem umarłem po raz wtóry i odrodziłem się jako... Mniejsza o nazwiska... Mój opiekun zadbał o jeszcze jedno – opracował sposób przedostania się do Japonii.

Miałem złe doświadczenia z przerzutami, dlatego zapytałem go, czemu mając taki kanał przerzutowy, sam nie „wybierze wolności”.

– I co ja bym tam robił? Szamał ryż pałeczkami? – odparł z rozbijającą szczerością. – Tu jest całe moje życie. Pan co innego, Polak, inteligent...

A jednak odmówiłem. Wcale nie dlatego, że nie chciałem zostać Japończykiem. Byłem już za stary, żeby zaczynać nowe życie, próbować szczęścia za morzami i złożyć kości w obcej ziemi. Pozostałaś mi tylko ty i przysięgłem sobie, że nie pozwolę, by i ciebie ktoś mi marnował. Musiałem napisać te wspomnienia i znaleźć sposób na dostarczenie ich tobie.

IX

Byle do piątku

Zakończeniu lektury manuskryptu towarzyszyło uczucie wściekłości. Nie dlatego, żebym uważał, że mój Tatuś poczęstował mnie stekiem kłamstw. Było dla mnie oczywiste, iż otrzymałem pasztet sporządzony z samej prawdy. I właśnie to rozwścieczyło mnie najbardziej. Ta prawda był mi zupełnie niepotrzebna. Ja jej nie chciałem! Dewastowała mój znakomicie skomponowany świat. Psuła dobry sen i prawidłowy stolec! Czuję się, jak permanentnie zdradzana żona, która znakomicie urządziła się w świecie pozorów i kłamstw, czyniąc cnotę z zamykania oczu na wszelkie drobne sugestie na temat niedostatków jej małżeństwa, kiedy nagle pamiętnik męża, wyliczający ze szczegółami wszystkie konkubiny, całą tę rozkoszną stabilizację zepsuł! Moje nerwy potęgowało niewyspanie. Skończyłem czytać nad ranem, drzemałem może

trzy godziny, nękany koszmarami, a teraz musiałem jechać na uczelnię, udawać zaangażowanego studenta. W dodatku w powietrzu wisiała sprawa Nadii Finger i oświadczynowa kolacja Martowa. Etos sienkiewiczowskiego bohatera nakazywał stanąć u boku skrzywdzonej niewiasty, a także odpędzić ruskiego zalotnika, który oczarował moją Matkę.

Ale nie byłem Kmicicem, Wołodyjowskim ani nawet Zagłobą. W obecnej sytuacji wzorcem osobowym mógł być dla mnie Rzędzian albo Kiemlicz, w wariacie luksusowym – księżę Bogusław. Tym bardziej że do moich rozważań wsączał się dialektyczny relatywizm. To prawda, Nadię skrzywdzono, ale przecież nie była niewinną dziewczyną, a jej rodzice, zanim wdrapali się na szczyty władzy, musieli solidnie zapracować na awanse, niszcząc i podkopując jednych, i wysługując się innym. Sama Nadia też była małą karierowiczką, sypiającą tylko z tymi, dzięki którym mogła cokolwiek uzyskać. Dowiedziałem się, że na objeździe naukowym upolował ją sam nasz dziekan. A zatem, tylko dlatego, że przespała się ze mną parę razy, miałem ryzykować dla niej wszystko? W dodatku bez szans powodzenia? Tylko – jakie wnioski mogłem wyciągnąć z memuarów mojego Ojca? Udać przed samym sobą, że ich nie czytałem, czy zastosować się do płynących z nich nauk i, nie chcąc zmarnować życia, wiać stąd, gdzie pieprz rośnie. Tylko gdzie i jak? W początku lat pięćdziesiątych, kiedy drapak próbował dać mój stryjeczny brat Krzysztof, perspektywa ucieczki do Skandynawii, choć trudna, wyglądała na realną. Uciekali piloci, rybacy, wyskakiwali do lodowatej wody podróżni ze statków pasażerskich płynących oglądać norweskie fiordy (bez zawijania do portów). Do czasu. Konwencja, podpisana przez państwa skandynawskie pod naciskiem Moskwy, zobowiązywała ich władze do odsyłania wszelkich zbiegów i nielegalnych emigrantów do kraju macierzystego. Z tego, co wiem, konwencji nie podpisała jedynie Norwegia. Ale żeby dostać się do Norwegii, trzeba było być Nilsem Paluszkiem i mieć do dyspozycji dalekobiezną gęś. Nie spełniałem obu warunków. Nawiasem mówiąc, od dłuższego

czasu „rejsów do fiordów” już nie organizowano.

Tak samo koncepcja jakiegokolwiek rozgrywki z Martowem stanowiła zadanie ponad siły. Matka już wybrała i, jeśli nie chciałem mieć kłopotów, powinienem dbać o jak najlepsze stosunki z byłym hokeistą.

Na wydziale wszyscy już wiedzieli o relegowaniu Nadii Finger. I czekali na zebranie partyjne, na którym z hukiem, jednogłośnie i jednomyślnie, wywalimy ją z KPP.

– Jewriejska cichodajka! – syknął mi w ucho Majewski. – Jak długo można ukrywać swoją prawdziwą naturę?!

Nie zareagowałem, choć miałem szczerą ochotę dać mu zęby. Lecz właściwie za co? Używał obrzydliwych słów, jednak w gruncie rzeczy powiedział prawdę.

W stołówce, w której zatechłe powietrze stało w sprzeczności z klimatem intelektualnym, jaki winien w niej panować, były do wyboru ruskie albo leniwe, dlatego zdecydowałem się poprzestać na zupie. Zresztą zaraz dosiadł się do mnie Bagiński.

– Na twoim miejscu nie poszedłbym na to zebranie – powiedział półgłosem. – Nie jesteś świnią, żeby głosować „za”, a znowu być jedynym, który się sprzeciwi...

– A ty pójdziesz?

– Na szczęście nie muszę, mam zebranie komitetu uczelnianego Komsomołu. Jak wiesz, jestem tam w egzekutywie...

No więc nie poszedłem, złapała mnie kolka żołądkowa podczas lektoratu z niemieckiego i zgięty we dwoje pojechałem do domu. Miałem nadzieję, że nikt ze współczujących mi kolegów nie zobaczy mnie wieczorem w knajpie, obżerającego się za wszystkie czasy.

\*

Restauracja Leningradzka mieściła się w jednym z pięciu warszawskich drapaczy chmur stojących na wiślanej skarpie, zaraz za Parkiem Ujazdowskim. Kapała złotem i lśniła marmurami, w jej westybulu stała brązowa miniatura słynnego

pomnika z Newskiego Prospektu, portierzy ubrani byli w stroje przypominające gwardzistów Piotra Wielkiego, a poza tym reszta nie odbiegała od socjalistycznej normy – jedzenie zimne, obsługa opryskliwa, a ceny wysokie.

Nie było to najprzyjemniejsze przyjęcie w moim życiu, mimo że wszyscy bardzo się starali. Ja nie potrafiłem ukryć przygnębienia, Mama rozdrażnienia, a Martow... Nie wiem dlaczego, ale naraz, ze swoimi żartami o Żydkach, wydał mi się płaski, prostacki, wulgarny. Przy deserze wręczył Mamie pierścionek, a mnie zapytał o zdanie. Nie była to prośba o zgodę czy akceptację przyszłego związku, a raczej sondowanie opinii. I co mu miałem powiedzieć, żeby zabierał swój kacapski tyłek do Azji? Dlatego odparłem wymijająco:

– Moim największym pragnieniem jest, aby moja Mama był szczęśliwa...

Potraktował tę wypowiedź jako moją zgodę i mocno uściśnął mi dłoń, omal nie łamiąc mi kości. Miał rękę twardą i zimną jak hokejowy krążek.

– Co ty dzisiaj wyprawiasz?! – ofuknęła mnie Mama, kiedy Igor oddalił się do ubikacji.

– Ja? Wydaje się Mamie.

– Znam cię dobrze. Zachowujesz się, jakbyś siedział przy tym stole za karę. A przecież powinieneś się cieszyć. Będziesz miał wspaniałego ojca.

Czułem, jak nagły chłód oblewa mi policzki.

– Ja już mam Ojca! – powiedziałem cicho (podobno wszyscy kelnerzy to tajni współpracownicy GPU), ale dobitnie. – Nawet jeśli przez piętnaście lat siedział w łagrze.

Teraz moja Matka zrobiła się kredowo biała.

– A ty skąd...? – umilkła, widząc powracającego Martowa.

Dopinał rozporek i czułem, że nie umył rąk. Doszedłszy do stołu, obrzucił nas czujnym spojrzeniem.

– Pokłóciliście się?

– Skądże znowu! – podziwiałem sztukę aktorską mojej Mamy.

– Zrobiło mi się trochę słabo. Może to wino... A w ogóle nie czuję

się najlepiej.

– To niedobrze – wyraźnie się zmartwił. – Myślałem, że odwieziemy Marcina i pójdziemy potańczyć do klubu przy ambasadzie

– Nie dzisiaj. Miałam ciężki dzień, a moja głowa czuje się, jakby przejechała po niej fura z węglem. Chciałabym wrócić do domu. Rozejrzył się dookoła, jakby szukał niewidzialnego wroga, a potem mruknął ponuro:

– Jak sobie życzysz.

\*

Wróciłem do Marysina, położyłem się do łóżka i zgasilem światło, ale sen nie nadchodził. Mama, jak zawsze, gdy miała chandrę, poleciała do naszej sąsiadki pani Bożenki, wdowy po pilocie oblatywaczu, który podobno pobił rekord prędkości na myśliwcu Po-23, wbijając się w grunt aż po sam ogon.

Do tej pory moją ulubioną metodą radzenia sobie z problemami było przesypianie ich. Dziś jednak sen nie nadchodził. Zamiast tego pojawiały się wspomnienia. Nie najlepsze. Na przykład przypomniały się mi moje osiemnaste urodziny. Przebywałem akurat na przeszkoleniu wojskowym dla łamag i niedojdów (kategoria D) i upiłem się samotnie tanim winem nabytym w kantynie. Zataczając się, polazłem na wydmy koło poligonu, łkając do siebie „Ja nie chcę być dorosłym! Ja nie chcę!”. Teraz, trzy lata później, ta niechciana dorosłość dopadała mnie jeszcze mocniej. Wiedziałem, że powinienem dokonać jakichś wyborów. Od zebrania partyjnego i współudziału w linczu nad Nadią mogłem się jeszcze wyłgać. Niestety, jedne decyzje musiały pociągać następne!

Z pokoju Babci dobiegł mnie szmer. Jestem wyczulony na wszelkie hałasy dochodzące z tej strony. Nieraz budziłem się w środku nocy i biegłem sprawdzać, czy Babcia nie umiera. Kiedy byłem młodszy, marzyłem, że zostanę znakomitym lekarzem, jak doktor Pawłow, i wynajdę lek na starzenie się. Na początek



wypróbuję go na najbliższych. Obdarzę ich nieśmiertelnością. Siebie też. Szmer się powtórzył. Wstałem z tapczanu i pobiegłem do Babci.

Palila się tylko nocna lampka, oparta o nią stała tania reprodukcja Matki Boskiej, obok klęcząca Nastia, modląc się półgłosem. Babcia też mamrotała coś niesparaliżowaną połową twarzy.

– Co wy robicie?

– Przecież widzisz – modlimy się.

– Wierzysz w Boga, Anastazjo?! – chciałem dorzucić „w Boga burżujów i wyzyskiwaczy”, ale powstrzymałem się.

– Oczywiście, że wierzę, jak prawie wszyscy.

To zdanie mnie zaszokowało. Po pół wieku ateizacji brzmiało jak zaprzeczenie kulistości Ziemi.

– Pozwolisz, że dokończę... – powiedziała moja piastunka. –

„Święta Mario, Matko Boża, módl się nad nami grzesznymi. Teraz i w godzinie naszej śmierci. Amen”. Dobranoc Kaziu.

– Cmoknęła Babcię w policzek i wyszła wraz ze mną z pokoju.

– Jak to prawie wszyscy? – nie dawałem za wygraną. – Wydawało mi się, że cały świat zapomniał o Bogu. Wedle statystyk...

– Wedle statystyk Eurosoc już dziesięć lat temu przegonił gospodarczo Unię Panamerykańską, a jak jest naprawdę? Zboże importujemy z Kanady, mięso z Argentyny, a kalesony z Brazylii.

– Ale przecież nauka religii jest zakazana.

– Dlatego rodzice uczą dzieci, starsze rodzeństwo młodsze...

– A o mnie zapomniano?

– Twoja Mama sobie nie życzyła – mruknęła niechętnie. – Ale jesteś ochrzczony... z wody. A poza tym wiesz o Bogu więcej, niż niejeden z praktykujących po cichu katolików. Miałeś 10 lat kiedy z premedytacją przeczytałam ci „Stary Testament”, a potem „Nowy Testament” w wersji dla młodzieży.

– Pamiętam, odbierałem to jak piękny zbiór legend.

– Ale dzięki temu znasz „Biblię”. Znasz podstawowe zasady chrześcijaństwa. Sam o tym nie wiedząc, kierujesz się dekalogiem. A kiedy życie postawi przed tobą prawdziwe wyzwania i będziesz musiał wybrać między dobrem a złem,

pewne rzeczy znajdziesz w swoim mózgu bez trudu.

– Pięknie powiedziane. Tradycja. Zasady moralne. Tylko nie wiem, po co do tego jakiś Bóg!?

– Zaśmiała się cicho.

– Kiedyś sam do tego dojdiesz. Mam nadzieję, że szybciej niż twój Ojciec. Świat nie może istnieć bez Boga. Jak mawiał Dostojewski „Jeśli Boga nie ma – znaczy wszystko wolno”. No i dlatego mamy to, co mamy. Ale starczy na dziś – delikatnie popchnęła mnie w stronę mojego pokoju. – Jeśli będziesz chciał, porozmawiamy jeszcze o tym.

– Poczekaj chwilkę – przypomniała mi się jeszcze jedna nurtująca kwestia. – Ojciec napisał, żebym zapytał wuja Dżeka o jego doświadczenia wojenne. Co miał na myśli?

– Nie radziłabym pytać. Nie odpowie ci. Pan Andrzej zawsze był słaby psychicznie, ale to złamało go ostatecznie.

– To znaczy co?

– W roku 1945 został zmobilizowany. Miał, jak ty, kategorię D, toteż znalazł się w siłach pomocniczych. Razem z oddziałem skierowano go do Cherbourga, by grzebał zwłoki. Znalazł się jako jeden z pierwszych na atomowym pobojuisku. Później trafił do psychiatryka... Czy wiesz, że cały czas rysował zgliszcza, zwęglone ciała ludzkie, cienie na ścianach... Teraz jest już lepiej, ale przypuszczam, że Normandia śni mu się nadal co noc.

Miałem jeszcze mnóstwo pytań, ale pora w istocie była późna.

Poza tym zakiełkowała mi w głowie nowa myśl. Kiedy właściwie Ojciec pisał te adresowane do mnie wspomnienia? Z wypowiedzi bradiagi wynikało, że umarł jakiś czas temu, daleko stąd, w Magadanie. A przecież odwoływał się do wydarzeń niedawnych, tak jakby czytał mój poemat o Dzierżyńskim? Co tu było grane?

Tknięty nagłą myślą sięgnąłem po manuskrypt. Od pewnego czasu papier, wykorzystywany przez państwowe firmy, miał znaki wodne, aby uniemożliwić wykorzystywanie go we wrogich celach. To akurat wiedziałem z nauk pomocniczych na historii. Uniosłem papier pod światło i zaraz zobaczyłem w rogu maleńkie

literki PW. „W” nie występowało w alfabecie rosyjskim, toteż taki papier z całą pewnością był nie do zdobycia w Magadanie. Natomiast w Warszawie!? Takimi literkami znakowana była każda ryza socjalistycznego papieru, na którym wydawano „Proletaryat”. Cholera! Cholera. Przystawiłem krzesło, zacząłem grzebać na najwyższej półce i wnet znalazłem album ze zdjęciami z mojego dzieciństwa. Jeśli poza nim były jakieś fotografie Matki i Ojca – ślubne, paryskie – nie miałem do nich dostępu. Natomiast w albumie, w którym dokumentowano pilnie mój rozwój od kołyski aż do pójścia do szkoły, a zaraz potem owej dokumentacji zaniechano, znajdowała się jedna duża całostronicowa fotografia. Sześciolatek Marcinek w ramionach Taty przed kamienicą na Grochowie.

Wziąłem lupę i starannie obejrzałem przystojną twarz siwiejącego mężczyzny. Ale byłem idiotą! Włóczęga, który w barze piwnym wręczył mi teczkę ze wspomnieniami, to był mój Ojciec.

\*

Ledwie przyłożyłem głowę do poduszki, obudziło mnie energiczne trzaśnięcie drzwiami. Wróciła Mama. Usłyszałem, jak wypukuje z pokoju Nastkę i, zaciągnąwszy do kuchni, robi jej coś na kształt awantury. Piszę „coś na kształt”, albowiem moja Rodzicielka nigdy nie podnosiła głosu ani nie używała słów powszechnie uznawanych za obraźliwe.

Podśluchiwanie jest nieładne. Ale jak mogłem nie podśluchiwać? – Dlaczego mu powiedziałaś? – Matka z furją zaatakowała Anastazję.

– O czym niby?

– O Jerzym!

– Niczego mu nie mówiłam. Nigdy!

– To skąd wie? O wyroku? O łagrze?

– Może powiedział mu wujek Dżek.

– Andrzej? Prędzej by się udławił własnym językiem niż powiedział coś takiego!

- To może pani Kazia? Ostatnio potrafi paplać zupełnie bez kontroli.
- Możliwe – moja Matka wzięła głęboki oddech. – W każdym razie zupa się wylała. I trzeba się zastanowić, jak z nim dalej rozmawiać.
- Moim zdaniem mówić prawdę.
- Prawdę?!
- Nie ma w tym nic kompromitującego. Pani mąż nie był przestępcą. Pomagając bratankowi, zachował się jak każdy uczciwy człowiek.
- A jak zacznie pytać dalej? Dociekać, pytać o świat, w którym żyjemy?
- Trudno! To już nie dziecko. Jest dorosłym, bardzo inteligentnym młodzieńcem. Zrozumie, że praktyka nie zgadza się z teorią, a cały nasz system to, jak mawia lud „pic na wodę – fotomontaż”, ale równocześnie pojmie, że nic na to nie można poradzić.
- Sądysz?
- Jestem pewna.
- Tylko żeby nie zaczął się bawić w jakąś konspirację!
- Ależ Krysiu! (zdziwiłem się, bo przez całe swoje życie nie wiedziałem, że obie panie są na „ty”). Od dziesięciu lat nie ma u nas żadnej konspiracji.
- Wierzę, bo muszę. Tylko – czy zdajesz sobie sprawę, jak to komplikuje mój związek z Igorem?
- Znasz moje zdanie na jego temat. Ten romans jest haniebny. Twojego ojca zamordowali Ruscy, a ty gsisz się z tym bandytą z GPU.
- Igor jest lepszy niż inni. To wspaniały mężczyzna! – Mama wstała tak energicznie, że aż upadło krzesło. – Zresztą nie przyszłam słuchać od ciebie kazań, księżniczko.
- Na tej samej zasadzie lepszy, na jakiej cholera jest lepsza od dżumy! – Nastia nie przebierała w słowach, jednak Mama nie dała się sprowokować.
- Żyjemy w takim świecie, a nie innym. I albo zrezygnujemy ze wszystkiego, co mamy i zdecydujemy się wegetować za marne

grosze w śmierdzących blokach, albo zdecydujemy się na rozsądny kompromis. Nikogo nie krzywdząc, ale również nie stając okoniem. Jeśli możesz mi pomóc w zmianie nastawienia Marcina do Igora – będę ci wdzięczna.

– A jeśli Jerzy wróci?

– Niczego to nie zmieni. Jesteśmy po rozwodzie.

– Wiem. Ale rozwodu z własnym synem nie wziął.

– Od jego brata słyszałam, że nie żyje...

– Masz kontakt z panem Zbyszkiem? Nie wiedziałam...

– Widzieliśmy się przełomie podczas zawodów w Łodzi. Ale to nie ma znaczenia. Najważniejsze, że nie można pozwolić, żeby Marcin zmarnował wszystko, co osiągnęliśmy. I co on sam może osiągnąć.

\*

Czas pozostały do piątku, kiedy czekało mnie spotkanie pod mostem, dłużyl mi się niemiłosiernie. Perspektywa kontaktu z Ojcem spowodowała, że praktycznie nie mogłem myśleć o niczym innym. Ileż miałem do niego pytań! Ile kwestii do rozstrzygnięcia! W pewnym sensie oczekiwanie skracały mi rozmowy z Anastazją. Wiedząc, że i tak poznałem prawdziwą historię, dość chętnie rozmawiała ze mną na wcześniej „zakazane tematy”, ujawniła mi także swoje niektóre tajemnice. Zapytałem ją, na przykład, dlaczego moja Matka nazwała ją księżniczką? Roześmiała się.

– Jeśli myślisz, że jestem zaginioną córką cara, jesteś w błędzie. O Mikołaju II nie wiedziałem prawie nic, toteż chłonałem niczym baśń o żelaznym wilku historię jego uwięzienia i egzekucji w Jekaterynburgu.

– Dzieci też zabili? – pytałem wstrząśnięty.

– Dzieci, służbę, lekarza... Wszystkich! Legenda głosi, że z całej kaźni uratowała się tylko jedna z córek – carewna Anastazja. Ale to nie byłam ja. Chyba nie masz wątpliwości, że jestem Polką, nie Rosjanką. W dodatku żadna ze mnie arystokratka. Rodzice byli

jedynie bogatymi ziemianami na Podolu...

– A opowieść o tym, że byłaś służącą?

– Ta legenda pozwoliła mi przeżyć, najpierw ukryli mnie chłopi, a potem powędrowałam do Warszawy i trafiłam na panią Kazimierę.

– I nigdy nie chciałaś założyć rodziny?

– Kiedyś, tuż przed wielką wojną, przez całe pół roku miałam męża, ale zginął na froncie... A teraz mam ciebie. Was. To jest moja rodzina. Po tym, co mi wówczas zrobiono, nie mogłabym być z mężczyzną...

Umilkła, a ja nie drażyłem tematu. Rozumiałem, że dla Anastazji może być ciągle zbyt bolesny.

Moje stosunki z Mamą pozostawały chłodne przez te dni. Czasami odnosiłem wrażenie, że unika rozmowy ze mną. Nadal spotykała się z Martowem, choć nie wspominała o terminie ślubu.

Nadia Finger nadal nie dawała znaku życia. Jej przyjaciółka, Haberówna, nie miała pojęcia, gdzie się podziewa. Inne koleżanki również nabrały wody w usta. Za to na uczelni coraz częściej spotykałem się z Pawłem Bagińskim. Facet zaczynał mnie coraz bardziej intrygować. Jeśli chodzi o mądrość życiową – bił mnie o parę długości. A co jeszcze mógł wiedzieć? Ile żon miał Ramzes II?

W czwartek moje podekscytowanie sięgnęło zenitu. Dla relaksu zasiadłem z całą rodziną przed telewizorem, aby obejrzeć kolejny odcinek serialu „Stawka większa niż życie”. Film cieszył się niebywałą popularnością. W trakcie jego emisji pustoszały ulice, nawet Babcia odzyskiwała na godzinę świadomość i przez otwarte drzwi ze swojego pokoju gapiała się w ekran. Serial był tak głupi, że aż śmieszny. Nasz agent John Cross, wstawiony przez wywiad do FBI, rozprawiał się z niegodziwościami współczesnej Ameryki, udaremniał inwazje na kraje zmierzające do socjalizmu i demaskował tyrańskie intrygi jastrzębi z Pentagonu.

Podejrzewam, że dla większości moich rodaków głównym walorem filmu było to, że pokazywał USA – karykaturalnie, złośliwie, ale z zachowaniem realiów. Cross, kiedy wyjeżdżał

w teren, chodził w kowbojskich butach i kapeluszu marki Stetson, żuł gumę i pił coca-cole, wtrącał słówka okay i thankyou, jeździł szybkimi amerykańskimi wozami i robił w konia przedstawicielei najwyższej władzy. I za to go kochano.

Po ostatnim zaplanowanym odcinku, w którym sam jeden opanował łódź podwodną wypełnioną dywersantami mającą zaatakować socjalistyczne uzdrowisko i, doprowadziwszy ją do bazy radzieckiej marynarki wojennej, przeszedł na zasłużoną emeryturę, zaprotestowali widzowie.

Nie przyjęli do wiadomości, że Andrzej Zbych (bo takie prawdziwe nosił ten zuch) dostał order Lenina i osiadł w ojczyźnie. Chcieli mieć dalej swojego Johna Crossa, choćby nawet był agentem kiego SMIER SZ-u., bo przecież nawet dziecko wiedziało, że samodzielny wywiadu nie mamy. Po miesiącu telewizja skapitulowała. Scenarzyści zakasali rękawy i po miesiącu kapitan Cross, wyrzucony przez morze, odnalazł się na bezludnej wysepce u wybrzeży Florydy, po czym wrócił do akcji. Był to jedyny udany protest społeczny w naszej socjalistycznej ojczyźnie, o jakim słyszałem.

\*

W piątek nareszcie ociepliło się i choć do kalendarzowej wiosny pozostał jeszcze prawie tydzień, już czuło się ją w powietrzu. Ale to nie poetycka pora roku sprawiała, że co chwilą rozglądałem się dookoła. Przed tygodniem byłem chłopcem ufnym i spokojnym: „Śpij spokojnie – Czeka czeka!” – mówiło popularne powiedzonko. Teraz, wzorem kapitana Crossa, zastosowałem wszelkie znane mi metody gubienia ewentualnego „ogona”. Trzy razy zmieniłem środek komunikacji, za pomocą witryn sklepowych sprawdzałem, czy ktoś za mną nie idzie. Cały Nowy Zjazd przeszedłem pieszo, potem z wiaduktu zszedłem na dół, kamiennymi zaszczanymi schodami, służącymi za ustęp wszelkiemu menelstwu. Dopiero kiedy znalazłem się na betonowym ocembrowaniu, powiew od rzeki przegnał ciężki

zapach moczu. Podobno w Wiśle od dawna nie było ryb. Zabiły je ścieki przemysłowe i wody kopalniane. Ta diagnoza jednak nie zniechęcała wędkarzy. W bezpośrednim sąsiedztwie mostu naliczyłem ich piątkę. Żaden z nich nie przypominał siwego bradiagi, który przed tygodniem wręczył mi manuskrypt. Pokręciłem się chwilę w pobliżu filarów, potem wróciłem na górę i przeszedłem mostem Suworowa (ktoś, kto nadał jego imię mostowi prowadzącemu na Pragę, którą w 1794 roku skutecznie wymordował, musiał odznaczać się specyficznym poczuciem humoru), ale i tam nie było śladu po starym łagielniku. Co się stało? Najrozmaitsze ewentualności przelatywały mi przez głowę. Rozchorował się, został aresztowany? To ostatnie łączyło się z naprawdę paskudnymi podejrzeniami wobec własnej Matki. A jeśli domyśliła się naszego spotkania i, ażeby udaremnić dalsze kontakty, poprosiła o pomoc Martowa... Byłaby do tego zdolna? Pewnie była.

Po trzech godzinach daremnego oczekiwania, co chyba nie spodobało się wędkarzom, bo wszyscy zniknęli, wsiadłem do tramwaju i wróciłem do domu. Dokładniej, chciałem wrócić. Na Marysinie, już w pobliżu osiedla, na skraju zagajnika spływającego z wydm dostrzegłem znajomą postać na ławeczce, której szczęśliwym trafem nie zdołali połamać chuligani. Nadia Finger! Podniosła się na mój widok i ruszyła w moim kierunku. Podbiegłem i ja. Już po chwili spleliśmy się w namiętym uścisku.

– Wybacz, że się do ciebie nie odzywałam – rzekła Nadia, kiedy na moment oderwaliśmy się od siebie. – Ale nie wiedziałam, czy jeszcze zechcesz się ze mną spotykać...

– Moje uczucia do ciebie nie uległy zmianie! – powiedziałem, wpatrując się w nią z zachwytem. Wprawdzie przez ten tydzień mocno zeszcupiała, ale to tylko spotęgowało jej urodę.

– Teraz wiem – odparła – słyszałam też, że nie poszedłeś na zebranie mnie potępiać. Kocham cię za ten gest!

Jaki mężczyzna nie łyknie takiego komplementu. Jednak następne zdanie trochę mnie ochłodziło:



– Naturalnie jestem ci bardzo wdzięczna. Choć nie było to wcale potrzebne. Ja tam jeszcze wrócę.

Nie polemizowałem, wyposzczony jak pustelnik marzyłem o jednym: jak najszybciej znaleźć się z nią w łóżku, napawać się jej jędrnym ciałem, odartym z wszelkiej powłoki. Również ideologicznej!

– Wpadniesz do mnie? – zapytałem. – Poza Babcią, która niewiele kojarzy, nikogo nie ma. Wiesz, jak bardzo jestem stęskniony.

– A myślisz, że ja się nie stęskniłam?

Pobiegliśmy cwałem, tak jakbyśmy mieli dobre dziesięć lat mniej.

Wielkodusznie pozwoliłem wyprzedzić się na finiszu. Przy wejściu do naszego domu zauważyłem w otwartym oknie doktorową Wrońską, jak zwykle uważnie lustrującą przedpole.

Burknęła coś na moje grzeczne „dzień dobry”, natomiast Fingerównę omiotła długim, czujnym spojrzeniem.

Kwadrans później, kiedy zmysły zaczęły stygnąć, obróciłem się na drugi bok, a naga Nadia siadła na tapczanie i zapaliła papierosa.

Dopiero wtedy zadałem pytanie, od którego czuły kochanek powinien zacząć:

– Gdzie się podziewałaś przez ten tydzień?

– Byłam poza Warszawą, u kuzynostwa. Musiałam jakoś to wszystko przetrwać, pozbierać się.

– Miałaś kontakt ze swymi rodzicami?

– Jej twarz się zmieniła. Zgasiła peta w popielniczce z taką siłą, że aż mu współczułem.

– To już nie są moi rodzice.

– Co ty gadasz? – nie wierzyłem własnym uszom.

– Może nie powinnam ci o tym mówić, ale wiem, że zachowasz dyskrecję. Przesłuchiowano mnie. I przy okazji wyjaśniono mi wiele spraw. Istnieją niezbite dowody, że Fingerowie są agentami brytyjskiego wywiadu.

– Chyba nie mówisz serio?

– Ja zawsze mówię serio – wstała i zaczęła się ubierać. – A bycie komunistką oznacza, że są rzeczy ważniejsze niż, w końcu przypadkowe, więzy krwi.

Zatkało mnie. Chciałem zareagować gwałtownie, wspomnieć, jak łatwo naszemu systemowi przychodzi gnoić ludzi, powołać się na pamiętniki mojego Ojca, ale w uchu rozdzwonił mi się ostrzegawczy dzwoneczek, toteż powiedziałem jedynie:

– Uwierzyłaś w coś takiego?

– Organy nigdy nie stawiają oskarżeń bez zgromadzenia odpowiednich dowodów! Fingerowie – mówiła o rodzicach jak o kimś absolutnie obcym – znakomicie się kamuflowali, nawet przede mną udawali żarliwych, oddanych sprawie towarzyszy, a w gruncie rzeczy byli zapiekłym wrogami nas wszystkich – szarpnęła zakładaną pończochę tak mocno że ta pękła. – Wiesz jak to boli?

– A nie przyszło ci do głowy, że jedyną ich winą może być niewłaściwe pochodzenie?

– Ja też urodziłam się Żydówką, ale moja świadomość nie akceptuje tego faktu. Jestem po pierwsze komunistką, po drugie Europejką.

Nie komentowałem tego stwierdzenia. Tym bardziej że głównym problemem Nadii stało się teraz znalezienie igły, żeby „zarobić” pęknięcie pończochy. Znalazłem igłę i zaparzyłem herbatę. Nie bardzo wiedziałem, o czym z nią rozmawiać. Dziękowałem Bogu (w którego nadal nie wierzyłem), że nie wpadłem na pomysł, aby zwierzać się jej na temat Ojca. A inne tematy? Jakoś nic nie przychodziło mi do głowy. Chyba wyczuła zmianę mojego nastroju. Ale nie usiłowała przeciwdziałać. Może w istocie chodziło jej tylko o seks? Powiedziała, że musi pojechać do domu, zająć się porządkami, bo wszystkie osobiste rzeczy rodziców zwalono do jej dwóch pokojów. Zapewne liczyła, że zaofiaruję jej moją pomoc. Nie doczekała się.

Jeszcze przed chwilą napalony, gotowy rzucać jej świat do stóp, teraz zadawałem sobie pytanie: „co my właściwie ze sobą robimy?”. Idąc do przystanku milczeliśmy, czując się zapewne jak dwie proste równoległe, zmierzające do nieskończoności.

W dodatku w przeciwstawnych kierunkach.

Dopiero na przystanku zwróciła się do mnie.

- Coś cię gryzie, Marti?
- Dlaczego tak sądzisz?
- Zmieniłeś się przez ten tydzień. Bardzo!
- Wszyscy się trochę zmieniliśmy.

Nadjechał autobus. A ja westchnąłem z ulgą, nie mając nic przeciwko temu, żeby zabrał Nadię Finger z mojego życia na zawsze.

X

## Odkrywanie świata

Gdy wróciłem z przystanku, wziąłem się za referat dla profesora Piazzolego, ale szło mi jak krew z nosa. Bezmyślnie przebierałem w kasetkach wypełnionych fiszkami z notatkami, pół godziny strawiłem na dopieszczaniu pierwszego zdania wstępu, by ostatecznie z niego zrezygnować. Atrakcyjny temat egipskich ceremonii pogrzebowych obchodził mnie w tym momencie tyle, co zeszłoroczny śnieg. Dawniej, kiedy czułem narastającą chandrę, spotykałem się z którymś z moich przyjaciół. Miałem ich dwóch – Michał studiował w szkole teatralnej, Witold na politechnice. Ale obaj nie bardzo nadawali się dziś na powierników. Michał, beztronski jak kukułka, potrafił każdą rzecz obrócić w żart. Nigdy nie wiadomo było, kiedy mówi poważnie i która z twarzy aktualnie prezentowanych jest osobistą, a która pożyczoną. Inna sprawa, że obie były zabójczo przystojne. Starszy ode mnie o dwa lata, zdążył zagrać już w paru teatrach telewizji i był, jak to się mówi, „rozpoznawalny”, co dyskutował w kontaktach z kobietami. Lub milicjantami. Jego czar działał na płeć piękną w sposób niesamowity. Niezależnie od wieku niewiast wszystkie głupiały na jego widok, nie wyłączając mojej Mamy czy Anastazji. Jeśli chodzi o milicjantów – odgrywał swojego chłopca ze znaną mordą.

Ale dziś żaden, nawet najlepszy żart jego autorstwa nie mógł być kataplazmem na moje problemy. Z kolei Witold? Witold

w odróżnieniu od Michała był absolutnie seriozny. I konkretny. Owszem, wysłuchiwał moich fikcyjnych opowieści, kiedy jeszcze jako nastolatek improwizowałem w jego towarzystwie kryminały lub romanse płaszcza i szpady, nie znosił jednak moich skłonności do autoanalizy, dzielenia włosa na czworo, roztrząsania problemów, na które nie było jednoznacznej odpowiedzi.

„Talmudyczne gadanie” – ucinał próby takich dywagacji.

„Problemy należy dzielić na te, które można rozwiązać oraz te nierozwiązywalne – i nie zawracać sobie nimi głowy”.

Swoją drogą ciekawe, co poradziłby na moje aktualne dylematy? Postawić sprawę Nadii na zebraniu partyjnym, zgłosić zaginięcie mojego Ojca do GPU?

Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby zadzwonić do Pawła Bagińskiego. Paweł już wielokrotnie zapraszał mnie do siebie, a ja nigdy z tego nie skorzystałem, mimo że Falenica nie leżała za siedmioma górami, a co do lasów, oddzielały nas najwyżej dwa. Komunikacja też była bezpośrednia, trzeba było tylko pamiętać, żeby zdążyć na ostatni pociąg. Odebrał już po pierwszym sygnale i, zanim zdążyłem dojść do głosu, ponowił zaproszenie.

– Wyczuwam w twoim głosie, że nudzisz się jak mops – dorzucił.

– Mam do przygotowania referat.

– Każdy ma. Ale referat nie zajm. Za pięć minut będziesz miał kolejną w stronę Otwocka, co oznacza, że jeśli teraz wstawię piwo do lodówki, zdąży się schłodzić, zanim się tu pojawisz. Słuchaj uważnie, powiem ci, jak dojść do mnie od stacji.

Pojechałem. Paweł mieszkał w eleganckim klinkierowym szeregowcu (segment numer 5), który dotąd znałem wyłącznie z telewizji. Kiedy trzeba było wysłać kapitana Crossa do Anglii, ulica Feliksa Kohna w Falenicy wspaniale udawała przedmieścia Londynu.

Jeszcze przez telefon powiedział mi, że rodzice wybrali się do teatru, więc będziemy sami, chyba że przytargam ze sobą tę „rozkoszną Izraelitkę”.

– Nie przytargam – zapewniłem.

– To może i lepiej.

\*

Furtkę, drzwi wejściowe i kolejne drzwi do hallu zastałem ledwie przymknięte, co dowodziło, że mieszkańcy nie obawiali się złodziei. Zresztą normalny złodziej padłby na miejscu, porażony liczbą książek, które zajmowały każdy skrawek ściennej przestrzeni, przy kompletnym braku bibelotów, kryształów, pucharów czy czegokolwiek innego łatwego do opchnięcia.

– Wejdz wyżej! – usłyszałem głos mojego kolegi, dobiegający z góry.

Schodami wspiałem się na piętro.

– Jeszcze wyżej!

Wąską drabinką wspiałem się aż na rozległy strych. Pawła zastałem wśród sterty gazet, polskich i rosyjskich, które przekładał z kupki na kupkę. Zajęcie to wydało mi się nieco jałowe.

– Co robisz?

– Porządkuję! Moja mama niczego nie wyrzuca i dzięki temu można znaleźć tu naprawdę ciekawe rzeczy. Na przykład to – podał mi zbiór pierwszych stron „Proletariatu” z różnych lat, wypełnionych, z okazji kolejnych zjazdów i posiedzeń plenarnych, fotografiami i krótkimi życiorysami członków władz.

– Czy nie jest zastanawiające, jak pewni towarzysze pojawiają się, a potem znikają bez podania przyczyny? Albo, jeśli się porówna, jak w ciągu lat zmienia się ocena dokonań towarzysza Trockiego czy Bucharina? Czy uwierzysz, mam w swej kolekcji 17 wydań Krótkiego Kursu Historii WKP(b) i, wyobraź sobie, są tematy, które w żadnym wydaniu nie zostały przedstawione identycznie.

– Myślałem, że pasjonuje cię archeologia i historia starożytna? – powiedziałem.

– Oczywiście, ale tylko z tej przyczyny, że archeologię nowożytną mogę uprawiać wyłącznie na własnym strychu... O! – wykrzyknął tryumfalnie. – Tego szukałem!

Wyciągnął ku mnie poźółkłą i kruchą wkładkę do „Proletariatu” z roku 1938 pod znamienym tytułem „Bezdroża zdrady”.

Rzuciłem okiem – wśród licznych nazwisk, obok Kamieniewa, Zinowiewa, Radka demaskowanych jako szpiegów, pojawiło się nazwisko Kaganowicza. Pierwszego sekretarza partii bolszewickiej aż do teraz.

– Wtedy towarzysz Lazar jakimś cudem ocalał, a nawet po pewnym czasie wrócił do władzy. Pewnie nie wiesz, ale za błahy rysunek „Wskrzeszenie Łazarza” poleciała cała redakcja „Krokodila”. A dziś wcale się nie zdziwię, jeśli wykończą „twardogłowego rozkułaczytiela”, tym razem na dobre.

– Czy za takie zabawy nie możesz mieć kłopotów? – zapytałem, kiedy zamknął klapę i poszedł ze mną do kuchni.

– Co? Miałbym być pociągnięty do odpowiedzialności za czytanie organu mojej ukochanej partii? – tu uśmiechnął się szelmowsko. – A z jakiego paragrafu? Przecież nie słucham wrogich ośrodków dywersji ideologicznej, nie poluję na samizdaty. Ja jedynie pilnie studiuje prasę partyjną! A że czasami otrzymuję z niej sprzeczne informacje, to już naprawdę nie moja wina...

Wyjął z lodówki dwa piwa KM i podał mi. KM – piwo dobre, ale trudno dostępne na rynku, nosiło przez pewien czas nazwę Komsomolec, jednak ktoś się połapał, że wygląda to na rozpijanie młodzieży, pozostawiono więc tylko dwie pozornie nic nieznaczące literki, nakreślone charakterystycznym liternictwem, a i tak, kiedy tylko pojawiło się w sklepie, wszyscy prosili o „młodzieżowe”.

– Zastanawiasz się pewnie, dlaczego mówię tak otwarcie, nie boję się, że polecisz i zameldujesz, gdzie trzeba. Cóż, ryzykuję. Chociaż wydaje mi się, że trochę cię poznałem i nie palisz się do roli donosiciela, mimo wzruszającego poematu o towarzyszu Dzierżyńskim.

– To był tylko konkurs – bąknąłem.

– Usprawiedliwiać się będziesz na Sądzie Ostatecznym. Ja też dałem się wybrać do egzekutywy Komsomołu... A wracając do strachu. To jest nasz największy wróg. Nie organa, kłamliwa prasa, cenzorzy, kapusie, tylko strach, który siedzi w nas samych. Jeśli go przezwyciężymy... – zawiesił głos.

Mogłem się jedynie domyślać, co chciał powiedzieć – „to wówczas będziemy wolni”.

– A Nadią się nie przejmuj – dorzucił, zmieniając temat. – Jeśli uzna, że jesteś jej do czegoś potrzebny, wróci! Podobnie, jak trzeba będzie, złoży zeznania przeciwko swoim rodzicom.

– Co ty mówisz?! – zaperzyłem się.

– Wiem, co mówię. Jak myślisz, dlaczego się z nią rozstałem? Mimo że była naprawdę niezła? – pociągnął tęgi łyk. – Ale lepiej mów, co cię gryzie, Marcin?

– Dowiedziałem się o moim Ojcu...

– Bywa. Ja też niekiedy podejrzewam, że jestem synem listonosza

– parsknął, zaraz urwał i rzucił przepraszająco. – Głupi żart.

– Dowiedziałem się, że mój Ojciec wcale nas nie opuścił, by żyć z młodą panną, tylko wylądował w łagrze.

– Mnóstwo przyzwoitych ludzi tam trafiło.

– Był niewinny!

– Z tego co mi wiadomo, siedzą wyłącznie niewinni. Winnych nikt nie łapie. Ale mów, wrócił, jest w Warszawie?

– Nie wiem, nie pojawił się na wyznaczonym spotkaniu.

Bagiński nie pytał o szczegóły, tylko poszedł po kolejne piwo.

– Jesteśmy jak ślepe kocięta, które zaczynają dopiero przeglądać na oczy i orientują się, że świat różni się od bajek, które czytano im na dobranoc – rzekł po dłuższej chwili. – Jestem w lepszej sytuacji niż ty, miałem dziadka gadułę. Trzy lata umierał na raka i niczego się nie bał. To był znakomity nauczyciel. Gdyby nie on, pewnie też pisałbym strofy o Dzierżyńskim, tyle że prozą, bo nie mam talentu do rymowania.

Im więcej pustych butelek gromadziło się pod oknem, tym nasze gadanie robiło się śmielsze i, rzekłbym, bardziej antyustrojowe.

Paweł przyznał się, że jego marzeniem jest napisanie prawdziwej historii naszych czasów, choć na podstawie samych gazet, bez dostępu do źródeł i literatury emigracyjnej, będzie to trudne.

Ustawiłem się w roli adwokata diabła, mówiąc:

– A nie uważasz, że to trochę robota głupiego? Przecież jeśli nawet, wielkim nakładem pracy stworzysz zamierzone dzieło, nikt

nigdy ci tego nie opublikuje, a jak wydasz w samizdacie, trafisz do pierdła.

– Dziś pewnie tak, ale co będzie jutro?

– Masz jakieś złudzenia w stosunku do przyszłości. Wierzysz, że coś się zmieni za naszego życia?

– Jednego jestem pewien. Nie będzie wspólnoty żon ani każdemu według potrzeb. Nie doczekamy równości ani rzeczywistej władzy ludu. Nie doczekamy też świetlanej przyszłości. Ona jest jak horyzont. I to bardzo złośliwy. Im usilniej go gonimy, tym bardziej się od nas oddala.

Mogłem się jedynie zgodzić.

– Zapamiętałem też słowa naszego wspólnego profesora – dorzucił.

– Piazzolego?

– Piazzoli to tchórz. Geniusz, ale mocno przetrącony. Wiesz, że siedział dwa lata na Łubiance, a potem nagle dostał katedrę w Warszawie? Za darmo mu nie dali.

– Nie wiedziałem.

– To już wiesz... Myślałem o profesorze Małowiście. Komunista, ale odważny, może dlatego, że kaleka po chorobie Heinego-Mediny, z którym wszyscy obchodzą się jak z jajkiem.

Rozmawialiśmy kiedyś o imperiach. Zwrócił mi uwagę na to, jakie, mimo demonstrowanej potęgi, są nietrwałe.

„Państwo Napoleona istniało ledwie kilkanaście lat, z mocarstwem Aleksandra Macedońskiego było podobnie, tylko zamknął oczy, a całą schedę rozdrapali diadochowie. Rozpadły się gigantyczne państwa Czyngis-chana i Tamerlana...”

– A imperium rzymskie? – pozwoliłem sobie przerwać profesorowi.

– Nie licząc siedmuset lat Republiki, od Cezara do Romulusa Augustulusa to, jakby nie było, pięćset lat.

– Jeśli pokażesz mi współczesnych Cezarów, Hadrianów i Konstantynów, to nigdy nie zdecyduję się na płodzenie potomków. Na razie widzę raczej Tyberiuszów, Neronów, Komodusów i Augustulusów...”



- Odważnie powiedziane.
- Historyk musi badać przeszłość, obserwować teraźniejszość, ale nie tracić z oczu przyszłości.
- To też zdanie Małowista?
- Akurat moje. Za to staruszkowi wymknęło się przy okazji, że on pewnie nie dożyje, ale my przekonamy się, jak nietrwałe potrafią być granice, mocarstwa i systemy...
- Możemy za to wypić, ale to chyba wszystko, co w obecnej chwili jesteśmy w stanie zrobić.

Reszty rozmowy nie pamiętam. Co najwyżej, jak przez mgłę przypominam sobie powrót państwa Bagińskich i niepodlegającą dyskusji sugestię, abym u nich przenocował. W każdym razie ocknąłem się nad ranem w pokoju gościnnym. W czystej pościeli, za to w kompletnym ubraniu i w skarpetkach. Sądząc po otaczającym mnie zapachu, poważnie nadużyłem gościnności gospodarzy, wymiotując za kanapę.

\*

Prawdziwa kawa, jajecznica i prysznic podźwignęły mnie z kaca. Paweł proponował, żebym jeszcze został, mnie jednak ciągnęło do domu. Miałem kolejną serię pytań do Anastazji. Choćby, dokąd wypuszcza się co niedziela?

Jest takie przysłowie „o wilku mowa...”. Ledwo zszedłem z peronu na stacji Marysin, a drobna postać w szarym płaszczku ukazała się w furtce naszego osiedla. Nie musiałem nawet specjalnie wyciągać nóg, aby dogonić Nastię. Tyle że wcale nie chciałem jej dogonić. Wzorem kapitana Crossa zachowywałem równy dystans.

Anastazja szła w stronę Olszynki Grochowskiej, lasku, jak sama nazwa wskazuje, składającego się z samych brzóz. Na jego obrzeżu mnóstwo było baraków, baraczków, magazynów. Moja piastunka zatrzymała się przed baraczką z napisem „Składnica materiałów przeciwpożarowych”. Ciekawe, czy gdyby w naszym domu wybuchł pożar, to po piasek, bosaki, węże i gaśnice biegano

by właśnie tu?

Oczywiście w naszym systemie nawet psiej budy nie zostawia się bez dozoru. Tu dobytku pilnował cieć, kosmaty chłopina z drewnianą nogą, który, co ciekawe, na widok Anastazji ostentacyjnie odwrócił się tyłem i nie przeszkadzał jej w wejściu do braku. Na Boga, czyżby była ziemianka handlowała piaskiem? Nawyk odwracania się wszedł cieciewi w krew, bo zrobił to jeszcze kilka razy, kiedy nie wiadomo skąd pojawiali się ludzie, przeważnie starsi, chociaż zauważyłem również młode małżeństwo z dzieckiem w wózku. Jako jeden z ostatnich nadszedł pan Teri, zegarmistrz, niski mężczyzna o smutnej twarzy, któremu w zeszłym roku umarła żona. Obserwowałem to zza płotu, a ponieważ więcej ludzi już się nie pojawiło, ruszyłem w stronę baraczku, zastanawiając się czy drewnianonogi cieć na mój widok wykona również w tył zwrot?

Niestety, pokuszył się w moją stronę z miną psa, któremu zerwał się łańcuch.

– Kolega do kogo?

Nie przygotowałem zawnazsu żadnego wykretu, toteż milczałem.

– Ślepy jest? Nie widzi napisu? „Nieupowaznionym wstep wzbroniony”.

– Ja... – pewna myśl strzeliła mi do głowy, sięgnąłem do kieszeni.

– Przed chwilą, idąc od stacji, widziałem jak jeden starszy pan zgubił portmonetkę. Widziałem, jak tu wchodził...

– Tu nikt nie wchodził – warknął cerber. Ale rękę do mnie wyciągnął.

– Możecie mnie dać. Jakby kto pytał, przekażę.

– Wolałbym osobiście. Zresztą... – potrząsnąłem podkówką – ...jest tam tylko parę moniaków. Co najwyżej, może mieć dla właściciela wartość pamiątkową... To był, wydaje mi się, znajomy zegarmistrz z Traktu Lubelskiego. Zaniosę mu do zakładu.

Obróciłem się na pięcie i odszedłem, ku wyraźnemu zadowoleniu cecia. Nie znaczy to, że zrezygnowałem. Obszedłem baraczek od strony lasku, przedarłem się przez krzaki i, wypatrzywszy miejsce, w którym odstęp między drutami kolczastymi był najszerszy,

wśliznąłem się na posesję. Jeszcze chwila, a byłem przy baraku. Wydało mi się, że ze środka dobiegają jakieś głosy. Pod oknem znajdowała się skrzynia z piaskiem, ani chybi na wypadek, gdyby palił się sam magazyn przeciwpożarowy. Niestety, jedyne okno było całkowicie zasłonięte. Po rynnie udało mi się wejść na dach, gdzie znalazłem uchyloną klapkę prymitywnego wywietrznika. Wnętrze było ciemnawe, ale paliło się kilka świec, toteż w ich blasku zobaczyłem twarz pana Teriego, trzymającego prosty kieliszek do ponczu i wydobywającego z niego kawałki pszennej bułki. Podawał je pozostałym osobom otaczającym go kręgiem, mówiąc po łacinie coś, czego nie dosłyszałem.

Zebrani przeżykali, pochylali głowy i odchodzili w ciemność. Zegarmistrz dojadł okruchy do końca, z drugiego kieliszka wypił resztkę wina. Potem rozległo się chrząknięcie. Z nie mniejszym zdumieniem usłyszałem głos Anastazji.

– Bracia i siostry! – powiedziała. – Głęboko w serce zapadły mi słowa dzisiejszego czytania z listu świętego Pawła do Koryntian: „Starajmy się, bowiem o dobro nie tylko wobec Pana, lecz także wobec ludzi”. Jakież sens wypływa z tej nauki. Wiara jest łaską, ale nie może ona ograniczać się wyłącznie do własnych relacji ze Stworzycielem Nieba i Ziemi. Pan Jezus ustami swych apostołów uczy nas troski o bliźniego. Zbłąkanego, nieraz pozbawionego łaski wiary, nie przez zaniechanie, a prostą nieświadomość.

Przyszło nam żyć w trudnych czasach, niczym Żydom w niewoli babilońskiej. Nie mamy swoich świątyń, z kapłanów ostali się nieliczni, których zastępować muszą prezbiterzy bądź diakoni. Ale pierwszym chrześcijanom było po stokroć ciężiej. Krzyżowani i rozszarpywani przez dzikie bestie, męczeni na wszelkie sposoby, dysponowali prostym sposobem na oddalenie swych cierpień.

Wystarczyło wyrzec się wiary. Chwalić cezara, akceptować niewolnictwo, oddawać cześć bałwanom. Wyznawcy Chrystusa nie ulegali jednak tej pokusie! Porównajmy ich ze sobą. Za uczestnictwo w nielegalnej eucharystii dziś grozi najwyżej grzywna, za recydywę – kilka lat więzienia. A zresztą sądy rzadko ferują takie wyroki. Od czasu, kiedy sędzia Wolińska, wydając

wyrok na grupę nielegalnych seminarzystów z Lublina, padła na sali sądowej razona gromem, mniej jest chętnych do walki z Panem Bogiem.

Jeśli widzimy tonącego w rzece, a sami umiemy pływać, nie wahamy się śpieszyć mu z pomocą, mimo że nad brzegiem znajduje się napis „Zakaz kąpieli”. Musimy go ratować. Musimy ratować ludzi nawet wbrew nim samym. Otwierać im oczy na Chrystusa, a nade wszystko dawać przykład swoim życiem, godziwym życiem. I niech przyświecają nam słowa Boga, podane przez proroka Izajasza „Nie lękaj się, bo ja jestem z tobą, nie trwóż się, bom ja twym Bogiem. Umacniam cię jeszcze i wspomagam, podtrzymuję cię moją prawicą sprawiedliwą”. Opatrzność Boża nigdy nie działa pochopnie, ale Słowo spełnia się nawet po tysiącach lat. Kiedy dziś pielgrzym dociera do Ziemi Świętej, do państwa Izrael, tego kwitnącego ogrodu wydartego pustyni, przypominają się słowa Pana, cytowane przez Izajasza: „Każę wytrysnąć strumieniom na nagich wzgórzach i źródłom wód pośrodku nizin. Zamienię pustynię na pojezierze, a wyschniętą ziemię na wodotryski. Na pustyni zasadzę cedry, akacje, mirty i oliwki, rozkrzewię na pustkowiu cyprysy, wiązy i bukszpan obok siebie...”. I dokonało się to, co zapowiedziano, za sprawą wiary i pracy. Tak i nas, Panie, wrócisz na ojczyzny łono, a raczej ojczyznę nam przewrócisz, zsyłając swojego ducha, aby odnowił oblicze ziemi, tej ziemi. Amen.

Zaraz zabrzmiał śpiew. Ściszony, ale dobrze słyszalny. Nie znałem owej pieśni, ale czułem się tak, jakbym ją znał, jakby budziła z uśpienia wszystkie moje komórki, prostowała chromosomy, niszczyła nagromadzone toksyny.

„Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki  
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,  
Coś ją osłaniał tarczą swej opieki  
Od nieszczęść, które pognębić ją miały.  
Przed twoje ołtarze zanosim błaganie:  
Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie!”

Poczułem dziwną wilgoć na policzku. Wrażeniu towarzyszyło zaskoczenie. Oto stykałem się osobiście z ciemnogrodem, tak błyskotliwie wyszydzanym przez poetę Konstantego Gałczyńskiego, a mnie łzy ciekły z oczy. Zdumiewające! Oczekałem, aż wszyscy wyjdą, co potrwało dość długo, bo po mszy odbyła się jeszcze ceremonia chrztu, urozmaicona rozdzierającym wrzaskiem bobasa, wyciągniętego z wózka. Potem tą samą drogą wróciłem do lasu. Anastazję dogoniłem dopiero w domu. Siedziała w kuchni, przygotowując obiad.

- Obserwowałem dzisiaj waszą ceremonię – wypaliłem z miejsca.
- W składzie przeciwpożarowym.
- Znieruchomiła.
- Nie bój się, nie doniosę. Ale mam mnóstwo pytań.

Odstawiła nieobrane ziemniaki i wytarła ręce o fartuch.

- Pytaj więc.
- Nie miałem pojęcia, że istnieje coś takiego. Nielegalny kościół, nabożeństwa, chrzty.
- Uśmiechnęła się.
- Nie masz pojęcia, w jakim kraju żyjesz. Ale szybko się uczysz.
- Czy to znaczy, że takich ceremonii odbywa się więcej?
- Marcinku! Nie znam danych statystycznych i jeśliby nawet były takie, nie chcę ich znać. Jednak w naszej dzielnicy jest co najmniej kilkanaście takich wspólnot. Wiem, bo co tydzień spotykam się z inną i pomagam w miarę moich możliwości.
- Jesteś księdzem?
- Diakoniasą. Prawo kanoniczne nie zezwala na wyświęcenie kobiet. Niemniej w wyjątkowej sytuacji możemy chrzcić, odprawiać mszę, a także słuchać spowiedzi.
- A pan Teri?
- Po śmierci żony został wyświęcony na prezbitera. Przez biskupa.
- To są jeszcze katoliccy biskupi? – byłem coraz bardziej zaskoczony. – Tu, w Warszawie?
- O takie rzeczy mnie nie pytaj!
- Przecież nikomu nie powiem.

- Ale lepiej za dużo nie wiedzieć. W razie wpadki nie można nikomu zaszkodzić.
- Mówiłaś, że ryzyko jest niewielkie?
- Obecnie. Ale kto wie, jak się zmieni kurs? Dziś sfera reżimowych psów rzuciła się na Żydów, jutro mogą sobie przypomnieć o katolikach.
- Nie rozumiem jeszcze jednego. Po co ta konspiracja? W końcu jest oficjalnie działający kościół, katedra...
- I wszędzie podsłuchy. Legalni duchowni to w większości księża postępowcy, zwerbowani do współpracy z GPU. Przecież tam nawet kazania zatwierdza departament do spraw religii.
- Za to wasz kościół nie ma nawet naczyń liturgicznych, strojów i zapewne struktury.
- Ale nie brakuje mu wiernych i na tym polega jego siła. Nie oponowałem. Ale nie czułem w sobie siły, która mobilizowała tamtych ludzi iluzją życia po śmierci, wizją nagrody lub kary. Fajnie byłoby, gdyby tak było. Ale samo marzenie nie stwarza jeszcze rzeczywistości. W nastroju wzajemnego zaufania powiedziałem Nastii oględnie, bez wymieniania miejsca i czasu, a także podejrzeń co do osoby, o posłańcu, który nie stawił się na spotkanie. Zmarszczyła brwi.
- Komu o nim powiedziałeś?
- Nikomu.
- W takim razie nie powinieneś się denerwować, to może być zwyczajny przypadek. Posłaniec mógł zachorować albo, jeśli jest osobą poszukiwaną, wpaść przy jakiejś banalnej kontroli. Zachowaj spokój, czekaj, na pewno sam się odezwie, ale na wszelki wypadek papiery schowaj.

\*

Wieczorem, dla poprawy samopoczucia, spotkałem się z Michałem w stołówce Teatru imienia Stanisławskiego. Mój przyjaciel, już ucharakteryzowany do zaczynającego się za pół godziny spektaklu, jak zwykle miał mnóstwo nowych kawałów

i anegdotek. Choć zaczął poważnie:

– Słyszałeś, zamykają Teatr Żydowski. Znowu stracę trochę kasy.

– Nie rozumiem. Występowałeś tam, ty, z twoim wyglądem aryjskiego cherubina?!

– Miałem od nowego sezonu zakontraktowaną rolę „złego Polaka” w sztuce niejakiego Singera. Swoją drogą zazdroszczę im, cały zespół dostał propozycję wyjazdu do Izraela.

– No to pewnie bardzo się cieszą?

– Niekoniecznie.

– Dlaczego, piękny kraj, miły klimat, spore pieniądze...

– Ale niestety, skarżą się, że za dużo tam Żydów!

Długo nie pogadaliśmy, zaczął się spektakl, na którym nie zostałem. „Brygadę majstra Korniejenki” widziałem dwa razy (pierwszy i ostatni). Był to drętwy produkcyjniak, którego nie była w stanie ożywić znakomita obsada. Jediną bardziej krwistą postacią był pop, kreowany przez Tadeusza Łomnickiego, zbierającego zasłużone brawa razem z salwami śmiechu. Niestety, z popem kolektyw rozprawiał się już pod koniec pierwszego aktu. Dalej bite półtorej godziny wiało ideologiczną nudą. Widzowie zresztą też wiali.

Z teatru podreptałem do mojego druha Witka, który mieszkał przy ulicy Senatorskiej, vis-à-vis kościoła zamienionego na magazyn materiałów chemicznych. Witek, fanatyk techniki, żył już zaplanowaną na przyszły rok wyprawą człowieka na Księżyc.

– Zazdroszczę tym chłopakom z Houston i Cap Canaveral – zwierzył mi się. – Dzień, w którym staną na Srebrnym Globie, będzie z pewnością nowym, wielkim krokiem w dziejach ludzkości.

– A ja trochę się zdziwię, jeśli do tego dojdzie. Od dziesięciu lat przodowaliśmy w konstruowaniu sputników i rakiet, zostawiając Amerykanów coraz bardziej w tyle, więc skąd...?

– Są dwa wytłumaczenia tego fenomenu – odparł. – Albo, jak się twierdzi w kręgach naukowych, będzie to jedna wielka mistyfikacja, a księżycowe plenery nakręcą w Nevadzie czy innej Australii...

– Albo?

– Chiny! – mruknął. – Wykorzystanie na wielką skalę chińskich rezerw i ich gigantycznego potencjału ludzkiego.

– Przecież mówi się, że od czasu zwycięstwa nacjonalistów panuje tam terror, głód i wyzysk.

– Jankesi z tego korzystają!

Potem rozmowa zeszła na temat Nadii. „Witek, antysemita z krwi i kości, nie wykazywał specjalnego współczucia.

– Stary, to nie była babka dla ciebie. Wyrafinowana i wyrachowana. A dla jej rodziny zawsze byłbyś obcy.

– Może i masz rację.

– Powinieneś znaleźć sobie kogoś nowego.

– Łatwo radzić! Na moim wydziale wszystkie ładniejsze dziewczyny są już pozajmowane, może ty znasz kogoś...?

– Pewnie, jeszcze u siebie na wydziale?! Kochany, mówisz, jakbyś nie wiedział, że dziewczyny w Warszawie, dzielą się na ładne, brzydkie i te z politechniki...

– Fakt, ładne są głównie na fakultecie medycznym.

– I to jest pomysł, żeby szukać w tamtych rejonach. Mogę załatwić nam zaproszenie na bal medyków.

– A kiedy to się odbędzie?

– Trzynastego kwietnia. Do tego czasu, mam nadzieję, jakoś wytrzymasz?

– Wytrzymam – wyciągnąłem kalendarz. – Trzynastego? Czeka, ale to chyba przypada w Wielki Piątek.

– I co z tego? Chyba nie zrobiłeś się nagle religijny? – parsknął śmiechem. – Komitet uczelniany specjalnie wybiera takie daty, bo może podciągnąć to pod oświatową działalność antyreligijną. Ważne, że przynajmniej daje kasę.

Potem przyszła siostra Witka i, jak zwykle, rozegraliśmy kilka partii kierek. Wygrałem.

Wychodząc na ulicę i kierując się do przystanku tramwajowego przy placu Zamkowym pomyślałem, nie wiedzieć czemu, że może powinienem zajrzeć pod most, sprawdzić, a nuż czeka tam na mnie mój Ojciec, jednak porzuciłem tę myśl. O tej godzinie pod



mostem Kierbedzia, albo, jak kto woli, Suworowa, można było co najwyżej dostać w mordę. Całe miasto było o tej porze ciemnawe, wietrzne, nieprzyjemne. W mroku tonał fronton Teatru Wielkiego, iluminowany jedynie z okazji jubli z udziałem najwyższych władz. Minąłem posterunek milicji przed ratuszem, pałac Blanka, gdzie mieściła się redakcja „Listów Literackich”, których naczelnym był Krzysztof Kamil Baczyński, potem Pałac Prymasowski, wspominając czasy, kiedy za firankami obiektu kulił się prymas Michał Poniatowski, słuchając łomotu młotków warszawskich rzemieślników, budujących szubienicę dla zdrajców w trakcie powstania kościuszkowskiego. Ciekawe, czy naszym dzisiejszym wielkorządcom kiedykolwiek taki strach zajrzał do oczu? Bzdura, jedyne co mogło im grozić, to niełaska w centrali. Naraz dopadła mnie chandra. Głuszyłem ją cały dzień, ale teraz chłodne powietrze wydobyło ją na wierzch. Wszystko się poplątało, pomieszało. Nie cieszyła mnie perspektywa wydania tomiku moich wierszy z obowiązkowym „Dzierżyńskim”, denerwował ślub Matki, niepokoiło zniknięcie Ojca, powracał smak ust Nadii, skażony jednak jakąś nieprzyjemną goryczką. A nade wszystko tłukły się pytania: co dalej? Jak żyć? Dokąd zmierzać? Udawać, że nic się nie stało? Zapomnieć o pamiętnikach Ojca? Może nawet kandydować na grupowego w naszej podstawowej organizacji partyjnej? Omal nie potknąłem się na stopniach kolumny Zygmunta. Łapiąc równowagę, uniosłem głowę w górę, sprawdzając, czy Waza nadal trzyma swój krzyż. Całkiem niedawno dowiedziałem się od Pawła, że od pięćdziesięciu lat podejmowano różne inicjatywy, aby pozbyć się tego kłopotliwego insygnium. Dzierżyński, póki żył, wyśmiewał nadgorliwców. Za Duracza decyzja w zasadzie zapadła. Tyle że rozpętała się dyskusja, co ma trzymać w ręku król. Geodezyjną łatę? Chorągiewkę? Ale czy wówczas nie będzie się za bardzo kojarzyć z barankiem wielkanocnym? W trakcie dyskusji zaczęła się wojna z Amerykanami, partia uderzyła w tony bogoojczyźniane i krzyż ocalał...

Tej nocy król nadal trwał na swoim miejscu w pełnym rynsztunku, ale gdy opuściłem wzrok niżej ujrzałem zjawisko. Dziewczyna miała nie więcej niż dwadzieścia lat, szczupła, wysoka, z ciemnymi włosami wysypującymi się spod berecika. Gdyby była blondynką, uznałbym ją za anioła, który tej pochmurnej nocy sfrunął z niebios. Ale brunetka? Co robiła tutaj o tej porze? Czekwała na kogoś? A może, choć jej delikatna uroda stanowiła jaskrawe zaprzeczenie takiej bluźnierczej myśli, szukała klienta? Moje zaskoczenie wzrosło jeszcze bardziej, gdy zwróciła się do mnie:

– Pan Marcin Wolak?

Kiedy potwierdziłem, uśmiechnęła się nieprawdopodobną galerią ząbków i rzekła:

– Muszę pana gdzieś zaprowadzić.

Niczym błyskawica w moim mózgu pojawiła się inna hipoteza. Dziewczynę wysłał GPU i właśnie dobiegł kresu mój pobyt na wolności. Jednak jej słowa rozwiały tę obawę.

– Jestem wolontariuszką i w niedzielę pomagam siostrom sakramentkom w prowadzeniu przytułku i hospicjum dla bezdomnych w kościele na Nowym Mieście. Wczoraj koło południa przywieziono do nas mężczyznę, którego potracił samochód.

– Do was? A dlaczego nie do szpitala?

– Nie kwalifikuje się. Bezdomny. Bez dokumentów, w stanie nierokującym poprawy... Dwie godziny temu odzyskał przytomność i prosił o odnalezienie pana, podał telefon. W domu jakaś pani, chyba pana ciocia, powiedziała, że może pan być u przyjaciela przy Senatorskiej, zadzwoniłam tam, ale dowiedziałam się, że właśnie pan wyszedł, w kierunku przystanku na placu Zamkowym. Doszłam tu chwilę przed panem. Rysopis, który mi podała pana ciocia, okazał się precyzyjny. Pójdzie pan ze mną?

– Oczywiście.

Hospicjum mieściło się w starych zabudowaniach klasztornych za okrągłą świątynką na rynku Nowego Miasta. Po drodze

dowiedziałem się od mojej przewodniczki, że zamierza zostać lekarzem, a praca wolontariuszki daje jej dodatkowe punkty przy rekrutacji na ten oblegany wydział. Była zatem jeszcze młodsza, niż w pierwszej chwili myślałem. Jednak uroda wszystkich dziewcząt świata nie była w stanie przysłonić niepokoju targających moją duszę.

– Jaki jest stan tego... – nie chciałem powiedzieć włości, więc użyłem sformułowania – starszego człowieka?

– Zły. Liczne złamania, wylew wewnętrzny. Siostra przełożona twierdzi, że może nie dożyć świtu.

– Trzeba mu załatwić szpital!

– Cały problem polega na tym, że on sobie nie życzy. W bucie miał jakieś dokumenty, ale nie chce ich nam pokazać.

\*

Jerzy Wolak leżał w małej wnęce na starym, pamiętającym XIX wiek, korytarzu. Wyglądał jeszcze gorzej niż kiedy widziałem go przed tygodniem. Na mój widok otworzył oczy.

– Marcinek? – głos miał chrapliwy. Oddech świszczący.

– Tata?

– Tylko przypadkiem mnie nie ściskaj. Boli. Ale to minie. Wkrótce. Był już ksiądz... Mam mało czasu, więc słuchaj uważnie. Znasz ogródki działkowe w Sadach Żoliborskich?

– Znam.

– Siódma alejka poprzeczna od wejścia. W lewo. Do końca. Altanka pod płotem, numer 245. Klucz znajdziesz w mojej marynarce. Pod podłogą jest pokoik... tam wszystko – umilkł na chwilę i wyglądało na to, że zbiera siły. – Musisz się stąd wydostać. Dla siebie, dla ciebie, dla prawdziwej Polski...

– Prawdziwa Polska nie istnieje.

– Istnieje... Rozproszona, ale istnieje. I będzie. Musisz... Musisz zrobić to, co mnie się nie udało. Wiem, widzę to teraz lepiej niż kiedykolwiek, że jesteś do tego zdolny.

– Postaram się. Tylko jak?

– Wierz w to, że się uda, to się uda... – naraz chwycił moją rękę.  
– Bóg... rozumiesz, Bóg tego tak nie zostawi, on ześle nam... już zesłał. Synku!

Uścisk zelżał. Oczy utkwione w sufit stały się szkliste, oddech zanikł. Tata jeszcze przed chwilą był ze mną. I już go nie było. Rozejrzałem się bezradnie, przez łzy. Mojej przewodniczki nigdzie nie było. W głębi korytarza dostrzegłem jakąś tęgą zakonnicę.

– Proszę pani... proszę siostry! – poprawiłem się.

Podeszła natychmiast.

– Proszę siostry... chciałbym się pomodlić... Tylko że ja nie umiem. Mogłaby mi siostra pomóc?

Bez słowa klękła obok posłania i złożyła ręce. Poszedłem w jej ślady.

„Ojcze nasz, któryś jest w niebie...”. Zdziwiałem, ja przecież znałem ten tekst. Czyżby przepłynął do mnie wraz z ostatnim uściskiem mojego Ojca?

XI

Testament

Nie wiem, co bym począł bez Anastazji. W ciągu czterdziestu minut przyjechała taksówką na Nowe Miasto i bez wahania rozpoznała w martwym bezdomnym Jerzego Wolaka. Co więcej, zdecydowała, że mój Ojciec musi mieć normalny, katolicki pogrzeb.

Było to posunięcie niesłychanie odważne, ale zaakceptowałem jej argumentację. „Nie spocznie w anonimowej mogile! Należy mu się od nas chociaż to!”. Potem uzgodniliśmy wspólną wersję dla milicji: „Nie mieliśmy pojęcia o pobycie byłego łagienika w Warszawie, nie było między nami żadnych wcześniejszych kontaktów, nie wiemy, gdzie przebywał, zanim spotkał go ten wypadek”. Okazało się, że żadnym przesłuchaniom nas nie poddano i zadowolono się przyjęciem standardowego

oświadczenia. Również nieuzasadnione okazały się obawy dotyczące ewentualnego sprzeciwu Mamy. O dziwo, pomogło stanowisko Martowa. „Wróg nie wróg, jeśli nie żyje, należy go pochować”.

W całym zamieszaniu zapomniałem na moment o czarnym aniele, który doprowadził mnie do hospicjum. Wypadało chociaż podziękować dziewczynie, toteż zanim wyruszyliśmy do domu zapytałem o piękną wolontariuszkę.

– Julia? – starsza zakonnica natychmiast zorientowała się o kogo chodzi. – Już wyszła. Kiedy będzie? Nie wiadomo. Wpada do nas dosyć nieregularnie. Z tego co wiem, pomaga jeszcze w innych państwowych ośrodkach opieki. Nie, nie mamy jej telefonu. Może zresztą mieli, a nie chcieli podać. Nie dowiedziałem się nawet jej nazwiska.

W poniedziałek przejrzałem prasę z soboty i znalazłem na ostatniej stronie informację o wypadku, który zdarzył się na wiadukcie koło Dworca Gdańskiego. W autobusie linii 155 zawiodły hamulce. Rozpędzony pojazd wpadł na przystanek. Pięć osób zostało rannych, jedna ze skutkiem śmiertelnym. Kierowcę wozu i dyspozytora zatrzymano do wyjaśnienia. Odetchnąłem – wyglądało na mało prawdopodobne, żeby mój Ojciec padł ofiarą celowego zamachu. To uspokojenie sprawiło, że po raz pierwszy od tygodnia zacząłem kombinować: a może w opiniach Anastazji i Ojca na temat naszego systemu jest za dużo przesady?

Podobnie nie było żadnych problemów z zamieszczeniem nekrologu. Trochę więcej z jego zredagowaniem. Anastazja upierała się, że powinno być „Jerzy Wolak, adwokat”. Mama oponowała, twierdząc, że jej były mąż już dawno utracił prawo uprawiania zawodu i zamieszczenie takiej informacji w nekrologu oznaczałoby podważanie prawomocnych wyroków.

Zaproponowałem kompromis. „Magister prawa”.

– Doktor! – poprawiła Nastia – może nie wiesz, ale na Sorbonie twój tata obronił doktorat z praw pracowniczych.

I tak brzmiał nekrolog.

„Jerzy Roman Wolak, doktor praw, urodzony 18 października 1901 roku, zmarł tragicznie 15 marca 1968 roku. Pogrzeb odbędzie się na Starych Powązkach, 20 marca o godzinie 14:00, o czym zawiadamia pogrążona w głębokim smutku Rodzina”.

Jak na pogrzeb osoby oficjalnie skazanej na nieistnienie, na Starych Powązkach przy grobowcu rodzinnym, na którym obok nazwiska pradziadków znajdowało się imię mojego dziadka Tadeusza (w istocie jego ciało nigdy nie zostało ekshumowane i zapewne nadal spoczywało gdzieś w brzozowym lesie na wschodzie), stawiło się całkiem sporo ludzi. Po pewnych wahaniach zjawiała się także i Mama, w dyskretnej czerni, a także jej przyjaciółka z rewii – Teresa (Martowa na szczęście nie było). Przyszło też kilkoro sąsiadów z doktorową Wrońską i panią Bożenką, zegarmistrz pan Teri. Z Łodzi przyjechał brat Ojca Zbyszek i jego bratanek Krzysztof, który pobyt w więzieniu przypłacił przedwczesną siwizną. Pojawiło się nawet kilku przedstawicieli palestry i dwaj starzy przyjaciele Taty, Jan Kiwerski i Roman Ługowski. Dłuższy czas nie miałem pojęcia, kim może być tęga, rudawa jejmość w futrze. Pojąłem, kiedy się przedstawiła jako Gertruda Steiner.

– Zajmowałam się kiedyś pana tatą w szpitalu, w Prusach.

– Słyszałem. Dziękuję za wszystko, pani Trudo.

Stawili się też obaj moi przyjaciele (Michał nawet w tym celu zwolnił się z próby), a także, co przyjąłem z zaskoczeniem, Paweł Bagiński. Mignęła mi jeszcze jedna osoba. Nie zauważyłem jej podczas ceremonii. Wprawdzie żadnych przemówień nie było, ale legalny ksiądz odmówił stosowną modlitwę. Dopiero kiedy zaczęto składać wieńce wyłoniła się spomiędzy sąsiednich nagrobków, położyła jedną różę. I zniknęła. Julia? Dużo bym dał, żeby ponownie nie utracić z nią kontaktu, ale przecież nie mogłem za nią pobiec.

\*

Obowiązki rodzinne – zarówno stryj Zbyszek, jak i Krzysztof okazali się wspaniałymi ludźmi – zaabsorbowały mnie do tego stopnia, że do altanki wskazanej przez Ojca mogłem wybrać się dopiero w czwartek po południu. Oczywiście z zachowaniem wszelkich reguł konspiracji. Pojechałem metrem do Marymontu, tam przeskoczyłem do wagonu idącego w przeciwnym kierunku. O ile wiem, nikt nie zrobił podobnego manewru. Wysiadłem na placu Jakobinów, a następnie ulicą Marata i Dantona – Żoliborz pełen był krwawych demonów francuskiej rewolucji – dotarłem do ogródków działkowych. Dzień był chłodny i wietrzny, nadciągająca wiosna jakby zatrzymała się w pół kroku, nie dziw, że okolica świeciła pustkami i niewielu chętnych rwało się do prac ogrodowych.

Altankę odnalazłem w bardziej zapuszczonej części działek, zapewne najstarszej. Krzaki były tu gęstsze, drzewa wyższe, zaś sama budka, za duża dla psa, choć zdecydowanie za mała dla człowieka, ledwie była widoczna wśród gęstych pędów dzikiego wina. Latem zapewne niknęła zupełnie w listowiu.

Zamek do drzwi okazał się doskonale naoliwiony, klucz znaleziony w kieszeni Ojca pasował, wewnątrz zaś przypominało normalną szopę miłośnika zajęć na świeżym powietrzu. Narzędzia ogrodnicze – grabie, łopata, sekator, rękawice – pozostawały jednak w sprzeczności ze stanem ogródka, w którym, już na pierwszy rzut oka, od dawna nikt nie pracował. Wiało przez liczne szpary i ze grozą myślałem o Ojcu, który zapewne spędził tu ostatnią zimę. Chociaż może po doświadczeniach syberyjskich czuł się tu jak na Wyspach Bahama. Mimo że powierzchnia nie przekraczała dziewięciu metrów kwadratowych, z trudem udało mi się znaleźć prawie niewidoczną klapę w podłodze, a jeszcze więcej wysiłku kosztowało mnie jej otwarcie. Dopiero po pewnym czasie zorientowałem się, że aby odnaleźć uchwyt należało zdemontować jedną długą deskę; wtedy wejście na dół stawało otworem.

Nie wiem, kto i kiedy przygotował tę kryjówkę, może jakiś dawniejszy konspirator albo ktoś opętany wizją atomowej zagłady.

Jeszcze ciekawsze, jak o jej istnieniu dowiedział się mój przybyły z Sybiru Staruszek? W każdym razie trzeba było zejść drabinką o kilkunastu szczeblach, aby trafić do podziemnej celi o powierzchni około 8 metrów kwadratowych. Znajdowały się tam stolik, prycza, półka na książki. Funkcjonowało również światło elektryczne, najwyraźniej Tata w jakiś sposób po piracku podłączył się do sieci. Był czajnik, kuchenka, grzejnik, kilkanaście książek i mnóstwo rękopisów. Pod łóżkiem znalazłem walizkę ze sporą ilością pieniędzy, w tym również dolarów. Nie brakło tam różnych dokumentów wystawionych na wiele nazwisk, znalazła się tam nawet legitymacja GPU Iwana Ilicza Majskiego, tyle że w każdym z dokumentów była wklejona fotografia Taty.

Zaniepokoiła mnie obecność pistoletu typu parabellum i paru granatów. Samo posiadanie podobnych rzeczy groziło długim wyrokiem. Największe wrażenie robił aparat radiowy, zapewne połączony z jakąś dobrą anteną i nastawiony na niezagłuszane pasma. Zawsze wiedziałem, że są takie kanały, nieobecne w normalnych odbiornikach, dzięki którym GPU może poznawać zakusy i knowania wroga. Urządzenie nie miało głośnika, pewnie po to, żeby żaden dźwięk nie wydobywał się na zewnątrz; były jedynie słuchawki. Nałożyłem je na uszy.

Chwilę rozczarowany słuchałem muzyki (skądinąd dobrego amerykańskiego folku), potem rozległo się parę taktów Mazurka Dąbrowskiego i zabrzmiał głos, dźwięczny mimo zakłóceń, doskonale czytelny.

„Mówi rozgłośnia Wolna Polska. Wita państwa Jan Pawłowicz. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”.

O Wolnej Polsce tylko słyszałem, krążyła opinia, że jest to stacja uprawiająca klerykalną propagandę, skierowana do ludzi starszych i gorzej wykształconych. Krajowe gazety, bezpardonowo rozprawiające się z Radiem Londyn czy Głosem Ameryki, o tej rozgłośni konsekwentnie milczały.

Dlaczego upodobał ją sobie mój Ojciec?

Nie miałem czasu słuchać. Ogródki działkowe, podobnie jak cmentarze czy parki, nie należały do miejsc, po których można



było bezpiecznie szwendać się po zmierzchu, więc tylko pośpiesznie kontynuowałem przeszukiwanie. Po odsunięciu kanistra z płynem, wyglądem i zapachem przypominającym benzynę (po co?), znalazłem kolejne wąskie przejście. Wziąłem z półki latarkę, chyba niedawno wymieniono w niej baterię, bo świeciła jak halogen, i precyzyjnie przesuwałem się dalej. Oszalowany deskami korytarzyk doprowadził mnie do latryny, pozwalającej załatwić się bezpośrednio do płynącego dołem kanału ściekowego. O podłazie była kłapa, umożliwiająca zejście na dół i zapewne bezpieczną ewakuację wzdłuż kanalizacyjnego ścieku. O wszystkim pomyślał kochany Staruszek, tylko nie przewidział banalnego wypadku! A może przewidział? Wśród papierów znalazłem list do mnie, zaczynający się słowami:

„Ostatnio coraz częściej śni mi się śmierć. Nie przeraża mnie jej bliskość. Choć wydaje mi się, że przychodzi za wcześnie. Inna rzecz, że zapewne gdybym był stuletnim starcem, też uznałbym »panią z kosą« za gościa zjawiającego się przed terminem. Z drugiej strony, przeżyłem tak wiele epok, wojen, rewolucji, że starczyłoby tego na parę innych żyć w spokojniejszych czasach. Widziałem pierwsze samochody i samoloty, a dziś czekam niecierpliwie na chwilę, kiedy człowiek wyląduje na Księżycu... Wychowywałem się w epoce, którą zapowiadano jako okres tryumfu rozumu, jednak większość życia przyszło mi egzystować w czasach zwycięskiej głupoty.

Niczego nie osiągnąłem, to co miałem, straciłem. »Przypadek układa los człowieka...?« Już to pisałem. Miałem zdolności, talenty, nie potrafiłem ich należycie rozwinąć. Jeśli Stwórca miał wobec mnie jakieś plany – nie przekazał mi ich zbyt wyraźnie albo po prostu nie potrafiłem ich odczytać. W efekcie nic po mnie nie pozostanie, przeszedłem jak drobny meteor na nocnym niebie – nikły świetlisty ślad, smuga i już nic. Jedyłą nadzieją, jedyną pociechą jest to, że wszystkie moje marzenia spełnisz ty, synu. Wtedy okaże się, że moje nieudane życie miało sens”.

Miałem ogromną ochotę czytać dalej i sięgnąć po kolejne rękopisy, ale zdawałem sobie sprawę, że nie miejsce ani pora... Robiło się naprawdę późno. Wpadnę tu w niedzielę! Znalazłem jeszcze kilka szpulowych taśm do magnetofonu marki Mielodia, podłączonego do radia. Miałem w domu identyczny. Zabrałem jedną z nich. W papierach znajdowało się kilkadziesiąt wierszy, trzy nowele i połowa powieści. Niewiele myśląc, wpakowałem wszystko do mojej skórzanej teczki, którą profilaktycznie zabrałem pustą. Przed wyjściem jeszcze raz nałożyłem słuchawki, ciekawy, co teraz usłyszę. Piękny, dźwięczny głos, pełen spokoju a jednocześnie niezwyklej energii, mówił do słuchaczy rozsianych zapewne po całym globie w sposób, jakby ich widział. Wszystkich razem i każdego z osobna.

„...I stąd taka jest waga tych dwóch prostych słów. Wierność i solidarność. Musimy być wierni Bogu, wierni Polsce i wierni sobie. Jednak nie ma wierności bez solidarności, bez ducha braterstwa wobec bliźnich. I dlatego dziś modlimy się o solidarność, która może być siłą zdolną przenosić góry i osuszać morza. O solidarność wszystkich ludzi pokrzywdzonych, upokorzonych i zniewolonych, w jakimkolwiek zakątku świata się znajdują. Szesnastowieczny poeta Angielski John Donne w swych medytacjach napisał »Nie pytaj komu bije dzwon, bije on tobie«. Amen”.

Rozległa się jakaś religijna pieśń, której nie znałem, a ja zorientowałem się, że choć nie jestem niepiśmienną, egzaltowaną staruszką z małego miasteczka, mam gęsią skórę. Kimkolwiek był ów radiowy kaznodzieja – dysponował mocą, której siłę trudno byłoby przecenić. Jan Pawłowicz? Nigdy nie słyszałem o kimś takim. Z drugiej strony, jako piewca Feliksa Edmundowicza, skąd miałem słyszeć?

Musiałem iść. Korciło mnie, żeby zabrać pistolet, ale doszedłem do wniosku, że to zbyt wielkie ryzyko. Niezatrzymywany przez nikogo dotarłem do bramy. Wprawdzie ktoś ją zamknął, ale parę metrów dalej ziała wielka dziura w siatce. Godzinę później byłem w domu.

\*

Jeszcze raz przeczytałem napisaną przez Ojca inwokację do śmierci i surowy osąd własnego życia, po czym zagłębiłem się we właściwy tekst listu:

„Na wszelki wypadek, synu, gdyby nie dane nam było spotkać się osobiście, zanotowałem kilkanaście spraw najważniejszych. Sądzę, że lektura moich wspomnień, rozmowy z Anastazją i z twoim brodatym kolegą z Falenicy – a więc musiał mnie obserwować w ostatnim tygodniu – wstrząsnęły tobą i przebudziły z zaccadzenia, w które wpędziła cię twoja matka. Żeby było jasne, żadnej kobiety w życiu nie kochałem bardziej niż Krystyny, śniła mi się w długie syberyjski noce i bywa, że śni mi się i teraz. Miłość jednak nie zwalnia od oceny. Moja była żona nigdy nie była osobą zbyt mądrą i głęboką, była za to zdeterminowana do szaleństwa, by chronić ciebie. Przypuszczam, że gdyby przyszło jej bronić swojego szczenięcia – zachowywałaby się z desperacją wilczycy. W dodatku, o czym zdołałem się przekonać, Krystyna ma dość rozciągliwy kodeks moralny, oparty na powszechnie znanych prawach Kalego: dobre jest to, co jest dla niej (dla was) dobre.

Wychowała cię pod kloszem i ochraniała, jak długo mogła. Musiałem wkroczyć, kiedy pojałem, dokąd mógłby zaprowadzić cię twój nowy etap życia, rozpoczęty poematem o Dzierżyńskim. Sądzę, że wierzyłeś w to, co piszesz. Potomność okaże się mniej życzliwa niż ja. Dlatego musisz szybko zdecydować, kim chcesz być. Polakiem czy człowiekiem sowieckim? Niczym przed mitycznym Heraklesem stoją przed tobą dwie ścieżki do wyboru: łatwa – wydeptana i nieciekawa oraz druga – niebezpieczna, ryzykowna, ale prowadząca tam, gdzie ja zawsze chciałem się dostać – ścieżka do sławy, do ludzkiego szacunku, do rzeczywistej wielkości. Nie osiągniesz tego w kraju, a w każdym razie musiałbyś zbyt długo czekać. Czuję, że do rzeczywistej zmiany

Europa dojrzeje pod koniec wieku. Zauważam w komunizmie cechy starczego uwiądu, procesy gnicia i swoistej dekadencji. Ale może to jeszcze potrwać długo.

Jeśli owego procesu coś nie przyśpieszy, zbyt długo. Życie nasze jest zbyt krótkie, by zmarnować je na oczekiwanie. Dlatego sugeruję, żebyś wy dostał się z Polski, znalazł w świecie – mimo wszelkich wad – wolnym. Jeśli jeszcze trochę pożyję, spróbuję ci pomóc (jestem o wiele mądrzejszy niż podczas wpadki z Krzysztofem). Jeśli nie, wierzę w twoją inteligencję i pomysłowość. W innej sytuacji nie namawiałbym cię na emigrację, która grozi wynarodowieniem, jeśli nie w pierwszym, to w kolejnych pokoleniach. Na szczęście poza systemem Krajów Budujących Lepsze Jutro, w którego trzewiach tkwi nasza biedna ojczyzna, jest jeszcze świat Lepszego Dziś, a w nim Polska. Rozproszona, ale nasza. I jest człowiek, w którym upatruję naszą nadzieję.

Wiem, co piszę, bo jestem świadkiem jego pierwszych kroków. Poznałem go zaraz na początku, gdy trafiłem nad Kołymę, był rok 1955 może 1956. Trudno było go nie zauważyć, był silny, zawsze uśmiechnięty, dobry. Tu, w samym rynsztoku zła. Inni współwięźniowie, nawet kryminalni, uważali go za świętego. Trudno zdefiniować jego »świętość«, jednak był obdarzony mocą tak niezwykłą, że ja, stary agnostyk, uwierzyłem bez zastrzeżeń, że muszą stać za nim siły nadprzyrodzone. Zresztą jedno spotkanie, jedno wejrzenie błękitnych oczu, krótka rozmowa starczyły, aby gmach mojej niewiary rozsypał się jak zamek z piasku tknięty falą przyływu. To prawda, miałem za sobą długie rozmowy o wierze ze starym popem, jednak dopiero Jan, a właściwie jedna długa rozmowa, jedna wspólna modlitwa sprawiły, że odzyskałem zgubioną w dzieciństwie wiarę. »Pocieszyciel«, jak go nazywano, ponieważ nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska, jest rówieśnikiem twojej matki, urodził się w Wadowicach parę miesięcy przed naszą narodową katastrofą. Jego rodzina składała się z ludzi silnej wiary, on sam, mimo edukacji w komunistycznej szkole, nie zatracił jej;

przeciwnie, gdy zdarzenia wojenne sprawiły, że otwarto kościoły i seminaria, porzucił szkołę teatralną, w której się kształcił, postanawiając zostać księdzem. Jak wiesz, ten etap kokietowania wiernych zakończył się, zanim na dobre się zaczął. Do seminarium przyjmowano element prześwietlany przez GPU, a dla tego niedoszłego aktora złożenie lojalności stanowiło zbyt wielką cenę. Poza tym, mimo amnestii, jako uczestnik krakowskiego powstania nie miał szans na inną karierę niż robotnik kamieniołomu na Podgórzu. Nie zrezygnował jednak ze służby Bogu. W ramach kościoła podziemnego był nieustrudzonym katechetą, cudem wymykał się prześladowcom. Zgubił go donos przyjaciela, któremu zaufał. Aresztowany, trafił do łagru. Wedle licznych opowieści, które krążyły, nigdy nieautoryzowane przez bohatera, przesłuchujący go oficer śledczy się nawrócił, a kolega, który go zadenuncjował, zresztą pisarz z podziemnej gazetki Jan Dobraczyński, popełnił samobójstwo.

To właśnie »Pocieszyciel« natchnął mnie myślą założenia chóru. Śpiewał pięknie, ale nie znalazł się w moim zespole. Pracował jako sanitariusz. Mówiono, znów opieram się jedynie na legendach, że jego dłonie miały uzdrowicielską moc i że, na krótko przed moim przybyciem, modlitwą wyblagał ocalenie dla umierającej córki komendanta obozu.

W 1958 roku uciekł. I była to ucieczka wszechczasów, w którą starym łagiernikom trudno uwierzyć do dziś. Na nartach samotnie przebiegł skutą lodem, liczącą ponad 80 kilometrów Cieśninę Beringa. Legenda głosi, że prowadziła go osobiście Matka Boska, a cały czas unosiły się nad nim anioły. Sam śmiałek już po znalezieniu się w wolnym świecie utrzymywał, że drogę wskazywał mu kompas, a pomagała dobra kondycja. Nigdy nie ujawnił, skąd zdobył biegówki, jak i dzięki czyjej pomocy dotarł na Czukotkę, pokonując kilometry bezdroży, myląc strażę, przedzierając się przez punkty kontroli i unikając niechybnej śmierci. W Ameryce zdołał zaaklimatyzować się szybko i rozpocząć swoje dzieło, zakrojone zdawałoby się nie na ludzką miarę. Początki były skromne, przejął zadłużone małe radio

w Reginie, stolicy prowincji Saskatchewan, nadające w języku polskim i od niego wszystko się zaczęło... Tam po raz pierwszy użył swojego pseudonimu »Jan Pawłowicz«”.

I to było ostatnie zdanie w liście mojego Ojca. Zapewne nie przypuszczał, że pani z kosą pojawi się tak prędko. Reszty dowiedziałem się od Anastazji. Oczywiście, znała Jana Pawłowicza. Był jej guru absolutnym, nieformalnym zastępcą prymasa interrexa, którego od sowieckiej okupacji w Polsce nie było i papieża, który od upadku Rzymu praktycznie nie funkcjonował. To znaczy było ich aż dwóch, powołujących się na dziedzictwo św. Piotra. Jeden rezydujący w Irlandii, drugi w Brazylii. Żaden jednak nie miał autorytetu ogólnoświatowego. Choć Pawłowicz nigdy nie przyjął pełnych święceń, żył jak ksiądz czy raczej jak zakonnik. Sukces radyjka w Reginie sprawił, że zaczął zakładać następne. W Toronto, potem w Chicago. Miał taką siłę przekonywania, że nie brakowało chętnych, którzy nieraz po krótkim przeszkoleniu wspomagali jego dzieło, tworząc kolejne radiostacje i emitując przygotowane przez niego kasety. Niestrudzenie, z mikrofonem i magnetofonem przemierzał miejsca, w których żyli Polacy, rozsiani po całym świecie, pocieszał strapionych, godził zwaśnionych, nauczał zdezorientowanych. Początkowo zwalczany przez kościół hierarchiczny, rozbity oraz uwikłany w skandale finansowe i obyczajowe, po dziesięciu latach został uznany za autorytet szczególny.

Mój krytycyzm nakazywał pytać, na ile była to działalność spontaniczna, a na ile mogła być inspirowana przez tajne służby amerykańskie, zadowolone z fermentu, który mógł sączyć do Imperium Zła.

– Amerykanie są zbyt głupi i zbyt zadufani w sobie, żeby coś takiego wymyślić. A jeśli nawet w jakiś sposób ich wykorzystuje, to tylko lepiej dla sprawy – utrzymywała Anastazja. Dla niej było bezdyskusyjne, że jest Pośłańcem Boga. W końcu, szerzyły się opowieści o dokonywanych przez niego cudach – nie próbowano

nawet liczyć uzdrowionych dzieci, ślepców, którzy odzyskali wzrok i paralityków, którzy zaczęli chodzić o własnych siłach. Mówiono, że miewa wizje jak słynni wielcy mistycy. Sam z właściwym poczuciem humoru kpił z tych legend. „Tak, zdarzyło mi się chodzić po wodzie, bo akurat zamarzła”.

Ale coś w tych opowieściach o cudach musi być – twierdziła Nastia. – Bo czyż nie należy uznać za cud, że polska diaspora, zazwyczaj tak skłócona, podzielona i swarliwa, po dziesięciu latach jego zabiegów jest obecnie solidarniejsza niż kiedykolwiek? Że w Kanadzie, Stanach, Australii i Brazylii powstają obok rozgłośni polskie szkoły, są polskie wydziały na uniwersytetach, zakładane są teatry, wychodzą polskie gazety, a w Chicago raczkuje nawet polska telewizja. Najważniejsze, że wcześniej ludzie wstydzili się przyznawać do polskości. Teraz podobno zachodzi proces odwrotny. Pawłowicz sprawił, że bycie Polakiem stanowi powód do dumy.

– Ale jak tego dokonał? – pytałem.

– Cudem – odpowiadała poważnie Anastazja. – W Chicago po raz pierwszy wszystkie odłamy emigracji poparły jednego polskiego kandydata na burmistrza. Mówi się, że Polak ma zostać gubernatorem stanu Parana w Brazylii.

– Ale jak on to robi?

– Podobno siłą autorytetu i dobrocią. Chociaż, tak naprawdę, jest to zagadka większa niż tajemnice fatimskie.

– W takim razie dlaczego nigdy o nim nie słyszałem?

– Bo to zjawisko stosunkowo świeże – odpowiedziała Anastazja. – Radiostacja Wolna Polska, nadająca na falach krótkich, którą udało mu się uruchomić w tureckim Trapezuncie, działa dopiero od roku. Jednak mimo stałego zagłuszania słuchają jej miliony, w Polsce i w innych krajach zniewolonych. Podejrzewam, że nawet na Kremlu nie wiedzą, co z tym zrobić... Dlatego cały czas się za niego modlę. Za naszego „Pocieszyciela”, który nas wyprowadzi ze świata ciemności.

Tymczasem w świecie ciemności trwała kolejna wojna z Żydami. Jak przewidział Bagiński, 25 marca sekretarz generalny WKP(b) Lazar Kaganowicz podał się do dymisji ze względu na podeszły wiek i stan zdrowia. Na jego miejsce powołano kolektywne kierownictwo. Nowym pierwszym sekretarzem WKP(b) został aparatczyk i ideolog Michaił Susłow, główny pomysłodawca antysemickiej czystki, natomiast premierem i szefem GPU – wieloletni członek tych organów Jurij Andropow. U nas marszałek Rokossowski pozostał wprawdzie przewodniczącym Rady Najwyższej, natomiast na stanowisko pierwszego sekretarza powołano Mariana Buczka, dość bezbarwnego komunistę, swojego czasu szefa ochrony premiera Daszyńskiego. Za to w ramach „polonizacji rządu”, premierem został wywodzący się z organów Bolesław Mołojec, wcześniej wiceminister polskiej filii GPU.

Zaraz na warszawskich ulicach zaczął krążyć wierszyk: „Nie mam matki ani ojca, ale za to mam Mołojca”. Powiem szczerze, że niewiele mnie to wszystko obchodziło. Musiałem poważniej zająć się nauką, skończyć referat i zacząć przygotowania do sesji. Nie znaczy to, że nie wziąłem sobie do serca rad Ojca. Jednak przyznaję, że ich realizację postanowiłem odłożyć na potem. Wydawało mi się, że jedyny pewny sposób wyjazdu za granicę to zrobić szybką karierę i trafić do wąskiej puli naukowców, wypuszczanych na zagraniczne konferencje i sympozja. I urwać się przy pierwszej okazji. Bo jakie inne metody wchodziły w grę? Porywane samoloty bezlitośnie strącano. Uciekinierów odsyłano z powrotem. Skandynawowie zawrócili nawet heroicznego nieszczęśnika, który wpław przemierzył cieśninę Sund na wysokości Elsynoru (dobrze chociaż, że nie kazali mu płynąć z powrotem, tylko wsadzili na motorówkę pościgową). Wzdłuż kanału La Manche w wodzie umieszczono pas min i nie było dnia, żeby nie została nimi rozerwana jakaś większa ryba, delfin lub foka. Granice lądowe, na przykład chińska, były odległe i zaminowane, a daleka północ...? W odróżnieniu od Pawłowicza



nie umiałem jeździć na nartach, a mój anioł stróż, jeśli w ogóle go miałem, chyba nie nadawał się na polarnika.

Oczywiście zdarzały się wypadki, że komuś udało się przeniknąć przez milicyjne kordony i dotrzeć do placówki dyplomatycznej Kanady, Indii, Australii czy Japonii, bo takie funkcjonowały w Warszawie. Ale żeby nie zostać z niej po prostu wyrzuconym na pysk, co było normą, trzeba było być zawodowym szpiegiem albo tracącym władzę funkcjonariuszem reżimu. Nie podpadałem pod żadną ze wspomnianych kategorii. Słowem, w świecie marzeń widziałem się poza systemem, w świecie konkretnym starałem się zająć jak najlepszą pozycję w jego ramach.

Tymczasem szalone dwa tygodnie minęły, czas znowu zwolnił i mogło się wydawać, że świat wokół mnie pozostał taki sam, jaki był. Z jednym wyjątkiem. Ja się zmieniłem. I na to nie było rady. Jak ludzie obdarzeni paranormalnymi zdolnościami widzą duchy, tak i ja, nagle przebudzony, zacząłem dostrzegać na każdym kroku drobne i większe łajdactwa, kłamstwa radia i telewizji, brednie władzy oraz mizериę reżimowych mędrków, przemawiających z ekranu. Sytuacja robiła się coraz mniej komfortowa, dawniej nie zwracałem uwagi na potencjalnych kapusiów i szpiclów, teraz widziałem ich na każdym kroku.

Z początkiem kwietnia Nadia Finger znów pojawiła się na wydziale, ale nasze stosunki nie wróciły w stare koleiny. Powitała mnie zimno, jak zupełnie obcą osobę. Inna sprawa, że ja również nie próbowałem powrotu do dawnych uniesień. Szła wiosna i świeże soki zdawały się rozsadzać nie tylko pąki drzew, lecz także spodnie chłopaków. Czasami myślałem o Julii. Raz czy dwa zajrzałem do hospicjum na Nowym Mieście, ale ostatnio się tam nie pojawiała. Po jakimś czasie zacząłem wyobrażać sobie, że nie była postacią materialną tylko jakąś fantasmagorią albo wysłannikiem innego świata i innych mocy.

W moich rozmowach z Anastazją górowały akcenty religijne. Stara piastunka twierdziła, że musi przygotować mnie do komunii. Nie czułem się jeszcze człowiekiem wierzącym, choć pewne elementy z jej nauk bardzo mi się podobały – dekalog, jasne

rozgraniczenie dobra i zła, a nade wszystko perspektywa życia wiecznego. Najważniejsze, że wiara przestała być dla mnie zabobonem, a praktyki religijne już nie skłaniały do żartów. W dodatku ogromną przyjemność sprawiała mi możliwość słuchania wystąpień Pawłowicza nagranych na taśmy; później przytaszczyłem do domu cały odbiornik i codziennie o dziesiątej wieczorem wysłuchiwałem wiadomości RWP, a potem jego pogadank.

„Pocieszyciel” mówił rzeczy proste – rozmawiał z ludźmi z wielu kontynentów, radził im w większych i mniejszych kłopotach, wygłaszał pogadanki o godności, honorze, odwadze. Nie nadużywał jednak tych wielkich słów. Wolał przykłady. Chłopca, który uratował rodzinę z pożaru, dziewczyny, która wolała umrzeć niż sprzedać swoje dziewictwo.

Potrafił być dowcipny, ale również surowy. Słuchając go, zapominało się o tysiącach, może setkach tysięcy jego słuchaczy, czując i wierząc, że mówi specjalnie do ciebie. Czy było to tylko znakomite aktorstwo?

W pierwszych dniach kwietnia Mama wzięła ślub z Martowem. W urzędzie stanu cywilnego numer 1, zlokalizowanym w dawnym kościele świętego Aleksandra na placu Trzech Klasyków – Marksa, Engelsa, Lenina – w zamierzchłej przeszłości noszącym nazwę placu Trzech Krzyży. Ludek Warszawy wybrnął z przymusu używania nowej nazwy mówiąc o tym miejscu PTK. Plac PTK słynął ponadto z szaletu miejskiego, w którym spotykali się homoseksualiści, niektórzy chyba o nastawieniu opozycyjnym, bowiem pomimo stałego czyszczenia, niczym biblijne mane tekel fares, ciągle wykwiłało na kafelkach bluźniercze – „Tu się wyrabia ser dla EZSR” (ezeteser). Miało to ten pozytywny skutek, że o ile kafle we wszystkich warszawskich ubikacjach pokryte były warstwą brudu, tu były szorowane parę razy w tygodniu. Świadcami ślubu byli Masza, Rosjanka, ponoć daleka kuzynka Martowa, choć nie dałbym głowy czy ich wzajemne relacje nie były bliższe, i znany dziennikarz sportowy Bogdan Tomaszewski (ze strony Mamy). Po ceremonii dość ubogiej, podczas której

świecka pani pseudoksiądz bredziła jak potłuczona i po krótkim rytuale, wypranym z atrakcyjności, jeśli nie liczyć przejścia nowożeńców szpalerem pod baldachimem utworzonym z kijów hokejowych (na ślub przybyła cała nasza hokejowa kadra), odbyło się huczne przyjęcie w pałacu w Natolinie. Miało ono rozmiary dorocznego balu mistrzów sportu, ze sportami obronnymi na czele; liczbie zaproszonych Rosjan dorównywała bowiem liczba pracowników organów, a wielu gości podpadało pod obie kategorie.

Z całej imprezy pamiętam, że się szybko upiłem i kierowca Martowa odwiózł mnie do domu. Na szczęście upijam się na milcząco. Nie mam nadczynności ruchowej czy słownej, jaką ma większość pijących. Wedle jednego z zapisków mojego Ojca, istnieje kilka kategorii pijaków, mających odpowiedniki w świecie zwierzęcym. Są zatem osobnicy upijający się na lwa – alkohol wywołuje w nich przyływ agresji i gotowi są walczyć z całym światem; na koguta – wzmożony pociąg seksualny każe im dobierać się do każdej kurw... (kury naturalnie!); na małpę – ci bywają śmieszni, gadatliwi i skłonni do błazenady, nie kontrolują słów ani mchów. Wreszcie na świnię. To kategoria najczęstsza – nazreć się, napić i zasnąć z twarzą w talerzu. Moją osobistą odmianą było upijanie się na sowę. To znaczy zamieranie w kąciku, milczkiem, w pozycji wyprostowanej.

Tak zdarzyło się i tym razem. Na szczęście zanim popadłem w stupor, nie odśpiewałem „Boże coś Polskę”, nie cisnąłem rolmopsem w wiceministra bezpieczeństwa, nie rzuciłem się na przystojną artystkę, robiącą w trakcie imprezy striptease, ani nawet nie puściłem pawia na statwę Juliana Ursyna Niemcewicza. Można powiedzieć – w sumie całkiem udany wieczór.

## XII

Koty zjawiają się nocą

Nadszedł wreszcie dzień kostiumowego balu u medyków. Powiem

szczerze, nie bardzo chciałem iść na imprezę, ale Witek mnie zmusił. Na moje dictum, że nie mam z kim pójść, przyprowadził dwie siostry bliźniaczki, Tanię i Manię, cokolwiek drętwe (bo z politechniki), ale nie odrażające, a w każdym razie nadające się w sam raz do, jakby to określił Michał, „zalania studni”.

Specjalnie na bal Anastazja przygotowała dla mnie kostium pirata, Witek przebrał się za księdza, dziewczyny udawały przerośnięte skrzaty i tak wyruszyliśmy do klubu, mieszczącego się w dawnych zakładach Norblina przy ulicy Żelaznej.

Przy wejściu drobiazgowo sprawdzano zaproszenia i legitymacje studenckie, a także obmacywano wchodzących i sprawdzano, czy przypadkiem nie wnoszą alkoholu. Nikt nie wnosił! A przecież w tłumie, który ostatecznie wypełnił zadymione wnętrze, najmniej było medyków, a liczba półlitrówek pod stołami była porównywalna z liczbą nóg stołowych. W zasadzie bal był maskowy, chociaż zdecydowana większość przebrała się po prostu za obywateli socjalistycznej Polski.

Przygrywała orkiestra jazzowa pod batutą Jurka Woya-Wojciechowskiego. Jazz, jako „postępowa twórczość niewolników amerykańskich walczących o wyzwolenie społeczne”, był jednym z niewielu gatunków muzyki amerykańskiej z trudem, ale jednak akceptowanych przez władze. Oczywiście pod termin „jazz” podciągano folk, a także inne mocniejsze gatunki współczesnej muzyki, upowszechniające się wraz z wynalazkiem elektrycznej gitary.

Zatańczyłem parę razy z jedną z bliźniaczek (Tanią albo Manią – nie pomnę), gdy uwagę moja przykuła dziewczyna-kot stojąca samotnie przy końcu sali. Twarz zakrywała maseczka, ale cała reszta, w obcisłym kostiumie, robiła imponujące wrażenie.

Szczupła, ale nie chuda, wypukła gdzie trzeba i w najwyższym stopniu proporcjonalna. „Czarna pantera” – nazwałem ją w myślach. Dwie kolejki zbierałem się na odwagę, tym bardziej że zauważyłem, jak dwóch dansiorów, którzy do niej wystartowali, odprawiła z kwitkiem, aż wreszcie, kiedy dyrygent, konferansjer i pianista w jednej osobie zapowiedział wiązanek starych

przebojów, ruszyłem w stronę kocicy.

Przez moment sprawiała wrażenie, jakby chciała przede mną uciec, ale już po chwili wirowała w moich ramionach. Mówiąc szczerze, tancerzem jestem przeciętnym (nie odziedziczyłem pod tym względem talentów Matki ani nieustępującego jej w niczym Ojca) i, jeśli nie zmuszają mnie okoliczności, wolę grzać krzesło. Tym razem stał się cud. Partnerka idealnie odczytywała moje intencje, jeśli się myliłem, myliła się wraz ze mną. Z wrażenia nie byłem w stanie zabłysnąć elokwencją, stanowiącą zazwyczaj moją mocną stroną. To znaczy coś tam nawijałem, ale ona odpowiadała wyłącznie monosylabami. Odańczyliśmy wszystkie pięć kawałków, w walcu na moment przyłgnęła do mnie całą sobą, po czym zaprosiłem ją do baru. Pokręciła głową. Chciałem ją odprowadzić, mając nadzieję przy okazji wybadać, w jakim towarzystwie przybyła, ale wymknęła się i zniknęła w tłumie. Mogłem jedynie podejrzewać, że jej ukryta pod maską twarz dorównuje efektownej reszcie. Niczego się o niej nie dowiedziałem. Witek, bywalec w klubie Medyka, widział ją po raz pierwszy.

Całe następne trzy godziny zmarnowałem na jej szukanie. Bliźniaczki się na szczęście obraziły (obie!). Witek znalazł sobie jędrną pannę z technologii drewna i szybko zniknęli z balu. Wedle zasłyszanej następnego dnia opinii „rąbała się jak świeża choinka”.

Klub Medyka znajdował się w starej fabryce, wyprowadzonej przed paru laty ze Śródmieścia, i obfitował w mnóstwo zakamarków i przejść, tak że naprawdę trudno było tam kogoś znaleźć, zwłaszcza jeśli ten ktoś sobie tego nie życzył. Owszem, widziałem moją panterę ze trzy razy jak tańczyła z roslým muszkietierem o chmurnym obliczu, ale później zawsze jakoś mi zniknęła.

Gdzieś koło pierwszej, a może drugiej po północy, kiedy w klubie mocno się już przerzedziło, jedni odpadli pijani, drudzy udali się kontynuować zabawę w bardziej przytulnych miejscach, jeszcze inni całowali się i obmacywali po kątach, nastąpił przełom.

Wracałem z toalety, kiedy jedne z drzwi, opatrzone napisem „Kierownik Klubu”, gwałtownie otworzyły się i „pantera” wyskoczyła ze środka jak oparzona, bez maski. Włosy miała w nieładzie, twarz jej płonęła. Ja chyba też zapaliłem się od niej, błyskawicznie rozpoznając moją tajemniczą przewodniczkę z hospicjum.

Zaraz za nią na korytarz wytoczył się mocno pijany muszkieter.

– Julka, daj spokój – warczał – nie udawaj cnotki. Wracaj!

Dziewczyna nie odwróciła się i dalej szła korytarzem.

Rzucił się za nią w pościg i pewnie by ją dopadł, ale po drodze znalazłem się ja.

– Proszę dać spokój tej pani – rzuciłem cokolwiek piskliwie.

– A ty co za jeden? – zmierzył mnie pogardliwym wzrokiem. –

Maks! Ktoś tu się awanturuje.

Zaraz pojawił się ryży osiłek, jeden z tych, którzy wcześniej obstawiali wejście.

– Wyrzucić go – muszkieter wskazał na mnie, wyraźnie nie chcąc osobiście brudzić sobie rąk. – I nie wypuszczać mojej kotki.

Rozejrzał się za Julią, ale dziewczyna miała dość rozsądku, żeby dać nogę.

Sześćdziesiąt sekund później zaryłem w asfalt. Rozerwałem przy okazji kurtkę pechowego pirata i starłem rękę do krwi.

Julia pomogła mi wstać.

– Pobili pana? – pytała zatroskana.

– Tylko wyrzucili. Nie stawiałem większego oporu – odparłem, otrzepując się z pyłu.

– Dziękuję, bardzo panu dziękuję – powiedziała dziewczyna po dłuższej pauzie – Moja wina, nie powinnam tu przychodzić, ale naprawdę nie przypuszczałam...

– Wszystkim zdarza się popełniać błędy.

Ruszyliśmy powoli w stronę ulicy Prostej. Julia wydawała się akceptować moją obecność.

– Od miesiąca próbowałem panią znaleźć... – wyznałem.

– Byłam trochę zajęta – odparła przeproszającym tonem. – Uczę się, pracuję.

- Ale na cmentarzu pani była.
  - Czułam, że powinnam. Pana Ojciec zrobił na mnie ogromne wrażenie.
  - Chciałem zapytać: a ja?, ale ugryzłem się w język.
  - Gdzie mogę panią odprowadzić?
  - Do metra – wskazała neon widoczny w oddali.
  - O tej porze już nie działa. Może pójdziemy na postój taksówek – zaproponowałem.
  - Dziękuję, pójdę pieszo.
  - A gdzie pani mieszka?
  - Na Mokotowie.
- Popatrzyłem na jej szpilki, nie bardzo nadające się do wędrówek nierównych warszawskich chodnikach.
- Odprowadzę panią pod dom – zaproponowałem rycersko.
  - Nie trzeba. I dajmy spokój z tymi paniami. Jestem Julia.
  - Marcin.
  - To już wiem.
  - Moglibyśmy się umówić, kiedy będziesz wolniejsza – zaproponowałem, kiedy skręciliśmy w Aleje Wielkiego Października.
- Przez chwilę wydawała się rozważać moją propozycję
- Nie! To nie miałyby sensu – rzekła w końcu.
  - Dlaczego?
  - Dużo by mówić. Na dłuższy czas mam dosyć nowych znajomości. Poza tym rozstania boją. A ty przecież wyjeżdżasz.
  - Ja wyjeżdżam?! – zdumiałem się. – Może będę musiał pojechać i praktyki wakacyjne. Ale do wakacji jeszcze mnóstwo czasu. Westchnęła.
  - Bywa, że zainteresowani dowiadują się ostatni – i, nie dając mi czasu na skomentowanie tego stwierdzenia, dodała – wydaje ci się, że jestem młoda. To pozory, wewnątrz jestem dość stara. Za stara dla ciebie. Po tym, nie bierz tego do siebie, ale mam złe doświadczenia. Jestem, można powiedzieć, poraniona, obolała... Może kiedyś się pozbieram.
  - Kiedy?

Roześmiała się.

– Strasznie jesteś narwany. Jak mój tata. Wszystko chciałbyś uzyskać od razu albo nigdy.

– Nakreśl przynajmniej perspektywę.

– Plus nieskończoność!

– Za daleko.

– Po wakacjach. Jak wszystko dobrze pójdzie.

– Pewnie będę musiał się zgodzić. Ale wyschnę na wiór.

– Nie wierzę... Masz w sobie mnóstwo siły, entuzjazmu. I to mi się w tobie podoba.

Mówiła tak szczerze, że zapierało mi dech.

– Widzę, że znasz mnie tak dobrze jakbyś pracowała w pracowni rentgenowskiej.

– Pracowałam i tam. Ale krótko.

Potknęła się, ale chwyciłem ją pod ramię, nie pozwalając upaść, potem nie cofnąłem ręki. Nie protestowała. Postanowiłem również w słowach skrócić dystans!

– Trochę to niesprawiedliwe, ty wiesz o mnie całkiem sporo, a ja nie wiem nic o tobie.

– Lubię mieć przewagę. Zresztą co tu opowiadać? Jestem jedynaczką. Mama umarła, kiedy miałam dwanaście lat, od tego czasu prowadzę tacie dom. Chciałabym zostać lekarzem... i – popatrzyła mi głęboko w oczy – nie mam nikogo.

– Ja też nie mam.

– Ale do niedawna miałeś.

Zabrzmiało to nieomal jak wyrzut. Czyżby o moim związku z panną Finger wiedziało całe miasto?

– Gdybym wiedział, że cię spotkam, czekałbym we włosiennicy do dziś, biorąc zimne prysznice i chłószcząc się dyscypliną w wypadku jakichkolwiek zdrożnych myśli.

– Roześmiała się.

– Nawet jeśli kłamiesz, robisz to sympatycznie.

– Gdybym nie lubił kłamać, wybrałbym nauki ścisłe, a nie humanistykę...

Nie odpowiedziała, więc po chwili sam wznowiłem wątek.



- Ale tak naprawdę nie lubię kłamać.
- Więc nie kłam. Nigdy! W ostatecznym rozrachunku kłamstwo bardziej szkodzi kłamiącym niż okłamywanym.
- Nie bardzo rozumiem co masz na myśli?
- Ale lubisz mnie dlatego, że jestem taka zagadkowa?
- Tak.

Nie potrafię przytoczyć całej naszej rozmowy. Ja mówiłem o moim zainteresowaniu historią, tą wielką przygodą człowieka, pełną nieprawdopodobnych zwrotów akcji, ona o medycynie, swoim marzeniu. Pomaganie ludziom w cierpieniu uważała za swoje przyszłe posłannictwo. Ilu socjalistycznych lekarzy mogłoby dziś tak powiedzieć o sobie?

Ani się spostrzeżliśmy, jak dotarliśmy na Mokotów. Na rogu Alei Socjalizmu (dawniej Niepodległości) i Narbutta (który jakoś ocalał przy okazji zmiany nazw ulic, być może uznany za jakiegoś działacza proletariackiego) przystanęła.

- Teraz się pożegnamy – oświadczyła.
- A kiedy cię znowu zobaczę? Daj mi telefon, adres...
- Sama cię znajdę! A teraz zamknij oczy.
- Jak zamknę, to mi znikniesz.
- Zamknij, a spotka cię miła niespodzianka.

Co miałem robić? Posłusznie zamknąłem i natychmiast poczułem smak jej ust, słodkich, delikatnych, pełnych, czułych. Musnęła mnie koniuszkiem języka, powoli, nie odrywając się, potem zrobiła to raz jeszcze...

- Nie otwieraj powiek – powiedziała szeptem. – I policz do dziesięciu.

Zachowałem się zgodnie z jej zaleceniem. Jednak kiedy otworzyłem oczy, byłem sam na pustej ulicy. Moja pantera zniknęła. A ja czułem, że jestem piekielnie zakochany.

Przejsie 13 kilometrów na Marysin zabrało mi ponad dwie godziny. Nie dbałem o to (ból nóg dopadł mnie dopiero następnego dnia). Głowę miałem w chmurach, a serce jeszcze wyżej... Szedłem i sam do siebie mówiłem wierszem:

„Gdy nadzieje zamknięte na skobel  
i nie pragnę już żadnych grać ról ja  
kiedy przyszłość wydaje się grobem  
wtedy nagle pojawia się Julia...

Niczym rosa o świcie,  
lub księżyc  
co posypał nam dachy sreberkiem  
nagle czujesz się piękny i mężny  
i masz duszę a nawet serce.  
Nagle mógłbyś cały ten świat  
zwinąć w kłębek jak starą onucę  
jedną ręką sięgnąć do gwiazd  
drugą podać swej muzie – sztuce.  
Rzucić kłamcom i zdrajcom w pysk  
ile warte są ich mądrości  
przekuć w czyn marzenia i sny  
i nie umrzeć, lecz ożyć – z miłości!”

\*

Spałem do południa, a nawet popołudnia. I dopiero Mama mnie zbudziła. Od czasu ślubu pomieszkiwała na zmianę z mężem w remontowanej willi Fingerów, to znów, kiedy Igor był w rozjazdach, wracała do naszego domu.

– Śpisz, Marcinku? – zawołała już od progu, a gdy odburknąłem coś na powitanie, poinformowała mnie, że przyjechała razem z moim ojczymem, który ma dla mnie ważną wiadomość.

Zaniepokoiłem się. Jaka to mogła być wiadomość? Że GPU namierzyło kryjówkę pod altanką?

– Zdaje się, że martwiłeś się o tegoroczne praktyki wakacyjne, chłopcze? – powiedział Martow, wchodząc czy raczej, biorąc pod uwagę jego masę, wkraczając do mieszkania.

Skinąłem głową. Nie przepadałem za pomaganiem chłopom w żniwach.

– Mam nadzieję, że lubisz kopanie? – kontynuował.

Chciałem zawołać, że nie znoszę, ale wstrzymałem się.  
– W związku z budową Tamy Asuańskiej cała nasza socjalistyczna wspólnota pomaga w badaniach archeologicznych w Nubii. Trzeba się śpieszyć, bo cały teren wkrótce zostanie zatopiony – wyjaśniał. – Twój profesor Piatoli, czy jak mu tam, dostał zadanie zorganizowania ekipy archeologicznej. I zapisał cię do niej. Postarałem się, żeby resort nie sprzeciwił się tej propozycji. A zatem, towarzyszu Wolak, w połowie czerwca lećcie do Socjalistycznej Republiki Egiptu. Zadowolony? Omal nie rzuciłem mu się na szyję. Na szczęście zamiast mnie zrobiła to moja Mama. Ledwie żywego ze szczęścia, do rzeczywistości przywołało jedno bolesne ukłucie. Skąd młoda kandydatka na medycynę miała już w piątek informację, którą wysoki czynownik reżimu przekazywał mi dopiero dziś?

\*

Nie był to koniec moich zmartwień, raczej ich początek. Wkrótce po tym, jak sensacyjna wiadomość o wyjeździe ekipy Piazzolego na wykopaliska obiegła cały wydział, oprócz mnie znalazł się w jej składzie również Paweł Bagiński, do POP i dziekana wpłynął donos. Jak się domyślam, od mojej drogiej ekskochanki. Zarzucano mi w nim polityczną niepoprawność podszytą klerykalizmem, czego najlepszym dowodem był mój udział w katolickim pogrzebie Ojca kontrrewolucjonisty. Oskarżenie było ciężkie i trudne do odparcia. Wkrótce przed swoje oblicze wezwał mnie dziekan Siergiejew, spolszczony Rosjanin, specjalista od historii starożytnej Grecji. Obok niego zasiedli profesorowie Małowist i Piazzoli oraz sekretarz komitetu uczelnianego partii – Gralicki. Śliski sybaryta o twarzy markiza Mirabeau. Siergiejew, mocno zramolały staruszek, zapytał, co mam na swoje usprawiedliwienie.

Problem uczestnictwa w pogrzebie mojego Ojca można nazwać syndromem Antygony – powiedziałem, próbując zapanować nad

drzeniem głosu. – W sytuacji, w której prawo naturalne weszło w konflikt z prawem stanowionym, opowiedziałem się za tym pierwszym...

– Antygony, powiadacie? – zamyślił się Siergiejew.

– Towarzysz Wolak jest znakomitym studentem, zaliczającym wszystkie egzaminy w terminie zerowym – poinformował go Małowist.

– Jest aktywny w życiu organizacyjnym i społecznym, a pisane przez niego utwory literackie wywodzą się z ducha najczystszej realizmu socjalistycznego – dorzucił Piazzoli.

Przedstawiciel partii na wszelki wypadek milczał.

– Antygony, powiadacie – powtórzył Siergiejew i naraz górę wziął w nim instynkt belfra.

– A jak się nazywała siostra Antygony?

– Ismena – odparłem błyskawicznie – bracia Eteokles i Polinejkos, wuj Kreon, a narzeczony Hajmon...

– W porządku. Piątka! – powiedział Siergiejew, któremu najwyraźniej sąd pomylił się z egzaminem. – Niech chłopak jedzie.

\*

Sesja poszła mi znakomicie, a ogromna ilość roboty sprawiła, że nie miałem czasu opłakiwać Babci, która odeszła dokładnie w święto Wniebowstąpienia. Po prostu tamtego wieczoru usnęła i więcej się nie obudziła.

Żeby zrobić przyjemność Anastazji, poszedłem też do swej pierwszej spowiedzi. Spowiednik należał wprawdzie do koncesjonowanych księży patriotów, ale Nastia twierdziła, że pomimo tego jest to człowiek przyzwoity i raportów z tego, co usłyszy w konfesjonale, nie składa. Trudno mi było podzielać jej pewność. Na szczęście nie musiałem się spowiadać z moich wątpliwości politycznych. Potem w trakcie zamkniętej mszy udzielił mi komunii i tym sposobem zostałem członkiem nieistniejącego kościoła, a w pewnym sensie nawet dwóch.

Równocześnie, przez własną głupotę, omal nie pogrzebałem swoich szans na karierę archeologa. I na karierę w ogóle. Dwa dni przed wyjazdem podkusiło mnie, aby pochwalić się swoją tajemnicą Bagińskiemu. Zabrałem go do altanki, nie zważając, że działki tętniły życiem i co najmniej kilku sąsiadów przypatrywało się podejrzliwie dwóm studenciakom wchodzącym do od dawna nieodwiedzanego domku.

Zeszliśmy na dół, Paweł był zachwycony kryjówką; uważał, że nigdy nie wiadomo, kiedy coś takiego może się przydać. Mieliśmy już wracać, kiedy nagle usłyszeliśmy ponad głową kroki i głosy. Ojciec zamontował w szopie mikrofon i po włączeniu go mogliśmy doskonale słyszeć, co się dzieje na górze.

– Weszło ich dwóch, towarzyszu sierzancie – skrzypiał jakiś staruch. – Młodzi. Dobrze poubierani. Myślałem złodzieje, albo co gorsza jacyś konspiratorzy.

– Ale tu nikogo nie ma!

– Może się gdzieś pochowali. Wiem na pewno, że nikt stąd nie wychodził. Ja cały czas pilnowałem, a szwagier polecał dzwonić.

– Niedobrze – mruknął Paweł – jak nas tu nakryją, wpadliśmy po uszy w gówno.

Jest sposób, choć i tak trzeba będzie wpaść w gówno! –

pokazałem mu drogę ewakuacyjną, a potem zrobiłem to, co mogłem zrobić. Rozlałem cały kanister z benzyną, wszedłem w korytarzyk i, dobiegłszy do kanału, cisnąłem za siebie odbezpieczony granat. W sekundę wszystko stanęło w ogniu.

Można powiedzieć, że mieliśmy szczęście w nieszczęściu.

Pierwsza połowa czerwca była sucha i poziom ścieków nie był wysoki. Skrajem kanału doszliśmy do pierwszej studzienki kanalizacyjnej i przez nią wyszliśmy wśród jakichś chaszczy na skraju budującego się blokowiska. Tam rozdzieliliśmy się i każdy samodzielnie wrócił do domu. Mimo paru kąpieli smród kanału towarzyszył nam jeszcze długo. Nazajutrz w prasie przeczytaliśmy o pożarze na działkach, ale listu gończego z naszymi rysopisami nie zamieszczono. Przynajmniej do naszego wyjazdu.

Czternastego czerwca rano Mama odwiozła mnie na lotnisko.

Ranek był słoneczny. Do dziś w oczach mam obraz Anastazji, niosącej do samochodu moją walizkę, wyglądającej przez lufcik pani Wrońskiej i pani Bożenki z domu obok. Czy przeczuwałem wówczas, że wyjeżdżam na długo, może na zawsze, że rękopisy mojego Ojca pozostaną pod podłogą, dopóki nie odnajdzie ich przy okazji remontu któryś z następnych lokatorów, w innych czasach? Nie pamiętam.

Odlatywaliśmy z Okęcia 14 czerwca 1968 roku o godzinie trzynastej. Udawaliśmy się do Egiptu nieco okreśną drogą, przez Rzym i Trypolis, aby ominąć rejony nieprzyjaznej Turcji czy Izraela. Komisariat Kultury i Oświaty wynajął dla nas nowoczesnego naga-23, najnowszy model samolotu pasażerskiego, dzieło inżyniera Iwana Nagórskiego, syna naszego słynnego pilota w służbie carskiej Jana Nagórskiego. Ekipa, łącznie z czynnikami partyjnymi oraz obstawą, liczyła kilkadziesiąt osób. Odnalazłem swój rząd i już miałem zająć miejsce przy oknie, kiedy usłyszałem głos.

– Przepraszam, ale zdaje się, że to ja mam miejsce przy oknie!

– Osłupiałem tak, że żona Lota byłaby w tym momencie, w porównaniu ze mną, osobą wręcz ruchliwą. A nie był to koniec zaskoczeń.

– Zapomniałem was sobie przedstawić – od strony kabiny pilotów ruszył ku nam profesor Piazzoli – to jest Julia, moja córka, a to pan Marcin Wolak, mój student, o którym ci tyle opowiadałem.

XIII

Wyspa File

Czasami mam wrażenie, że to, co wydarzyło się od mojego przylotu do Egiptu, nie jest moim realnym życiem, lecz stanowi krzyżówkę wątków zaczerpniętych z paru filmów i powieści sensacyjnych. Kiedy indziej chodzi mi po głowie myśl, że to wszystko nie mogło mieć miejsca, w związku z tym śnię na jawie, przebywam w jakiejś innej rzeczywistości, podczas gdy gdzieś

w innym wymiarze trwa świat oparty na zupełnie innych fabułach. Pierwsze trzy dni spędzone w Kairze poświęciłem na aklimatyzację. Również psychiczną. Zdumienie, wywołane spotkaniem z Julią, można jedynie porównać ze słynnym pierwszym kontaktem Juliusza Cezara z Kleopatram, którą, jak wiadomo, dostarczono do kwatery zwycięskiego wodza zawiniętą w dywan.

Inna sprawa, że nie było to takie powitanie, jakie sobie wyśniłem. Nie padliśmy sobie w ramiona, przeciwnie, od pierwszej chwili Julia wytworzyła między nami delikatny dystans, będący w porównaniu z pocałunkami na Mokotowie krokiem wstecz w naszych relacjach.

Być może wpływ miała na to stała obecność przyzwoitki w postaci Bagińskiego. Od momentu wejścia do samolotu pozostawaliśmy nierozłączni. Ale nie mam zamiaru winić Pawła. W ciągu następnych godzin i dni nieraz pojawiała się okazja udania się gdzieś we dwójkę, ale przeważnie udaremniała ją panna Piazzoli pytaniem: „A Paweł pójdzie z nami”? W rezultacie razem zwiedzaliśmy wszystko, co się dało. Odwiedziliśmy piramidy w Gizie, wspinając się na szczyt monumentu Cheopsa, i wspólnie spędziliśmy cały dzień w muzeum kairskim, podziwiając skarby z grobowca Tutenchamona (duplikaty, jak było napisane po rosyjsku przy każdym eksponacie!). Podobno autentyki, w obawie przed izraelskim bombardowaniem bądź desantem, zdeponowano w skarbcu. Paweł suponował, że jest to najprawdopodobniej skarbiec na Kremlu.

Trzy dni może wydawać się okresem długim, zwłaszcza w upale i duchocie (w muzeum, nie wiedzieć czemu, remont klimatyzacji przewidziano właśnie na miesiące letnie). Dla nas było to o wiele za mało. Zabrakło nam czasu na zwiedzenie cytadeli, wielkiego meczetu Omara i kościołów koptyjskich. Kiedy marudziliśmy, że moglibyśmy zostać choć dzień dłużej, Piazzoli obiecywał:

– Nadrobiecie to w drodze powrotnej, pod koniec października, teraz każdy dzień jest drogi!

Trudno się dziwić, że zależało mu na czasie. Budowa wielkiej

tamy zaczęła się przed kilku laty, a od dwóch lat trwało już powolne zatapianie terenu. Głęboko pod wodą miały się znaleźć wspaniałe nubijskie zabytki, co niepokoiło tak władze Egiptu, jak resztę świata. Gotowi byli pomóc nawet Anglicy czy Kanadyjczycy, ale Akademia Nauk EZSR odrzuciła ich propozycje, oświadczając, że program ratunkowy przeprowadzi sama, angażując kilkanaście zespołów z socjalistycznej Europy. Ratowaniem kompleksu imponujących świątyń Abu Simbel mieli zająć się naukowcy z Kijowa i Moskwy. Mimo licznych ostrzeżeń geologów odrzucili oni niemiecką propozycję wycięcia gigantycznych figur Ramzesa II i jego małżonki oraz zrekonstruowania świątyni na terenach wyżej położonych. Zamiast tego opracowano projekt budowy osłony ze zbrojonego szkła i pozostawienia ich pod powierzchnią sztucznego jeziora. „Będzie to atrakcja na skalę światową” – zapewniał akademik Lew Gumilow, mianowany naczelnym dyrektorem całego programu.

W ciągu tych trzech dni sam na sam byłem z Julią zaledwie dwie godziny. W zatłoczonej kawiarni na skraju wielkiego suku. Paweł urwał się, twierdząc, że musi dokonać pewnych zakupów. I rzeczywiście, po powrocie do hotelu przyznał się, że natrafił na fantastyczny sklep ze starymi mapami i kupił ich cały rulon. Myślałem, że będą to mapy starożytne, ale okazało się, że są to dziewiętnastowieczne mapy z czasów wyprawy lorda Kitchenera, wojny z Mahdim oraz sztabówki z okresu wielkiej wojny. Dwie godziny spędzone sam na sam z panną Piazzoli właściwie niczego nie wyjaśniły. Nie potrafiłem zagrać *va banque*, zapytać wprost, czy ma wobec mnie jakieś zastrzeżenia. Pewnie powinienem – w końcu wszystko rozgrywało się na przekór moim marzeniom. Julia przecież jeszcze w samolocie, a najdalej w hotelu Piramida, powinna rzucić mi się w objęcia i, zaczawszy od etapu, na którym stanęliśmy, czyli od pocałunków, ruszyć wypróbowaną drogą wszystkich namiętnych kochanków, do łóżka. Nic z tego. Jak wspomniałem, dziewczyna narzuciła naszym kontaktom stały dystans, którego sensu nie pojmowałem.



Czy ktoś inny był w jej życiu? A może popełniłem jakiś błąd i zraziłem ją do siebie? Tylko gdzie i kiedy? W grę wchodziły także jakieś złe doświadczenia z przeszłości, o których nie chciała mówić. Lub po prostu nie była pewna, czy nadaję się na „mężczyznę jej życia”.

Czujnie przyglądałem się jej relacjom z Bagińskim, chociaż Paweł nie zdradzał ochoty na wystąpienie w roli mojego rywala.

Jednocześnie czułem, że Julia lubi moje towarzystwo, wspólne zwiedzanie, nasze długie rozmowy, a o przyzwoitkę troszczy się jedynie ze względów bezpieczeństwa (miała rację, byłem tak napalony, że gdyby nie Paweł lub obecność obcych ludzi, pewnie rzuciłbym się na nią i zgwałcił!). A tak – gawędziliśmy sobie na podobieństwo uczestników naukowego sympozjum. Okazało się, że Julia ma znaczną wiedzę egiptologiczną, zwłaszcza jeśli chodzi o mitologię, a także o rytuały balsamowania zwłok i obrzędy pogrzebowe. Jeśli wiedziała coś o obyczajach seksualnych starożytnych Egipcjan – nie zdradziła się ani słowem.

W socjalistycznym podziale pracy naszej ekipie przypadła legendarna wyspa File, położona zaraz powyżej Tamy Asuańskiej. O świcie czwartego dnia wsiedliśmy w pociąg i ruszyliśmy wzdłuż Nilu koleją zbudowaną jeszcze przez Brytyjczyków i, odnoszę wrażenie, od tego czasu nieremontowaną. Nie dziw, że jakaś awaria wymusiła jednodniowy postój w Luksorze, na co bynajmniej nie narzekaliśmy. Udało się nam maksymalnie wykorzystać ten dzień, tak aby przed południem odwiedzić grobowce w Dolinie Królów, a o zmierzchu zdążyć jeszcze na zachód słońca na Karnaku.

Wreszcie przybyliśmy do Asuanu, skąd na wyspę File dostaliśmy się motorowymi łodziami. Wyspa znajduje się na południe od miasta i starej tamy, zbudowanej jeszcze przez Brytyjczyków, a powyżej nowej, budowanej od początku lat sześćdziesiątych przez fachowców z Eurosocu... Powoduje to, że przez znaczną część roku, kiedy Nil przybiera, znajduje się pod wodą. Dotąd wszelkie prace można było prowadzić na niej jedynie zimą, w porze suchej. Obecnie, wraz z rozpoczęciem napełniania

zbiornika za Wysoką Tamą, powstała wyjątkowa sytuacja, że prace na File stały się możliwe również latem...

– Pod warunkiem że nagły przybór wód nie przerwie dopiero budowanego kolosa – zażartował Bagiński.

– Daj spokój! – odstukałem w niemalowaną burtę.

I zaniemówiłem z wrażenia, kiedy nagle ponad powierzchnią wody ukazały się naszym oczom wielkie, osiemnastometrowe pylony świątyni Izydy. Do brzegu przybiliśmy poniżej portyku Trajana, błyszczącego w słońcu olśniewającą bielą czternastu kolumn. Ekipa techniczna przybyła tam wcześniej, zdążono już wznieść dla nas prowizoryczne baraczki. Czarnoroboczy i ochrona mieli zamieszkać w namiotach.

Poznaliśmy teren i organizację działań. Wprawdzie Piazzoli został wyznaczony na dyrektora prac badawczych, jednak czuło się, że ważniejszy od niego był inżynier Hans Stayer, młody niemiecki byczek, mający w przyszłości zająć się demontażem zabytków i przeniesieniem ich na wyżej położoną wyspę Agilkia, która w przyszłości miała stanowić atrakcję dla turystów odwiedzających sztuczne jezioro.

Ale nawet Stayer musiał liczyć się z szarą eminencją ekipy, jakimś Olegiem Ławrowem, wedle oficjalnych informacji pracownikiem Uniwersytetu Moskiewskiego. Teoretycznie podlegały mu kontakty z miejscową administracją i ciążył na nim obowiązek wydawania biuletynu prasowego. Jednak na kilometr czuć było od niego charakterystyczny zapaszek służb, równie mocno jak odór alkoholu, który, jak twierdził wzorem brytyjskich kolonialistów, jest znakomitym sposobem na upał i możliwe infekcje. W każdym razie nic nie działo się bez jego wiedzy.

Julia od razu zwróciła uwagę na symboliczny charakter współczesnych zdarzeń. Oto na naszych oczach zamyka się koło historii. Wedle wierzeń starożytnych wyspa File była pierwszym punktem na Ziemi, który wyłonił się z chaosu, a teraz, już za parę lat, miała pogrążyć się w falach sztucznego morza.

– Witamy na naszej „tajemniczej wyspie” – powiedział młody muskularny mężczyzna, pomagający zacumować naszej łodzi. –

Kapitan Nemo, pardon, kapitan Janusz Barczyk melduje się towarzyszu profesorze! – zasalutował Piazzolemu.

Opalenizna wskazywała, że oficer Ludowego Wojska Polskiego przebywał tu już od dłuższego czasu. Okazało się również, że jest znakomicie wychowany, pomógł wysiąść Julii i jak dobry steward wziął jej walizkę. Na oko był jakieś dziesięć lat starszy ode mnie, miał szczerą słowiańską twarz, a niebawem ujawniły się jego liczne talenty, jakie trudno podejrzewać u człowieka od wielu lat służącego w wojsku. Świetnie grał na gitarze i miał ładny głos – już pierwszego wieczora uraczył nas wiązką piosenek ludowych, przeplatanych starymi przebojami.

W ramach ekspedycji odpowiedzialny był za łączność, ale zorientowaliśmy się wnet, że fascynują go również archeologia i egipska kultura. Choć przebywał tu od niedawna, całkiem nieźle dogadywał się po arabsku.

– Egipcjanie kochają się w pozorach. Jeśli będziemy zachowywali się wobec nich z szacunkiem, komplementując przy każdej okazji, pozwolą nam na bardzo wiele – tłumaczył.

Naszym zadaniem było dokładne przebadanie terenu tak, aby nic wartościowego z wyspy File nie znalazło się pod wodą. Później miały wkroczyć kolejne ekipy i dokonać demontażu świątyni.

– Przez trzy miesiące można naprawdę wiele zrobić – zapewniał Piazzoli.

– Na pewno! – podchwycił Paweł Bagiński.

Wówczas nie miałem pojęcia, że obaj mają na myśli zupełnie coś innego. Zajęty codziennymi pracami – potrafiły być fascynujące, trudno opisać łomot serca, kiedy wykopałem piękną figurkę opodal świątyni Hathor, niezwyklej bogini, chociaż krowy – i zabiegami miłosnymi wobec Julii, które nie przynosiły żadnych rezultatów, nie zwracałem uwagi na rozmaite działania Pawła.

Jego wypadki do Asuanu, wyjazd ze Stayerem na Elefantyne, a także, co zauważyłem, wieczorne półgodziny wkuwania angielskiego. Lektorat umożliwiający co najwyżej czytanie w tym języku zaliczyliśmy obaj w roku poprzednim, wprawdzie z dobrymi ocenami, ale nie mieliśmy złudzeń, że w praktyce

potrafilibyśmy się precyzyjnie porozumieć.

Pewnego wieczora, w połowie sierpnia, kiedy większość ekipy udała się na bankiet z okazji rocznicy sukcesu międzynarodowego proletariatu w Bitwie Warszawskiej, Paweł, upewniwszy się, że tylko my dwaj pozostaliśmy w baraku, tłumacząc się zresztą złośliwą biegunką, powiedział, że od chwili przybycia do Egiptu myśli wyłącznie o jednym.

– O czym?

– Jak dać stąd nogę – powiedział, rozkładając na łóżku mapę.

– Naprawdę? – poczułem niezwykły przypływ podniecenia.

Paweł zrobił efektowną pauzę, podczas której słuchać było jedynie warkot wentylatora, mielącego na podobieństwo helikoptera swymi skrzydłami gorące powietrze pod sufitem.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że znajdujemy się w jednym z tych nielicznych miejsc, w którym oba światy (socjalistyczny i kapitalistyczny) znajdują się obok siebie, a granica, odległa stąd zaledwie o około tysiąc, może półtora tysiąca kilometrów, jest praktycznie nie do upilnowania.

– Myślisz o Abisynii? – zapytałem, przypominając sobie doniesienia na temat kolejnych faz na wpół partyzanckiej wojny w Erytrei i na Wyżynie Amharskiej, która toczyła się od lat i nie przynosiła żadnego rozwiązania.

– Nie zamierzam pchać się na linię frontu. Tak samo porzuciłem myśl o Ugandzie. Oczywiście, są tam Amerykanie i mieliśmy na tej trasie wspaniałych poprzedników w osobach Stasia i Nel, ale sądzę, że obecnie byłoby to niewykonalne. Musielibyśmy przedrzeć się przez cały komunizujący się Sudan, tereny gęsto zaludnione, wreszcie dżunglę. Pozostaje jedynie trzecia ewentualność.

– Czyli którą?

– Tędy – wskazał palcem na środek Sahary, pozbawiony dróg, miejscowości, a nawet oaz. – Musimy dostać się do Czadu, najdalej wysuniętej prowincji dawnej Francuskiej Afryki Równikowej, obecnie części Federacji Afryki Równikowej, administrowanej przez Wolnych Francuzów i powstałej przy

wsparciu USA. Wojna z Libią wygasła tam jakiś czas temu, a granica... Na tym obszarze jest pojęciem umownym, nawet na mapach oznacza się ją przerywaną linią.

– Wygląda ciekawie. Tylko jak chcesz tego dokonać?

– Byłem parę razy na targu w Asuanie, oglądałem również z bliska budowę wielkiej tamy i gadałem z ludźmi z transportu. Sądzę, że można by skombinować tam jakiś wóz, załatwić na lewo kilkanaście kanistrów benzyny... U Arabusów kupić można wszystko, nawet przepustki uprawniające do poruszania się poza miastem...

Rozległy się kroki i Paweł umilkł. Do braku zajrzała Julia.

– Nie bawicie się, nieboraki?

– Jak widzisz – odparłem. – Nie oddaliśmy się dalej niż pięć metrów od toalety.

– Ale lepiej wam?

– Troszeczkę lepiej. Ale ty, jak widzę, też nie bankietujesz.

– Dostałam okropnej migreny i musiałam wyjść.

– Ale czujesz się już lepiej?

– Troszeczkę lepiej.

– Jeśli przeszkadzam państwu... – Bagiński poderwał się z łóżka.

– W niczym nam nie przeszkadzasz – powstrzymała go Julia. –

Myślę, że uda mi się namówić twojego przyjaciela na mały spacer.

– Właśnie sam zamierzałem ci to zaproponować – ożywiłem się.

– Ale ja nie muszę wam towarzyszyć? – zapytał pro forma Paweł.

– Nie musisz!

Wyszliśmy. Noc była bezchmurna, a wszystkie konstelacje gwiazd widoczne jak w planetarium. W takich momentach człowiek czuje się pyłem, drobiną na de bezmiaru kosmosu. Chyba że nie jest sam. Niestety, podążając z Julią ku południowemu cypłowi wyspy, ciągle nie wiedziałem, czy jesteśmy razem, czy osobno?

Zbierałem się na odwagę, żeby to nareszcie wyjaśnić. Od wylotu z Warszawy nie udało mi się ocieplić stosunków między nami ani o pół stopnia, mimo wręcz koszmarnego skwaru w ciągu dnia, który nocą minimalnie łagodził wietrzyk dmący znad rzeki, a wewnątrz baraków wentylatory. Nasze relacje pozostawały miłe,

wręcz serdeczne, i nic więcej. Doskonale rozumiem mężczyzn, którzy propozycję „zostańmy przyjaciółmi” traktują jak obelgę. Nie potrzebowałem więcej przyjaciół, potrzebowałem tylko miłości. Postanowiłem ostatecznie zapytać, co jest nie tak, co ją we mnie razi, dlaczego unika pieśszcot, a na wyznania reaguje żartobliwie? Na wyspie nie mogła mi uciec.

Ale mogła mnie ubiec. I zrobiła to.

– A właściwie dlaczego wykręciłeś się z dzisiejszej imprezy? Złe pytanie, zadane w bardzo złym momencie. Zwłaszcza że byłem zbyt napalony, żeby się kontrolować. Dlatego wypaliłem bez zastanowienia:

– Olałem ten ochlaj, ponieważ nie lubię brać udziału w stypie, która udaje wesele. Ponieważ nie chcę świętować najgorszego dnia w naszej historii od czasu bitwy pod Maciejowicami. Ponieważ nie będę lizać po łapie Moskala i kokietować czerwonego Szwaba...

Zamurowało ją. Stała w miejscu, odwracając twarz ku mnie. Jej oczy zdawały się dorównywać rozmiarami księżycowi.

– A nie boisz się, że doniosę, jak się wyrażasz o naszych sojusznikach i wspólnym święcie? – zapytała.

– Rób co chcesz! – machnąłem ręką.

Znienacka pocałowała mnie, krótko, ale było to jak kapnięcie miodu na spękane wargi. Potem znów cofnęła się i dłuższą chwilę wpatrywała we mnie.

– Zaskakujesz mnie – powiedziała nareszcie. – Myślałam, że zawsze wierzysz w to, co piszesz.

– Ja też tak do niedawna myślałem – powiedziałem, bojąc się, aby nie posądziła mnie o dwójmyślenie.

Siedliśmy nad samą wodą, Julia wtuliła się we mnie, a ja opowiedziałem jej w trzech, no może w tysiącu trzech słowach o manuskrypcie, śmierci Ojca, o moim przebudzeniu i nawróceniu. Wysłuchiwała nie przerywając, coraz bardziej przytulona, z błyszczącymi oczami i rozchylonymi ustami.

– Chyba jednak nie powiedziałeś mi wszystkiego – odezwała się, gdy skończyłem.

– Jeśli chodzi o sprawy najważniejsze, o czym mogłem zapomnieć?

– O tym, że mnie bardzo kochasz.

Teraz ja zamknąłem jej usta pocałunkiem. Potem i ona zaczęła opowiadać. O słodkim, beztroskim, chociaż bardzo krótkim dzieciństwie, o śmierci matki i zabraniu ojca przez GPU, o dwóch strasznych latach w domu dziecka, skąd na szczęście wydobył ją ojciec, kiedy ponownie wrócił do łask w partii.

– Dziwisz się, że nauczyłam się być nieufna i ostrożna wobec ludzi.

– Mnie też nie ufałaś?

– Szczerze mówiąc, nie do końca. Podziwiałam twój intelekt i pragnęłam kontaktu, zanim jeszcze poznałam cię osobiście, musiały mi wystarczyć opowieści ojca i trzy sonety z gazetki uniwersyteckiej, ale równocześnie wiedziałam, że nie mogę się związać z piewcą Feliksa Edmundowicza i jego opryczników.

– A teraz możesz?

– Teraz tak...

Całowaliśmy się coraz namiętniej, rozpiąłem jej bluzeczkę, a ponieważ nie nosiła stanika mogłem wtulić się w jej piersi cudownie jędrne, z buntowniczo zadartymi sutkami.

– Powoli, nie śpiesz się – upominała, odpowiadając mi równie śmiałą pieśczołą. – Tym razem mamy mnóstwo czasu.

Tu się myliła. Trzeba było się pośpieszyć, a i tak zanim doszło do czegoś konkretnego, usłyszeliśmy kroki wartownika, co godzinę robiącego obchód całego terenu wykopalisk.

– Jutro też będzie dzień – pocieszała mnie, kiedy odprowadziłem ją pod baraczek, który zajmowała razem z ojcem. – Poza tym przed nami całe życie.

– Czy to oświadczyły?

– Nie zwykłam oświadczać się mężczyznom – odparła.

Pozostawiam całą inicjatywę tobie. Chociaż o konkretach będziesz musiał porozmawiać z moim tatusiem.

Zasypiałem pijany szczęściem, usiłując nie słuchać chrapania Bagińskiego. Całe życie, całe życie! – powtarzałem sobie

z upojeniem. Nie brałem pod uwagę tego, że życie może być bardzo krótkie.

\*

Następnego dnia kapitan Barczyk zapytał, czy nie chciałbym pojechać z nim do Asuanu. Pomyślałem, że mógłbym kupić jakiś prezent dla mojej ukochanej, więc przystałem na propozycję z ochotą. Wsiedliśmy do motorówki i ruszyliśmy ku miastu, gdzie miał czekać na nas samochód, ale nie dopłynęliśmy daleko, kiedy pan Janusz zatrzymał łódź, pozostawiając silnik na jałowym biegu.

– Jesteście nieostrożni – powiedział dobitnie.

– Nie wiem, o czym pan mówi?

– O tym – wyciągnął mały, kasetowy magnetofon i przycisnął klawisz odtwarzania.

„...Musimy dostać się do Czadu – zabrzmiał głos Pawła – najdalej wysuniętej prowincji dawnej Francuskiej Afryki Równikowej obecnie części Federacji Afryki Równikowej, administrowanej przez Wolnych Francuzów i powstałej przy wsparciu USA. Wojna z Libią wygasła tam jakiś czas temu, a granica? Na tym obszarze jest pojęciem umownym, nawet na mapach oznacza ją przerywaną linią.

– W porządku – teraz poznałem swoje słowa. – Ale jak chcesz tego dokonać?

– Byłem parę razy na targu w Asuanie, oglądałem również z bliska budowę wielkiej tamy i gadałem ludźmi z transportu, sądzę, że można by skombinować tam jakiś wóz terenowy, kupić na lewo kilkanaście kanistrów benzyny...”

– Wystarczy? – Barczyk przerwał odtwarzanie.

Milczałem.

– Trzeba naprawdę wierzyć w opiekę Matki Boskiej, aby prowadzić podobne rozmowy w takim miejscu jak nasz obóz.



– Są tam podsłuchy?  
– Wszędzie! Sam je zakładałem – dorzucił lekko chełpliwym tonem. – A tam, gdzie ich nie ma, można posłużyć się mikrofonem kierunkowym i na przykład posłuchać sobie romantycznego gruchania dwójki zakochanych gołąbków. A nawet nagrać je. Stężałem, ale on wydawał się nie przejmować moim stanem i ciągnął dalej równie beztroskim tonem:

– Nasza kochana władza odnosi się do swych naukowców z wielkim zaufaniem, ale jak powiedział klasyk: „Ufać, to znaczy kontrolować!”. Dlatego kontrolujemy. Nieprawdaż, towarzyszu Wolak?

Musiałem coś powiedzieć, tylko że nic sensownego nie przychodziło mi do głowy.

– Wiem, że to fatalnie wygląda – zacząłem niemrawo. – Ale obaj z kolegą bardzo lubimy fantazjować...

– Ja też uwielbiam fantazję – zgodził się kapitan. – I dlatego to nagranie nie wylądowało dziś rano na biurku towarzysza Ławrowa, choć powinno. – wyjął kasetę z magnetofonu, energicznie wyszarpnął z niej taśmę i uformowawszy w kłębek dookoła solidnego kamienia, który podniósł z dna motorówki, wrzucił do Nilu.

– Bardzo jestem panu wdzięczny, już nigdy...

– Już nigdy nie prowadźcie takich rozmów w zamkniętych pomieszczeniach! – przerwał mi. – Plener, blisko jakiegoś źródła hałasu, byle nie nad wodą, bo po wodzie dźwięk okropnie się niesie. I żeby było jasne. Moja usługa nie jest za darmo.

– To zrozumiałe – powiedziałem może odrobinę za szybko. – W jaki sposób możemy się panu odwdzińczyć?

– Najprościej pod słońcem. Weźmiecie mnie ze sobą – to mówiąc, wyciągnął ku mnie swoją muskularną rękę – Janek! – powiedział. Uścisnąłem ją skwapliwie.

Byłem bardziej niż zaskoczony. Później, kiedy poznałem go lepiej, jego deklaracja przestała być aż tak bulwersująca. Barczyk miał doskonale chłopsko-robotnicze pochodzenie i ojca bohatera, poległego w trakcie kampanii normandzkiej. Wychowywany przez

samotną matkę mógł wyrosnąć na niezłego chuligana, jak inni koledzy z praskich podwórek, wcześniej został jednak oddany do korpusu kadetów, w pomyśle jego założycieli mającego dostarczać prawdziwych janczarów komunizmu. Jednak społecznym Mieczurinom zabieg niespecjalnie się udał, Janusz okazał się zbyt inteligentny, zbyt samodzielny, zbyt twórczy. Ukończył szkołę oficerską, później studium elektroniczne. Poznał też człowieka, który był kolegą jego ojca. I dowiedział się prawdy o bohaterskim dowódcy zwiadu, który dostał się w ręce nieprzyjaciela i, choć uciekł na krótko przed atomowym atakiem, został uznany za szpiega i wcielony do karnej kompanii, którą jako pierwszą wysłano w rejon wybuchu.

Zmarł w wyniku napromieniowania. A że nadawał się na legendę, jakiś pismak politruk upowszechnił legendę o bohaterskim poruczniku Barczyku.

Odkrycie kłamstwa zmieniło Janusza, podobnie jak mnie pamiętniki mojego Ojca. Od tamtego czasu marzył o jednym. O wydostaniu się ze świata powszechnej szczęśliwości i dołączenia do królestwa wyzysku. Stąd zabiegi o przydział do Egiptu, a potem czekanie na ludzi, którym mógłby zaufać. Takich jak my.

\*

Posłuchałem kapitana. Następną rozmowę z Bagińskim odbyliśmy w głębi murów świątyni, skutecznie głuszeni warkotem pracującej koparki.

– Facet spada nam z nieba – ocenił Paweł. – Z tego co wiem, potrafi naprawić każdy sprzęt, ma wprawę zawodowego kierowcy (z tego, co wiem, ty nawet nie masz prawa jazdy), a jak trzeba – potrafi walczyć. Kiedy z nim pogadamy o konkretach?

– Jutro. Zaproponował, żebyśmy przed świtem wybrali się na ryby. Podobno w rzece powyżej katarakty jest ich prawdziwe zatrzęsienie.

– Doskonale. Pozostaje jeszcze jedna kwestia. Co z Julią?

– To oczywiste, jedzie z nami.

– Tego akurat nie byłbym taki pewien.

Resztę dnia zdominowała prawdziwa sensacja, jaką było odkrycie grobu z czasów ptolemejskich. Dokonano tego, jak to zwykle bywa, przypadkiem, kończono właśnie uprzętać zawartość starej cysterny z epoki bizantyjskiej, przez paręset lat używanej jako śmietnik (śmietniki obok cmentarzy mówią najwięcej o przeszłości), kiedy ziemia raptownie się usunęła, a stojąca nieopodal koparka omal nie spadła na dno dołu. Błyskawicznie odsunięto ją dalej. Tymczasem w powstałej rozpadlinie ujawnił się poziomy szyb. Po spenetrowaniu okazało się, że prowadzi do doskonale zachowanej komory grobowej. Przez moment wszystkim mocno biły serca, a profesor Piazzoli czuł się nieomal jak lord Carnavon i Howard Carter w momencie wchodzenia do grobowca Tutenchamona. Miał jednak mniej szczęścia od nich. Grobowiec został doszczętnie splądrowany, zapewne jeszcze przez starożytnych rabusiów. Nie było w nim żadnych kosztowności, drewniane sprzęty dawno obróciły się w proch, dwie kanopy, zawierające ongiś wnętrzości mumii, zostały rozbite, a niewątpliwie wspaniałe niegdyś freski załatwiła wilgoć, co zupełnie zrozumiałe na regularnie zatapianym terenie. Sarkofag na szczęście okazał się szczelniejszy. Ktoś najwyraźniej zalepił wieko jakąś odporną na wodę żywicą. Po uniesieniu wieka sarkofagu znaleźliśmy jedynie dwie wyschnięte mumie, bez ozdób i klejnotów, spowite w bandażu.

Podwójny pochówek nas zaskoczył, zwłaszcza że nasz lekarz, doktor Świerczyński, zidentyfikował jedną z mumii jako kobietę. Wszystkie doskonale zachowane zęby, bez żadnych ubytków, wskazywały, że oboje musieli być bardzo młodzi.

Kim zatem byli? Parą wielkorządców, członkami rodziny faraona, wygnanymi na odległą prowincję? Rodzeństwem, małżonkami, kochankami? Ileż miejsca na literackie spekulacje!

– Freski dadzą odpowiedź – twierdziła Julia, wskazując ślady po malowidłach i malowidła na ścianach. – Obecnie prawie ich nie widać, ale po konserwacji będą znakomitym świadectwem.

– Uda się je odtworzyć? – powątpiewałem. – Wyglądają na nieodwracalnie zniszczone.

– Są na to metody.

Wedle Piazzolego komora pochodziła z okresu Nowego Państwa, niewykluczone, że przygotowywano ją dla kogoś innego, a ostatecznie kto inny w niej spoczął.

– Osobiście datowałbym ją na czasy Ramzesa II, czyli okres, w którym powstała świątynia w Abu Simbel, ale absolutnej pewności nie mam – twierdził profesor.

– Miejmy nadzieję, że zdążymy zdjąć malowidła, zanim przyjdzie wielka woda – mruknął Stayer.

Normalnie oszalelibyśmy z Bagińskim na punkcie znaleziska, teraz jednak coś zupełnie innego mieliśmy na głowie.

Wyprawa na ryby okazała się owocna. Nie tylko w ryby.

Zwłaszcza że te kupiliśmy w drodze powrotnej od miejscowych rybaków. W ciągu kilku godzin udało się nam z grubsza naszkicować plan ucieczki.

Najpierw Paweł opisał planowany kierunek i pokazał ewentualną drogę na mapach. Barczyk uznał pomysł za dobry, a następnie opowiedział o swoich planach. Za trzy dni wyruszał do Abu Simbel konwój z zaopatrzeniem. Trzy samochody terenowe, cieszące się niezłą reputacją ziły-20 produkowane na wykradzionym patencie amerykańskim przez zakład imienia Trockiego w Samarze. Mocne, zwrotne, może tylko trochę ciasne, z biedą mieściło się tam ośmiu pasażerów lub, w wersji bagażowej, dwójka ludzi i pół tony towaru. Każdy z ziłów miał naturalnie tubylczego kierowcę.

Tylko czy będziemy się mogli nimi zabrać?

– Zabiorą nas bez trudności – uspokajał kapitan – jesteście ulubieńcami Orlanda Piazzolego. A odwiedzenie Abu Simbel to dla archeologa wręcz obowiązek!

– Myślałem, że cały transport odbywa się wodą – powiedziałem.

– Przez większą część roku tak. Ale obecnie idzie wielka fala, stopniały śniegi na Wyżynie Abisyńskiej i w Górach

Księżykowych, a i opady na południu były w tym roku większe

niż w latach poprzednich.

– Czy to grozi przerwaniem tamy? – zaniepokoił się Paweł.

– Nie sądzę, żeby było aż tak źle – uśmiechnął się Barczyk – sytuacja jest pod kontrolą, natomiast profilaktycznie zawieszono ruch statków między pierwszą a drugą kataraktą. Nil jest niebezpieczny, płynie nim mnóstwo śmiecia, tworzą się wiry.

– Mówił pan o trzech samochodach z prowiantem, a co z czwartym wozem? Z tego co wiem, taki konwój nie obywa się bez obstawy.

– To prawda, będzie z nami drużyna żołdatów, ale coś mi podpowiada, że we właściwym momencie zepsuje się im samochód.

– A radiostacja? Przecież natychmiast przekażą meldunek o awarii i wezwą pomoc!

– Jestem dyplomowanym radiotechnikiem i wiem najlepiej jak bardzo nasz sprzęt narażony jest na usterki – rzekł z uśmiechem Barczyk.

Najwyraźniej miał sprawę gruntownie przemyślaną. Najbardziej zaniepokoiła mnie informacja, że ucieczki dokonamy dopiero w drodze powrotnej.

– Czy to logiczne? – pytałem – w bakach będzie połowa benzyny...

– Jak najbardziej logiczne. Po pierwsze uciekniemy w nocy, kiedy nie ma lotów zwiadowczych. Samochody będą prawie puste, jeśli nie liczyć jakichś artefaktów, a co do benzyny? Naszą ekspedycję planuję już od miesiąca. I w pewnym, tylko mnie znanym, miejscu na pustyni zgromadziłem zapas benzyny oraz wody, pozwalający dojechać nie tylko do Jeziora Czad, ale pewnie i do Zatoki Gwinejskiej.

Uspokojony, poruszyłem jeszcze kwestię Julii. Chciałem, by jechała z nami.

– Jeśli się zgodzi i zechce narażać, nie widzę przeszkód – powiedział Barczyk – ale proszę jej nic nie mówić przed czasem.

– Jak to? Jeśli ma pryskać z nami, to musi wiedzieć...

– Proszę zaproponować jej przejazdżkę do Abu Simbel, nie

wspominając o nadprogramowym elemencie wycieczki.

– To nieuczciwe. Tym bardziej że mam do niej absolutne zaufanie.

– Wiem, ale zwróć uwagę, jak bardzo kocha ojca. A poza tym, kto zaręczy, że nie będzie gadać przez sen.

– Musiałem przyznać mu rację.

\*

Trzy dni – może się wydawać, że w każdej sytuacji jest to tyle samo czasu. Trudno o bardziej mylny osąd. O ile podczas pobytu w Kairze przeleciały mi niczym z bicza strzelił, teraz posuwały się w tempie żółwia chorego na lumbago. Długie upalne dni i bezsenne noce w oczekiwaniu na świt. Gdyby nie poobiednie drzemki, czułbym się kompletnie niedospany. Nie dłużyły mi się jedynie wieczory spędzane z Julią. Nasze dusze i ciała wrzały niczym woda w rozgrzanym kociołku, pragnąc jak najszybciej przejść w parę nasyconą.

Byliśmy na to gotowi. Wyznaliśmy sobie miłość i nic nie mąciło naszej pewności, że chcemy spędzić ze sobą resztę życia. Co zatem nas powstrzymywało? Obawa przed zrobieniem tego na łąpu-capu? Trudności lokalowe? Ona mieszkała z ojcem, ja z Pawłem, a na otwartym terenie, pod gołym niebem, zawsze mogliśmy zostać zdybani przez jakiegoś wartownika.

Ostatniej nocy przed opuszczeniem File, zdecydowałem się na rozwiązanie nietuzinkowe, wziąłem koc i zaproponowałem wycieczkę do niedawno odkrytego grobowca.

– Nie boisz się duchów? – zapytała Julia.

– Po trzech tysiącach lat dla każdego ducha dawno minął termin ważności.

Myślałem, że będzie odwlekać ten moment, na przykład zaproponuje, aby stało się to po powrocie z Abu Simbel, zwłaszcza że propozycję wspólnej wycieczki przyjęła z entuzjazmem. Ale nie! W milczeniu, trzymając się za ręce, zesliśmy w głąb wykopu, potem przecisnęliśmy się wąskim korytarzykiem. Zapaliłem latarkę, obok sarkofagu było całkiem

sporo miejsca. Miałem nadzieję, że w tej komorze nie zainstalowano żadnego podsłuchu ani podglądu.

Z grubsza zdołaliśmy już poznać nasze ciała, jednak dopiero tu stanęliśmy przed sobą, w całej wyzywającej nagości.

– Nie gaś latarki – zażądała Julia.

Sukienka zsunęła się z niej niczym wylinka z węża. Za to ja omal nie upadłem, usiłując gwałtownie pozbyć się spodni.

– Spokojnie – powiedziała moja dziewczyna – bez nerwów.

Czterdzieści wieków patrzy na nas.

Podeszliśmy do siebie i objęliśmy się.

Mam ogromne trudności z opisaniem tego, co nastąpiło dalej.

Znam za mało właściwych słów i jestem zbyt słabym poetą.

A może jednak spróbuję...

Nasze przedziwne zespolenie,

gdy nie ma świata, tylko my

bez żadnej pozy, żadnej gry,

jest tylko prawda i spełnienie.

I twoje ciało, żywy posąg,

w które się wdzieram, dłutem swym

jak Michał Anioł biorę bosą

i chcę uderzeń równać rytm.

Dochodzić tam, gdzie są prażródła

gdzie tajemnica wszystkich Ew,

wyrwać z twych ust rozkoszy śpiew

i spać omdlały na twych udach...

Gdy niemożliwe jest możliwym

wiemy co grzech jest, a co raj,

Lęk się wydaje nieprawdziwy

I chce się krzyczyć – chwilo trwaj!

Nie wiem, co mogli myśleć sobie o nas lokatorzy sarkofagu.

Przeżyli wiele, więc mogli jedynie śmiać się z dwójki

dwudziestowieczniaków, którym wydawało się, że ich życie, ich miłość, ich zespolenie jest czymś niepowtarzalnym.

„Cóż oni widzieli i przeżyli w porównaniu z nami, którzy tu byliśmy już wtedy, gdy Ramzesi doszli do szczytu potęgi, aby po paru pokoleniach zaznać swojego upadku, kiedy wkraczali tu na czele swoich wojsk Kambizes, Aleksander i Cezar. Kiedy chrześcijańscy zeloci niszczyli dawne świątynie, a oddziały Omara przynosiły na swoich krzywych szablach wiarę Proroka... Przeminieli krzyżowcy i Mamelucy, Napoleon i Imperium Brytyjskie. Zostało z nich tyle, co z nas: garść kości i zwój bandaży. A może wszystko to nie było warte jednej chwili, kiedy zakochani brodziliśmy wśród sitowia nad brzegiem Nilu, trzymając się za ręce i nie mając pojęcia, co jest nam pisane?”.

#### XIV

#### Pustynia

Szalonej nocy w grobowcu nie potrafię porównać z żadnym momentem mojego życia. Kochaliśmy się trzy razy. Usypialiśmy, by budzić się na nowo. I na nowo! Niestety, pianie koguta dochodzące z obozowiska tubylczych robotników przypomniało o nieuchronnym nadejściu świtu. W krypcie panował mrok, bateria w latarce się wyładowała, ale cyferki na fosforyzującej tarczy zegarka świeciły nieubłaganie. Równy oddech obok mnie zdradzał obecność Julii. Uniosłem się i zacząłem macać wokół siebie w poszukiwaniu ubrania.

– Przytul mnie – usłyszałem w ciemności jej głos. Brzmiał dziwnie smutno. Wziąłem ją w ramiona i natychmiast poczułem, że drży, a potem, całując oczy, poznałem smak łez.

– Co ci, Julio?

– Przytul mnie! – powtórzyła z naciskiem – przytul mnie tak, żeby mogło mi cię starczyć na całe życie!

– O czym ty mówisz, kochanie? Nasze życie dopiero się zaczyna.

– Nie jadę z wami! – drzenie stało się silniejsze, a łzy bardziej rześiste.

– Jak to? Jeszcze wczoraj, byłaś pełna entuzjazmu! – Jeszcze



wczoraj myślałam, że to będzie tylko wycieczka.

Nagle zrobiło mi się okropnie duszno, tak jakby przywaliło mnie wieko sarkofagu.

– Paweł ci powiedział? – mruknąłem z wyrzutem.

– Nikt nie musiał mi mówić. Wyczułam twoje zamiary. I nie chcę znać szczegółów.

– Nic nie rozumiem – mętlik w mojej głowie pogłębiał się z każdą chwilą. – Co cię powstrzymuje? Zawsze wydawało mi się, że twoje umiłowanie wolności jest większe od mojego!

Chwilę milczała, jakby szukając właściwych słów.

– Nie mogę zostawić taty. To by go zabiło. I tak będzie miał z waszego powodu wielkie kłopoty, ale gdybym jeszcze ja dołączyła do was... Strach pomyśleć!

– Ale zdajesz sobie sprawę, co to oznacza dla nas, nawet jeśli uda mi się szczęśliwie przedostać na drugą stronę, mogą upłynąć całe lata, zanim się zobaczymy.

– Będę na ciebie czekała. Może za jakiś czas uda się nam spotkać w jakimś neutralnym kraju, na przykład w Indiach.

I co miałem powiedzieć? Że olewam Barczyka z Bagińskim i zostaję? Że będę do końca życia zajmował się postępowymi dążeniami egipskich fellachów, pisując w wolnych chwilach poematy o członkach Politbiura? – Wyciągnę cię stąd, Julio.

Przysięgam!

Jeszcze chwila, a płakaliśmy oboje. Do rzeczywistości przywróciło nas kolejne pianie koguta.

\*

Odjazd konwoju przewidziano na godzinę ósmą, miałem nadzieję, że nasze mocno załadowane plecaki nie wzbudzą niczyjogo zainteresowania. Kątem oka widziałem, jak Paweł z trudem panuje nad nerwami. Zaczął się jąkać, co zdarzało mu się wyłącznie w chwilach najwyższego wzburzenia.

Julia dobrze odegrała swoją rolę, podała całej trójce rękę, mnie ucałowała w usta.

– Mam nadzieję, że zobaczymy się wkrótce – powiedziała niefrasobliwym tonem.

Wiedziałem, ile musi ją to kosztować. Już wsiadałem do załadowanego po dach samochodu, kiedy zza baraków wyszedł Piazzoli.

„Wsypała nas” przemknęło mi. Zobaczyłem, że Bagiński pobladł, Barczyk zaczął poprawiać swoją kaburę. Jeśli chodzi o mnie, czułem niepokojące parcie na pęcherz.

– Julia powiedziała mi o was... – zaczął powoli profesor, pogłębiając moje przerażenie. – Oczywiście jestem szczęśliwy z powodu waszej decyzji. Nie będę robił przeszkód, jeśli zechcecie się pobrać zaraz po powrocie do Polski.

– Oczywiście! Zaraz po powrocie do Polski! – powtórzyłem, machinalnie ściskając wyciągniętą prawicę. Nie kłamałem, choć zdawałem sobie sprawę, że dla Julii mogło to znaczyć „na święty nigdy”.

Z podróży do Abu Simbel nic zgoła nie pamiętam, prócz otepiającego gorąca i pyłu pustynnej drogi. Otwarcie obu okien powodowało wprawdzie przeciąg, ale oznaczał on jedynie przelewanie żaru z prawa na lewo. Kierowcą mojego zila był Egipcjanin Abdul, który nie znał żadnych obcych języków. Próby rozmowy po rosyjsku czy angielsku przypominały wysiłki dziada gadającego do obrazu. Z kolei moja znajomość arabskiego ograniczała się do kilkunastu słów. Dlatego większość drogi przespałem. Poza krótkim postojem w miejscu, w którym przecinaliśmy zwrotnik Raka. Był to zresztą dokładnie taki sam kawałek pustyni, pokrytej twardą skorupą zbitego piachu, jak gdziekolwiek indziej. Cały dystans nasz mały konwój pokonał bez dodatkowych przystanków. Do Abu Simbel dotarliśmy późnym popołudniem. Żołnierze zajęli się rozładunkiem, a my po krótkim posiłku poszliśmy oglądać monumentalną świątynię, wykutą w skale ponad lustrem Nilu. Jej nadzwyczajne piękno nie dawało się porównać z niczym innym i tym smutniej przychodzi mi dziś myśleć o ich losie.

W roku 1981, kilka lat po hucznym otwarciu, drobny wstrząs

tektoniczny sprawił, że osłona wzniesiona ze szkła pękła, a następnie została zmieciona przez prąd Nilu. Zginęła obsługa obiektu i kilkuset turystów, woda wdarła się do świątyni, niszcząc freski, które przetrwały tysiąclecia, a obecnie, jeśli znajdują się śmiałkowie pragnący oglądać posągi, to muszą to robić w akwalungu z butlami na plecach, wyposażeni w silne reflektory, jako że nilowa woda jest wyjątkowo nieprzejrzysta. I muszą się śpieszyć, by zdążyć je zobaczyć, zanim rzeźby ostatecznie nie pogrążą się w mule.

O zmierzchu, który w tropikach zapada błyskawicznie, ruszyliśmy w drogę powrotną. Zgodnie z poleceniem naszego dowódcy wysypiałem się na zapas, błogosławiąc mój organizm pozwalający mi na drzemkę w dowolnych okolicznościach. Ujechaliśmy może jedną czwartą drogi, kiedy na wyraźne życzenie kapitana Barczyka stanął pierwszy z samochodów. Następne zatrzymały się tuż zanim.

– Postój na sikanie! – zawołał wesoło Janusz. – I coś na wyrównanie poziomu płynów w zbiornikach. To mówiąc, dał nam po łyku alkoholu z pękatej piersiówki, po czym ruszył z poczęstunkiem do dowódcy ochroniarzy, porucznika Nikity Lwowa. Ten nie odmówił. Obaj mężczyźni zapalili papierosy.

– Moglibyśmy zamienić się kierowcami? – zaproponował Barczyk – mój ma kłopoty ze wzrokiem, a wasz Leo ma wzrok sokoła. Niedobrze by było, żeby ktoś prowadzący konwój dostał kurzej ślepoty.

Lwow skrzywił się, ale nie dyskutował ze starszym stopniem. Po chwili Leo Butari, trzydziestoletni uciekinier z izraelskiego Libanu, zasiadł za kółkiem pierwszego zila. Uśmiechnąłem się w duchu. Wiedziałem, że Butari był kumplem Barczyka, choć nie miałem pojęcia, na ile został wtajemniczony w nasze plany. Kiedy dokonywano roszady, kapitan rozpiął rozporek i zniknął za samochodem ochrony. Co tam robił, nie mam pojęcia, zważywszy na panujące wokół egipskie ciemności.

Po przerwie ruszyliśmy dalej. Droga, jeśli można tak nazwać koleiny na piasku, zrobiła się bardziej nierówna, co powinno nas

skłonić do zwolnienia. Jednak wóz kapitana gwałtownie przyspieszył, jak koń, który poczuł bliskość stajni. Bagiński poszedł w jego ślady.

Abdul też nacisnął gaz i dłuższą chwilę pędziliśmy jak na złamanie karku. Widoczne w lusterkach światła wozu ochrony zostały daleko w tyle, wreszcie znikły na dobre za kolejnym zakretem. Od strony outsidera doszedł nas jękliwy dźwięk klaksonu, ale Barczyk go zlekceważył. Abdul, wyraźnie zaniepokojony, próbował zwolnić. Rzuciłem mu parę kurew i na migi wyjaśniłem, że nadal ma trzymać się czoła, jeśli nie chce się zgubić w pustyni. Jak się okazało klątwy mają moc uniwersalną. Usłuchał. Przejechaliśmy tak kilkanaście kilometrów, bez żadnych świateł z tyłu, wreszcie Barczyk zatrzymał konwój.

Wszyscy wysiedli, a kierowcy, mój i Pawła, zaczęli pytać, co się dzieje? Wtedy w ręku kapitana pojawił się półautomatyczny karabinek. Dźwięk repetowanej broni dobiegł także od strony Butariego (więc i Libańczyk był w zмовie!). Ten charakterystyczny efekt obaj Arabowie zrozumieli właściwie, rzucając się do ucieczki.

Barczyk popatrzył na zegarek.

– Z obstawą spotkają się najwcześniej za dwie godziny, a szansa, że natkną się na kogoś po drodze nastąpi dopiero koło południa.

– Co pan zrobił tamtemu samochodowi? – zawołał Bagiński.

– Zastosowałem najprostszą metodę na unieruchomienie silnika.

Wsypałem cukier do baku z benzyną!

– A radiostacja?

– Ułamałem obie anteny. W dodatku uszkodziłem pasek alternatora. Mając zapalone światła w samochodzie, rozładują akumulatory wcześniej, niż domyślą się, co się stało. Tu zwrócił się do mnie. – Poprowadzisz środkowy wóz.

– Spróbuję, ale nie wiem, czy dam radę.

– Musisz. Nie bez powodu uczyłem cię przez ostatnie dni prowadzenia.

– Głównie teoretycznie.

– Jeśli dał sobie radę taki analfabeta, jak twój kierowca, to i tobie

powinno się udać! – dopowiedział Paweł. I to był jakiś argument. Początkowo samochód gasł mi co chwila i miałem trudności z wyczuciem kierownicy, ale potem już poszło. Zwłaszcza że Janusz, niczym instruktor z kursów na prawo jazdy, siadł koło mnie, pozostawiając prowadzenie całego konwoju Libańczykowi. Skręciliśmy z drogi przy kupce jakichś kamieni i po paru kilometrach między skałkami odnaleźliśmy magazyn, ani chybi przygotowany przez Butariego. Później dowiedziałem się, że Leo gromadził zaopatrzenie od miesiąca, korumpując swojego konwojenta i zbaczając z drogi za każdym razem, kiedy było to możliwe. Kilkadziesiąt kanistrów z benzyną i wodą bardzo poprawiło nasze samopoczucie.

Dokonawszy załadunku, ruszyliśmy w drogę na południowy zachód. Butari omijał sprawnie rzadkie posterunki przy szlaku, łącznie z symbolicznym punktem granicznym, za którym zaczynał się Sudan, po czym zupełnie zjechaliśmy z drogi, poruszając się czymś, co mogło być szlakiem karawanowym, wyschniętą sezonową rzeką zwaną przez miejscowych uadi, lub po prostu bezdrożem. Dzięki Bogu po parominutowej drzemce zregenerowany Barczyk zastąpił mnie za kierownicą i znowu mogłem trochę pospać. Do świtu przebyliśmy podobno ponad pięćset kilometrów. Ciągle zbyt mało, by czuć się bezpiecznie. Ogromne czerwone słońce, które jak bąbel wyskoczyło ponad pustynię, oświetliło przestrzeń absolutnie człowiekowi nieprzyjazną. Czerwona ziemia na drodze do Abu Simbel ustąpiła miejsca coraz liczniejszym wydmom, przechodzącym w piaskowy ocean. Miałem nadzieję, że Barczyk wiedział, gdzie się pakuje, zwłaszcza że nasze samochody, mimo napędu na cztery koła, coraz częściej zapadały się w piachu. O szybkiej jeździe nie mogło być mowy. Koło dziesiątej wjechaliśmy ponownie na szlak karawanowy, ale półsenny Bagiński, którego teraz ja (średnio wyspany) zastąpiłem w roli kierowcy, mamrotał, że nie ma pojęcia, gdzie jesteśmy – zapewne w Sudanie, chociaż równie dobrze mogliśmy docierać do Libii. Pół godziny potem minęliśmy małą karawanę podążającą na północ. Kapitan wraz

z Butarim wyskoczyli z samochodu i wdali się w krótką pogawędkę z użyciem rąk.

– Co ci powiedzieli? – spytałem, kiedy wielbłądy zaczęły się oddalać.

– Powiedzieli, mocno powiedziane. Leo twierdzi, że posługiwali się jakimś berberyjskim językiem, którego on nie rozumie. Ważne, że nie pobłądziliśmy Za 60 mil jest oaza i studnia. Tyle że jest tam sudański posterunek.

– I co zrobimy z tym fantem?

– Wyminiemy go. Jak wszystkie do tej pory.

Jechaliśmy więc dalej. Coraz częściej przychodziło nam jechać pod słońce, a równocześnie zmęczenie dawało się coraz bardziej we znaki. Jako niewprawny kierowca już parę razy zaryłem twarzą w kierownicę. Zrównawszy się z Barczykiem (Janusz, którego siły były niespożyte, zastępował właśnie Libańczyka, pozwalając mu zasnąć ławce z tyłu), zacząłem wołać do niego, by się zatrzymał i pozwolił na krótką choćby drzemkę.

– Wykluczone – odkrzyknął. – Wytrzymaj kwadrans, kiedy Leo trochę odpocznie, a zastąpię cię w prowadzeniu. Jeśli dobrze wszystko przewidziałem, już powinni zorientować się w naszej ucieczce i wkrótce zaczną nas szukać.

I rzeczywiście, szczęście, które nam sprzyjało, skończyło się około godziny drugiej. Chwilę po tym, kiedy mnie zluzował, rozległ się charakterystyczny warkot i zza piaszczystych wzgórz wyłonił się samolot, anachroniczny dwupłatowiec pamiętający chyba czasy, jeśli nie Bleriota, to przynajmniej Lindberga.

– Sudański! – mruknął Barczyk i mocniej zacisnął dłonie na kierownicy.

Cała senność opuściła mnie błyskawicznie.

– Czy gdyby był egipski byłoby gorzej?

– Nie mam pojęcia, i tak decydują o wszystkim nasi sowieccy przyjaciele.

– Może strzelać?

– Nie ma zamontowanych fabrycznie karabinów maszynowych, ale drugi pilot z pewnością dysponuje pepeszą. Zresztą zaraz się

przekonamy. Rozciągnijmy się na drodze.

Wychylił się przez okienko i krzyknął coś do Libańczyka. Butari postąpił zgodnie z jego poleceniem. Paweł, w swoim wozie, również zrozumiał gesty. Powiększyliśmy dystans między sobą.

Dwupłat tymczasem wykonał nawrót, zniżył lot i, lecąc kilkadziesiąt metrów nad nami, puścił serię w piasek. Czy chciał nas trafić, czy jedynie postraszyć, nie mam pojęcia. W każdym razie Janusz nie pozostał dłużny, oddał kierownicę w moje ręce, wyciągnął spod siedzenia automat i wypuścił serię za napastnikiem. Wątpię, żeby mógł trafić, jednak maszyna natychmiast wystrzeliła do góry i, wykonawszy jeszcze jeden nawrót na znacznie wyższym pułapie, zniknęła za horyzontem.

– I co teraz? – zapytałem, puszczając kierownicę, którą ponownie przejął Barczyk. – Odczepią się od nas?

– Sadzę, że zyskaliśmy jakąś godzinę. Pilot tego fruwającego rzecha skapował już, że w pojedynkę jest na nas za cienki w uszach, dlatego zapewne właśnie teraz wzywa posiłki z Wadi Hajfa albo Dongoli, a tamci próbują nas załatwić.

– Co w takim razie zrobimy?

– Z pewnością nie będziemy biernie oczekiwać, jak barany prowadzone na rzeź.

Trzykrotnie przycisnął klakson, Butari zrozumiał sygnał i pozwolił się wyprzedzić. Skręciliśmy ku wzgórzom. Piaszczysty derg przeszedł wkrótce w pustynię kamienistą i krajobraz zrobił się bardziej urozmaicony. Pojawiły się skaliste wzgórza i prawdziwe parowy, będące, jak przypuszczam, bardziej dziełem wianu niż deszczu, który w tych stronach padał rzadko albo wcale. Jechaliśmy kwadrans i dotarliśmy do końca jednej z takich dolin. Janusz zatrzymał samochód, polecając skrócić pozostałym pomiędzy skały, a gdy to zrobiły, zawołał: „Do roboty”.

Okazało się, że pościg był przewidziany w jego kalkulacjach i byliśmy na to przygotowani. Oprócz paliwa i wody Butari zabrał ze swojego magazynu trzy bele siatki maskowniczej, którą teraz rozpięliśmy nad samochodami. Z ziemi takie zamaskowanie wydawało się słabe, ale z powietrza, jak twierdził Barczyk, bardzo

trudno będzie wypatrzeć nas wśród bloków skalnych.

A samochodowe koleiny?

Popatrz na te kamienie. Nasze opony nie zostawiły na nich żadnego śladu.

Na pojawienie się staromodnych myśliwców przyszło nam poczekać półtorej godziny. Przeleciały z rykiem nad górami, potem zrobiły to jeszcze raz, wolniej i jeszcze raz...

Przypominały drapieżne ptaki krążące w poszukiwaniu zdobyczy. Jednak chyba nie zdołały nas wypatrzeć. To znaczy musiały znaleźć coś podejrzanego parę kilometrów od nas, bo spuściły parę bomb, ale skałom to szczególnie nie zaszkodziło. Wreszcie odleciały.

– I co teraz? – zapytał Bagiński – jedziemy dalej?

Kapitan popatrzył na zegarek. Dochodziła czwarta.

– Zaczekamy tutaj. Sądzę, że mogą nas jeszcze trochę ponękać, ale widząc bezowocność takiej taktyki, przyślą helikoptery.

– No to wpadliśmy!

– Nie sądzą, żebyśmy byli bez szans. Maszyny będą musiały przylecieć z Chartumu albo z północy. Większość latającego sprzętu w trakcie wojny lutowej ściągnięto w rejon Kanału Sueskiego i tam jest do dziś. Wątpię, by śmigłowce zdążyły przed zmierzchem.

– A po zmierzchu?

– Po zmierzchu w takim terenie jak ten, nikt nie zaryzykuje akcji.

– Może nam odpuszczą? – łudziłem się.

Barczyk energicznie pokręcił głową.

– Obawiam się, że nie. Udaremnienie naszej ucieczki będą traktować bardzo ambicjonalnie.

Jego przewidywania sprawdziły się co do joty. Myśliwce jeszcze raz przeleciały nad naszą okolicą, potem w półśnie usłyszałem warkot znajomego dwupłata, ale zdaje się, że szukał nas po drugiej stronie wzniesień, nie w ślepej dolince, po czym nastąpiła cisza.

Janusz nawet oka nie otworzył, ja też budziłem się wyłącznie, słysząc narastający hałas, ale gdy przemijał, usypiałem w ciągu



sekundy. W końcu mieliśmy niepowtarzalną okazję, aby się zregenerować. W nocy czekał nas kolejny etap ucieczki. Wreszcie słońce zgasło, a ja, obudzony szarpnięciem, znów zasiadłem za kółkiem. Prowadzenie samochodu, mimo sporego wysiłku, jakiego wymagało kręcenie kierownicą pozbawioną wspomagania, zaczynało mi się podobać. Zapaliliśmy krótkie światła i ruszyliśmy dalej. Ze względu na kamienie i rozpadliny jechało się dosyć trudno i wolno. Za to benzynę zużywaliśmy w zastraszającym tempie. O północy przepakowaliśmy nasz dobytek do dwóch samochodów pozostawiając trzeci, którego resory były u kresu wytrzymałości, na pustyni. Kapitan znów przesiadł się do Libańczyka, pozostawiając mnie razem z Bagińskim. Prowadziłem gdzieś do pierwszej, pozwalając zdrzemnąć się Pawłowi, potem on znów siadł za kółkiem, a ja przez dwie godziny śniłem o naszym domu na Marysinie i wnoszeniu przez próg Julii, w ślubnej sukni... O ileż było to lepsze niż rozmyślanie o niewesołej rzeczywistości. Paweł podzielał przekonanie Janusza, że z rannym słońcem pojawią się śmigłowce nasza sytuacja zrobi się nie do pozazdroszczenia.

– Mam nadzieję, że wziął pod uwagę taką możliwość i ma w zanadrzu jakiś doskonały plan – próbowałem rozwiać jego obawy.

– Daj Boże!

Wedle jego obliczeń w ciągu dwunastu godzin zrobiliśmy po tych bezdrożach nie więcej niż kolejne 400 kilometrów, toteż do celu nadal było okropnie daleko.

Przystanęliśmy około piątej nad ranem, aby naradzić się, co robić.

– Ja bym proponował zamaskować samochody na dzień i znów czekać na zmierzch – odezwał się Bagiński.

– Aż na tyle szczęścia, że pościg nas nie wypatrzy, trudno liczyć oponował Barczyk – Wśród piaszczystych wydym zamaskowanie samochodów graniczy z niepodobieństwem.

– Padażdite – powiedział nagle po rosyjsku Libańczyk – Słuszajcie!

– O co chodzi, już są...?

– Powiedziałem, czekajcie. I słuchajcie! Zaczyna wiać. No to może znowu nam się upiekło – skomentował spokojnie Libańczyk.

Lekko wiać zaczęło jeszcze wieczorem, teraz, przed świtem wiatr zaczął szybko przybierać na sile i nim wstało słońce, powietrze stało tak gęste od pyłu, że wzorem beduinów musieliśmy otulić głowy chustami. Niewiele pomagało, krzemowe drobiny wdzierały się nam do oczu, uszu, po prostu wszędzie.

– Zaczynam wierzyć, że opatrność ma nas pod swoją opieką – stwierdził Bagiński. – Żadne helikoptery świata nie znajdą nas w tej kurzawce.

– Pod warunkiem że da się dalej jechać – odparłem.

Przez trzy godziny jakoś się dało, zwłaszcza że jednym wozem kierował Leo, drugim znów Janusz, obaj znakomici kierowcy, potem jednak kurzawa kompletnie zmieniła dzień w noc.

Przestaliśmy widzieć dalej niż na pół metra. A sypki piach uniemożliwił poruszanie się. Piaskowa burza, która uniemożliwiła działania nagonce, unieruchomiła także zwierzynę. Ale przynajmniej nareszcie mogliśmy się wyspać.

Wichura ucichła o zmierzchu. Obudziłem się z wrażeniem, że jest okropnie cicho. I ciemno. Mimo zapalenia świateł, za szybą panował aksamitny zmrok. Próbowałem otworzyć drzwiczki. Ani drgnęły. Odkręciłem okno, i od razu do wnętrza wsypało się pół tony piachu. Mozolnie wylazłem na zewnątrz. Za mną wygramolił się kaszlący Paweł. Wąski sierp księżyca, zbliżającego się do nowiu, słabo oświetlał pustynię. Jednak parę kroków dalej dojrzałem kształt, przypominający skorupę gigantycznego żółwia. Samochód kapitana. On sam już nie spał, wspólnie z Butarim dzielnie machali saperkami.

– Co się gagicie, pomóżcie! Za pół godziny jedziemy dalej. Trzeba odgrzebać samochód. Nasz! Wasz pozostanie tu na wieki. Musimy skrócić front i dalej podróżować w jednym. Przynajmniej zużyjemy mniej benzyny.

Po półtorej godzinie znaleźliśmy się znowu na twardszym gruncie, a dzięki księżycowi mogliśmy rozwinąć większą prędkość. Dla

mnie i Pawła, pasażerów siedzących na rozkładanych ławkach z tyłu, nie była to komfortowa podróż. Czułem jak mój tyłek za każdym kolejnym podskokiem zmienia się w befsztyk tatarski, a głowa co i rusz wali w brezentowy dach, starając się jedynie unikać kontaktu z metalowymi wspornikami. Paweł, szczęśliwy posiadacz tłustszego dupska, nie protestował, bez reszty zagrzebał się w mapach, liczył i przeliczał; na koniec stwierdził:  
– Jeśli nic nam nie przeszkodzi, do południa powinniśmy dotrzeć do granicy Federacji Afryki Równikowej.

\*

Ranek powitał nas dwoma wiadomościami: dobrą i złą. Dobrą symbolizowała wymalowana na gołej skale przed nami trójkolorowa flaga francuska i wielki napis „France Libre”, złą – widok sudańskiego śmigłowca wynurzającego się z za wzgórz. Znacie to uczucie, absurdałne przeświadczenie, że to, co nas spotyka, nie dzieje się naprawdę, że wystarczy mrugnięcie powiek, a ockniemy się zupełnie gdzie indziej, w świecie bezpiecznym i zacisznym? Niestety, mogliśmy sobie mrugać a mrugać – helikopter nie zamierzał zniknąć.

– Z wozu! – zakomenderował Barczyk – między skały!

Wykonaliśmy rozkaz. Księżycowy krajobraz wokół nas nie dawał szczególnej ochrony. Największe z kamieni nie miały większej wysokości niż przygarbiony człowiek. Śmigłowiec zbliżył się bardzo szybko. Spodziewałem się jakiegoś megafonu, wezwania do poddania się, uniesienia rąk w górę. Ale takie rzeczy zdarzały się wyłącznie na filmach z kapitanem Crossem.

Bestia z tnącym powietrze wirnikiem nie miała zamiaru brać kogokolwiek żywcem, dostała wyraźny rozkaz – zabić uciekinierów! Nadleciała możliwie jak najbliżej, po czym bez uprzedzenia otworzyła ogień.

– Kryć się! – zawołał Janusz. No i każdy krył się, jak umiał. Wokół nas świstały kule, wirowały skalne odłamki, my zaś kuliliśmy się za skałami, dziwiąc się, że jak na razie nikt

porządnie nie oberwał, jeśli nie liczyć drobnych skaleczeń odłamkami.

Barczyk dopuścił przeciwnika stosunkowo blisko, po czym sam wy puścił krótką serię (amunicji mieliśmy załóżnie mało).

Zobaczyłem jak pęka pleksiglasowa szyba kabiny, a maszyna niczym rumak draśnięty ostrogą staje dęba. Teraz wystrzelił Libańczyk Gdyby trafił w bak paliwa byłoby po ptakach, ale spudłował. W każdym razie przeciwnik odczuł naszą siłę i zwiększył dystans, próbując zająć nas od tyłu. Odległość jednak wydatnie zmniejszyła ich celność. Tymczasem kapitan przestawił broń na ogień pojedynczy i kasał nieprzyjaciela niczym osa.

W tym pojedynku szans wielkich nie mieliśmy, tym bardziej że robiło się coraz goręcej. Na miejscu grupy pościgowej w ogóle zaprzestałbym ostrzału, tylko spokojnie czekał aż usmażymy się na słońcu. Ale widocznie mieli inne rozkazy. Barczyk wcale nie przesadzał, twierdząc że jeszcze w korpusie kadetów był mistrzem strzeleckim. Ale może miał po prostu szczęście. Niewykluczone, że zbiegło się jedno i drugie. Kiedy helikopter dokonywał kolejnego zwodu, zmuszając nas do przemieszczania się wokół kamieni, a jego ogon znalazł się najbliżej nas, Barczyk trafił w statecznik. Małe kółeczko poszło w driebieżgi a przechylona na bok maszyna dokonała kilku dziwnych ewolucji i zniknęła za wzgórzem. Oczekiwałem na grzmot wybuchu i kuk ognia, ale nie nastąpiło nic takiego.

– Do samochodu! – zabrzmiała komenda kapitana.

Ruszyliśmy z kopyta, wznosząc za sobą chmurę kurzu. Nadzieja, że wrogowie zginęli, rozwiała się bardzo prędko. Pilot musiał jakoś posadzić maszynę na ziemi, ponieważ bardzo szybko sylwetki kilku, może kilkunastu żołnierzy rozsypały się po grzbiecie wzniesienia. Nasza przewaga koni mechanicznych okazała się iluzoryczna – myśmy podążali krętym traktem, oni pędzili na skrót, górą, zamierzając przeciąć nam drogę.

Szczęściem ogień Barczyka co i rusz przyszpilał ich do gruntu. Wreszcie minęliśmy wzgórze, wyjeżdżając na równiejszą przestrzeń, z boku pozostała skała z flagą i napisem „Wolna

Francja”, a z tyłu strzelająca bezładnie pogoń.

– Minęliśmy granicę! – powiedział, unosząc głowę znad map Paweł. – Jesteśmy bezpieczni.

– Nie byłbym taki pewien – skontrował Janusz – od czasu ostatniej wojny granica jest w zasadzie niewytyczona, a rozbieżności w interpretacji obu stron sięgają stu kilometrów. Póki nie dotrzemy do francuskiego posterunku albo nie napotkamy zbrojnego patrolu Federation Afrique Equatoriale, nie zaznamy spokoju.

– Co mogą nam zrobić na piechotę? – parsknąłem.

– Na razie stracili tylko jedną jednostkę latającą, wezwą następne.

– Myślisz, że zdecydują się na naruszenie obcego terytorium?

– Nic nie myślę, ale wiem, że stać ich na sporo.

Przez następne dwie godziny nie zdarzyło się nic istotnego, poza tym, że pękł nam resor. Posuwaliśmy się korytem wyschniętej rzeki, po terenie nazywanym Depression Mourdi. Nigdzie nie widać było śladu człowieka, a jedynym znakiem, że kiedykolwiek odwiedzał te tereny, był wypalony czołg, a kilometr dalej resztki przewróconej ciężarówki. Wojna z Libią skończyła się dość niedawno; w utajonej formie trwała nadal.

– Patrzcie, fatamorgana! – zawołał nagle Bagiński.

Rzeczywiście na prawo od nas z pustynnego morza wyłaniała się wysepka zieleni, grzywa palmy, jakiś budynek...

– To nie fatamorgana, to Queiba – odezwał się Libańczyk.

– Oaza Queiba? – upewniał się Paweł.

– Qui, monsieur.

Oaza nie przypominała miejsca, pokazywanego na obrazkach przy dziecięcych opowiastkach. Nie było w niej jeziorka z lazurową wodą, a jedynie na wpół zasypana studnia, z palm ostały się dwie, w tym jedna przestrzelona pociskiem. Z zabudowań dawnego posterunku zostały ruiny, a jedyna ocalała chata miała zarwany dach; na szczęście, chwalić Boga, tylko w połowie, i dzięki temu zapewniała minimalne schronienie przed szaleńczym upałem. Po jej mieszkańcach nie pozostał nawet ślad. Nie dziwił też brak trupów, w tych stronach, jeśli nie pogrzebano kogoś natychmiast,

zaraz zajmowały się nimi rozmaite dzikie bestie, nie pozostawiając nawet kosteczki.

Barczyk wyznaczył czujki, po czym, korzystając ze zbawczego cienia, spaliśmy kolejno aż do zmierzchu. Najkrócej wypoczywał sam kapitan, który zaraz po południu zabrał się za uszkodzony resor. Przy okazji wyszło na jaw, że i reszta samochodu jest w fatalnym stanie. Piasek omal nie zniszczył gaźnika, silnik też pracował nierówno. Ale Janusz pozostawał dobrej myśli:

– Jutro do południa naprawię – obiecywał.

– A przez noc nie dasz rady?

– Nie chcę palić światła i ujawnić wrogom miejsca naszego pobytu.

To zdanie bardzo mnie zaniepokoiło.

– Sądysz, że nie zaprzestali pościgu? – dopytywałem się.

– Nie wiem, ale musimy zakładać, że idą za nami. Nie zaryzykują zapewne lotów bojowych, obawiając się wejść w konflikt z Francuzami, którzy bywają drażliwi w kwestii ochrony swojej przestrzeni powietrznej, ale na lądzie nic ich nie powstrzyma.

Zmrok przyszedł nagle i zapadła ciemność, tak jakby ktoś narwany wykręcił korki. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, a może osiągnął już fazę nowiu, w każdym razie kolację zjedliśmy po ciemku. Janusz ustalił kolejne warty. Paweł zgłosił się do pierwszej. Przy okazji zrobiliśmy przegląd rynsztunku. Broni nam nie brakowało, za to nabożów było jak na lekarstwo...

Wyspanym w dzień, nie bardzo chciało się nam spać. Butari raczył więc nas opowieściami o tym, jak będąc nastolatkiem uprawiał miejską partyzantkę antyizraelską na ulicach Bejrutu, licząc na rychłe uderzenie koalicji panarabskiej. I sprzymierzonego z nią Eurosocu.

– Było trudno, bo z Żydami nie da się wygrać! – opowiadał, mówiąc, że z rodziny i grupy przyjaciół przeżył tylko on. – Dziś zastanawiam się, czy opłacało się walczyć? – konkludował. – Kto współpracował z okupantami mógł żyć, i to dobrze.

Koło dziesiątej wartę objął Barczyk. Tyle że nie zadowalał go krótki obchód oazy. Oznajmiwszy: „rozejrzę się” – ruszył

w ciemność.

Zrobiło nam się nieswojo. Wyznam, że wystarczała sama obecność dzielnego kapitana, aby czuć się pewnie, jak z grupowym na obozie pionierów, zwanych u nas „czerwonym harcerstwem”. Ale bez niego...

Naraz ciszę nocną rozdarł krzyk. Właściwie nie wiadomo, czy był to krzyk, czy chichot. Poderwaliśmy się na równe nogi, myśląc o Januszu. Wrzask tymczasem powtórzył się. W kakofonii przeraźliwych dźwięków dało się słyszeć i płacz, i rechot, i skargę potępieńca.

– Co to było? – zapytałem, czując jak włosy jeżą mi się na głowie. A przerażony Bagiński poderwał się ze snu z bronią gotową do strzału.

– Libańczyk wzruszył ramionami.

– Hieny – rzekł z obojętną miną. – Nic strasznego.

– Hieny? Na takim pustkowiu? – zdziwił się Paweł. – Czym się odżywiają?

– Obecnie nie znam ich jadłospisu, ale niedawnymi czasy ściągały tu z całej Sahary.

– Dlaczego?

– To chyba oczywiste. Wojna. Mnóstwo smacznego ludzkiego mięsa.

– Znów rozległ się diabelski chichot. Tym razem trochę bliżej.

– Jak myślisz – zwróciłem się do Libańczyka – co przywabiło je dzisiaj?

– Nie wiem. Może perspektywa kolejnej uczy? – odrzekł Leo Butari.

Przebiegł mnie zimny dreszcz. A w perspektywie tego, co się potem zdarzyło, zdanie zabrzmiało absolutnie proroczo.

\*

Kapitan wrócił gdzieś po pół godzinie, twierdząc, że nie zauważył niczego podejrzanego.

– A hieny?

– Potargalem jedną za uszy! – zażartował. I bezzwłocznie poszedł spać.

Moja warta wypadła o północy, o drugiej miał mnie zluzować Butari. Sprawdziłem broń i wyszedłem z budynku. Na zewnątrz ochłodziło się niesamowicie, ale już wiedziałem, że była to specyfika pustyni i silnego wypromieniowania ciepła przy bezchmurnym niebie. Nad ranem temperatura, zwłaszcza w wyższych partiach płaskowyżu, potrafiła spaść nawet poniżej zera. Noc była bezksiężycowa i okropnie ciemna, smolista jak turecka kawa, nawet gwiazdy, dzięki zawiesinie kurzu w powietrzu, nie świeciły pełnym blaskiem. W taką noc przechodzącego człowieka łatwo wziąć za ducha i dać wiarę najokropniejszym opowieściom o upiorach i wampirach. Może dlatego światełko, które rozbłysło na przełęczy kilka kilometrów od nas, wziąłem w pierwszej chwili za błędny ogień. Ogniki jednak mają to do siebie, że rozbłyskają i gasną, ten płomyk zgasnąć nie chciał.

Zaniepokojony obudziłem Barczyka, który wyszedł z chałupy, uzbrojony w lornetkę.

– Kolacyjki im się zachciało – mruknął po chwili.

– Sądziś, że to może być grupa pościgowa?

– A kto inny? Gdyby wiedzieli, że jesteśmy tak blisko, mogliby nas dorwać w pół godziny. A tak sytuację można odwrócić...

Nie minęła chwila, a obudzony Butari dołączył do kapitana.

– Co chcecie zrobić? – pytałem, widząc jak sposobią się do wymarszu, zabierają ze sobą automaty, pistolety, a także noże komandoskie, twarze pokrywając warstwą pyłu.

– To, co każdy zrobiłby na naszym miejscu. Uprzedzić atak – odparł Janusz. Zdumiewał mnie jego spokój, a zarazem fakt, że pomyślał o wszystkim. – Jeśli nie wrócimy w ciągu dwóch godzin, bierzcie zapas wody, konserwy, suchary i uciekajcie pieszo! Idźcie w dół rzeki, a traficie na jakiś posterunek.

– Jak daleko może być?

– Najwyżej sto kilometrów, trzy dni drogi. Pamiętaj, idźcie nocą, w dzień śpijcie, koniecznie w cieniu. Oczywiście mówię to tylko



na wszelki wypadek, gdyby sprawy przybrały zły obrót. Bo jestem więcej niż pewien, że wrócimy.

Wyruszyli dokładnie wpół do pierwszej. Usiadłem na kamieniu obok studni, ściskając w rękach broń, do której pozostało ledwie kilka nabojów i z której nie bardzo umiałem strzelać. Czekałem, próbując myśleć o czymś przyjemnym. Ale nic takiego nie przychodziło mi do głowy. Ognik zniknął po paru minutach.

Minęło pół godziny. Trzy kwadranse... Nagle noc rozdarła odległa seria strzałów. Potem druga. Krótkie pac, pac, potem dłuższe trrr. Chwila ciszy i znów dwa strzały.

– Co się stało? – Bagiński wysunął w głowę z chałupy.

W paru słowach naświetliłem mu sytuację. Nasłuchiwalismy.

Z oddali nie dolatywał już najcichszy nawet odgłos. Nie odzywały się hieny.

– Wiejemy? – zapytał Paweł.

– Czekamy, do wpół do trzeciej – przypomniałem polecenie kapitana.

– A jak nas wcześniej dopadną? – niepokoił się mój przyjaciel.

– Nie dopadną! Jeśli nawet zabili Janusza i Leo, nadal nie wiedzą, gdzie nas szukać.

Na wszelki wypadek ukryliśmy się za chałupą. Czujni, zwarci i gotowi. Okazało się, że nie trzeba było czekać aż do wpół do trzeciej. Już po trzydziestu minutach moje ucho złowiło czyjeś kroki, lekkie, czujne. Pojedyncze. Tak mogło skradać się jakieś duże zwierzę, albo młody, wysportowany człowiek. Uniosłem broń.

– Nie strzelajcie, to tylko ja! – uprzedził moją akcję Janusz.

Od Barczyka czuć było zapach potu i prochu. Może jeszcze czegoś, czego nie potrafiłem zidentyfikować. Wszedł do chałupy i ciężko opadł na koc. Potem zapalił papierosa.

– Gdzie Leo?

W rozbłysku przy silnym sztachnięciu dostrzegłem, że zwiesił głowę.

– Nie żyje. Nie do końca poszło tak, jak zamierzałem. Dwóch wartowników dość sprawnie załatwiliśmy nożami, ale jeden zdołał

krzyknąć. Obudził pozostałych. No i zaczęła się strzelanina. Butari nie miał szans, dostał w głowę. Ale wyrównałem rachunek z naddatkiem.

– Ilu ich było? – pytał Paweł

– W sumie pięciu.

Zauważyłem, że wyraził się w czasie przeszłym, ale dla pewności zapytałem:

– Ktoś z nich uciekł?

– Nikt.

Zapadła dłuższa chwila znaczącej ciszy, którą od biedy można by uznać za minutę milczenia.

– Czy nie powinniśmy tam pójść i ich pogrzebać? – odezwał się wreszcie Paweł.

Barczyk pokręcił głową.

– Nie wypada robić konkurencji hienom. Zresztą mogą pojawić się następni. Z tego co podsłuchałem, ich drugi oddziałek poszedł głębiej na południe. Nie mają, na szczęście, kontaktu radiowego ze sobą, ale prędzej czy później zorientują się w przebiegu wydarzeń. No panowie, spać, jutro czeka nas ciężki dzień.

Jeśli chodzi o mnie, nie potrzebowałem zachęty.

W nocnej ciszy ponownie rozległ się śpiew hieny. Brzmiał jeszcze bardziej histerycznie, zapewne zwoływała swoje kuzynki na żer.

Dręczyły mnie koszmary, śniły mi się ucieczki, pogonie, przedzieranie się przez zrujnowane miasta pełne trupów, oglądanie wisielców na szubienicach. Widziałem też pracy ulicą tłum,

zdeteminowany, wielotysięczny, milczący. Skąd przybywał, dokąd się udawał? Czy był to obraz przeszłości, czy przyszłości?

Byłem z nim, w nim, a zarazem ponad nim. Moje stopy nie dotykały ziemi. Czyżbym uczestniczył w demonstracji jako duch?

Potem obraz zniknął. A pojawiła się muzyka, Chopin albo jego naśladowca. I usłyszałem głos ciepły, mocny, dziwnie znajomy.

Mówił: „Nie lękajcie się”.

Ocknąłem się, czując mocny ucisk na piersi. Ale nie był to ciąg dalszy snu. Jakiś potężny facet siadł na mnie, inny wykręcał mi rękę. Szamotanina i zduszone okrzyki wypełniały całą chałupkę.

Ja też chciałem wrzasnąć, ale wielka spocona łapa zasłoniła mi usta. Ugryzłem ją. Padła klątwa i coś twardego rąbnęło mnie w głowę. Wróciłem w odmęt snów. Już bez majaków.

XV

Jednodniowi bohaterowie

Kubel zimnej wody, wylany wprost na twarz, jest zapewne najprostszym sposobem przywracania przytomności. Jednak każdy, kto tego doświadczył, wie, że powoduje również chwilową dezorientację.

Pierwszym obiektem, który dostrzegłem po ocuceniu były czarne, bosc nogi, pozbawione jednego wielkiego palca. Musiało się to stać zresztą dość dawno, o czym świadczył brak rany; jeno obłóść nieprzyjemna, aż strach.

– Wstawajcie, grażdanin Wolak – zabrzmiało gdzieś z góry. – Spać będziecie w grobie.

Po przekręceniu głowy w drugą stronę zobaczyłem eleganckie buty – oficerki, przechodzące w cienki tropikalny mundur z czarnymi wyłogami i trupimi główkami, charakterystycznymi dla organizacji SMIERSZ.

– Pomóżcie mu. Hussein!

Murzyn szarpnął mnie, jakbym był workiem z ziemniakami, i ustawił w pozycji pionowej. Równocześnie cała rzeczywistość uległa uporządkowaniu. Znajdowałem się w przestronnym namiocie, wyposażonym w wirujący wentylator, biurko i parę krzeseł. Z fotografii, wiszących na brezentowej ścianie, spoglądały na mnie znajome gęby Susłowa i Andropowa, a pomiędzy nimi pyszniło się godło Euroscou – złota kula ziemiska na czerwonym tle, otoczona rojem złocistych gwiazdek, na dole obowiązkowe kłosa, koła zębate itp. Przesłuchujący mnie Rosjanin był wysoki, jasnowłosa, z krótko przystrzyżonym wąsikiem i nienagannie uczesаныmi włosami, tak że mógłby jak nic grać w filmie rozgrywającym się w Rosji carskiej.

– No i nie udało się, pareń. Chciałaby dusza do raju, a tu raju ni ma. Żeby ułatwić wam i sobie zadanie, powiem od razu, że wasi koledzy już się przyznali.

– Do czego?

– Do ucieczki z obozu krajów miłujących pokój i budujących socjalizm – odparł poważnym tonem. – Do walki z przedstawicielami sił porządkowych Ludowej Republiki Sudanu i zabicia kilku z nich.

– Ja nikogo nie zabiłem! – zawołałem głośno.

– Wystarczy, że współdziałaliście w zabójstwie. Może zresztą posiadacie jakieś ważne wiadomości, na przykład na temat osób, które umożliwiły wam ten przestępczy akt...

– Niczego nie powiem.

Oficer tylko się uśmiechnął.

– Nie musicie. Wszystko wiemy. Naturalnie, gdybyście mieli jakieś ciekawe informacje, na przykład, że kapitan Barczyk od dawna współpracował z Amerykanami, albo że student Bagiński był francuskim szpiegiem, to śmiało...

– Niczego takiego ode mnie nie usłyszycie.

– I szkoda. Skróci to tylko naszą tak miło zapowiadającą się pogawędkę. – Rosjanin wydawał się rozczarowany moją postawą, bo westchnął i rzucił krótko: Hussein!

Murzyn bez słowa wyciągnął wielki pistolet, który przedtem musiał mieć zatknięty za paskiem na plecach. Mimo tropikalnego upału oblało mnie lodowate zimno.

– Ccco cco wy chcecie zrobić?

– Niestety nie stać nas na długotrwały proces, apelacje i odwołania, na froncie odbywa się wszystko krótko. Śmierć zdrajcom i dezenterom.

Poczułem chłód lufy przytkniętej do potylicy. Nagle opanował mnie spokój. Koniec to koniec. Trochę głupio, że tak wcześnie, ale jeśli trzeba...

– Może jednak chcielibyście coś powiedzieć, co by nas zainteresowało? – kusił Rosjanin.

– Dwie rzeczy – mój głos brzmiał zaskakująco spokojnie i pewnie.

- Boże zmiłuj się nad wami i jeszcze Polska nie zgi...
- Zastanowiłem się, czy zdołam zobaczyć jeszcze mój mózg tryskający z przodu głowy. Ale nie zdarzyło się nic takiego. Usłyszałem suchy trzask I... nic. Czyżby broń mordercy w decydującym momencie zawiodła?
- Pardonez moi, monsieur – oprawca ze SMIERSZ-u nieoczekiwanie przeszedł na francuski. – Niestety musieliśmy poddać was tej próbie. Jesteście wolni. Naturalnie dostaniecie zaraz czystą, suchą garderobę.
- Co takiego? – dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że z emocji popuściłem w spodnie. – Gdzie ja jestem?
- W Forcie Mourdi, najbardziej wysuniętej na północny zachód jednostce armii Federacji Afryki Równikowej. Major Alain Houpert, do usług – powiedział, salutując.

\*

Po wyjściu na parzące słońce zorientowałem się, że znajduję się w niewielkim, ale schludnie utrzymanym obozie. Pod białym domkiem pokrytym sajdingiem, zapewne siedzibą komendanta, wisały w skwarze dwie flagi – francuska i federacyjna. Po lewej stronie zobaczyłem kilka wozów bojowych i baterie działek przeciwlotniczych, po lewej rozciągał się ziemny pas startowy, przy którym parkowało kilka maszyn, w tym dwie awionetki i ultranowoczesny samolot zwiadowczy. Cywilizacja, jak się patrzy!

- Nie rozumiem, po co była ta idiotyczna zabawa? – powiedziałem do moich przyjaciół, kiedy umyć i przebrani znaleźliśmy się we trójkę w namiocie przeznaczonym na stołówkę.
- To przecież oczywiste – odparł Paweł. – Test miał sprawdzić, czy nie jesteśmy sowieckimi agentami. Tacy, postawieni przed groźbą śmierci z rąk swoich towarzyszy, nie wahaliby się z odkryciem kart.
- Chyba że wcześniej byliby do takiej sytuacji przygotowani –

wtrącił Barczyk. – Z drugiej strony trudno się dziwić ostrożności Francuzów. Zimna wojna trwa. Mnie maglowali ze dwie godziny, chcąc dowiedzieć się wszystkich szczegółów naszej ucieczki. Wprawdzie w trakcie wojny zdarzały się liczne dezercje, jednak nasze przedsięwzięcie jest, wedle ich zdania, czymś bezprecedensowym.

– Czy nie są bardzo przewrażliwieni na punkcie możliwej infiltracji? – dorzucił Bagiński.

– Wolą dmuchać na zimne. Niedawno omal nie stracili Madagaskaru, gdzie doradcy miejscowych władz, uchodźcy z Eurosocu, okazali się wszechstronnie wyszkolonymi agentami. I to uśpionymi przez paręnaście lat.

– Jak się tu dostaliśmy? Niczego nie pamiętam! – przerwał.

– Kiedy nas ogłuszono, zabrano nas do samochodów, które podjechały wyschniętym korytem – odpowiedział Barczyk.

– Skąd wiesz?

– Symulowałem jedynie omdlenia i coś niecoś słyszałem, chociaż zaraz potem wszyscy trzej dostaliśmy zastrzyk usypiający. Ale już wtedy wiedziałem, że nie są to Rusczy. SMIERSZ nie stosuje takich wyrafinowanych metod.

– Długo byliśmy nieprzytomni?

– Dwa dni.

– Napilibyście się panowie wina? – do namiotu zajrzał major Houpert, już przebrany w prawdziwy mundur i francuskie kepi. – Jeśli nie jesteście zbyt zmęczeni, zaraz po sjeście chcemy was przetransportować do stolicy.

– Jestem wypoczęty za wszystkie czasy – rzekł Paweł.

– To dobrze, bo po przylocie będziecie mieli trochę zajęć.

Rozumiecie, konferencja prasowa, występ w telewizji...

– Nie wiedziałem, że tu, w Czadzie, macie telewizję!? – wykrzyknąłem oszołomiony.

– Wszędzie jest telewizja.

Samolot wystartował punktualnie o trzeciej. W pięcioosobowej awionetce, poza nami i pilotem, znalazł się jeszcze major Houpert, który, jak widać, nie chciał rozstawać się ze swoim trofeum. Jak

się dowiedzieliśmy, Francuzi, zaalarmowani nadzwyczajnym pogotowiem w kontrolowanych przez Sowietów siłach sudańskich, monitorowali naszą ucieczkę co najmniej od doby...

– Jednak – powiedział major, nie kryjąc żalu – przybycie na miejsce zabrało nam sporo czasu, tak że nie zdołaliśmy zapobiec starciu ze ścigającymi was żołnierzami. Kiedy dotarliśmy do ich obozowiska, hieny i sępy zrobiły już swoje.

– A wiadomo, co się stało z drugą grupą pościgową? – zapytał Bagiński.

– Chyba też dotarła na miejsce, ale ich spłoszyliśmy, bo uciekli bez walki.

Houpert odpowiadał chętnie na wszystkie nasze pytania, choć mnie przede wszystkim urzekały widoki. Krajobraz półpustyni szybko ustąpił miejsca bardziej przyjaznemu oku stepowi. Naraz po prawej stronie ujrzeliśmy błękitną taflę wody.

– Morze w środku Sahary! – wykrzyknął Bagiński. – O tym nie słyszałem!

– Dopiero będzie. Na razie udało się skierować znaczną część wód, zalegających od stuleci pod masywem Tibestii do kotliny Kiri. I widzicie pierwszy efekt. Mamy w Republice wielki program zmian hydrologiczno-klimatycznych. Kończy się przekopywanie kanałów, które wody z Nigru i gór Kamerunu skierują do wysychającego jeziora Czad, przywracając jego pierwotną powierzchnię. Intensywne zalesianie ma poprawić klimat i ułatwić zatrzymywanie wilgoci. Od co najmniej dwudziestu lat wykorzystujemy w tym celu wody artezyjskie i nawadnianie podziemne. Wyrwaliśmy już pustyni miliony hektarów i nie zaprzestaniemy, nim do roku 2000 nie zmienimy tej krainy w kwitnący ogród.

– Widzę, że jest pan wielkim patriotą Federacji – powiedziałem.

– Czy to takie dziwne; pozbawiono nas ojczyzny, musimy więc wybudować sobie drugą.

– Dawno był pan we Francji? – zapytał Barczyk.

Przez twarz Houperta przebiegł ledwie dostrzegalny tik.

– Nigdy. Urodziłem się w roku 1933 w Nowej Kaledonii. Byłem

też parę lat w niewoli u Rosjan, stąd znajomość języka.

Minąwszy kotlinę Kiri znów jakiś czas lecieliśmy ponad stepami, przeciętymi równymi liniami dróg, tu i ówdzie widząc małe, zielone osady. Na koniec dostrzeżliśmy rozległą taflę jeziora Czad, którego rekultywacja dopiero się zaczynała. Maszyna wykonała ostry skręt na wschód, lecąc wzdłuż rzeki Szari. W dole step ustąpił miejsca farmom, rozdzielanym kępami lasów.

– Czy panowie wiedzą, że jeszcze parę lat temu ciągnęły się tu paskudne malaryczne mokradła? – emocjonował się major.

Wkrótce dostrzeżliśmy solidny pas startowy sporego lotniska, w dali za nim widać było miasto z wieżą kościoła i... Niech mnie kule biją, w panoramie znajdował się wysoki obiekt, do złudzenia przypominający wieżę Eiffla.

– Z nostalgii nasze władze zafundowały społeczeństwu Ekwatorii trochę mniejszą replikę – powiedział nasz opiekun.

Koła awionetki miękko dotknęły pasa. Maszyna raz jeszcze podskoczyła jak wróbelek, po czym, szybko zwalniając, potoczyła się w kierunku wojskowej części lotniska.

– Witamy w Nowym Dijon! – powiedział pilot.

\*

Federację Afryki Równikowej zwanej popularnie Ekwatorią stworzono z pięciu dawnych kolonii francuskich: Sudanu Zachodniego, określanego dziś Czadem, Kamerunu, Gabonu, Ubangi-Szari i Konga Środkowego oraz byłego Konga Belgijskiego. Ten ogromny obszar zamieszkiwało około czterdzieści pięć milionów ludzi, z czego ponad siedem milionów stanowili Francuzi i inni emigranci z Europy, głównie Belgowie; poza tym uchodźcy ze skomunizowanego Maghrebu, w którym socjalistyczna rewolta nie udała się jedynie w Maroku, gdzie nadal rezydowała silna armia hiszpańska i rodzina królewska na wychodźstwie. Współ z Federacją Afryki Zachodniej, Madagaskarem, a także drobnymi posiadłościami na Pacyfiku i Morzu Karaibskim FAR współtworzyła Wolną Wspólnotę



Francuską, uważającą się za spadkobierczynię III Republiki. W roku 1950 koloniom oficjalnie przyznano niepodległość, wprowadzając system kurialny, który oddawał mieszkańcom mającym obywatelstwo francuskie 60% miejsc w parlamencie i połowę w senacie, skupiającym przede wszystkim dawnych wodzów plemiennych i nazywanym często Radą Szczepów. Oczywiście prasa „naszej” Europy nazywała te działania neokolonializmem, oskarżając miejscowe rządy o dyktaturę, segregację rasową i apartheid, dorównujący niemalże sytuacji na południu Afryki.

Jak było naprawdę – miałem przekonać się już wkrótce. Nouvel Dijon do niedawna nosił nazwę Forty Lam. Niewielka osada otrzymała taką nazwę 29 maja 1900 roku, na cześć francuskiego oficera Amadeusza Franciszka Lamy, zabitego w potyczce z tubylcami parę dni wcześniej. Obecnie ta blisko ćwierćmilionowa metropolia należała do grupy najszybciej rozwijających się miast Afryki. Choć podobno trudno było jej równać się z Leopoldville czy Lagos.

Nasza konferencja prasowa odbyła się w hotelu Marianna, położonym przy placu Wolnej Francji, rozpostartym między katedrą a ulicą de Strasbourg, przy której wznosił się pałac prezydenta republiki, a zarazem członka kolektywnego kierownictwa federacji. Z drugiej strony biegła wysadzana palmami aleja admirała Franciszka Darlana – małe Pola Elizejskie.

Już w foyer powitał nas blask fleszy i las wyciągniętych mikrofonów. Salon, w którym urządzono spotkanie, był urządzone elegancko i był chłodny jak wnętrze lodówki. Dopiero wówczas dowiedziałem się o istnieniu burżujskiego wynalazku o nazwie air condition. Rozmowa toczyła się po francusku, choć obok telewizji federacji pojawiła się również telewizja amerykańska. Przez wszystkich zostaliśmy uznani za bohaterów, co nie znaczy, że wśród zadawanych pytań nie było trudnych czy wręcz bezceremonialnych. Porównując mój udział w telewywiadach Soni Sztajn, nie mogłem nie zauważyć przepaści dzielącej oba

światy – u nas coś takiego było wręcz niewyobrażalne. Pytano nas więc o powody ucieczki, stosunek do komunistycznego reżimu, sytuację rodzinną. Tu podkreślaliśmy zgodnie, że najbliżsi nic nie wiedzieli o naszych planach i zapewne byliby im gorąco przeciwni. W pewnym momencie piękna jak sen dziennikareczka z BBC zapytała mnie o przynależność do KPP.

Nie miałem zamiaru kłamać.

– Owszem, należałem, ale ten etap w moim życiu uważam za zamknięty.

Kątem oka dostrzegłem dezaprobatę na twarzy Bagińskiego, który zapytany o to samo, wyrecytował, kłamiąc bez zająknięcia:

– Nigdy nie chciałem mieć nic wspólnego z tą bandą.

Największy podziw wywoływał Barczyk, nawrócony janczar systemu, choć pytany o szczegóły walki z goniącymi nas prześladowcami, wymigał się od, jak twierdził, drastycznych szczegółów starcia, podkreślając jedynie bohaterstwo poległego Libańczyka Leo Butariego. Godzinę później było po wszystkim.

Bocznymi drzwiami wymknęliśmy się z hotelu. Houpert sugerował prywatną kolacyjkę w taniej restauracji rybnej przy malowniczej uliczce na skraju dawnego Pola Marsowego.

Podobno jeszcze do niedawna Fort Lamy był wielką wsią, złożoną z parterowych domków i niebrukowanych ulic, przepojonych senną i duszną atmosferą zapadłej prowincji. Wojny z Algierią, a następnymi z Libią, budowa wielkiej bazy amerykańskiej, obecność masy wojsk; uczyniły z tego zadupia centrum dowodzenia i bezpośrednio zaplecze frontu, a kiedy wróg został odparty, metropolię i wizytówkę nowej Afryki.

Oszłomienie – tym słowem najłatwiej określić mój stan ducha.

Wąska przecznica Alei Darlana, mimo późnej pory, kipiała życiem. Ciągle były otwarte sklepy, pełne wszelakich towarów, mięs, kiełbas i szynki, które uważałem za gatunki wymarłe w XIX wieku. Nie brakowało dywanów starej broni, masek i ozdób ze złota, a równocześnie sprzętu elektronicznego w nieprawdopodobnym wyborze, strojów dla wszystkich płci

i generacji. Co i rusz z niewielkich lokalików i podwórek na trotuar wylewały się kawiarenki i knajpki. A wszędzie było mnóstwo ludzi białych, czarnych i popielatych, wesołych, rozgadanych, niekiedy nawet tańczących, dowcipkujących wśród równie rozbawionych kelnerów jakże różnych od naszych funkcjonariuszy uspołecznionej gastronomii Trwała atmosfera nieustannego karnawału, tak jakby mieszkańcy tego odległego miejsca w sercu Afryki nie mieli żadnych zmartwień i problemów. Jak w takim razie musiało wyglądać Rio de Janeiro?! Z lokali dochodziły dźwięki muzyki, tak francuskiej, jak amerykańskiej, a także lokalnej, zewsząd wabiły ruchome neony, reklamujące striptease i kabaret, a dwie czekoladowe piękności otarły się o nas, mówiąc w miejscowym dialekcie coś, czego nie zrozumieliśmy.

– Tylko 50 franków – przetłumaczył major.

– Pięćdziesiąt franków za co? – dopytywał się Paweł.

– Za całą noc, pokój i butelkę dobrego wina – padło wyjaśnienie.

– To ja idę! – wykrzyknął Bagiński.

– A ma pan dość gotówki na takie rozrywki? – zapytał Houpert.

Dotąd problem pieniędzy nie pojawiał się w naszych rozmowach.

– Owszem, ciągle miałem ze sobą samorodek otrzymany od Ojca i sto dolarów wziętych z jego ziemianki. U nas był to majątek, ale tu, jak się dowiedziałem, z biedą starczyłoby jednej osobie na tydzień. W dodatku nikt z nas nie pomyślał, aby zażądać pieniędzy za wywiady. Nasza wiara, że zajmą się nami władze FAR-u, okazała się iluzoryczna.

– Jesteście wolnymi ludźmi, możecie udać się gdzie tylko chcecie, ale nie myślcie, że ktokolwiek będzie sobie wami zaprzętał głowę

– tłumaczył major. – Dziś jesteście bohaterami dnia, jutro nikt nie będzie o was pamiętał. Chyba że – popatrzył się na Barczyka – zechcecie się zaciągnąć do wojska.

– Rozważę tę propozycję – odparł Janusz.

Był to w sumie bardzo miły wieczór, poza końcówką. W trakcie najlepszej zabawy, kiedy raczyłem majora średnio składnie przekładanymi na francuski kawałami o Ruskach, Niemcach i Żydach w jednym samolocie, pojawił się kelner i podał

Houpertowi jakąś karteczkę. Ten zerwał się natychmiast, przeprosił nas, mówiąc, że mimo późnej pory czekają na niego jeszcze zawodowe obowiązki i podszedł do kantorku, by zapłacić. Dopiero po pewnym czasie okazało się, że zapłacił wyłącznie za siebie, pozostawiając nas z resztą nieuregulowanego rachunku. Nasz wąty kapitał natychmiast stopniał o połowę, a przecież trzeba było gdzieś spędzić noc. O hotelu Marianna nie mieliśmy nawet co marzyć.

Rozwiązanie przyniosły negocjacje Barczyka z apatyczną mulatką, która już nagabywała nas wcześniej. Za 50 franków (10 dolarów) zgodziła się udostępnić nam pokój na jedną noc, bez żadnych dodatkowych świadczeń i napojów.

Pokój okazał się ciasną norą, w której panowały gorąc i duchota, jak nie przymierzając, w kiszce stolcowej u Murzyna. Zapach też był nieciekawym. Lokal, położony w ruderach nad rzeką, prawie w całości wypełniało łoże, wprawdzie jak na warsztat pracy dość duże, jednak dla czwórki dorosłych ludzi cokolwiek przymałe. Obok było jeszcze małe łóżeczko, w którym spał jakiś bachor, budzący się z wrzaskiem regularnie co godzinę. W dodatku Alma (bo tak było na imię kobiecie), nie pojmując o co właściwie nam chodzi, całą noc ponawiała swoje oferty, głaszcząc się po zgrabnym ciele i na koniec ofiarując swoje usługi kompletnie gratis. Nad ranem dał się wreszcie skusić Janusz. I przez godzinę obrabiał ją, niczym dobry kanonier działą. I jak w tych warunkach miałem zmrużyć oczy?

Rankiem, kiedy urok okolicy i rzędy slumsów poznaliśmy w pełnej krasie, mogliśmy się tylko cieszyć, że żyjemy. Przez cały dzień szwendaliśmy się po mieście, wypatrując pomocy. Niestety, lokalne władze nie były zainteresowane, a jeśli przebywali tu jacyś Polacy – nie udało nam się na nich natrafić. Biuro Czerwonego Krzyża było zamknięte z powodu urlopu pracowników. W przedstawicielstwie Ligi Narodów potraktowano nas opryskliwie, wpisując na koniec kolejki interesantów. Houpert przepadł jak kamień w wodę. Podobnie telewizyjni dziennikarze, dla których przestaliśmy być newsem. Zastąpił nas hipopotam

zabójca, który na jeziorze Czad właśnie przewrócił łódkę z turystami.

Dopiero późnym popołudniem trafiliśmy na placówkę księży werbistów, w której jakiś Słowak ulitował się nad nami i zaproponował nocleg w namiocie. Pytany o polskich duchownych stwierdził, że jest ich całkiem sporo, ale wszyscy pracują w interiorze. Z jego wypowiedzi wynikało, że za pobratymcami nie przepada, a kiedy wspomnieliśmy Jana Pawłowicza – wybuchnął.

– Hochsztapler, antychryst! – wołał, wymachując rękami, które wraz z sutanną przypominały skrzydła drapieżnego ptaka.

Kiedy pytaliśmy o konkrety, nie przytaczał wielu szczegółów. Jednak pojąłem, że jako tradycjonalista bał się wizji katolicyzmu, proponowanej przez naszego rodaka.

– Kościół to hierarchia, posłuszeństwo, tradycja apostołska! – twierdził. – Nie nowinki, radiowo-telewizyjny show i traktowanie świeckich na równi z duchownymi. A zwłaszcza wymądrzanie się domorosłego kaznodziei bez święceń.

– Uważa pan Jana Pawłowicza za heretyka? – zapytałem wprost. – Przecież jego przesłanie nawiązuje do wartości pierwszych chrześcijan. Nakazuje kontynuowanie podstawowych cnót, chronienie rodziny, posłuszeństwo przykazaniom.

– W którym imieniu? Jakim prawem uważa siebie za nowego Mesjasza?

– Powiedział tak kiedyś o sobie?

– Expressis verbis nie. Gra wcieloną skromność. Ale ilu otumanionych ludzi tak myśli? „Przybył Mesjasz, poprowadzi nas do Ziemi Obiecanej, rozstrzygnie sam zwycięsko walkę z szatanem, a w roku 2000, najpóźniej 2012, przygotuje Koniec Świata!”.

– A kiedy wielbny ksiądz opuścił ojczyznę? – do dialogu wmieszał się Paweł.

– W 1922, jako pięcioletnie dziecko.

– Czy może zatem ksiądz wyobrazić sobie, jakie trudności pokonuje Kościół i wierni kontynuujący swoje praktyki

w podziemiu? I jakich metod musi się chwytać, żeby przetrwać?  
– Wiem doskonale. I nie trzeba mnie o tym pouczać! – mnich spurpurowiał.

Na szczęście rozmowę uspokoił Barczyk, pytając, jakimi możliwościami dysponuje zakon w zakresie pomocy uciekinierom, takim jak my.

– W ramach Afryki sporymi, mamy liczne misje i zawsze potrzebujemy pomocniczego personelu. Ostatnio straciliśmy dużo ludzi podczas rebelii separatystów w Katandze. Ale nie sadzę, żeby interesowała panów praca wśród trędowatych w południowym Kongo.

– Najbardziej chcielibyśmy dostać się do Ameryki. Werbista pokiwał głową.

– To niestety przekracza nasze możliwości. Szczególnie finansowe. Chyba że mają panowie własne zasoby?

– Nie mamy.

– Ale może znacie kogoś, kto mógłby za was założyć? My, powiedzmy, dostarczylibyśmy panów do Nowej Marsylii, dawnej Douali w Kamerunie, a stamtąd już odchodzą regularne liniowce przez Atlantyk.

Zaczęliśmy się zastanawiać.

– Gdybym mógł zadzwonić do mojej amerykańskiej rodziny... – powiedziałem po dłuższym namyśle.

– Byle krótko.

Największym zaskoczeniem było to, że wystarczy podnieść słuchawkę i wybrać numer. U nas na połączenie z drugim miastem czekało się kilka godzin, z innym państwem Eurosocu parę dni.

A rozmowy z krajami wrogimi były możliwe tylko w wyjątkowych wypadkach, ze specjalnych rozmównic Komisariatu Łączności i Telekomunikacji.

Nowojorski numer wbiłem sobie w pamięć na długo przed ucieczką. I teraz trzeba było tylko poprzedzić go rozmaitymi prefiksami.

Zaraz ktoś podniósł słuchawkę i usłyszałem przyjazne Hello tak dobrze, jakby rozmówca znajdował się w sąsiednim pokoju. Nie

wiedząc, z kim rozmawiam, zacząłem po angielsku:

– I'd like to speak to mister Stefan...

– Sorry – w głosie rozmówcy, jak sędzę młodego mężczyzny, słyhać było żal – Stefan was de ad last April. Can I help you?

– My name is Marcin Wolak...

– Marcin? – zabrzmiało z drugiej strony. – Syn wujka Jurka? To dlaczego, do ciężkiej cholery, nie mówisz po polsku? To ja, Kazik junior.

Wiedziałem z opowieści rodzinnych, że mój stryj miał dwóch synów Stanisława i Kazimierza. Najwyraźniej rozmawiałem ze starszym z nich. Zastanawiał mnie tylko jego wyjątkowo młody głos.

– Skąd dzwonicz?

– Z Nowego Dijon. To w Afryce, w Czadzie.

– Znam geografię! Ale... – na moment go przytknęło – to znaczy, że dałeś nogę? Wykołowałeś czerwonych?

– Można tak to nazwać?

– Kurczę blade, ale się Babcia ucieszy!

Zdumiewał mnie ten ton u bądź co bądź czterdziestoletniego mężczyzny.

– Jeśli znam się na rodzinnej genealogii to jesteśmy stryjecznymi braćmi...?

– Jakimi braćmi? Powinieneś zawołać raczej: „mów mi wuju”.

Powiedziałem przecież, że jestem Kazik junior...

– Czyli ile masz lat?

– Dziewiętnaście. Wujek Marcin! Cholerka, ale ubaw!

Uświadomiłem sobie, że rozmowa z nastolatkiem, choć miła, nie prowadzi do konkretów.

– Mógłbym rozmawiać z twoim ojcem? – zapytałem.

– Nie, w tej chwili, jest w robocie, nie wiem, czy wiesz, ale dorobiliśmy się sklepu na Manhattanie. Podać ci jego numer? Albo nie. Powiedz, gdzie jesteś, sami oddzwonimy.

Przedyskutowałem numer telefonu do werbistów. I rozłączyłem się, ku wielkiej uldze mnicha Słowaka, który, jestem o tym przekonany, mimo przebierania paciorków różańca, cały czas

musiał przeliczać zużywane impulsy na franki lub dolary.

## XVI

### American dream

Dwudziestego września 1968 roku pasażerski transatlantyk „Moliere” opuścił kameruński port w Duali, zwanej obecnie Nową Marsylią, kierując się do Rio de Janeiro. Na pokładzie, obok liczącej czterysta pięćdziesiąt osób załogi, znajdowało się około tysiąca pasażerów, a wśród nich ja i Paweł Bagiński. Po opuszczeniu misji werbistów, po trzech dniach jazdy koleją, dotarliśmy nad Zatokę Gwinejską. Tu pożegnaliśmy się z Barczykiem. Kapitanowi nieśpieszno było do USA, zamierzał wykorzystać zaproszenie zakonników i rozejrzeć się po Afryce, zaczynając od wizyty w Katandze.

– To przecież okropnie niebezpieczne – zawołał Paweł.

– Po tym, co przeżyliśmy na Saharze, każde niebezpieczeństwo to kaszka z mlekiem – odparł Janusz. – Zresztą nie chcą mnie tam.

Mówił prawdę. Choć był jednodniowym bohaterem mediów, jako były oficer Ludowej Armii Polskiej, nie otrzymał wizy amerykańskiej. Z konsulatu w Nowym Dijon przyszła odmowa,

choć równocześnie pojawiła się pewna szansa. Wizę można sobie było „wysłużyć”, wstępując ochotniczo do Legii

Afrykańskiej i walcząc co najmniej przez rok z „czerwoną zarazą”,

pojawiającą się na kształt wysepek w różnych

nieprzewidywalnych miejscach kontynentu. Zaraza, pokonana

w Angoli, odradzała się w Kongo lub w Kenii, szermując hasłami antyimperialistycznymi i narodowowyzwoleńczymi. Dopiero po

przybyciu do USA dowiedziałem się, że niewiele brakowało, żeby również przede mną zatrzasnęły się drzwi Biura Imigracyjnego.

– Na szczęście, zawczasu przewidując problemy, zwróciłem się o pomoc do mojego brata – wyznał mi Kazimierz, kiedy wreszcie spotkaliśmy się w Nowym Jorku. – Wprawdzie nie jesteśmy



ostatnio ze Stasiem zbyt blisko, ale trzeba przyznać, w twojej sprawie bardzo nam pomógł. Bez jego poparcia miałbyś słabe szanse pokonania szanów Immigration Office.

– Niby dlaczego?

– W wypełnionym kwestionariuszu podałeś swoją przynależność do partii komunistycznej.

– Moją była przynależność! Dziś nie chcę mieć nic z tym wspólnego.

– Niestety, nasze przepisy są bardzo restrykcyjne pod tym względem. Nawet rodzina Bucharina musiała czekać rok w Indiach, zanim dostała zgodę na przyjazd do Stanów.

– A ja nie miałem żadnych trudności – wtrącił przez ramię Bagiński, który przybył razem ze mną, dzięki temu że namówiłem mojego stryjecznego brata, żeby zapłacił również za jego kosztą podróży.

– A co napisał pan o swojej przynależności partyjnej w kwestionariuszu wizowym?

– Że nie należałem. Oczywiście skłamałem.

Mój stryjeczny brat tylko pokiwał głową.

– To tylko pogratulować, że się panu udało. Amerykanie to dziwny naród, wierzą w prawdomówność ludzi. Oczywiście, kiedy się sparzą, potrafią być bardzo nieprzyjemni. Ale, być może, w pana przypadku prawda nigdy nie wyjdzie na jaw.

Byłem niezwykle ciekaw, jakie reperkusje wywołała nasza ucieczka w Eurosocu?

Niestety, komunistyczne władze obrały taktykę kompletnego przemilczenia. Żadna z gazet, co później starannie sprawdzałem, nie zająknęła się nawet na temat zniknięcia trzech Polaków z archeologicznej ekspedycji na wyspę File. Zadbano za to o utrudnienie naszych kontaktów rodzinnych. Pozbawione politycznej treści pocztówki, które wysłaliśmy z Nowego Dijon dotarły do adresatów z paromiesięcznym opóźnieniem.

\*

Ani podróż, ze względów finansowych zdecydowaliśmy się na kabiny wewnętrzne trzeciej klasy i marną stołówkę z dala pokładów widokowych, ani dwudniowy postój w Rio, wykorzystany na odwiedzenie Głowy Cukru i plaży Copacabana, ani całonocny lot do Nowego Jorku z postojem w Hawanie nie mają większego znaczenia dla niniejszej opowieści, toteż pozwalałam sobie je pominąć. Zresztą, o czym tu pisać, o zauroczeniu Pawła młodą ciemnoskórą krupierką od Black Jacka czy moich długi dyskusjach z powracającym z podróży do Afryki Polakiem, zgorzkniałym facetem, którego ambicje literackie nie przekładały się na sukcesy.

– W innej sytuacji mógłbym być Proustem albo Joycem, a tak – całe życie na emigracji, trzy wydane tomy opowiadań i nikt o mnie nie słyszał...

Zapisałem jego nazwisko – Witold Gombrowicz, ale wyznam, nic mi ono nie mówiło.

Najistotniejsze, że w słoneczny wrześnieowy poranek wylądowałem wreszcie na Lotnisku Randolfa Hearsta na północ od dzielnicy Queens. Czekala mnie cała delegacja powitalna w składzie: wdowa po stryju Stefanie Helena, mimo zaawansowanego wieku, nadal tryskająca energią, choć przy powitaniu nie obyło się bez łez, i obaj Kazimierze – senior i junior. Ponadto w domu na Greenpoincie oczekiwały jeszcze żona seniora Zuzka i trzy jej córki: Hania, Mania i Frania. Brakowało za to przedstawicieli młodszej linii, a zwłaszcza mojego stryjecznego brata Stanisława.

Z pewnym zakłopotaniem Kazimierz senior wytłumaczył mi, że z pozostałą częścią rodziny zobaczę się przy innej okazji. Jego młodszy brat mieszkał pod Waszyngtonem, a ich wzajemne stosunki były dość napięte.

– Przecież pomógł w uzyskaniu wizy dla mnie?

– Cóż, trudno było mu odmówić, ale na dalsze objawy serdeczności z jego strony za bardzo bym nie liczył.

Nie bardzo chciałem pytać wprost o przyczyny rodzinnych animozji. Wiedziałem tylko, że Stanisław odniósł życiowy sukces,

pracował w Pentagonie i w wieku 38 lat był jednym z najmłodszych amerykańskich generałów. Nie znałem tylko ceny, jaką za to zapłacił.

Tymczasem trzeba było pożegnać się z Pawłem, po którego przyjechała jakaś starszawa kuzynka o twarzy ptaka rozjechanego przez autobus. Wymieniliśmy adresy i telefony, obiecując skontaktować się za parę dni. Kuzynka mojego kumpla mieszkała w Bostonie i zabrała go tam bezzwłocznie.

W trakcie drogi przez Queens otrzymałem podstawowe informacje na temat mojej amerykańskiej rodziny. Stryj Stefan służył w wojsku aż do roku 1946. Potem przeszedł na emeryturę, a za uzyskaną odprawę kupił sklep na Greenpoincie, który przejął jego syn. Oczywiście Kazimierz uważał się za kogoś więcej niż sklepikarza. Jego pasja do fotografowania owocowała licznymi zdjęciami sprzedawanymi prasie, wydał także album dokumentujący życie nowojorskiej Polonii. Otwarcie przed rokiem nowego sklepu z akcesoriami fotograficznymi na dolnym Manhattanie uważał za sukces swojego życia.

– Pracujemy dużo, ale żyje nam się wcale nieźle – podkreślał, prowadząc wysłużonego forda.

Kazio junior, siedzący bezpośrednio za mną, bez przerwy zagadywał mnie przez ramię o przygody w Afryce, żałując, że nie mógł być tam ze mną. Okazało się, że jego pasją jest filmowanie, a największym marzeniem – wstąpienie na wydział operatorski nowojorskiej szkoły filmowej.

Na Greenpoincie poczułem się jak w Warszawie, no może raczej jak w Otwocku. Przeważały niskie, bezstylowe domy, za to na większości witryn i szyldów przeczytać można było polskie napisy. Również ruchliwa ulica rozbrzmiewała rdzenną polszczyzną.

„Oaza, skansen czy getto?” – zastanawiałem się, wchodząc do jednopiętrowego domku na zapleczu głównej ulicy.

To, że żona Kazimierza mówiła po polsku nie było niczym dziwnym. Ale że trzy nastoletnie dziewczynki bezbłędnie posługiwały się językiem Mickiewicza (co nie umniejszało

bynajmniej doskonałej znajomości angielskiego czy coraz bardziej popularnego hiszpańskiego) – budziło podziw.

– Mieliliśmy pod tym względem kryzys przed paru laty – tłumaczył mi Kazik. – Przyznawanie się do polskości wydawało się kłopotliwe, utrudniało drogę do awansu, w dodatku od środowisk polonijnych odstraszały te bezustanne kłótnie emigracyjnych ugrupowań... Poza tym, po 1945 roku coś w ludziach pękło i nawet tacy gorący patrioci, jak mój staruszek, całe życie siedzący na walizkach i przepełnieni świętą wiarą w powrót do oswobodzonej od komunistów ojczyzny, musiało się pogodzić z rzeczywistością. Zaczęto odchodzić od tradycji. Zamiast Wszystkich Świętych obchodzono Halloween, zamiast rocznicy Konstytucji 3 Maja, Dzień Dziękczynienia. I tak dalej.

– A brat Staś?

– Od dwudziestu lat nazywa się Stanley. Stanley Willer – wyczułem gorycz w jego głosie.

– Zmienił nazwisko?

– Wszystko zmienił. Otoczenie, żonę. Twierdzi, że tylko w ten sposób mógł zrobić karierę. I zrobił. A w dodatku przy każdej okazji natrząsał się ze mnie, z nas, z naszego kapuśniaku, polskiego klubu, kościoła, szkoły sobotniej. Najgorsze, że długi czas myślałem, że ma rację.

– Myślałeś? – przerwałem zaskoczony użytym czasem przeszłym. Do rozmowy wtrąciła się Zuzanna. Ciągle jeszcze piękna kobieta, o wspaniałej figurze, pomimo czwórki urodzonych dzieci:

– Nie masz pojęcia, jak zmieniło tę tendencję pojawienie się Jana Pawłowicza. Jego radia, od niedawna telewizji. Słuchamy go, a jego słowa prostują nam karki. Mamy coś, czego wielu Amerykanów, zajętych gonieniem za pieniędzmi nam zazdrości.

– Co konkretnie?

– Wiare, nadzieję i miłość – odrzekła bardzo poważnie.

Zaraz po powitaniu – jakie to przyjemne uczucie: całować śliczne dorastające dziewczynki, które z całą ufnością rzucają ci się w ramiona, wołając „kochany wujaszku!” – zasiedliśmy do stołu. Nestorka rodu zmówiła krótką modlitwę. Na moje przywitanie

podano pyszne amerykańskie steki, frytki, ale także kiszzone ogórki. Smakujące jak nasze z Podlasia.

Dawno nie było mi tak dobrze. Posadzony na honorowym miejscu, czułem po raz pierwszy, że mam coś, czego całymi latami zazdrościłem kolegom. Normalną rodzinę, wielopokoleniową, kochającą się, szczęśliwą. Kiedy po posiłku Zuzanna siadła przy fortepianie, a dziewczynki uraczyły mnie koncertem polskich piosenek, łzy napłynęły mi do oczu.

Ale nie wszystko wyglądało aż tak różowo.

Przed wieczorem odwiedził nas policjant. Nazywał się Kovalsky, ale warczał trudno zrozumiałym brooklińskim żargonem, spisał moje dokumenty, nakazując meldować w wypadku gdybym chciał opuścić miasto. Moje zdumienie nie miało granic.

– Dlaczego traktuje mnie jak przestępcę? – zapytałem po jego wyjściu.

– Jesteś przybyszem z komunistycznego kraju. Chyba wiesz, że od czasów Hearsta jesteśmy państwem policyjnym, w którym obywatele poddani są inwigilacji. Kwitnie donosicielstwo, podsłuchy są na porządku dziennym.

– Jak u nas!

– Ale u was panuje komunizm, a u nas jest podobno demokracja. Zabrzmiało to smutno, ale w najmniejszym stopniu nie ograniczyło mojego entuzjazmu. Następne dni przeżywałem jak w transie. Zwiedzałem Nowy Jork, zachwyciłem się Statuą Wolności, oglądałem miasto u stóp ze szczytu Empire State Building, grzałem w jesiennym słońcu na ławce w Central Parku i pożerałem kolejne spektakle na Broadwayu. Oczywiście, siedząc na jaskółce lub w miejscach stojących. Kazik wmusił we mnie „kieszonkowe”, ale na dalsze koszty nie chciałem go naciągać. Chciałem jak najszybciej wznowić studia. I pisać, pisać bez cenzury, bez idiotycznych skrępowań, owego wędzidla o smaku czekoladowego knebla, które musiał czuć w zębach każdy, nawet najbardziej hołubiony twórca w Polskiej Republice Socjalistycznej.

„Po latach chudych bredni,  
gdym mrówką był mozolną,  
smakuję chleb powszedni –  
zwyczajne słowo wolność.  
Nie myślę o aplauzie,  
że tłum mi łomot braw da  
dzisiaj spełnieniem marzeń  
jest prosta naga prawda...”

– Ładne, nawet bardzo ładne – powiedział redaktor „Parnasu”,  
najlepszego polskiego pisma literackiego wydawanego  
w Ameryce, do którego poszedłem z całym skoroszytem wierszy,  
impresji z podróży, nowelek. – Warte publikacji, ale nie będziemy  
się śpieszyć... Zebrało się ostatnio sporo utalentowanych poetów  
oczekujących na druk. Arkusze poetyckie mamy zaplanowane na  
cały następny rok.

– Zależałoby mi na literackim zaistnieniu, kiedy w końcu udało mi  
się dostać do Ameryki.

– Zaistnieniu? – redaktor zdjął okulary i bawił się nimi niczym  
prestidigitator piłeczkami. – To nawet niegłupie, panie kolego.  
Moglibyśmy przeprowadzić wywiad z panem. Zadzwonimy do  
pana.

Zadzwonili już po tygodniu. Umówiła się ze mną w pobliżu Time  
Square chuda, piegowata redaktorka „Parnasu” Marysia.

Już pierwsze zdanie zmroziło mnie do cna.

– Co wywołało pańską fascynację Feliksem Dzierżyńskim?

Przez godzinę usiłowałem opowiadać jej, czym jest życie  
w komunie, jak wygląda odcięcie od informacji z wolnego świata,  
tłumaczyć nacisk indoktrynacji i trudności dnia codziennego.

Daremnie, ona widziała swoje, polskiego Majakowskiego, który  
nie miał dość przyzwoitości, żeby popełnić samobójstwo. Czy  
może dziwić, że przerwałem wywiad i odmówiłem autoryzacji...

Jeszcze gorzej było ze studiami. Z moją skazą w życiorysie nie  
miałem szans na stypendium, a kontynuacja studiów na przykład  
na Columbia University za pieniądze...? Suma, której

potrzebowałem, była przerażająca. Mając czwórkę dorastających dzieci, moja rodzina z pewnością nie mogłaby sobie na to pozwolić. Zresztą nigdy bym Kazia o coś takiego nie poprosił. Poza tym mój angielski był więcej niż żałosny.

Dobił mnie telefon od Pawła otrzymany z początkiem października. Mój przyjaciel zameldował mi z Bostonu, że właśnie jest po rozmowach kwalifikacyjnych, przyznano mu pełne stypendium (socjalne i naukowe) i właśnie podejmuje studia na Uniwersytecie Harvarda.

– A co u ciebie? – zapytał.

– Na razie się rozglądam – odparłem – mam mnóstwo opcji do wyboru.

Faktycznie, rozglądałem się. Ale co można było wypatrzyć przez wąskie okno sklepiku na bocznej uliczce w zdecydowanie najbiedniejszej części Manhattanu, gdzie „z braku laku” podjąłem pracę w rodzinnej firmie w charakterze pomocnika ekspedienta?

\*

American dream – słynne amerykańskie marzenie, zwrot, którego jako pierwszy użył prezydent Hearst, ale, jak się twierdzi, ukradł go zapomnianemu dziś pisarzowi i historyki Jamesowi Truslowowi, w moim wydaniu okazało się jedynie krótkotrwałym marzeniem sennym, po którym zapadłem w dłuższy okres bezsenności. Była to chyba najpaskudniejsza zima mojego życia. Ponawiane próby poetyckie trafiały w próżnię, nowelki wysyłane nawet do wydawanego w brazylijskiej Kurytybie czasopisma „Wygnaniec”, redagowanego przez poznanego na transatlantyku ekscentryka Witolda Gombrowicza, wracały z dopiskiem „dziękujemy, nie skorzystamy”. Przed innymi próbami zatrudnienia powstrzymywała mnie cholerna bariera językowa, toteż gdybym potrafił znaleźć sobie jakieś pied-à-terre przeniósłbym się najchętniej do francuskojęzycznego Quebecu. Angielski, zwłaszcza w swej odmianie amerykańskiej, po prostu nie wchodził mi do łba i po paru miesiącach nadal miałem

trudności ze zrozumieniem najprostszego zdania, rzuconego do mnie w metrze przez Murzyna. Pytanie o następną stację brzmiało w moim uchu identycznie, jak: „oddaj zegarek!”.

Z tego powodu moja kariera w sklepie na Manhattanie trwała jedynie tydzień. Nie mogąc porozumieć się z klientami, byłem nieprzydatny nawet w charakterze pomocnika. Przeniesiono mnie więc do starego sklepiku na Greenpoincie, gdzie 95% klientów było Polakami, choć moje wrodzone cechy, dwie lewe ręce i gadatliwość, nie ułatwiały mi pracy. Zwłaszcza jeśli w trakcie zakupów klient żądał równocześnie kanapki z jajecznicą i kawy. Ile razy zdarzało mi się wsadzić kielbasę do kubka zamiast do bułki, posolić zamiast pocukrzyć, że o zbitych naczyniach i zalanych gazetach nie wspomnę. W dodatku ufność wobec ludzi, połączona ze słabymi talentami matematycznymi sprawiały, że prawie każdy dzień kończyłem mankiem w kasie.

Jak moja rodzina znosiła to wszystko?

Powiem szczerze, coraz gorzej. Owszem, było cudownie podczas świąt Bożego Narodzenia – wspaniała wieczerza wigilijna, wspólne śpiewanie kolęd, pasterka (od Świętego Mikołaja dostałem między innymi płyty do nauki angielskiego), ale po Nowym Roku z dnia na dzień czułem się gorzej. Nie łudziłem się. Moi najbliżsi, niezmiennie mili wobec mnie, za plecami narzekali na krewniaka nieudacznika.

Próba pomocy w ciemni fotograficznej skończyła się zniszczeniem paru taśm i poparzeniem rąk odczynnikami, co na parę tygodni wyłączyło mnie z jakiejkolwiek pracy.

Bywało, że leżąc podczas bezsennej nocy, wyobrażałem sobie, że moja ucieczka nie miała miejsca. Że przebywam nadal w moim pokoiku na Marysinie, „Listy literackie” drukują kolejne partie moich erotyków, u mojego boku śpi Julia, a na biurku leży gotowa dysertacja dla Piazzolego, po przyjęciu której złożę egzamin końcowy i zostanę kandydatem nauk. Że nadal spotykam się z Michałem i Witkiem i oglądam kolejne przygody z kapitanem Crossem. Mam też swoje małe radości – cieszę się, że na Nowy Rok pojawiły się w sklepach pomarańcze, a nawet ananasy



w puszkach.

I coś ty zrobił najlepszego człowieka?

Przysły wreszcie wiadomości z Polski – Mamie moja ucieczka specjalnie nie zaszkodziła, Martow nie dopuścił, żeby ktokolwiek ją skrzywdził. Umarła natomiast Anastazja. Być może wraz z moim wyjazdem straciła jedną z głównych motywacji do życia. O profesorze Piazzolim było cicho. Paweł, który śledził prasę naukową, stwierdził, że jego nazwisko znikło ze stopki „Kwartalnika Archeologicznego”, a co ważniejsze z „Waprosów Driewnej Istorii” i „Oczerków Argeologii”, w których kolegiach był członkiem korespondentem. Przerwano również druk jego artykułów w popularnych „Echach Przeszłości”.

Bagiński nie krył obaw co do losów profesora – przymusowa emerytura była wśród nich ewentualnością najlepszą. Nie przychodziły także żadne odpowiedzi na kartki wysyłane do Julii. Może znienawidziła mnie za los, który zgotowałem jej ojcu?

Parę razy próbowałem słuchać „Pocieszyciela”, ale Jan

Pawłowicz, w Polsce brzmiący ożywczo jak głos z innego świata, tym razem zdenerwował mnie hasłem: „Masz problemy – pomóż innym”. Wściekły, wyłączyłem odbiornik. Z ludzi, których znałem, tylko ja miałem problemy. Wszyscy inni jakoś się urządzili.

Z trudem hamując rozpacz, doczekałem wiosny i postanowiłem rozmówić się z moim drugim stryjecznym bratem Stanisławem (sorry, Stanleyem Willerem), który mógł mieć większe możliwości niż brat z Nowego Jorku. Do tej pory rozmawialiśmy tylko przez telefon. Parę razy spotkanie było tuż-tuż. Ale raz przed wizytą w Nowym Jorku powstrzymało Stana nagłe wezwanie do prezydenta, a później na dwa miesiące pojechał do Azji, kiedy wybuchła wojna Ligii Muzułmańskiej z Indiami.

Postanowiłem wziąć go z zaskoczenia, dowiedziawszy się, że ostami weekend kwietniowy zamierza spędzić w domu.

Dwudziestego szóstego kwietnia 1969 roku wsiadłem w najwcześniejszy poranny pociąg do Waszyngtonu i wyruszyłem z wizytą.

Dom Stana Willera mieścił się na dalekim przedmieściu w Takoma Park, nieopodal słynnego Centrum Amerykańskiego Wywiadu w Langley. Elegancki biały dwór w stylu kolonialnym otaczał niewielki, ale bujny park, a drzwi otworzyła, jak w filmie z czasów wojny secesyjnej, tęgawa Murzynka w nakrochmalonym fartuchu.

Nieźle się dorobił – pomyślałem z podziwem. – Ciekawe na czym?

Oczywiście znałem odpowiedź, majątek w dużym stopniu zawdzięczał udanemu ożenkowi, który wprowadził go w wyższe sfery waszyngtońskiej socjety. Był to mariaż, jaki rzadko może się trafić Polaczkowi, synowi emigranta. Wprawdzie Polaczek ten ukończył West Point na jednej z pierwszych lokat i potwierdził swoje kwalifikacje w boju, a w dodatku zrezygnował z obco brzmiącego nazwiska, ale i tak mógł uznawać się za wyjątkowego szczęściarza.

Kobieta, która wyszła na moje powitanie do hallu, na pierwszy rzut oka odrobinę przypominała Julię. Wysoka, ciemnowłosa, o przepięknie wymodelowanych policzkach i ustach tak kształtnych i pełnych, że wywołujących wręcz nieprzyzwoite skojarzenia.

– Martin, jeśli się nie mylę? – powitała mnie po francusku. Skądś zapewne wiedziała o moich problemach z angielszczyzną. I, nie czekając na potwierdzenie, wzięła mnie w swoje pachnące objęcia.

Amanda Willer z domu Bouvier miała koło trzydziestki i urodą nie ustępowała swoim sławnym siostram, z których najstarsza, Jacqueline, wyszła za gubernatora stanu Massachusetts, Johna Kennedyego, rodzonego brata Josepha Patricka Juniora. Tak, tego samego ambitnego Irlandczyka, którego sława wojenna i koneksje ojca multimilionera wyniosły na stanowisko obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Sama historia związku Amandy i Stana mogłaby posłużyć za kanwę sensacyjnej powieści. Jedenaście lat temu panna Bouvier, podówczas mocno zbuntowana nastolatka, odłączyła się od

rodziców podróżujących po Indiach i trafiła w ręce oddziału religijnych fanatyków buszujących w Kaszmirze. Jej ratowaniem zajął się młody oficer sił specjalnych, który wprawdzie ocalił ją z rąk wyznawców proroka, ale też, mniej lub bardziej mimowolnie, rozkochał w sobie. Mimo protestów rodziny, marzących o lepszej partii dla córki, Amanda dopięła swego, zachodząc w ciążę, której efektem był dziesięcioletni dziś Stanley junior. Ponieważ Stan był już po rozwodzie, mogli wziąć cichy ślub. Zresztą uroda mojego stryjecznego brata – mierzył prawie dwa metry i miał szlachetną twarz, o jakiej moja gałąź drzewa genealogicznego mogłaby tylko marzyć – sprawiła, że rychło został zaakceptowany przez rodzinę, a praca w Pentagonie pozwoliła mu na rozwinięcie jego wojskowych talentów. Aktualnie był prezydenckim doradcą do spraw azjatyckiego teatru wojennego, ale mówiło się, że podczas drugiej kadencji Josepha Patricka Kennedyego, zaprzysiężonego ponownie 20 stycznia 1969 roku, ma szanse na kolejne awanse.

– Stan bardzo się ucieszy z twojego przyjazdu – opowiadała Amanda. – Miał ogromne wyrzuty sumienia, że do tej pory nie mogliśmy się zobaczyć. Znakomicie, że przejąłeś sprawę w swoje ręce.

– A dziś nie ma go w domu? – zapytałem.

– Będzie. Aktualnie przebywa z Johnem w Teksasie.

Obowiązkiem prezydenta było pojawienie się w stanie, który przesądził ostatecznie wyniku wyborów. Ale to dość krótka wizyta. Za jakąś godzinę wsiadają w samolot i przed wieczorem wylądują w bazie Andrews. W każdym razie kolację na pewno zjemy razem. Jadłeś już lunch? Ja ze względu na linię daruję sobie...

– Też nie jestem głodny, zjadłem dwie wyjątkowo sycące kanapki w pociągu.

– W takim razie poprosimy Rosemary o kawę i koniak. Nic nie robi w porze popołudniowej równie dobrze, jak oryginalny koniak. Och, przepraszam, nawet cię nie zapytałam, czy masz ochotę?

- Zauważyłem, że mieszkańcy Europy, nawet Francji, nie mają wielu okazji, aby go kosztować, ponieważ cała jego produkcja idzie na eksport.
- To prawda, jesteś Europejczykiem – zawołała, tak jakby dopiero teraz dotarł do niej ten fakt. – Ja z całej Europy znam jedynie Anglię i Irlandię. Mogłam naturalnie wybrać się na zorganizowaną wycieczkę do Włoch, ale rodzice się nie zgodzili.
- Może i dobrze – powiedziałem. I opowiedziałem jej, jak wyglądają takie wycieczki. Szybko, po łódkach, ograniczone do kilku odnowionych zabytków, z nieustanną indoktrynacją i w ścisłej separacji, aby Boże broń, nie nawiązać nieplanowanych kontaktów z miejscowym społeczeństwem.
- Oh, mon Dieu, a ja myślałam, że to będą prawdziwe rzymskie wakacje, zwiedzanie Watykanu...
- Jest to obecnie jedynie niedostępne dla turystów rumowisko gruzów.
- Spacer po Schodach Hiszpańskich...
- Autokar w tym miejscu jedynie zwalnia.
- A te słynne ogrody przy willi Borghese?
- Aktualnie znajduje się tam park kultury i wypoczynku z wesołym miasteczkiem – poinformowałam, przypominając sobie naszą włoską wycieczkę, odbytą wraz z Martowem. Smutne, w dużym stopniu wyludnione miasto przypominało trochę Rzym z okresu wędrówki ludów. Poza paroma zabytkami – Kapitołem, Forum Romanum i Colosseum, które z inicjatywy władz komunistycznych kompletnie odbudowano i zamieniono w salę widowiskową (z pozorowanymi walkami gladiatorów dla turystów), reszta miasta pozostawała od ponad ćwierć wieku zrujnowana, brudna i niebezpieczna.
- I naprawdę nie ma tam już nic pięknego?
- Są kobiety! Ale uroda wszystkich gaśnie przy tobie.
- Wstrętny komplementarz – potargała ręką moje włosy, aż przeszedł mnie nieomal elektryczny wstrząs.
- „Uspokój się, to jest żona twojego brata!” – zgaśnie w duchu. Żeby przerwać kłopotliwą ciszę, zapytałam, czy może mi pokazać

ogród i dom.

– Z największą przyjemnością, właściwie od tego powinnam zacząć. Wybacz, powinnam cię uprzedzić – jestem fatalną gospodynią.

Dom Willerów był zadziwiającą krzyżówką tradycji i nowoczesności. Konserwatywnemu gabinetowi Stana, przypominającemu słynny Pokój Owalny w Białym Domu, przeciwstawiało się atelier Amandy („moje hobby to malarstwo” – poinformowała), doświetlane przez wielką tafłę szkła w suficie. Jak stwierdziła, uwielbiała malarstwo abstrakcyjne, znajdujące uznanie głównie wśród kontestatorów w Wielkiej Brytanii lub Izraelu. W Ameryce kwitł hiperrealizm, z dopuszczalnymi wariantami w postaci symbolizmu i surrealizmu, w Europie obowiązywał realizm socjalistyczny. Nawet prekursor nowej sztuki Pablo Picasso, jako prominentny członek władz Francuskiej Partii Komunistycznej, po latach rozmaitych szalonych eksperymentów, osobiście potępił dekadentkie wynaturzenie i obecnie zajmował się malowaniem przedstawicieli świata pracy w gigantycznym fresku, dekorującym foyer siedziby Kominternu w Genewie.

Potem zeszliśmy do ogrodu. Pracował tam Latynos przystojniejszy od Rudolfa Valentino. Ogrodnik, na widok pani domu uśmiechnął się tak dziwnie, że poczułem nieprzyjemne ukłucie w sercu.

– To Ignatio, nasz człowiek do wszystkiego – powiedziała tonem, jakim dalej opowiadała o drzewach, kwiatkach klombach i parkowych rzeźbach.

Czas w jej towarzystwie płynął szybko, wypiliśmy kolejną kawę, tym razem w oranżerii na tyłach domu, rozmawiając o literaturze, nowych tendencjach w sztuce i tej nieszczęsnej cenzurze obyczajowej, pętającej twórczość artystyczną, przeciwko której coraz częściej buntowali się artyści. Amanda uważała, że w powietrzu wisi coraz bardziej nieuchronny bunt młodzieży przeciw pruderii, zakłamaniu, służbie wojskowej i rygorom państwa policyjnego.

– Nie uważasz, że mogą stać za tym jakieś siły prokomunistyczne? – spytałem.

– Nie mów jak Stan. On też wszędzie wietrzy spiski. Zresztą, jeśli jacyś ludzie mieliby akurat poglądy komunistyczne, to przecież zgodnie z konstytucją nie powinno się im zabraniać ich głoszenia. Tak gawędziliśmy sobie do godziny siedemnastej trzynastcie, gdy w głębi domu zadzwonił telefon. Amanda nie zamierzała odbierać, ale zaraz zjawiała się Rosemary ze słuchawką w ręku, mówiąc, że dzwoni pani Jacky.

Choć byłem trzy metry od niej, usłyszałem histeryczny krzyk ze słuchawki: „O Boże, Boże włącz telewizor”.

Włączyliśmy. Od razu zauważyłem, że program został przerwany, a poblądły spiker Tom Ryan z Dallas mówił coś podniesionym głosem. Amanda milczała, jednak fizycznie z każdą sekundą kurczyła się, jak piłka, z której ucieka powietrze.

Potem nadano filmową powtórkę. Pokazano ogromny samochód prezydencki podążający między szpalerami rozentuzjasmowanych Tekszańczyków. Patrick Joseph Jr. stał, mając obok siebie żonę i towarzyszącego im gubernatora Teksasu. Z tyłu siedział Stan Willer w mundurze i nieznany mi cywil, jak się miało okazać, trzeci z braci Kennedych, Robert, prokurator generalny USA. Dokładnie na wysokości pięciopiętrowej składnicy książek nastąpił wybuch. Projekcja została zwolniona, pokazywano ją klatka po klatce. Ale i tak nie widać było niczego poza dymem, ogniem i strzępkami materii. Było jasne – trzydziesty szósty prezydent Stanów Zjednoczonych Joseph Patrick Kennedy zginął w skrytobójczym zamachu, jak Lincoln, Garfield i MacKinley. I mój stryjeczny brat razem z nim.

\*

Trudno opisać, co się działo w willi Willerów tego popołudnia. Setki telefonów, tłumy dziennikarzy warujących przed wejściem, niezliczone oferty pomocy, w tym od samego wiceprezydenta Nelsona Rockefellera, obejmującego automatycznie władzę nad

obu Amerykami. Amanda zniosła tragedię nader dzielnie. Po kilkunastuminutowym szoku strzeliła potężną lampkę koniaku i stawiała czoła sytuacji. Odmówiła wszelkiej pomocy, wizyt, wywiadów. Chciała być sama. Jej rodzina z Bostonu, u której przebywał aktualnie jej syn, miała dojechać dopiero nazajutrz, siostra Jacky dopiero wracała do Los Angeles.

Na pytanie Rockefellera, czy chce polecieć specjalnym samolotem do Dallas, odpowiedziała odmownie.

– Pożegnamy ich w katedrze św. Patryka – odpowiedziała.

Kiedy chciałem się taktownie ulotnić i wrócić do Nowego Jorku, powstrzymała mnie.

– Zostań!

– Przecież chcesz być sama.

– Ty to co innego. Jesteśmy rodziną.

Rodziną. Jak dziwnie zabrzmiało to w moich uszach. Nie licząc służby, byłem sam w wielkim domu z żoną mojego właśnie zamordowanego brata, którego nigdy nie poznałem osobiście. Trzymała się dzielnie aż do wieczora, odbierając telefony i podejmując decyzje.

Ja warowałem przy telewizorze, oglądając po raz tysięczny powtórki z zamachu i słuchając komentarzy, wywiadów i spekulacji. Kto stał za sprawcami? Jaki był cel zamachu?

Okazało się, że bombę umieszczono w profesjonalnie wykonanym tunelu pod ulicą. Sporządzenie go musiało zabrać sporo czasu i przygotowań. Inna sprawa, że była to główna aleja prowadząca do lotniska i ktoś, kto miał w planie zamach na prezydenta, mógł po zamontowaniu ładunku czekać dniami, a nawet miesiącami na sposobność. To, że wcześniej czy później prezydent zawita do Teksasu było oczywiste...

Czy były to jednak porachunki krajowe, czy...? Mój instynkt nakazywał szukać w zamachu macek sowieckich. W końcu młody i aktywny prezydent planował szeroką kampanię na rzecz wypierania wpływów bolszewickich z wolnego świata.

Po kolacji, podczas której panowało milczenie, Amanda poszła do swojej sypialni. Pokój gościnny, w którym Rosemary

przygotowała dla mnie łóżko, znajdował się przez ścianę. Mogłem słyszeć, jak płacze. Ja również płakałem. Z bezsilności. W żaden sposób nie mogłem jej pomóc. Potem zasnąłem. Obudziło mnie trzaśnięcie drzwiami. Uniosłem się na łokciach. Amanda w cieniutkim peniuarze podeszła do łóżka. Trzęsła się od łez, a może również trochę z zimna.

– Mogę? – nie czekając na odpowiedź, usiadła, od jej widocznego przez muślin ciała biło żarem, tak jakby miała wysoką temperaturę. Była zrozpaczona. I pijana.

– Strasznie mi źle! – szepnęła.

Objąłem ją ramieniem. Czy źle zrozumiała mój opiekuńczy gest, czy nie była sobą? Zaczęła mnie całować. Mocno, rozpaczliwie. Tak nie całowała mnie nawet Julia. Rozerwała mi koszulę na piersi. Moje nieśmiałe protesty tłumiła kolejnymi pocałunkami, doskonale wiedząc, dokąd zmierza.

Jestem tylko człowiekiem. Właściwie powinienem powiedzieć – tylko mężczyzną. To, co zdarzyło się później, choć szalone, było naturalne, tak jak czymś naturalnym jest zaspokajanie głodu, pragnienia czy potrzeby szczęścia. Nigdy przedtem i nigdy potem nie kochałem się równie zajadle i równie zwierzęco. Pogryzła mi ramiona, plecy rozorała do krwi, podczas gdy ja doświadczałem rozkoszy ujeżdżania dzikiego konia.

W trakcie całego aktu – ile trwał, pięć minut, czy pół wieczności, nie mam pojęcia – nie padały żadne słowa. Poza jednym. Kiedy już zsunąłem się z niej, rozedrganej, zapłakanej – nie wiem już z rozpaczy czy rozkoszy – usłyszałem krótkie:

– Dziękuję.

Dopiero później, z twarzą wtuloną w poduszkę, zdałem sobie w pełni sprawę z tego, co zrobiłem. Poszedłem do łóżka żoną mojego stryjecznego brata, którego doczesnych szczątków nie zdołano jeszcze całkiem pozbiierać z teksańskiej ulicy.

XVII

Pocieszyciel



Uciekłem! Czy było to tchórzostwo, czy desperacja? Nie mnie sądzić! Poczekalem, aż Amanda uśnie. Wysunąłem się z łóżka, spakowałem rzeczy do walizki i, modląc się, aby nikt mnie nie zobaczył, przez taras wydostałem się z domu. Potem przelazłem przez bramę. Dzięki Bogu mój stryjeczny brat nie miał żadnych psów, a czatujący dziennikarze dawno się zmyli.

Poprzedniego dnia, jadąc taksówką ze stacji, zapamiętałem po drodze hotelowy szyld Sleep Inn. Na piechotę odległość wydawała się znacznie większa, niż sądziłem. Dotarcie na miejsce zajęło mi około półtorej godziny. Wynająłem pokój i poszedłem spać. Czuję się podle, strasznie. Wydawało mi się, że wszyscy dowiedzą się zaraz o moim występkę. Co wtedy zrobić?

Zawiodłem rodzinę, nadużyłem zaufania. Amandzie, przeżywającej silny stres wolno się było zapomnieć. Mnie, w żadnym wypadku! Dlaczego więc na wspomnienie jej krągłości i wilgotności nadal odczuwałem podniecenie? Rano przeliczyłem pieniądze. Niewiele tego zostało. Wypiłem darmową kawę, lub raczej wodnistą ciecz, którą Amerykanie nie wiedzieć czemu upierają się nazywać american coffee. Już miałem iść, kiedy następny klient, tęgi jak szafa, podszedł do stolika z termosem i, nalewając gorący płyn, oparzył sobie rękę.

– Cholera jasna! – zaklął swojsko.

– Pan Polak? – zawołałem i natychmiast podałem mu czystą chusteczkę. Podziękował i, mając wyraźnie dość wszelkich cieczy, ruszył do samochodu, potężnego zakurzonego cadillaca, zaparkowanego niedaleko wejścia. Natychmiast zaświtała mi w głowie pewna myśl.

– Nie jedzie pan przypadkiem do Waszyngtonu? – zapytałem.

– W żadnym wypadku. Miałbym zaglądać do tego murzynowa! W życiu!

– A może do Nowego Jorku? – pytałem niezrażony.

– Nie – pokręcił głową. – Jadę do Lodi. I jeśli mogę pana tam podrzucić, to chętnie.

– A gdzie to jest?

– Na Boga, musi pan być niedługo w Ameryce. Można nie wiedzieć gdzie jest Nowy Jork, ale Lodi...

Wysłuchałem potulnie jego słów, toteż na zakończenie dorzucił łaskawie, że owo znakomite Lodi znajduje się w New Jersey, rzut beretem od Manhattanu.

Wpakowałem się do jego imponującego wozu. Ben, bo tak się nazywał olbrzym, jechał aż z Atlanty. Nie wypytywałem go zbyt wnikliwie, ale i bez ciągnięcia za język mówił chętnie. Pochodził z rodziny uciekinierów lat dwudziestych, ojciec był farmerem, plantatorem orzeszków ziemnych w pobliżu Plains w Georgii, a on sam pracował w słynnej wytwórni coca-coli, gdzie wziął właśnie parę dni urlopu. Jak się okazało, zamierzał spotkać się z siostrą, która była felicjanką, a w Lodi znajdował się dom prowincjonalny tego najbardziej dynamicznie rozwijającego się zakonu „sióstr polskich”.

Podróż upłynęła nam szybko na dyskusji o wczorajszym zamachu. Ben uważał, że zrobili to Żydzi albo Murzyni, a kiedy ośmielałem się wątpić, twierdząc, że przecież większość przedstawicieli tych mniejszości dawno wyemigrowała, odparł prostodusznie:

– A wiesz pan, ilu się przyczaiło? O, na przykład ten – wskazał głową mulata nalewającego benzynę na stacji American Oil, o nieprawdopodobnie wydatnym nosie. – U nas w Georgii całkiem sporo bogatych czarnuchów powracało...

Po przybyciu do Jersey, poprosiłem go, aby wysadził mnie koło dworca autobusowego. Bardzo się zdziwił.

– A nie weźmie pan udziału w zgromadzeniu modlitewnym?

Przecież będzie tam On.

– Jaki on?

– „Pocieszyciel”!

Do dziś nie wiem, czy gruby Ben był wysłannikiem losu; w każdym razie w wielkiej auli domu zakonnego w Lodi miałem po raz pierwszy okazję zobaczyć na żywo Jana Pawłowicza.

Jego wejścia nie poprzedzały fanfary ani dzwony. Po prostu wszedł nagle po stopniach na scenę, skromny, szczupły, lekko szpakowaty mężczyzna o sportowej sylwetce. Zapadła cisza, on

przez chwilę patrzył na salę, jakby wszystkim i każdemu z osobna chciał zajrzeć w głąb serca, po czym rzekł bez mikrofonu:

– Pomódlmy się. Pomódlmy się za naszą ojczyznę uciemżoną, za Europę zamkniętych kościołów i milczących dzwonów, za świat pełen ludzi tracących nadzieję i orientację, gdzie dobro, a gdzie zło, co boskie, a co cesarskie. Za ludzi małej wary, aby ich serca otworzyły się na Boga i bliźnich, za błądzących, aby ich kręte ścieżki wyprostowały się i z ciemnego lasu wyprowadziły ich w słońce, za grzesznych, aby znaleźli w sobie siłę, by od grzechu odstąpić, za zrozpaczonych, aby Pan przyniósł im otuchę. Módlmy się za nieprzyjaciół naszych, za złoczyńców i morderców, prosząc o ich uczestnictwo w zbawieniu, albowiem wielkie jest miłosierdzie Pana. Módlmy się za żywych i umarłych, słowami których nauczył nas Syn Boży, Pan i Zbawiciel – Jezus Chrystus.

I popłynęło chóralne „Ojcze nasz”. Patrząc kątem oka na modlącego się obok mnie Bena, zastanawiałem się, czy w tej niezwyklej chwili jest zdolny choć trochę mniej nienawidzić Żydów i Murzynów, protestantów i komunistów.

Spodziewałem się, że po modlitwie Pawłowicz wygłosi kazanie, czy jak się teraz coraz częściej mówi – homilię. Ale nie. Wziął podany mu mikrofon i przycupnął na skraju sceny, najwyżej o dwa metry od pierwszego rzędu i zaczął mówić. Opowiadał dość zwyczajną historię o małej osadzie w południowej Australii, do której dotarł pożar buszu, a mieszkańcom, dość niedawnym osadnikom na dorobku, pożoga pochłonęła cały dobytek.

Wspólnota słuchaczy polskiego radia w Adelaide pośpieszyła z pomocą. Okazało się jednak, że jeden z pogorzalców nie należał do wspólnoty, co więcej – był katolickim księdzem, który przed paru laty zrzucił szatę duchowną i poślubił protestancką rozwódkę. Hojnym darczyńcom wydawało się, że pomaganie mu będzie obrazą Boga... Tu zawiesił głos, jakby czekał, aż każdy wyrobi sobie własny pogląd na sprawę i rzekł:

– Zadzwoiłem do Adelaide i poprosiłem o pomoc dla niego poza kolejnością. W imię ludzkiej solidarności. W nieszczęściu.

Solidarność bowiem to ty i ja razem, we współpracy, jeden z drugim, nigdy przeciw drugiemu.

Ozwał się głos z sali:

– A co z naszymi wrogami, naszymi prześladowcami?

– Im jest najciężej – ripostował kaznodzieja. – Muszą walczyć na dwa fronty: z nami i ze sobą.

– Ze sobą?

– Tak, przyjacielu. Wbrew temu, co się zwykło sądzić, ludzie mają przyrodzone wyczucie zła. Zło czyniąc, doskonale wiedzą, co robią. Wybierają. Jednak nie znaczy, że nie słyszą głosu sumienia. Odtrącają go depczą, ale słyszą. Na Kołymie spotkałem mordercę – rekordzistę. Kata Czeki. Specjalistę od taśmowego zabijania ludzi. Osobnika, zdawałoby się pozbawionego wszelkich uczuć. Przez blisko dwadzieścia lat prawie codziennie zabijał. Od kilkudziesięciu do kilkuset skazańców. Psuły się egzekucyjne pistolety, ze zużytych łusek można by usypać górę, a on robił swoje, dopóki po pijanemu w sprzeczce nie zatłukł oficera. I trafił na dno. Został strażnikiem w naszym łagrze. Straszliwie pił, lecz kiedy trzeźwiał, opowiadał mi, że bezustannie ich widzi, tych zabitych przez siebie. W przeszłości widział głównie ich potylice, teraz osaczały go twarze czyichś mężów, ojców, braci. Pił na umór, bo tylko zamroczenie przynosiło mu pewną ulgę.

Wielokrotnie myślał o samobójstwie, ale on, który znał śmierć jak mało kto, bał się jej bardziej niż ktokolwiek ze znanych mi ludzi.

– I odnalazł Boga? – zapytała jakaś kobieta.

– Myślę, że tak. W każdym razie poświęcił swoje życie, abym ja był wolny.

– Ale co my możemy zrobić, spotykając różnego pokroju drani?

– Pozwolić, żeby usłyszeli mocniej głos swojego sumienia.

– Nadstawiając drugi policzek?

Pawłowicz nie odpowiedział wprost.

– Naszą siłą nie jest potęga fizyczna, lecz wiara. Nie liczymy naszych sił na dywizje, kilotony, zmagazynowane głowice mogące unicestwić ludzkość. Naszą mocą jest trwanie w prawdzie i głoszenie jej mimo wszystko. Nie tylko słowem, lecz także

własnym życiem. Dobrocią, pomocą, solidarnością.

Odezwał się inny głos, blisko mnie i z zaskoczeniem zauważyłem, że mówiącym jest Ben.

– Czym się różni, to co pan mówi, od nauk głoszonych przez księży?

– Niczym, wszyscy powtarzają jedynie to, co dwa tysiące lat temu głosił Jezus Chrystus.

– Dlaczego w takim razie uciekam z nabożeństw, nie mogę słuchać bredzeń mojego proboszcza, a przemierzyłem pół Ameryki, żeby posłuchać pana?

– Może mam po prostu przyjemniejszy tembr głosu.

Rozległy się śmiechy i oklaski.

– A może – głos zabrała płowowłosa dziewczyna z pierwszego rzędu – kościół instytucjonalny jest już zbyt anachroniczny, nie nadąża za postępem, nie chce zrozumieć współczesności?

– A co to jest współczesność, panienko? Czym różnimy się od naszych braci doby Cezara czy Leonarda? Czy podobnie jak oni nie chcemy żyć, jeść, pić i kochać? Czy mamy mniejszą potrzebę szczęścia? Czy różnica między dawnością a nowoczesność polega na tym, że apostołowie jedli podpłomyki i popijali winem, a my konsumujemy hamburgera z piwem w puszcze? A postęp? Co właściwie oznacza termin „postęp”? Rozumiem, dzięki postępom medycyny żyjemy dłużej i umieramy zdrowsi – znów rozległy się śmiechy – podróżujemy szybciej, pracujemy mniej i krócej. Ale czy to powoduje, że jesteśmy innymi ludźmi niż nasi pradziadowie? I obowiązują nas inne normy moralne niż ich? Dziewczyna nie dała się zbić z tropu.

– Myślę o nauce. Kościół nauczał do niedawna o płaskiej ziemi, o dziele stworzenia w sześć dni, a my wiemy, że było inaczej, są dowody na teorię ewolucji, podważające przekaz świętych ksiąg.

– Święte księgi spisano w określonych czasach, dla określonych ludzi. Dziś zdajemy sobie sprawę, że jeden dzień stworzenia mógł trwać miliony lat, ale czym są miliony lat w skali boskiej?

Wspomniała też pani ewolucję. Czy przyjmowanie tej teorii, uprawnionej jak wiele innych, stoi w sprzeczności z nauczaniem

Chrystusa? Czy Bóg, wprawiając świat w ruch, nie mógł użyć ewolucji jako własnego mechanizmu, nie wytyczył jej kierunku i zasad? A zresztą, podaj mi, panienko, choć jedno osiągnięcie współczesnej nauki kwestionujące boże przykazania: nie zabijaj, nie kradnij, nie mów fałszywego świadectwa. Owszem, komuniści zakwestionowali prawo do życia, uznając, że płód nie jest istotą ludzką i akurat to ich osiągnięcie znajduje nawet tutaj gorących zwolenników. Tylko pytam, jeśli dziecko minutę przed urodzeniem jest już człowiekiem, kiedy nim być przestaje?

W ósmym miesiącu ciąży, siódmym, szóstym...? Bardzo często to, co nazywacie postępem jest po prostu dążeniem do wygody.

Współczesna ludzkość bardzo często neguje istnienie Boga, albo co gorsza kreuje Go na własny obraz i podobieństwo, bo ten jej przeszkadza. Odrzuca wizję Sądu Ostatecznego, bo to nieprzyjemne, kwestionuje zasadność przykazania „nie cudzołóż”, bo nakłada ono moralne ograniczenia. Pod tym względem zaczynamy przypominać rolnika, który oznajmiając: „jest wiosna”, wychodziłby w pole orać, mimo że na polach leży metrowa warstwa śniegu.

Prawdy nie można przegłosować tylko dlatego, że się dysponuje większością głosów. Ona istnieje niezależnie do tego, czy nam się podoba, czy nie.

Nie my wyznaczamy reguły tego świata. Oczywiście mamy wolną wolę. Możemy się stosować do boskich przykazań albo nie. Tylko wówczas nie dziwny się, gdy nadejdzie dzień sądu.

Było to proste, spójne. Logiczne. Pawłowicz miał odpowiedź na każde pytanie. Łagodną w tonie, mądrą i wyważoną. Nie obrażał nikogo, nie wynosił się nad innych, ale zarazem nie udawał skromniejszego niż był. Bił od niego przedziwny spokój i pewność co do głoszonych prawd i jakaś ogromna, niepojęta życzliwość, która udzielała się zgromadzonym. Obserwowałem ich, gdy wychodzili po spotkaniu. Twarze były rozjaśnione, mowa uprzejma. Czy właśnie tak zachowali się apostołowie po zesłaniu Ducha Świętego?

Ben gdzieś mi zniknął. Może, mimo twierdzenia, że nie lubi

księży, poszedł do spowiedzi, aby wziąć udział w wieczornej mszy?

Poszedłem i ja. Jeśli Pawłowicz obecny był podczas eucharystii, to idealnie wtopił się w tłum. Wiedział, że nie on jest tu głównym celebrazem, lecz miejscowy kapłan. Ten zaś miał wystarczająco wiele samokrytycyzmu, aby powstrzymać się od kazania.

Po mszy nadal nie mogłem znaleźć Bena. Zastanawiałem się, co zrobić ze sobą? Przy klasztorze był wprawdzie dom pielgrzyma, ale tego dnia był zapakowany po brzegi. Wszedłem do auli.

Trudno, prześpię się na krzesłach. Chyba siostrzyczki mnie nie pogonią. Już zasypiałem, kiedy ktoś usiadł obok mnie. Strażnik? – Co pan tu robi? – poznałem głos, który wcześniej rozbrzmiewał ze sceny.

– Śpię. Nie bardzo mam gdzie się podziać – odparłem szczerze.

– Pójdź ze mną – powiedział ten niesamowity człowiek.

Więc poszedłem.

\*

Jakkolwiek metaforycznie by to nie zabrzmiało, nie udaliśmy się daleko. Za budynkami klasztornymi na parkingu stała stara przyczepa kempingowa, która, jak twierdził Pawłowicz, od paru lat była jego drugim domem. Normalnie zamieszkiwał ją razem z kierowcą i akustykiem, dziś jednak akustyk pojechał do rodziny, a kierowca już spał. Po drodze kaznodzieja zapytał mnie, gdzie mieszkam, a dowiedziawszy się, że na Greenpoincie, obiecał mnie wysadzić w drodze do New Britain w Connecticut, gdzie czekało go kolejne spotkanie z rodakami. Nie wiedziałem, czy bardzo chcę w aktualnym stanie ducha wracać do Kazika i jego rodziny.

Zauważył moją rozterkę.

– Chcesz porozmawiać? – zapytał.

Chciałem. Zrobił mocnej herbaty. Usiedliśmy, gadając tak jakbyśmy się znali od dawna. Zapytałem czy pamięta mojego Ojca, wspomniałem Kołymę i chór, przez niego prowadzony.

– Naturalnie, że pamiętam. Takich ludzi jak Jerzy się nie

zapomina, szkoda, że przedwcześnie odchodzą.

Zdumiało mnie to stwierdzenie.

– Skąd wie pan...?

– Mów mi bracie! – poprawił łagodnie.

– Skąd wiesz, bracie, o jego śmierci?

– Czytam to w tobie. Każdy człowiek jest jak książka. Trzeba tylko znać język i otworzyć we właściwym miejscu.

– W takim razie co jeszcze można ze mnie wyczytać?

– Znajdujesz się na rozdrożu. Właśnie umarł ci ktoś bliski. Nagle i tragicznie... – urwał. – Czy ma to jakiś związek z zamachem w Dallas?

– Tak, generał Stan Willer to był mój stryjeczny brat.

– Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie – wyszeptał i pograżył się w milczeniu. Długim milczeniu. Przez moment miałem wrażenie, że zasnął i nie bardzo wiedziałem, co począć. Sam jednak wznowił swoją wypowiedź, dokładnie w miejscu, w którym ją przerwał.

– Jesteś w stanie nieuporządkowania emocjonalnego, życiowego, nie wiesz, co chcesz robić, dokąd pójść, a nawet, jeśli masz marzenia – nie potrafisz się za nie zabrać.

– Chciałbym pisać.

– Więc pisz. Mów ludziom o rzeczach ważnych, nie rozglądaj się za poklaskiem, twórczość nie jest przecież działalnością na obstalunek, tylko dzieleniem się własną duszą. A że duszę masz chorą, odsłaniając źródła bólu, uleczysz ją.

– Dokonałem dziś strasznego czynu – zdecydowałem się na wyznanie – moja bratowa i ja...

– Nie chcę o tym słuchać. Spowiadać będziesz się księdzu. Jeśli jednak popełniłeś jakiś grzech, ale żałujesz za niego, odczuwasz skruchę i brzydzisz się nim, rozgrzeszenie będzie formalnością.

Wróćmy do twoich bieżących problemów. Nie masz pracy, nie jesteś w stanie się zrealizować, pojedź ze mną do Chicago.

Kokosów tam nie zarobisz, ale pracy będziesz miał mnóstwo.

Moje radio i telewizja potrzebują utalentowanych piór. Sprawa polska dziś i jutro to nie tylko modlitwa i rozmowy na falach



eteru. To dramaturgia i poezja, a także humor i rozrywka. Zanim zbudujemy nasz dom, musimy pomyśleć, czym go umeblujemy...  
– Ale... – wykrztusiłem zdumiony – pan mnie w ogóle nie zna. Przecież mogę być nadanym przez komunistów agentem...  
– Zaryzykuję. Poza tym – uśmiechnął się pobłażliwie – mam wrażenie, że trochę znam się na ludziach.

\*

Pojechałem z „Pocieszycielem” do New Britain. Myślałem, że powtórzy tam swoje wypowiedzi z Lodi. Ale skąd. Tym razem mówił o pracy. O jej godności, godziwej płacy i o perspektywach. O budowaniu podwalin przyszłości i o jałowym charakterze czystej konsumpcji.

Jeśli życie człowieka jest w ziemskim wymiarze przygotowaniem do nieśmiertelności, to nie może być ono jedynie pasmem zakupów, cielesnych przyjemności – mówił. – Każdy musi mieć dalszą perspektywę. Tą perspektywą jest po pierwsze rodzina, później otaczająca ją społeczność, ojczyzna, wreszcie cały świat. Każdy dzień może być budowaniem, ale jeśli się tej perspektywy nie ma, może być destrukcją.

– Mówi brat, ojczyzna? – z drugiego rzędu poderwał się mężczyzna o suchotniczym wyglądem. – Ale przecież my nie mamy ojczyzny. Jesteśmy jak Żydzi w niewoli egipskiej.

– Czy to pytanie? – Pawłowicz podszedł do krawędzi sceny. – Bo jeśli tak, sam sobie na nie odpowiedziałeś, bracie. Żydzi, jak powiada druga księga Mojżeszowego Pięcioksięgu, wyszli z ziemi niewoli i wrócili do ojczyzny, podobnie powrócili z wygnania do Babilonu, a teraz po dwóch tysiącach lat, znowu modlą się pod wzgórzem świątynnym. Poza tym my ciągle żyjemy. Rozejrzyjmy się wokół. Jakże liczna i wspaniała jest polska diaspora. Jakie miliony ludzi, Polaków z urodzenia i ducha, zamieszkują dziś Stany, Kanadę, Brazylię i Australię. Zaprawdę, powiadam wam – czułem, że celowo użył owej biblijnej frazy – nie załamujmy rąk, organizujmy się! Twórzmy nowe polskie kluby, gazety, szkoły

i uniwersytety. Zyskujemy wpływ na rzeczywistość. Solidarnie popieramy swych kandydatów do władz. Wiem, że tu w New Britain działają trzy konkurencyjne partie polskie, czy mógłbym zobaczyć ich prezesów? – ponieważ zrobiła się cisza, powtórzył głośniej. – Prezesi, powstańcie!

Z rozrzuconych miejsc na sali podniosła się wywołana trójka. Zwalisty rzeźnik, suchotnik, który dał się już poznać w dyskusji, podobno na co dzień adwokat prowadzący równocześnie miejscową gazetę, i dość młoda kobieta o wielkim biuście i burzy tlenionych włosów, ale zarazem żywej inteligencji, palącej się w błękitnych oczach.

– Zbliźcie się do mnie, Karolu, Józefie, Magdaleno (skąd, u licha znał ich imiona?). I podajcie sobie ręce. Mówię wam – jeśli pójdziecie razem, solidarnie, za dwa lata Karol będzie burmistrzem, Józef okręgowym prokuratorem, a Magda członkiem Izby Reprezentantów.

Blefował czy znał przyszłość?... Później zorientowałem się, że ma fenomenalną pamięć, przygotowuje się przed każdym spotkaniem i wie, do jakich urzędów aspirują jego słuchacze.

– A jeśli tego nie zrobimy – zapytała czupurnie blondyna – lub pojednawszy się dzisiaj, skłóćmy się jutro?

– Przegracie wszyscy. A ja – nie wiedziałem, czy w tym momencie żartuje, czy mówi poważnie – przeklnę was. Aż do szóstego pokolenia.

\*

Główna ceremonia żałobna za dusze ofiar zamachu w Dallas rozpoczęła się mszą w nowojorskiej katedrze św. Patryka. Następnie prezydenckim samolotem Air Force One sześć trumien przewieziono do Waszyngtonu, gdzie na Capitolu odbyło się uroczyste pożegnanie państwowe. Następnie orszak żałobny przeciągnął Constitution Avenue, wzdłuż zielonej dzielnicy parków i ogrodów. Mijając słynny staw, obelisk Waszyngtona, mauzoleum Lincolna, mostem ponad Potomakiem przeszedł na

zlokalizowany na wzgórzach ponad miastem cmentarz Arlington. Decyzją prezydenta Rockefellera rodziny ofiar dostały do dyspozycji kolejny samolot. Poleciliśmy więc wszyscy razem. Chyba od czasu śmierci mojego stryja Stefana cała rodzina po raz pierwszy zebrała się w komplecie. Obawiałem się nieco spotkania z Amandą, ale zachowała się wobec mnie tak naturalnie, jakby nic między nami nie zaszło (a może faktycznie miałem tylko erotyczny sen). Zresztą najwięcej uwagi musiała poświęcać pociągającemu nosem synkowi, do którego dopiero teraz dochodziło, co się stało.

Inna sprawa, że cała Ameryka bardzo wolno dochodziła do siebie. Tropy, na które trafiła FBI, były słabe. W dodatku mężczyzna, który dzień po wygranych przez Kennedy'ego wyborach wynajął basement, w którym rozpoczęto drażnienie podkopu, zginął w przeddzień zamachu w wypadku samochodowym. Jego brat, aresztowany w momencie, gdy usiłował przejść granicę meksykańską, już nazajutrz po zatrzymaniu został zabity przez strażnika więziennego. Ten z kolei jeszcze tego samego dnia powiesił się w pomieszczeniu służbowym. Najciekawsze, że obaj zamieszani w przygotowanie zamachu mężczyźni posługiwali się fałszywymi dokumentami. Ich linii papilarnych nie było w bazie danych FBI. Ale, mimo ogromnych nagród, nie znalazł się nikt, kto by znał ich wcześniej. Jak senne mary pojawili się w listopadzie 1968 roku, wykonali swoje zadanie i ulegli zniszczeniu. Ci, którzy ich poznali, nie zauważyli niczego podejrzanego. Bywali w pubie na piwie, korzystali z usług prostytuttek.

Zadziwiające, ale nikogo nie zainteresowało, czym się zajmują. Sąsiadom mówili, że mają firmę budowlaną. Jednak mieli jedynie małą półciążarówkę, którą musieli wywozić ziemię z podkopu, przenoszoną do garażu. Po pewnym czasie wykryto dziwne zaniedbania w miejscowej policji. Ktoś zapłacił funkcjonariuszom, odpowiedzialnym za ten region, aby nie interesowali się Maksem i Edwardem. Niestety, skorumpowani gliniarze nie złożyli zeznań. Pierwszy spłonął we własnym

mieszkaniu dzień po zamachu, drugi – choć podobno zdrowy – umarł na zawał serca po wyjściu z baru...

Dalszych śladów nie znaleziono. Oczywiście, mimo wydawanych przez FBI kolejnych komunikatów, że śledztwo jest w toku, jasne było, że policja drepcze w miejscu. Niewiele pomogło powołanie przez Kongres, w celu wyjaśnienia sprawy, specjalnej komisji pod wodzą senatora Earla Warrena. Im mniej było wiadomości, tym więcej pojawiało się spekulacji. Obok fantastycznych wersji, jakoby za zamachem stał sam Rockefeller i lobby teksańskich nafcjarzy, najbardziej prawdopodobny był trop rosyjski. Tyle że mimo wysiłków wszystkich, z indiańskimi szamanami jasnowidzami włącznie, nie znaleziono najmniejszego nawet dowodu, mogącego potwierdzić tę hipotezę.

Kiedy kondukt wspinał się na wzgórze, ujrzałem po lewej szary, monumentalny gmach Pentagonu, w którym na co dzień pracował Stanley. Zastanawiałem się dokąd by zaszedł, gdyby nie skrytobójcza bomba. Miał 38 lat. Ze swoimi talentami mógłby sięgnąć po każde stanowisko w nowej ojczyźnie.

W trakcie pogrzebu zaskoczyło mnie jeszcze jedno. Na tabliczce przy trumnie mojego brata, obok napisu „Stan Willer” znalazło się jego prawdziwe imię i nazwisko. Trudno o lepszy hołd dla jego polskości.

\*

Do Chicago wyjechałem parę dni później, mam wrażenie, że ku wielkiej uldze całej rodziny z Greenpointu. Z Amandą w cztery oczy rozmawialiśmy tylko raz, na korytarzu w hotelu Windsor, w którym zakwaterowano rodziny poległych. Kiedy wpadliśmy na siebie, miałem wielką ochotę uciec. Moja bratowa zauważyła to i wzięła mnie z rękę.

– Słyszałam, że wybierasz się do Illinois. Na długo? – zapytała swoim lekko zachrypniętym altem.

– Jeszcze nie wiem. W każdym razie zaproponowano mi tam pracę w polskim radio.

– To znakomicie. Ale gdybyś chciał wrócić, to pamiętaj – nasz dom jest zawsze twoim domem.

Z wyrazu jej oczu nie potrafiłem wyczytać, czy chce mi powiedzieć również „a moja sypialnia, twoją sypialnią”?

– Nie omieszkałam skorzystać z twojego zaproszenia – odparłam, czując, że się rumienię.

– Bardzo chciałabym, żebyś utrzymywał bliższy kontakt z juniorem. Ostatnio dopytywał się o swoje polskie korzenie. Myślę, że mógłbyś mieć na niego doskonały wpływ. Jesteś przecież taki młody...

Ogłędnie wyraziłem zgodę, pieczętując ją lakonicznym zwrotem, że będziemy w kontakcie. Na szczęście na korytarzu pojawiła się Babcia Helena, co pozwoliło zakończyć rozmowę i opanować przyspieszone bicie serca.

Przed ostatecznym wyjazdem z Nowego Jorku czekała mnie jeszcze jedna niespodzianka, długi list od kapitana Barczyka, nadany z kongijskiego Elizabethville. Obszernie pisał o swoich walkach z komunistyczną partyzantką w Katandze, wyrażając nadzieję, że po zwycięskim zakończeniu kampanii pojawi się w Stanach. Odpisałem mu, podając swój nowy adres i numer pokoiku służbowego rozgłośni polskiej przy Milwaukee Avenue w Chicago.

## XVIII

### Milion wygranych bitew

W połowie marca 1981 otrzymałem zaproszenie na pięćdziesiątą trzecią uroczystość wręczenia statuetek Oscara, odbywającą się od paru lat w odnowionym Teatrze Chińskim w Hollywood. Znowu nadarzyła się okazja do rodzinnego spotkania w komplecie. Ważna okazja.

W przeddzień ceremonii, 30 marca, do mojej willi w kolorze delikatnego beżu, którą właśnie nabyłem w San Fernando Valley, na północ od Los Angeles, zjawili się praktycznie wszyscy moi

bliscy, z wyjątkiem Babci Heleny, której zdrowie ostatnio zaczęło szwankować. Kazik z Zuzką, ich trzy córki z mężami, oczywiście Kazik junior, który jak dotąd nie założył rodziny i, biorąc pod uwagę jego dziwną predylekcję do młodych mężczyzn, zapewne nie założy. Przybyła także Amanda z nowym mężem, obiecującym politykiem Barrym Kasprosem, polskim senatorem z Connecticut, synem owego rzeźnika z New Britain, którego swojego czasu wyrwał do odpowiedzi Jan Pawłowicz. Obok nich kroczył, uderzająco podobny do swojego ojca, jej syn Stan Willer II, który niedawno, zgodnie z tradycją rodzinną, zdecydował się na karierę wojskową. Tyle że zamiast West Point wybrał Akademię Marynarki w Annapolis. Zawitał także Paweł Bagiński, świeżo upieczony profesor University of California w Berkeley z żoną, młodszą od niego dwadzieścia lat Meksykanką Dolores.

Okazja była nie byle jaka. Mój, a właściwie nasz film (Kazik junior był operatorem „Matriarchatu”), okazał się jedną z najbardziej kasowych produkcji Hollywood ostatnich lat i otrzymał nominacje do Oscara aż w sześciu kategoriach. Za reżyserię, zdjęcia, oryginalny scenariusz (mój, mój, mój!!) kostiumy, główną rolę męską dla Roberta de Niro, efekty specjalne.

Do kompletu gości, bankietujących nad szmaragdowym basenem, brakowało jedynie Janusza Barczyka, ale obiecał się stawić, choćby w ostatniej chwili. Patrząc na zebrane w salonie towarzystwo, pomyślałem, jak wiele zmieniło w moim życiu przez ostatnie dwanaście lat. Niedojda wyszedł na swoje!

Swój, nie zawaham się powiedzieć, sukces, zawdzięczam dwóm osobom: Janowi Pawłowiczowi i mojemu młodemu bratankowi Kazikowi. Po przyjęciu do swojej stacji Pawłowicz zaskoczył mnie po raz kolejny. Nie zamierzał wykorzystywać mnie w roli kolejnego kaznodziei. Nawet historyczne pogadanki i reportaże okazały się tylko częścią mojej produkcji. „Pocieszyciel” szybko odkrył mój dryg do tworzenia zaskakujących, a przy okazji zabawnych fabuł słuchowisk radiowych, pokazujących

w przewrotny sposób patologię świata rządzonego przez komunistów, choć ich uniwersalizm sprawiał, że można było odczytywać je także jako satyrę na autorytarne Stany Zjednoczone. I tak serial słuchowiskowy „Numer” mówił o ludziach podporządkowanych obłędnej teorii numerycznej (polegającej na ścisłej wymierności ludzkich talentów i możliwości określających ich miejsce w świecie), żyjących w zamkniętych sześcianach mieszkalnych, zdanych na łaskę wszechwładnego globalnego komputera. W transplantologicznej „Śwince” opowiadałem o dramacie faceta, któremu ukradziono ciało, lokując jego mózg w ciele świni, a w „Agencji dołu” bohaterem uczyniłem człowieka, który po tym, jak się dowiedział, że jest diabłem, otrzymał zlecenie doprowadzenia do końca świata. Największą popularnością na całym świecie i, podobno, także w kraju, dokąd docierał za pośrednictwem Wolnej Polski, cieszył się serial „Matriarchat”, szalona baśń o świecie zdominowanym przez kobiety (krągłe), dokonujące eksterminacji resztek mężczyzn (płaskich).

Tego rodzaju audycje ściągały przed odbiorniki młodzież, którą religijny kontakt z Pawłowiczem frapował mniej, ale dla słuchania atrakcyjnych słuchowisk podciągali swoją polszczyznę lub uczyli się jej na nowo.

Mojemu bratankowi zawdzięczam z kolei, że nie pozostałem jedynie autorem polskim, piszącym tylko dla Polaków. Po ukończeniu szkoły filmowej Kazio szybko wybił się paroma ambitnymi etiudami, a pewnego dnia przywiózł do mnie do Chicago mojego równolatka, utalentowanego autora pochodzącego z Bangor w stanie Maine Stephen Kinga. Stephen, mając już za sobą debiut filmowy („Cherry” – rzecz o dziewczynie obdarzonej paranormalnymi zdolnościami, biorącej w noc balu maturalnego srogi odwet na prześladowających ją równolatkach), przeczytał parę moich opowiadań przełożonych na angielski i, widząc duże podobieństwa w naszym sposobie myślenia, zaproponował spółkę autorską. Jej efektem był emitowany od roku 1976 i bijący rekordy oglądalności serial

„Archiwum grozy”.

Po takim przetarciu znalezienie wytwórni gotowej sfilmować „Matriarchat” w wersji kinowej okazało się dużo łatwiejsze. Zresztą, od czasu emigracji Żydów, Polacy i Irlandczycy dominowali w tej branży.

Czy tamtej wiosny mogłem się uważać za człowieka spełnionego? Nie do końca. Wprawdzie nie brakowało mi sławy ani pieniędzy, ale pozostawałem ciągle sam. Przewijały się w moim życiu młode, proszące się o klapsa klapserki, debiutujące aktorki czy ściągające do Los Angeles z całego kontynentu najpiękniejsze w świecie fryzjerki bądź kelnerki, które trwoniły swoje najlepsze lata, czekając przed bramą wytwórni na filmową szansę, ale wszystko to stanowiło ersatz. W dodatku ostatnia dzierzawczyni mojego serca i sypialni, Diana Anders, zerwała ze mną, oburzona, że nie została nominowana w kategorii najlepszej aktorki drugoplanowej, tak jakbym ja sam był Amerykańską Akademią Filmową. Nie płakałem po niej, podobnie jak po żadnej. Nie potrafiłem zapomnieć Julii!

Przez te wszystkie lata uczyniłem wiele, żeby nawiązać z nią jakikolwiek kontakt lub chociażby dowiedzieć się czegoś o jej losie. Udało mi się w końcu ustalić, że profesor Piazzoli zmarł w 1979 roku w psychiatryku, ale ona... Dowiedziałem się tylko, że po tym, jak jej ojciec opuścił Warszawę, towarzyszyła mu, gdy został zesłany w charakterze licealnego belfra do Nowosybirsk, skąd w 1971 za brak przeciwdziałania uczniowskim protestom trafił do zakładu dla umysłowo chorych. Na jakikolwiek ślad Julii po tej dacie nie udało mi się natrafić.

Zastanawiałem się, czy mnie jeszcze pamięta? A może, zrywając z przeszłością, wyszła za mąż, urodziła gromadę dzieciaków... Strzeliły korki od szampanów.

– Za jutrzejszy sukces! – zawołał Kazio junior.

– Nie mówmy hop – oponowałem. – Kto wchodzi na konklawe papieżem, wychodzi jedynie kardynałem.

– Nie zdarzyło się jeszcze, żeby przy sześciu nominacjach nie otrzymać żadnej statuetki – powiedziała Amanda, posyłając mi



promienny uśmiech.

Moja kochana bratowa! Przez te dwanaście lat nasze stosunki przebyły kilka faz. W pierwszych latach, zgodnie z daną obietnicą, próbowałem zajmować się jej synem. Dwukrotnie zabierałem go na wakacje do Kolorado i na Florydę. Zwiedzaliśmy razem Wielki Kanion i ukończyliśmy kurs nurkowy w Cayo Largo. Jednak nie udało mi się zaszczepić w nim polskości, a przynajmniej skłonić go do mówienia w tym egzotycznym języku. Poza tym, z biegiem lat stawał się coraz bardziej niesfornym, trudnym do okiełznania nastolatkiem. Ostatnie wspólne wakacje spędziliśmy razem w Montego Bay na Jamajce w 1973 czy 1974 roku. Stan, Amanda i ja. W cudownej scenerii palm i olśniewającej piaszczystej plaży na krótko znowu zostaliśmy kochankami. Ale był to seks konsumowany na chłodno, bez szaleństwa tamtej dramatycznej nocy. W dodatku któregoś dnia karaibską bajkę przerwał nam Stanley, zaskakując nas na baraszkowaniu w jacuzzi. I potem już nie udało się naszego romansu naprawić. Zresztą nie próbowałem. Dopiero jakieś dwa lata temu Stan II sam zadzwonił do mnie. Zastanawiając się, czy wybrać West Point, czy Annapolis, natrafił na postać Tadeusza Kościuszki, która go zaciekawiła. Przy okazji przypomniał sobie moje opowieści o stryjecznym dziadku Stanisławie, po którym nosił imię. Chciał poznać jego losy. Niedługo potem spotkaliśmy się w Waszyngtonie, który odwiedziłem przy okazji mojego wyjazdu do Anglii, i przegadaliśmy całą noc.

– Kiedyś wygram zimną wojnę i wyzwolę Polskę! – powiedział dobitnie, pijany piwem, które wbrew regulaminowi wyżłopał w całości z hotelowej lodówki.

– Piękna deklaracja! Tylko jak tego dokonasz?

– Zostanę prezydentem obu Ameryk, jak wujek Patrick czy Edward.

Akurat Edward Kennedy nie był może najlepszym wzorem do naśladowania, wprawdzie dość łatwo wygrał wybory w roku 1976, ale pogrzebał swoje szanse na reelekcję nie tylko z racji notorycznego dziwkarstwa, lecz także po tajemniczej śmierci jego

asystentki prasowej, która podczas pobytu w rezydencji Camp David popełniła samobójstwo w niewyjaśnionych okolicznościach.

Praca przy filmach w naturalny sposób ograniczyła moje kontakty z Janem Pawłowiczem. Zresztą wokół kaznodziei znalazły się już takie tłumy ludzi uzdolnionych, sprawnych, że przestałem być niezbędny. W roku 1970, z mojej rekomendacji, do ekipy dołączył Janusz Barczyk i nadał temu pospolitemu ruszeniu solidne ramy organizacyjne. Tymczasem rozgłośnie i stacje telewizyjne rozrastały się na podobieństwo pączkujących drożdży, a możliwości ich założyciela rosły. Wprawdzie nie pełnił żadnych funkcji oficjalnych ani nie przyjmował żadnego tytułu poza honorowymi obywatelstwami czy tytułami doktora honoris causa, ale wystarczył jeden telefon „Pocieszyciela”, aby potężny burmistrz Chicago (przy okazji nie lada łapówkarz) podał się do dymisji, a hierarcha z Filadelfii, oskarżany o pedofilię, złożył urząd i wstąpił do klasztoru.

Jan Pawłowicz, świadom, że era radia przemija, coraz częściej myślał o wykorzystaniu telewizji satelitarnej, która jego zdaniem mogła ostatecznie położyć kres systemowi opartemu na kłamstwie.

Tymczasem plan budowy „alternatywnych Polsk” z każdym rokiem przybierał na sile. W roku 1981 Polacy bez reszty kontrolowali stan Illinois, Saskachewen, brazylijską Paragę i południową Australię; oczywiście pozostawali lojalni wobec państw, w skład których wchodziły „nasze prowincje”. W USA mieliśmy pięciu senatorów i piętnastu członków Izby Reprezentantów oraz trzech gubernatorów stanowych. Na całym świecie, nie licząc zniewolonej Europy, działało trzynaście polskich uniwersytetów. W roku 1978 miał miejsce absolutny ewenement – powstała Rada Regentów, ciało koordynacyjne, złożone z najwyższych autorytetów z czterech opanowanych przez Polaków kawałków świata. Pawłowicz, swoim zwyczajem, nie wchodził w skład tego gremium, ale jego duch unosił się nad nim. W roku następnym dokonał większego cudu. W sanktuarium

Santa Maria del Cobre pod Santiago de Cuba doprowadził do spotkania przybyłych tam incognito z Irlandii i Brazylii dwóch konkurencyjnych papieży. Czy odbył z nimi wielogodzinną rozmowę, czy może było to jedynie wspólne modlitewne czuwanie – nikt z uczestników nie zdradził. Obserwatorzy twierdzą, że spotkanie trwało dwie i pół doby.

Trzeciego dnia na schodach świątyni pojawili się obaj patriarchowie Zachodu, bladzi, niewyspani i wzruszeni, i wśród braterskich uścisków złożyli swoje urzędy.

Zwołane w Hawanie pierwsze od ponad pół wieku konklawe, złożone z dotąd okładających się nawzajem klątwami przedstawicieli obu zwaśnionych wspólnot, dokonało wyboru papieża Kościoła Powszechnego; wybór padł na niemieckiego teologa przebywającego od wczesnego dzieciństwa na emigracji, który przybrał imię Benedykta XVI. Nazwisko Pawłowicza nie pojawiło się w dokumentach odnowionego Kościoła, którego siedzibą stała się Kuba, ale ludy boże, a szczególnie Polacy, nie miały wątpliwości, kto tego dokonał.

„Ten polski brat, ten polski brat, wyzwoli Polskę, zjednoczy świat” – głosił znany wszystkim anonimowy wierszyk.

Tymczasem sam „Pocieszyciel” od kilku lat miał na głowie jeszcze jeden problem. Chyba w ramach wdzięczności za gościnę, postanowił uratować Amerykę.

Kryzys społeczny i polityczny narastający już w latach sześćdziesiątych w połączeniu ze względnym bezpieczeństwem i stabilizacją – światowa równowaga sił, grożąca totalnym atomowym unicestwieniem, pozwalała jedynie na peryferyjne wojny w Azji i Afryce – sprawiał, że autorytarny system stworzony przez Hearsta trzeszczał w szwach. Ale nie bardzo wiedziano, czym go zastąpić. Cenzura, inwigilacja, ograniczenia rasowe, zrozumiałe w latach wojny i zagrożenia, nie były akceptowane w czasach pokoju.

W dodatku boom demograficzny lat pięćdziesiątych sprawił, że – mówiąc skrótowo – za dużo było młodzieży, a za mało wolności. Wyrazicielem owego narastającego napięcia stała się muzyka

młodzieżowa, a zwłaszcza zespół „The Troublers” – piątka chłopaków z robotniczej dzielnicy Glasgow, która na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zawojowała świat. Ich występ 4 lipca 1972 roku w Central Parku przerodził się w zamieszki, które w Dniu Niepodległości wybuchły w centrum Nowego Jorku. Rewolta ogarnęła kampusy uniwersyteckie. Protestowano przeciwko wysyłaniu młodych ludzi na wojnę w Azji (tym razem terenem starć stał się diabelski trójkąt – Iran, Afganistan i Pakistan). Żądano bezwzględności i respektowania pierwszej poprawki do Konstytucji, zapewniającej nieograniczoną wolność słowa, zniesienia FBI w jej aktualnym kształcie, a także ograniczeń obyczajowych. Studentki paliły staniki, a ich koledzy skandowali: Make love not war. Nie wiadomo, kto wymyślił hasło: „zabrania się zabraniać”, ale zrobiło ono zawrotną karierę. Jednocześnie wśród młodzieży pojawiły się narkotyki – afgańskie opium, haszysz, marihuana, koka, halucynogenne grzyby. Moda na ich zażywanie pojawiła się w czasie wojny. Represyjne prawo, karzące śmiercią dilerkę, transport lub hodowlę dragów uchylono jeszcze w roku 1963 po precedensowym wyroku „stan Wirginia przeciwko Johnowi Brownowi”. Rewolta młodzieżowa rozlewała się jak woda podczas wiosennej powodzi. Tłumienie demonstracji przez policję powodowało pokusę uciekania się do terroru. W Bostonie użyto pierwszych bomb domowej produkcji. Wydawało się, że śmierć starej Ameryki jest nieuchronna, a ta która się narodzi, będzie z pewnością inna i trudna do sterowania. Zadziwiające, ale „tradycyjne wartości amerykańskie” uratował nie kto inny niż Jan Pawłowicz. W kontrolowanym przez naszych ludzi stanie Illinois wprowadzono w kwietniu roku 1973 zakaz pokazywania demonstracji i aktów wandalizmu przez telewizję. Moralisci uznali to za złamanie pierwszej poprawki do Konstytucji, ale na burzycieli spokoju społecznego podziałało to jak kubeł zimnej wody. Protest utracił swoje najważniejsze paliwo. W maju strajki i okupacje uniwersytetów ostatecznie wygasły, a do wakacji większość stanów poszła w ślady Illinois.

Po dramatycznej sesji Sądu Najwyższego, podczas której zmarł na serce usposobiony lewicowo prezes trybunału, ograniczenia w pokazywaniu przemocy w programach informacyjnych stały się ogólnoamerykańskim prawem. Żaden szaleniec porywający samolot nie mógł liczyć na to, że zapewni sobie tym działaniem popularność. Nie oznacza to, że problemy z młodzieżą się skończyły. Bunt tlił się, ale słabszy, i nie znajdował tak wielu naśladowców.

Skutków młodzieżowej kontestacji doświadczyła również moja rodzina. Spokojna i potulna dotąd jak myszka Frania, ni z tego, ni z owego porzuciła college i ruszyła szukać szczęścia w młodzieżowej komunie w pobliżu San Francisco. Na prośbę zrozpaczonego Kazia, z pomocą Bagińskiego, ruszyłem na jej poszukiwania. Odnalazłem dziewczynę w zrujnowanym domu na północ od miasta. Kompletnie zaćpaną, brudną i wściekłą. Wśród kilkudziesięciu innych, podobnych jej, zamoczonych ciał. Mimo protestów zabrałem ją ze sobą i próbowałem zawieść samochodem do Chicago. Na początku wyglądało, że półprzytomna ćpunka skapitulowała. Jednak następnego ranka w naszym apartamencie hotelowym wyszła z łazienki kompletnie naga.

– Nie wypierdoliłbyś mnie? – zapytała prowokacyjnie, kołyszając niewspółmiernie obfitymi, jak na swój wiek, piersiami.

– Jestem twoim stryjem – odparłem, próbując zachować spokój.

– Stryj nie stryj, kutasa ma. – zaśmiała się, szczerząc swoje piękne ząbki. – A ja bardzo to lubię. Wiesz, że wczoraj zerznęło mnie sześciu facetów... Nie, chyba siedmiu.

Nie chciałem tego słuchać. Próbowałem perswazji. Rzuciła się na mnie z pięściami. Uspokoilo ją dopiero uderzenie w twarz otwartą ręką. Zaczęła płakać i błagać o narkotyki. Na siłę ją ubrałem.

Potem wezwałem pomoc medyczną.

Odtrucie i dowiezienie Franciszki do domu rozwiązało tylko drobną część jej problemów. Wkrótce okazało się, że w trakcie swej eskapady zaszła w ciążę, nie wiadomo z kim, i dodatkowo złapała obrzydliwą odmianę afgańskiego syfa, przywleczoną przez naszych żołnierzy. Ale może właśnie ta trauma ją uspokoiła; po

urodzeniu Łukasza, chłopca z 40% stopniem upośledzenia, zrozumiała życiową nauzkę! Dziś, ze swoim mężem, kieruje jedną z kilkunastu klinik „Pocieszyciela” dla osób z porażeniem mózgowym.

Jeśli chodzi o mnie, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych moje kontakty z medialnym koncernem Pawłowicza mocno osłabły. Zajęty projektami telewizyjnymi, po prostu nie miałem czasu na gorzej płatne radio.

\*

Sukces w walce z wzajemnym nakręcaniem się protestów przez telewizję i telewizji przez protesty był dopiero pierwszą wygraną potyczką w batalii o amerykańską młodzież. Istotna była zmiana klimatu. Chociaż Rockefeller okazał się dość miękkim prezydentem, a Edward Kennedy nie próbował nawet naśladować swojego najstarszego brata, dwóch pozostałych prezydentów tej epoki trudno by nazwać mięczakami. Myślę o Alvinie Mayersie oraz Thomasie Horacym Greeleyu, nieprzypadkowo noszącym imię słynnego dziennikarza, autora nieśmiertelnej frazy: „Idź na Zachód młody człowieku i rośnij wraz ze swoją ojczyzną”. Współczesny Greeley, hollywoodzki aktor, który wbrew politycznej logice został w 1980 roku wybrany na prezydenta USA, rzucił zgoła inne hasło niż jego domniemany przodek: „Pora na Wschód!”. Co nie znaczyło, że nie rozumiał potrzeby zaprowadzenia porządków we własnym, zabałaganionym domu i, co istotne, nie zlekceważył rad „Pocieszyciela”. Tymczasem Jan Pawłowicz, wcześniej niż ktokolwiek inny, jeszcze u schyłku lat osiemdziesiątych zdefiniował największe zagrożenie wolnego świata i zdemaskował owego raka, przerastającego wolny świat i degenerującego jego kulturę. Największym zagrożeniem Cywilizacji Białego Człowieka miała być, jego zdaniem, reklama. Tak, owe niewinne kilka czy kilkanaście minut w trakcie filmu czy widowiska, wypełnione zachwalaniem środków piorących, słodyczy lub samochodów.

Kiedy pierwszy raz powiedział mi o pomysle swojej krucjaty, nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi.

– Interesowały cię kiedykolwiek pasożyty świecie roślinnym? – zapytał i, usłyszawszy, że nie, kontynuował – tylko pozornie może się wydawać, że stan symbiozy jest w równym stopniu korzystny dla nosiciela i noszonego. Pasożyt, zapuszczając korzenie, nawet jeśli nie zabije organizmu, na którym żeruje, nieuchronnie go zmienia. Wydawać by się mogło, że bezpłatne media są błogosławieństwem. Nie trzeba wykupywać licencji czy płacić abonamentu, ewentualnie finansować nadawania programów z podatków. Ale to przecież pozory. Płacimy, i to znacznie więcej, w cenie reklamowanych produktów. Finansujemy nie tylko dziesiątki kanałów, które będą się mnożyć coraz bardziej, aby mieć coraz większą przestrzeń do zagospodarowania przez reklamy, lecz także nabijamy kiesę pośrednikom, całemu rosnącemu sektorowi, który licho wie gdzie zechce te pieniądze reinwestować. O ile zdrowszą sytuację mamy w kinematografii. Widzowie wydają swoje pieniądze, wybierając określony produkt. W uzależnionej od reklam telewizji najbardziej istotne jest to, żeby widz nie zmienił kanału w odbiorniku. Ergo już wkrótce, kiedy ten system zapanuje bez reszty, nie będzie premiowane nic, co nowatorskie, ciekawe, ale przeciwnie. Ludzie w swej masie uwielbiają to, co jest znane i chętnie ulegają umysłowemu lenistwu. Wolą plotkę niż rzetelne przekazanie problemu, podglądanie niż uczenie się. Ostatnio zacząłem czytać fantastykę – widzę, jak drastycznie, ale przewidująco pokazuje ona telewizję przyszłości – transmisje ze zbrodni i egzekucji, seks na żywo – byle tylko zwiększyć oglądalność. Ciekawe, że raz to już przerabialiśmy.

– W starożytnym Rzymie.

– Tak, przyjacielu. Igrzyska, już w pierwszym wieku po Chrystusie, gdy prawo nieograniczonego wyboru dano gawiedzi, okazały się popularniejsze od teatru. I zabiły go. Wiem, że to brzmi niedemokratycznie, ale sztuka rozwijała się tylko wówczas, gdy istniał światły mecenas, kulturotwórcza elita, a twórca nie

musiał liczyć się z pospólstwem.

– Masz rację – zgodziłem się, przygwożdżony logiką jego argumentacji. – Tylko że nic nie możemy zrobić.

– Możemy.

– Co, na przykład?

– Trzeba doprowadzić do całkowitego zakazu reklamy w mediach. Rewolucyjność tego pomysłu po prostu mnie zatkała.

– Ależ to spowodowałoby natychmiastowe bankructwo połowy stacji! – zawołałem.

– Powiem więcej, 95%! Tylko zastanów się, po co nam taka jak dziś liczba producentów siczki, w dodatku z każdym rokiem narastająca lawinowo? I tak nie da się oglądać wszystkich naraz. Niech pozostanie parę, rywalizujących o poziom. Człowiek, który będzie musiał zapłacić za to, co ogląda w domu, będzie więcej wymagał. A że sporo groszorobów pójdzie z torbami? Tym bym się nie martwił. Dorobią się na czymś innym.

Ta wojna miała mu zabrać parę lat. Chociaż wydawało się, że tym razem z góry jest skazana na przegraną. Pawłowicz nigdy nie był ulubieńcem mainstreamowych mediów. Próbowali go kupić i przerobić na własną modłę, ale wbrew ich wysiłkom nigdy nie stał się typowym celebrytą. Nie zgadzał się na sesje zdjęciowe, nie opowiadał o swoim życiu, ale również nie roztaczał aury sztucznej tajemniczości. O ile od momentu pogodzenia się papieży miał pełne poparcie katolików obu Ameryk, protestanci darzyli go rosnącą niechęcią, a ateści uważali za wroga.

Domyślałem się też, co myślano i mówiono o nim za granicą, a zwłaszcza na Kremlu. Podejmowano wiele prób, by go skompromitować, wytaczano mu procesy na podstawie fałszywych oskarżeń, podrzucano młode kobiety i pięknych chłopaczków, podstawiano donosicieli, gotowych oskarżyć go o wszystko, od kradzieży po sodomie. Na nic!

Mam powody sądzić, że sięgano także po bardziej drastyczne metody. Nikt nie policzy, ile razy jego wóz cudem uniknął drogowego wypadku. Nagle przestawały działać hamulce, psuł się układ kierowniczy, albo raptownie na drodze wyrastała



zaparkowana w poprzek ulicy cysterna z benzyną... Podejrzewam, że chronił go nie jeden, ale cały zastęp aniołów stróżów, nie licząc oddanych przyjaciół, gotowych poświęcić dla niego życie. Parę razy wśród osób próbujących się z nim spotkać wykryto broń, raz przyczepa, podobna, ale tylko podobna do tej używanej przez niego, wyleciała w powietrze, jakoby wskutek wybuchu butli z gazem...

Kampania, nazwana „Bitwą o czysty eter”, przysporzyła mu więcej wrogów niż dotychczas. Cały zagrożony sektor obrócił się przeciwko niemu, angażując najlepsze pióra, najbardziej znanych prezenterów i producentów. Co gorsza, mimo nalegań Barczyka, „Pocieszyciel” nie zgodził się na zatrudnienie profesjonalnych ochroniarzy. – Moje życie jest w ręku Boga – powtarzał. Janusz mógł jedynie załamywać ręce i chronić go wbrew niemu.

\*

Barczyk! W tamtych latach nie przychodziło mi do głowy, aby głębiej zastanawiać się nad istotą naszej przyjaźni. Dziś sądzę, że lubiłem go na zasadzie przyciągających się przeciwieństw. Ja, jajogłowiec uwielbiający dzielić włos na czworo – on człowiek czynu, odważny i szybko podejmujący decyzje. Prosty, choć nie prostak. Mogłem się śmiać z jego prób literackich, ale to on, nie ja, napisał hymn polskiej diaspory.

„Dróg wiele, wiele kontynentów,  
i wspólnych marzeń trzech pokoleń,  
nie mamy czołgów ni okrętów,  
serce ma starczyć za busolę.  
I zanim wrócą nasze wojska  
nad Wisłę, Wartę, Niemen, Prut  
gdzie my – tam Polska, gdzie my – tam Polska  
tak nam dopomóż Bóg”.

Czy naprawdę go znałem? Nawet kiedy ostro piliśmy, nie otwierał

się do końca. Nie opowiadał o swoich kobietach, choć zdobywał je z nadzwyczajną łatwością, nie wyjawiał powodu, dla którego nigdy nie założył rodziny. Czasami uciekał, brał urlop, jechał gdzieś na tydzień, wracał zielonkawy, chory z przepicia, ale ze wzmożonym zapalem rzucał się w wir pracy. Mnie zastępował Michała i Witka, a w pewnym sensie Ojca. Kiedy ważyły się losy serialu „Z archiwum grozy”, pokłóciłem się z Kingiem, który chciał całego splendoru dla siebie, a ja, zniechęcony, gotów byłem rzucić wszystko. Wtedy Janusz przyjechał do mnie i powiedział: „Możesz, musisz, dasz radę!”. I podniosłem się jak Anteusz po dotknięciu Matki Ziemi, jeszcze raz postawiłem twardo swoje warunki i nie odstąpiłem ani na jotę od pryncypiów artystycznych. I wygrałem.

„Księgi pielgrzymstwa – milion tomów.  
A każdy jak Zygmunta dzwon.  
I tyle różnych dróg do domu.  
Chociaż we mgle dalekiej dom.  
Jest takie miasto, taka wioska,  
gdzie nas rodzinny wzywa próg  
czeka nas Polska, czeka nas Polska,  
tak nam dopomóż Bóg!”

Zadzwoił do mnie tamtego popołudnia z lotniska w Las Vegas. Byłem właśnie w ferworze rodzinnych powitań. Między uściskami Frani, dość ostrożnymi, bo była w kolejnej ciąży, i pocałunkami Amandy, jeszcze ostrożniejszymi, żeby nie wzbudzić zazdrości zakochanego w niej męża. Głos Janusza wydał mi się zmęczony i jakby zachrypnięty, ale być może sprawiał to warkot samolotowych silników rozbrzmiewający w tle.

– Masz nadal tę skrytkę pocztową? – pytał.

– Mam, ale...

– Zajrzyj do niej jutro, znajdziesz cod ciekawego.

Słowa brzmiały jak nakazy dowódcy. Nigdy, od czasu naszej afrykańskiej ucieczki nie mówił do mnie w ten sposób.

– Gdzie jesteś? – zapytałem, chcąc cokolwiek powiedzieć.  
– W Vegas – odparł. – Wynająłem małą, zwinną cessnę i zaraz siadam za sterami.  
Pilotowanie małych samolotów stanowiło w ostatnich latach jego największe hobby.  
– Rozumiem, że stawisz się u mnie. Tylko ciebie tu brakuje.  
Nie odpowiedział wprost.  
– Muszę jeszcze coś załatwić w Reno. Mam do ciebie tylko jedną prośbę. Oglądaj telewizję.  
– Słucham?  
– Oglądaj dziś wieczorem telewizję.  
Żałuję, ale nie spełniłem jego prośby. Nie miałem takiej możliwości. Zajęte obowiązkami rodzinnymi bawiłem się wesoło, póki nie zadzwonił brat Jerzy, sekretarz Pawłowicza.  
– Już pan wie? – zapytał grobowym tonem.  
– O czym? – spytałem, czując lodowate dotknięcie strachu.  
– Co za nieszczęście, co za strata!  
Upłynęła dobra minuta, zanim dotarło do mnie, że pilotowana przez Barczyka cessna rozbiła się w Nevadzie.

## XIX

W połowie drogi

Kaseta, która czekała w skrytce założonej na moje nazwisko, należała do najtańszych i najbardziej standardowych. Pasowała praktycznie do każdego domowego magnetowidu. Z moim włącznie.

Janusz musiał nagrać ją wczesnym ranem, na pustyni. Dowodził tego cień stojaka z kamerą, widoczny w pierwszych ujęciach. Potem światło stawało się coraz mocniejsze, cień się skracał, w końcu zupełnie zniknął z kadru.

Na obrazie colonel Barczyk (takiego stopnia używał w trakcie swej afrykańskiej kampanii) był spokojny, ale bardzo smutny. Od naszego poprzedniego spotkania schudł, szerniał, pod oczami

pojawiły się sine worki, a kąciaki wesołych zazwyczaj ust smętnie opadły.

„Doszedłem do kresu – zaczął. – W momencie, w którym przyjdzie ci oglądać to nagranie, będę śledził twoje poczynania już z drugiej strony. Są drogi bez wyjścia, z których zejść można w jeden tylko sposób, który wielu nazwie aktem tchórzostwa lub desperacji. W moim wypadku wszystko zostało gruntownie przemyślane i wynika z rozwiązania pewnego matematycznego wzoru.

Mówiłem o jednokierunkowej drodze. Wstąpiłem na moją bez własnej woli, jako dziecko, zostając janczarem systemu.

Zaakceptowałem tę rolę. Miałem silną motywację. Mój ojciec nie zginął wskutek napromieniowania. Nie. Wziętego do niewoli, rozstrzelali go francuscy partyzanci z Wandeï. Czy to nie wystarczający powód, żeby zostać komunistą? Wszystko, co zdarzyło się w moim życiu, stanowiło wyłącznie prostą konsekwencję ukierunkowania i wyboru. I kłamstwo, i zdrada, i zbrodnia. Byłem na służbie jako kadet, jako słuchacz szkoły wywiadu, jako oficer SMIERSZ-u, wreszcie jako twój przyjaciel, wolny Amerykanin, prawa ręka Jana Pawłowicza”.

Poczułem okropną suchość w ustach, ale nie mogłem się oderwać, słuchałem więc dalej.

„Inna sprawa, że początkowy idealista z biegiem lat zmienił się w cynika. Robiłem, co robiłem, coraz słabiej w to wierząc. Kiedy ostatecznie utraciłem wiarę w komunizm? Bardzo dawno. Chyba jeszcze przed wyjazdem do Egiptu, tyle że nie mogłem się wycofać. Mogłem, ale tylko w taki sposób, w jaki dziś to zrobię. Trzymali mnie za uszy, za jaja, za serce. Jeszcze podczas studiów poznałem dziewczynę, Tatianę. Zauroczenie, miłość, ślub, parka bliźniaków, potem trzecie dziecko. Tym sposobem sam wyprodukowałem zakładników. Moi zwierzchnicy nie musieli mi grozić, żebym dokładnie wiedział, co się stanie, jeśli spróbuję

zdrady. Jest jeszcze jeden element, o którym przychodzi mi mówić ze wstydem – polubiłem tę paskudną robotę. Świadomość, że pracuję pod przykryciem, że jestem demiurgiem ludzkich losów, a od mojej pracy mogą zależeć losy państw i narodów, przy całej swojej parszywości miała zniewalający smak. Smak władzy! W sumie świetnie bawiłem się w Egipcie. Tak, przyjacielu, cała nasza »wielka ucieczka« odbyła się na niby, stanowiła pysznie rozegraną komedię. Libańczyk należał do grona kadrowych funkcjonariuszy. Nawet rzekome trafienie śmigłowca zostało zainscenizowane, podobnie jak zwłoki sudańskich więźniów jako siepaczy, których rzekomo zabiłem opodal oazy. Wy, szczęśliwcy, którym udało się wyrwać z Obozu Pokoju i Socjalizmu, służyliście jedynie do uwiarygodnienia mojej legendy. Legendy dzielnego kapitana, ochotnika w Legionie Amerykańskim, walczącym w obronie Wolnego Świata. Moi zwierzchnicy sądzili początkowo, że zrobię karierę w wojsku. Później jakiś bystry analityk zorientował się, że istnieje większe zagrożenie dla Imperium. Jan Pawłowicz. Wykorzystałem cię, Marcin, aby się do niego zbliżyć, zaskarbić jego zaufanie, wprowadzić następnych naszych ludzi. Pomysły, co z tym fantem zrobić, zmieniały się. Sądzę, że nie miały wpływ na ich opracowanie miał sam Wielki Jurij Andropow. Początkowo liczone, że »Pocieszyciel« może się przydać, doprowadzając do ogólnoamerykańskiego konfliktu między katolikami a protestantami, albo że uda się pogłębić rozkład w kościele katolickim. Pojawiły się też miraże o werbunku Pawłowicza. Ludziom z Łubianki nie przychodziło do głowy, że mają za przeciwnika świętego. Nie wiem, kiedy zorientował się, jaką gram rolę, może od początku wiedział, że gram, że udaję podczas uczestniczenia w praktykach religijnych, kłamię podczas spowiedzi. I nic nie zrobił? Ale owszem zrobił. Przerobił mnie! Jak rękawiczkę odwrócił na drugą stronę! Ja, zdeklarowany ateista, wierzę dziś w Boga. Ja, wykorzeniony ruski pacholek, czuję się Polakiem. Ja, superagent, nie marzę o niczym innym, niż o upadku systemu, któremu służyłem całe życie. I wiem, że może dokonać tego

Pawłowicz wraz z milionami słuchaczy.

Czy wiesz, że w Polsce zaczynają powstawać wolne związki zawodowe?

Kiedy władarze Imperium Zła ostatecznie stracili cierpliwość?

W dniu, w którym zakończył Wielką Schizmę, kiedy powołał Radę Regentów Polskich Prowincji, czy kiedy zeszłego lata, po drastycznej podwyżce cen, fala strajków przetoczyła się od Wilna po Lwów? Tego nie wiem. Wiem, że padł rozkaz. W ciągu tygodnia problem o nazwie »Pocieszyciel« ma zostać wyeliminowany. Co to oznacza w języku SMIERSZU-u, wiadomo. Kazano mi wyjechać do Las Vegas. Abym był daleko od Chicago, kiedy to się stanie... To jasne, jestem agentem wielokrotnego użytku. Po Pawłowiczu przyjdzie czas na papieża Benedykta albo na prezydenta Greeleya.

Nie znam szczegółów operacji. Co nie znaczy, że nic nie mogę zrobić. Ale tylko z za grobu. Sądzę, że moja »przypadkowa« śmierć uchroni mnie przed zarzutem zdrady i nie narazi moich najbliższych na represje. Przeciwnie, Tatiana dostanie rentę, dzieci trafią do najlepszych czekistowskich szkół. Mam nadzieję, że nim dorosną, Eurosoc upadnie. Już dziś nie może wytrzymać ciężaru wyścigu zbrojeń, jaki narzucił mu prezydent Greeley. Przegrywają wyścig technologicznie. Niewolnicy kiepsko budują komputery. Mimo sześćdziesięciu lat prób i błędów nie udało im się wyprodukować sowieckiego człowieka. Choć zniewoleni – Francuzi, Niemcy, Hiszpanie – pozostają sobą, a Kaukaz czy Bałkany to nadal beczka prochu. Jakież piękny to będzie upadek! Ale do rzeczy – opowiem ci teraz wszystko o naszej siatce, od głównego rezydenta, nie domyśliłbyś się, konsula Finlandii w Chicago, po trójkę agentów w domowym kręgu »Pocieszyciela«: kierowcy, realizatora wizji i szefa wartowników w budynku rozgłośni. Sam ich tam wprowadziłem. Podobnie jak kucharza. Ten pomysł z kucharzem był najlepszy, a otrucie Pawłowicza trzy miesiące temu w oczach Moskwy wydawało się najlepszym posunięciem. Dlatego sam otruję swojego człowieka. Tak, Marcinku, z zimną krwią zamordowałem tego

pulchnego grubaska, podając mu truciznę, którą on miał podać swemu chlebobdawcy. Całe szczęście, że moi zwierzchnicy uznali to za wypadek przy pracy. Usilnie pracowałem nad tym, aby nigdy nie stać się obiektem podejrzeń. Chociaż w naszym systemie, podejrzany są wszyscy.

Kiedy wysłuchasz kasety do końca, proponuję, abyś zwrócił się do senatora Barry'ego Kasprowa, który jest fiszą w komisji do spraw Bezpieczeństwa Narodowego. Powiem ci, jak rozbroić tę bombę, aby podejrzenie nie padło na mnie...”

Następny kwadrans nagrania wypełniały szczegóły i precyzyjne wskazówki. A na koniec Janusz zbliżał się do obiektywu, mówiąc:

„Parę dni temu próbowałem ostrzec »Pocieszyciela«, skłonić go, aby przynajmniej podczas publicznych wystąpień nosił kamizelkę kuloodporną. Groch o ścianę! Może tobie się uda. Musisz natychmiast lecieć do Chicago. Sprawić, by moi agenci nie mieli do niego dostępu. Masz duży wpływ na brata Jana (jeśli można powiedzieć, że ktokolwiek ma na niego wpływ), toteż może uda ci się go namówić, żeby obejrzał tę kasetę. I żeby, jeśli to możliwe, pomodlił się za mnie”.

Dalej już była tylko ciemność.

\*

Trzeba było zrobić, jak radził. Rzucić wszystko, olać ceremonię w Chińskim Teatrze i natychmiast jechać do Chicago. Ale jak miałem zrezygnować z najważniejszego dnia w moim życiu? Wybrałem rozwiązanie połowiczne, zadzwoniłem do księdza Popiołka i przekazałem ogólnikowe ostrzeżenie. Potem obejrzałem kasetę wspólnie z Barrym. Kasprow potraktował rzecz bardzo poważnie i jeszcze tego samego popołudnia kopia taśmy wylądowała u federalnych w Los Angeles.

– Jeśli do ewentualnego zamachu pozostał tydzień, nie ma się

czego bać – uspokajał mnie mąż Amandy.

Późnym popołudniem zadzwonił Pawłowicz, wyśmiał moje obawy i gratulował powodzenia „Matriarchatu”, ale jednocześnie delikatnie zganił.

– Nie uważasz jednak, że twoje ostatnie dzieła są trochę poniżej twoich możliwości? Doskonale śmieszysz, straszysz. Czy jednak nie pora zacząć mówić o sprawach najważniejszych?

– To znaczy?

– Społeczeństwo amerykańskie nie zna historii świata. Nawet własną kojarzy kiepsko, o naszej nie ma w ogóle pojęcia.

Marzyłyby mi się filmy, mówiące o przeszłości. Polski i Europy, które pokazywałyby wspaniałość lat minionych i dawały perspektywę przyszłości.

– Niestety, filmy historyczne są niezwykle kosztowne.

– Ale dobrze zrobione, zwracają się po stokroć. Potrzebuję cię, Marcin, moje plany wkraczają w kolejną fazę. A ludzie mądrzy i zdolni będą w niej wartością ogromną. Bardzo chciałbym, żebyśmy mogli o tym porozmawiać.

– Mogę wpaść w przyszłym tygodniu.

– Będę czekał, bardzo liczę na ciebie.

Ceremonia w Teatrze Chińskim dostarczyła fantastycznych wrażeń, chociaż nie takich, jakich się spodziewałem.

„Matriarchat” otrzymał pięć Oskarów. W zestawieniu z wcześniejszymi nominacjami zabrakło tylko jednej figurki. Za scenariusz, dla mnie! Przegrałem z jakąś kobitą, która stworzyła opowieść o pokracznym stworku z kosmosu, przygarniętym przez grupę amerykańskich dzieciaków.

– Zamiast nagradzać satyryczny pomysł, dworujący sobie z feminizmu, akademia wybrała dużo bezpieczniejsze dzieło gloryfikujące tolerancję – pocieszał mnie Bagiński. – Ośmieszyli się i tyle!

– W sumie te wszystkie pięć statuetek jest twoją zasługą – podkreślał Kazik junior. – Bez ciebie „Matriarchatu” by nie było. Niby prawda, ale w świat idzie wynik, nie zasługi. Na bankiecie upiłem się haniebnie, także urwał mi się film. Bagiński twierdził,



że kiedy odwoził mnie do domu, koniecznie chciałem zabrać mu kierownicę i jechać do Chicago. Ja niczego takiego nie pamiętam.

\*

Pierwszy kwietnia 1982 roku został zapamiętany w Chicago jako nieoczekiwany atak mrozu. Zimny wiatr z północy napędził śniegowe chmury, a obfite opady na parę godzin całkowicie sparaliżowały miasto. O świcie kompleks budynków radia Wolna Polska wyglądał tak, jakby właśnie miało nastąpić Boże Narodzenie.

Wewnątrz wszystko podążało zwykłym torem. Rano Jurek Popiołek, młody ksiądz, który przed paru laty uciekł z Polski do Irlandii w kontenerze, odprawił nabożeństwo, za temat kazania wybierając znany zwrot z listu świętego Pawła apostoła do Rzymian: „Zło dobrem zwyciężaj”. Potem w stołówce, nazywanej „świeckim refektarzem”, całość personelu spotkała się na śniadaniu. Przy stoliku Pawłowicza zgromadziło się kilkoro dzieci, nagrywających tego dnia piosenki do telewizyjnej audycji. Nikt nie zauważył wejścia Grzegorza Piotrkowskiego, jednego z wzorowych strażników naszego terenu. Cały ranek zajmował się odgarnianiem śniegu i miał na sobie grubą kurtkę. Świadków zaskoczyło to, że twarz, która po godzinie pracy na mrozie powinna tryskać purpurą, była kredowo biała.

Piotrkowski nie powiedział ani słowa. Energicznym szarpnięciem otworzył zamek błyskawiczny swojej kurtki. Na jego piersi błyszczał automatyczny pistolet. Chwycił go i bez uprzedzenia zaczął strzelać.

Szedł między stołami jak android z filmu SF, prażąc na prawo i lewo. Kule szatkowały dziennikarzy, zakonnice, techników. Pękały wazy z zupą mleczną i dzbanki z kawą. Kto mógł, krył się za stołami, przypadał do ziemi. Jan Pawłowicz znajdował się po drugiej stronie sali, miał mnóstwo czasu, aby uciec lub ukryć się za barem. Nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Powstał i ruszył naprzeciw napastnika.

– Człowieku, w imię Boga, powstrzymaj się! – mówił spokojnie. Piotrkowski wydawał się go nie słyszeć ani nie widzieć, wzrok miał błędny. Ale kule omijały „Pocieszyciela”. Aż do momentu, kiedy z ziemi poderwało się wrzeszczące dziecko. Morderca, jak zaprogramowany robot, zwrócił ku niemu broń. Pawłowicz był szybszy. Zasłonił sobą dzieciaka, potok wyplutych pocisków przeciął jego ciało, ugodził w pierś, brzuch, głowę.

– Kaznodzieja osunął się na ziemię.

Piotrkowski przestał strzelać. Jak maszyna, wykonał w tył zwrot i opuścił salę.

Ze wszystkich stron odzywały się jęki rannych i konających.

Ksiądz Popiołek podbiegł do leżącego szefa.

– Jeszcze żyje. Karetka. Trzeba wezwać karetkę!

Bilans zamachu był straszliwy, czternaście osób zmarło natychmiast, pięć następnych w drodze do szpitala lub na oddziale intensywnej terapii. Rannych było około dwudziestu.

W ciągu najbliższej doby Pawłowicz przeszedł dwie operacje. Żył nadal, ale jego stan był ciężki, a przytomność nie wracała.

Cała Ameryka zamarała w gniewie i rozpacz. Oświadczenie wydał prezydent, w modlitwie pogrążył się papież. Zaczęto też powszechnie domagać się wyjaśnienia kulis tej okropnej zbrodni.

Grzegorz Piotrkowski nie udał się daleko. Odjechał do hoteliku nad jeziorem Michigan, gdzie godzinę później strzelił sobie w usta z pistoletu. Nie udało się ustalić, czy w tym momencie był sam i czy ktokolwiek rozmawiał z nim między zbrodnią a samobójstwem.

Prasa zajęła się jego biografią. Był polskim marynarzem, uciekł ze statku Eurosocu dostarczającego broń dla rebeliantów w Rogu Afryki. Jakiś czas przebywał w Mombasie, gdzie zaciągnął się do Legionu Amerykańskiego, przez pięć lat walcząc na różnych frontach z komuną. Przez wspólnych znajomych poznał Barczyka, a ten udzielił mu rekomendacji i zatrudnił jako strażnika w chicagowskiej rozgłośni. Spokojny, od niedawna rozwiedziony, ojciec dwojga dzieci, nigdy nie sprawiał kłopotów. Przeciwnie, jako pracoholik był rekordzistą nadliczbowych dyżurów. Sekcja

zwłok wykazała, że w ostatnim czasie nadużywał narkotyków, a w trakcie zamachu był pod wpływem silnych środków pobudzających. Kto mu ich dostarczył, nie udało się stwierdzić. Po długotrwałym śledztwie ustalono, że działał sam, a jego zamach był wynikiem przepracowania i załamania nerwowego po rozwodzie.

Senator Kasprow nigdy nie pogodził się z tym wynikiem. Uważał, że ktoś otrzymał cynk od FBI na temat materiałów pozostawionych przez Barczyka. Zamach został przyśpieszony. Nieprzypadkowo konsul Finlandii i paru innych agentów wskazanych przez Janusza zniknęło tamtego dnia na zawsze. Złapano jedynie płotki.

\*

Tydzień po dramatycznych wydarzeniach dotarłem do Chicago i pierwsze kroki skierowałem do szpitala św. Franciszka, by odwiedzić Jana Pawłowicza. U jego łoża czuwał ksiądz Jerzy Popiołek, szczupły, delikatny, o niesamowitych oczach przywodzących na myśl postacie z obrazów El Greco.

– Jest lepiej, ale ciągle nie odzyskuje przytomności – powiedział, witając się ze mną serdecznie.

– A co mówią lekarze? Wyjdzie z tej śpiączki?

– Nie mają pojęcia. Może obudzi się w każdej chwili albo... nigdy. Ostatnie słowo wypowiedział szeptem.

Popatrzyłem na zabandażowaną głowę spoczywającą na poduszce. „Pocieszyciel” oczy miał zamknięte, do nosa doprowadzona była rurka z tlenem. Czulem głuchą rozpacz. On, wulkan energii, leżał bezradny jak dziecko. Zastanawiałem się, gdzie był Bóg, kiedy do tego doszło. Gdzie anioł stróż?!!

– Chyba przeczuwał, że coś takiego może nastąpić – rzekł Popiołek. – Zostawił list dla pana.

To mówiąc, wręczył mi firmową kopertę. W środku była złożona kartka, a na niej jedno krótkie zdanie: „Pomóż nam”.

– Kiedy to napisał?

- Nie wiem. Wręczył mi tę kopertę tamtego ranka, zaraz po mszy. Pół godziny przedtem, zanim to się stało. Wiem, że nie zmrużył oka tamtej nocy, tylko leżał krzyżem w kaplicy, modląc się. Chwilę obracałem kartkę w rękach, tak jakbym wierzył, że cudownym sposobem pojawi się na niej dalszy tekst.
  - Jak mam to rozumieć? – zapytałem Jerzego Popiołka.
  - Sądzę, że dosłownie. Powinieneś wrócić do nas. Przynajmniej na jakiś czas go zastąpić.
  - Ksiądz wie sto razy lepiej niż ja, że Jan jest niezastąpiony.
  - Mimo to coś zrobić musimy. Nie rozejdziemy się przecież, nie rozpuścimy naszej rozproszonej po całym świecie owczarni. Ktoś musi prowadzić dalej jego dzieło. Dziś wydaje się to niewykonalne. Nagle zostaliśmy bez przewodnika, grupka słabych, przestraszonych ludzi. Bez lidera.
  - Jest ksiądz. Słuchałem ostatnio transmisji „Mszy za Ojczyznę”. Robi wrażenie.
  - Ale kim ja jestem? Prostym chłopakiem z Białostoczczyzny, nadającym się co najwyżej na wikarego w jakiejś niedużej parafii.
  - Tylko co wam może pomóc człowiek słabej wiary, były chwalca Feliksa Dzierżyńskiego, goniący za życiowymi uciechami hedonista, spec co najwyżej od fantastyczno-nienaukowych historyjek.
  - Mogę powtórzyć jedynie to, co powiedziałyby panu nasz brat Jan: trzeba nam pańskiej fantazji i wyobraźni. Ponieważ przed nami są cele, zapierające dech i przedsięwzięcia, które nie mieszczą się w głowie.
- Popatrzyłem na nieruchomą postać na łóżku i roześmiałem się sztucznie.
- Proszę wybaczyć, ale mam inne plany.
- Faktycznie miałem. W trakcie oskarowego bankietu, zanim jeszcze całkiem się upiłem, chociaż już znajdowałem się na krzywej wznoszącej, odbyłem mnóstwo rozmów z producentami, reżyserami, aktorami i kolegami po piórze. Gdyby choć jedna dziesiąta z propozycji i pomysłów, które tam wówczas padły miała się zrealizować, nie wyrobiłbym się z robotą aż do końca tego

stulecia.

– Będę was wspierał i oczywiście pomagał w miarę możliwości – dodałem, podnosząc się z krzesła.

Popiołek w tym momencie wydał się jeszcze mniejszy i drobniejszy, jakby cały gigantyczny ciężar, który spadł na niego, dosłownie wbijał go w szpitalną wykładzinę. Podeszedłem do bezwładnego „Pocieszyciela” i pogłaskałem rękę z wklutą igłą od kroplówki. A potem coś podkusiło mnie, żeby uścisnąć mu dłoń na pożegnanie.

– Zrobiłem to.

– Żegnaj, „Pocieszycielu”!

Poczułem nagle falę gorąca, ogarniającą mnie od stóp do głów. Bezwładna dłoń delikatnie oddała mi uścisk. Tak, jakby wielki duch w tym bezwładnym ciele i mózgu, zdaniem większości lekarzy nieodwracalnie obumarłym, nadal trwał i zachowywał pełną świadomość.

– Coś się stało? – Popiołek musiał zauważyć nagłą zmianę na mojej twarzy – może wody?

– Nie, nic, jestem tylko trochę wzruszony.

Musiałem wyjść. Opuścić ten szpital. Pozbyć się ciężaru, który mnie dławił. Dopiero na parkingu dostrzegłem coś, czego wcześniej nie zauważyłem. Nadeszła wiosna. Wiejący północno-zachodni wiatr nagle ścichł i wzeszło słońce, błyskawicznie roztopiające śnieżną warstwę. Świat zrobił się zielony, a ja od razu poczułem się lepiej.

Początkowo zamierzałem zostać w Chicago kilka dni, żeby pospotykać się z ludźmi. Między innymi dlatego wybrałem się samochodem, nie samolotem. Teraz zmieniłem zdanie. Należało dokonać chirurgicznego cięcia. Bolesnego, ale koniecznego! Dlatego skręciłem w kierunku radiowego kompleksu. Musiałem zabrać kilka pamiątek z mojego dawnego pokoiku, tak żeby już po nie nie wracać.

Już od wejścia uderzyła mnie panująca tam pustka. Gmach przy Milwaukee przypominał płaszcz, z którego wyparował właściciel. Puste było stanowisko strażników... Czego mieli pilnować?

Zniknęła szatniarka. Z pokojów nie dolatywał stuk maszyn ani dźwięki muzyki z taśm, przygotowywanych do emisji. Nad żadnym z wejść do studiów nie paliła się czerwona lampka i napis: „Cisza. Nagranie”.

Chcąc dostać się do mojej kanciapy, musiałem przejść całą długość osieroconego królestwa. Byłem mniej więcej w połowie, kiedy uchyliły się drzwi reżyserki i stanęła w nich szczupła blondynka, której dotąd nie poznałem.

– Czekamy na pana. Za dwie minuty emisja.

Popatrzyłem na zegarek i zdałem sobie sprawę, że dochodzi pora codziennej rozmowy Pawłowicza z rodakami. Od tygodnia nadawano powtórki jego najlepszych wystąpień.

Chciałem wejść do reżyserki, ale dziewczyna, najwyraźniej nowa techniczka, uśmiechnęła się i otworzyła przede mną drzwi studia. Prosty stół pokryty zielonym sukniem, stojący mikrofon, karafka z wodą mineralną, sterta wycinków z gazet i listów z całego świata wymagających odpowiedzi.

Machinalnie usiadłem, nałożyłem słuchawki. Zza szyby pozdrowił mnie nasz najlepszy realizator Krzyś Kozłowski.

– Minuta do emisji – zachrypiało w słuchawkach.

W głowie miałem pustkę. Pytanie: co ja tu robię? walczyło z innym: co ja mam powiedzieć. Oszołomiony wziąłem pierwszy list z kupki.

„Czasami poszukiwanie jest ważniejsze od odnalezienia” – pisała anonimowa korespondentka z Pekinu (nie miałem pojęcia, że docieramy aż tam). „Czasami boimy się tego, co odnajdziemy, zwłaszcza że minęło tak wiele lat. Świat się zmienił. A my jeszcze bardziej. Szczupła dziewczyna staje się panią w średnim wieku z mnóstwem siwych pasemek i tłuszczkiem odkładającym się na biodrach. Naiwny chłopiec jest mężczyzną, znającym wszelkie życiowe scenariusze. Czy powinni się spotkać?...”.

Zadrzałem, znałem ten styl i te okrągłe, drobne litery. Julia?!!!

– Piętnaście sekund do nagrania – z zaświatów dobiegł mnie głos Kozłowskiego, a zaraz potem muzyka przeszła w charakterystyczny dźwięk sygnału. Zacisnąłem oczy. Czułem

się jak narciarz, dojeżdżający całym pędem do krawędzi skoczni bez możliwości zahamowania lub choćby skręcenia.

START.

Przeleciały mi przez głowę tysiące fraz, cytatów, złotych myśli świetnie nadających się na rozpoczęcie. Zamiast tego powiedziałem po prostu:

– Dzień dobry, dobry wieczór. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Dziś w zastępstwie Jana Pawłowicza rozmawiać będzie z wami Marcin Wolak.

Oczywiście nie pamiętam ani słowa z tego, co wówczas mówiłem. Poza tym, że coś mówiłem, że moje słowa w niepojęty sposób układały się w zdania, zdania w akapity. Że zrazu chropawe metafory nabierały sensu, a myśli, przypominające niesprawne kroki gościa w ciemnym pokoju objającego się o sprzęty, zyskują sprężystość i pewność.

Mówiąc, nie otwierałem oczu i może dlatego mogłem zobaczyć ich wszystkich – słuchaczy. Nie wiem, jak to jest możliwe, że w jednej sekundzie widziałem krajowych inteligentów, słuchających mnie z radiem pod kocem, tak żeby sąsiedzi nie donieśli i zesłańców w tajdze, przy własnoręcznie skleconym odbiorniku, słyszających mój głos czysto i wyraźnie, bo na odległe pustkowie nie docierało zagłuszenie. Widziałem też robotników drugiej zmiany Zakładów Zbrojeniowych im. Lenina w Poznaniu, słuchających mnie w pokoju brygadzysty, który wyszedł na papierosa, a w istocie sprawdzał, czy nie kręci się nikt z komitetu. Skądinąd brygadzysta był zarejestrowanym tajnym informatorem bezpieczeństwa. Ale jeśli donosił, to nie wszystko i nie o wszystkich, chociaż musiał, bo mu się właśnie urodziło trzecie dziecko. Nie wiem, skąd wiedziałem, że już wkrótce bunt tych właśnie robotników stanowić będzie detonator gigantycznych zmian, a wąsaty brygadzysta, włączając na dach półciązarówki, równocześnie wejdzie do historii. Naraz zobaczyłem moją Mamę, piszącą na maszynie sprawozdanie na temat „Socjalistycznych osiągnięć w tańcach na lodzie”. Między poźółkłymi od tytoniu palcami trzymała jednego papierosa, drugi dogorywał na

popielniczce, trzeci miała w ustach... Nowością były słuchawki podłączone do radia, które wyniosłem z ziemianki Ojca... Ojciec też mnie słuchał, choć nie wiem, czy w niebie są fale krótkie, kablówka czy jakiś inny system bezprzewodowy. Widziałem, że jest zadowolony. Uśmiechał się tak, jakby mówił do kolegów poległych nad Wkrą: „Moja krew!”. Julia Piazzoli, też do niej dotarłem, słuchała naszej audycji przez radiowęzeł, zainstalowany przez władze chińskie dla mieszkańców obozu dla uchodźców. Po wychudzonych policzkach ściekały łzy.

Dopiero później przesłuchałem taśmę, tzw. szpiega, na której rejestrowano to, co leciało na żywo. I mogłem ze sporym zdumieniem sprawdzić, co wtedy mówiłem.

– Każdego dnia dokonujemy wyborów. Dużych i małych.

Opowiadamy się za lub przeciw. Decydujemy pójść w prawo lub w lewo, zapominając często, że uchylanie się od wyboru to też jakiś wybór. Wydawać się może, że od każdego z nas tak mało zależy, jesteśmy co najwyżej liśćmi wirującymi na wietrze, lub drobinami kurzu w snopie słonecznego światła. Tylko, że oceany też składają się z kropeł. Jan Pawłowicz nauczył nas bycia razem, dowiódł, że będąc solidarnymi, potrafimy osiągać bardzo wiele. Choć dziś przebywa w szpitalu, a jego rekonwalescencja może potrwać długo, czuję nawet teraz, że jest tu, obok mnie. W studio i na falach eteru. I właściwie to nie ja, ale on mówi do was...

Otworzyłem oczy i wziąłem plik listów.

– I do pani Jadwigi z Krakowa, której syna zakatowali nieznani sprawcy i do rodziny szesnastoletniego Janka Wiśniewskiego, skazanego na więzienie za odbicie na powielaczu własnych wierszy i do Julii z Pekinu... Jestem z wami. I wy jesteście ze mną. Świat nie stoi w miejscu. Po czasach zastoju i martwoty nadchodzi moment, gdy zrywa się wiatr. Boży wiatr, mający siłę otwierania zabitych deskami okien, przewracania barier i kruszenia murów. Leżą przede mną notatki do audycji, którą Jan Pawłowicz miał poprowadzić pierwszego kwietnia. Właściwie jest to jedna kartka. Parę cytatów z Pisma Świętego i haseł: „Nie lękajcie się”, „Cały Twój”, „Miłość jako dar i obowiązek”. Nie podejmuję się



odtworzenia tego, co dokładnie zamierzał nam powiedzieć „Pocieszyciel”. Zresztą wiemy, co mówił zawsze. I jaką wielką siłę nam dawał. Przez pewien czas musimy nauczyć się żyć bez tego wielkiego zasilania. Przyjdzie nam indukować się wzajemnie, używać sobie tej mocy, którą już w nas zaszczepił. Mocniejsi winni używać jej słabszym, bogatsi – biedniejszym. Solidarność to umiejętność zrezygnowania z części swoich ambicji dla drugiego człowieka, ale to również dobrze pojęta rywalizacja we wspólnym celu, to wystrzeganie się zawiści i nienawiści, to niezłomna wiara, że razem musi nam się udać. Nam wszystkim i każdemu z osobna.

Zaschło mi w gardle i Krzysio to zrozumiał, puszczając trochę muzyki. Mając możliwość rozmowy przez interkom, zapytałem go o nową, urodziwą techniczkę.

– Jaką techniczkę? – zdziwił się. – Nie było tu żadnej techniczki. Rozpuściły cię te hollywoodzkie luksusy. No, wracamy na antenę. Więc wróciłem. Nie do końca świadomy, że przekraczam w swoim życiu jakiś Rubikon i że nie będzie już powrotu do, z trudem osiągniętej, stabilizacji. Że przyjdzie mi sprzedać wille w San Fernando, schować w głąb szuflady pozaczynane scenariusze i konspekty. I nie miałem pojęcia, dlaczego to robię. Czy sprawiła to energia, przekazana mi przez Jana Pawłowicza, śmierć Janusza Barczyka, czy piękna kobieta, której nigdy nie było? Oczywiście nie czułem się niczym spętany, mogłem w każdej chwili wyjść ze studia, wrócić do samochodu i dawnej przyjemnej egzystencji. Tylko z nieznannej mi przyczyny czułem, że tego nie zrobię. Że po raz pierwszy w całym swoim życiu, w którym zawsze niepewność przeważała nad pewnością, czuję, że postępuję słusznie. I że sprawia mi to ogromną przyjemność. Mówiłem więc dalej, a zbliżając się ku końcowi, powiedziałem: – Choroby, również te trawiące społeczeństwa i narody, mają swój początek w umysłach. Najczęściej nie sił nam brakuje, ale woli. A nasze potencjały niwelują się, gdy zwracamy się przeciwko sobie. Nieprawda, że nic nie możemy. Nasz upadek zaczyna się wtedy, kiedy z pychy, chciwości lub najczęściej z wygody,

przestajemy nawet we własnym sumieniu nazywać dobro – dobrem, a zło – złem. Bardzo wiele od nas zależy. Sześćdziesiąt jeden lat temu jedna przegrana bitwa pod Warszawą okazała się kluczowa dla losów świata. Tak, jakby Karol Młot przegrał z Arabami pod Poitiers, a Sobieski z Turkami pod Wiedniem... Nasza ojczyzna, Polska, jest dziś sowiecką półkolonią, jednym z licznych laboratoriów bolszewickiego eksperymentu, który trwa, mimo że od początku było jasne, że nie może przynieść żadnych dobrych owoców. Być może kiedyś komunizm stworzyła garść obłąkanych fanatyków, pociągająca za sobą rzesze głupców. Dziś są to już wyłącznie karierowicze. Wiedzą już, że nie zbudują świetlanej przyszłości, a strach i terror nie wystarczą na długo. Wystarczy tylko im nie pomagać, a pewnego dnia narody od Gibraltaru po Władywostok obudzą się. Musimy być gotowi na dzień, w którym rozpocznie się to wielkie odbudowanie, wielka odnowa, by nie zaskoczyła nas historia. I by świat, który wyłoni się po potopie, nie stał się jedynie karykaturą tego świata sprzed potopu. Tam, pod okupacją, bywa, że idealizujecie demokrację. Ale demokracja to prawo wyboru również zła. Świat Zachodu ma mnóstwo wspaniałych osiągnięć, ale równie wiele zagrożeń. Aby przeciwstawić się złu, musiał przejąć wiele z metod tego zła. Niewykluczone więc, że kiedy nastąpi przebudzenie, nie tylko on będzie mógł pomagać nam, lecz także my będziemy musieli pomóc jemu. Oczywiście wierzę, że wcześniej obudzi się Jan Pawłowicz. Jednak zanim to nastąpi – pozostanę z wami. Będziemy rozmawiać, zastanawiać się, jak działać i wspierać się wzajemnie. Nie wiem, kiedy zakończymy naszą współpracę. Mam nadzieję, że dziś znajdujemy się w połowie drogi. Może dalej. Nie mogę zagwarantować wam, że będzie lekko i z górki. Że znikną z naszego życia mordercy i notoryczni kłamcy, intryganci i szerzyciele nienawiści, a nade wszystko ludzie małej wiary. Każdy dzień oznaczać będzie jedną bitwę. Nie zawsze zwycięską. Jedno mogę wam zagwarantować. Będzie ciekawie, a na końcu wygramy. Tak nam dopomóż Bóg.

Wawer, grudzień 2009 – luty 2010

Wydarzenia w Polsce i Rosji

Wydarzenia w Europie

Wydarzenia na świecie

27 X 1928 śmierć Dzierżyńskiego

11 XI 1928 obalenie L. Trockiego przez Stalina

19 XI 1928 plenum WKP(b), Stalin

w odstawce, Kirow I sekretarzem

XI 1928 A. Warski I sekretarzem KPP

IV 1928 incydent w cieśninach rozpoczyna wielką wojnę północną

1V 1928 atak sowiecki na Anglię  
VI uderzenie Sowietów na Skandynawię

5 V 1928 20. poprawka do Konstytucji; początek – systemu autorytarnego w SA 11 IX 1928 storpedowanie „Filadelfii”  
12 IX 1928 decyzja o internowaniu Żydów amerykańskich  
1 XII 1928 protokół z Puerto Rico reguluje zasady exodusu do Izraela

8 III 1929 rozejm w wojnie północnej;  
Genewa siedzibą Kominternu

Ostateczne zajęcie Grecji

IV 1932 Wojna studniowa – na Bliskim Wschodzie

5 III 1935 zamach na Stalina w Tbilisi; początek tzw. wielkiej czystki

XII 1936 usunięcie antypartyjnej grupy starych komunistów (L. Kamieniewa, G. Zinowiewa, K. Radka)

Bolszewickie zamachy w Turcji i Iranie udaremnione przez Amerykanów (D. MacArthur)

1937 A. Wyszyński prokuratorem generalnym Sowietów; Ł. Beria szefem GPU po egzekucji H. Jagody

V 1938 stracenie Warskiego,  
T. Duracz szefem KPP;  
w Polsce władzę przejmuje generał gubernator K. Rokossowski

XI 1938 zwycięstwo Japonii nad jeziorem Chałchyn-goł  
XII desant w Kraju Nadamurskim i na Kamczatce

VI 1939 Kirow trafia do aresztu domowego; przejęcie władzy  
przez Berię i jego figurantów

Mac Arthur wiceprezydentem w IV kadencji Hearsta

I 1941 spotkanie A. Einsteina z Berią; „atomowa oferta”

II 1941 L. Kaganowicz wraca do kierownictwa sowieckiego; po  
roku zostaje I sekretarzem IX  
1941 M. Tuchaczewski zestrzelony  
nad Mandzurią; N. Bucharin ucieka do USA

I 1941 śmierć Hearsta;

MacArthur prezydentem;

dymisja E. Hoovera

Wydarzenia w Polsce i Rosji

Wydarzenia w Europie

Wydarzenia na świecie

II 1942 kongres panamerykański w Panamie

VI 1942 pakt w Hongkongu; antykominternowski sojusz Japonii  
Chin i USA

1944 intensyfikacja antysowieckich działań w Azji

10 VIII 1945 „pokojoye ultimatum” Kaganowicza

II 1945 konflikt maltański – początek walk w Europie

IV 1945 oswobodzenie I Peloponezu i Sardynii

20 V 1945 wyzwolenie Erewania

25 V 1945 wyzwolenie Tbilisi

19 VI 1945 oswobodzenie Aten

12 VII 1945 alianci w Sofii

21 VII 1945 wyzwolenie Belgradu

22 VII 1945 desant w Normandii

25 VII 1945 wybuch powstania w Krakowie

27 VI 1945 rewolta w Rzymie

31 VI 1945 antykomunistyczny bunt w Madrycie

1 VIII 1945 atomowe uderzenie w Normandii

7 VIII 1945 uderzenie atomowe na Nowy Sad

19 VIII 1945 nieudany atak na Londyn

lato 1945 Japończycy dochodzą do Uralu,

Chińczycy zajmują Ałma-Atę

3 VIII 1945 atak atomowy w Dżungarii

6 VIII 1945 atak na Nowosybirsk

1 X 1945 rozejm w Tangerze;

trwały podział świata

Dramatis

personae

Chociaż główni bohaterowie powieści „Jedna przegrana bitwa” to postacie fikcyjne – nie ukrywam – zbudowane czy raczej posklejane z różnych elementów pochodzących od znanych mi ludzi, to, zgodnie z prawem historii alternatywnych, zaludniłem karty mojej powieści znaczną liczbą postaci historycznych. Zachowałem ich personalia i charaktery, próbując jedynie dostosować ich życie do warunków, w których się znaleźli. W paru nielicznych przypadkach moja ingerencja w ludzkie biografie była tak daleko idąca i tak dowolna, że zdecydowałem się na zmianę nazwisk.

Chcąc uporządkować chaos, który może powstać przy spotykaniu uczestników opisywanych zdarzeń, zdecydowałem się na zamieszczenie krótkich biogramów, informujących o ich prawdziwym życiu.

Ahmad Szah (1898-1930) ostatni władca Persji z dynastii Kazarów, formalnie panował do roku 1925. W roku 1921 odsunięty od władzy po zamachu Rezy Pahlavi. Umarł na emigracji.

Andropow Jurij Władymirowicz (1914-1984) komunista sowiecki, działacz Komsomołu, ambasador ZSRR w Budapeszcie podczas rewolucji węgierskiej w 1956 roku, odpowiedzialny za jej tłumienie. Przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego (1967-1982), prawdopodobnie inspirator zamachu na Jana Pawła II w 1981 roku. W latach 1983-1984 Sekretarz KPZR (Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego). Przypisuje mu się „ojcostwo” pieriestrojki.

Aragon Louis (1897-1982) dziennikarz i pisarz francuski. Od 1927 roku członek Francuskiej Partii Komunistycznej.

Balbo Italo (1896-1940) włoski działacz faszystowski, minister lotnictwa, marszałek, przeciwnik sojuszu z Hitlerem. Zestrzelony

nad Tobrukiem, podobno na rozkaz Mussoliniego, który obawiał się jego rosnącej popularności.

Balfour Arthur James (1848-1930) jeden z przywódców brytyjskiej partii konserwatywnej, premier Wielkiej Brytanii w latach 1902-1905. W roku 1917, jako minister spraw zagranicznych, ogłosił deklarację Balfoura w sprawie utworzenia w Palestynie żydowskiej siedziby narodowej. Twórca formuły Brytyjskiej Wspólnoty Narodów w 1926 roku.

Bardot Brigitte (ur. 1934) francuska gwiazda filmowa, uznawana za symbol seksu. Na dzień przed czterdziestymi urodzinami zrezygnowała z kariery i zajęła się obroną praw zwierząt.

Baczyński Krzysztof Kamil (1921-1944) poeta, żołnierz AK, poległ w pierwszych dniach powstania warszawskiego.

Ben Gurion Dawid (1886-1973) urodzony w Płońsku, pierwszy premier Izraela. Twórca państwa żydowskiego i ojciec narodu.

Beria Ławrientij (1899-1953) Gruzin, marszałek ZSRR, zaufany Stalina. W latach 1938-1953 szef służby bezpieczeństwa ZSRR, komisarz NKWD; w latach 1946-1953 członek Politbiura, podejrzewany przez niektórych o otrucie Stalina; po jego śmierci jeden z przywódców WKP(b), inicjator umiarkowanej destalinizacji, w czerwcu 1953 roku obalony przez Chruszczowa. Oficjalnie stracony w grudniu 1953 roku.

Blum Leon (1872-1950) pierwszy socjalista i pierwszy Żyd na stanowisku premiera Francji. Pełnił tę funkcję trzykrotnie – w latach 1936-1937, 1938, 1946-1947. Współtwórca antyhitlerowskiego Frontu Ludowego. Więziony w Buchenwaldzie.

Bouvier Lee Kennedy Onassis Jacqueline (1929-1994) żona prezydenta Johna Kennedy'ego (zm. 1963); od 1968 roku żona



greckiego multimilionera Arystotelesa Onassisa; uważana za femme fatale.

Briand Aristide (1862-1932) francuski polityk, po roku 1909 kilkakrotny premier Francji, laureat Nagrody Nobla (1926). Autor koncepcji federacji europejskiej (1930).

Broniewski Władysław (1897-1962) poeta, legionista, sztandarowy poeta rewolucyjny. W latach 1940-1941 więziony przez Sowietów. W 1942 roku opuścił ZSRR z Armią Andersa; w 1945 roku wrócił do kraju, został piewcą nowego systemu, popadł w alkoholizm.

Bucharin Nikołaj (1888-1938) komunista sowiecki. Jeden z najbliższych współpracowników Lenina i Trockiego. W latach 1918-1929 redaktor naczelny „Prawdy”, główny autor tekstu konstytucji sowieckiej. Sprzeciwiał się przymusowej kolektywizacji, oskarżony o odchylenie prawicowe, aresztowany 1937 roku podczas plenum partii; mimo kajania się wobec Stalina skazany i rozstrzelany.

Buczek Marian (1896-1939) działacz socjalistyczny i komunistyczny, działał w POW i ochronie „rządu lubelskiego” Daszyńskiego. Wstąpił do KPP, był wielokrotnie więziony; w sumie w więzieniu spędził 16 lat. Prawdopodobnie współpracownik polskich służb. W czasie kampanii wrześniowej na ochotnika zgłosił się do wojska. Poległ pod Ożarowem Mazowieckim.

Budionny Siemion (1883-1973) marszałek ZSRR, kawalerzysta, twórca Armii Konnej. Zawsze lojalny wobec Stalina.

Bułhakow Michaił (1891-1940) wybitny pisarz rosyjski, autor między innymi „Mistrza i Małgorzaty”. Z zawodu lekarz.

Cachin Marcel (1869-1958) komunista francuski. Działacz

związkowy, współzałożyciel FPK (1920). Od roku 1918 aż do śmierci redaktor „L’Humanite”. Odznaczony orderem Lenina. Czterokrotnie kandydował na stanowisko prezydenta, zyskując niewielkie poparcie.

Churchill Winston (1874-1955) dziennikarz i angielski mąż stanu, dwukrotnie był pierwszym Lordem Admiralicji, w latach 1940-1945 i 1951-1955 premier. Jeden z przywódców koalicji antyhitlerowskiej.

Coolidge Calvin John (1872-1933) konserwatywny polityk amerykański, w latach 1921-1923 wiceprezydent u boku Hardinga, w latach 1923-1929 prezydent USA z ramienia Partii Republikańskiej. Jego prezydentura kojarzy się z czasami gospodarczej prosperity.

Czang Kai-Szek (1887-1975) chiński polityk, od 1925 roku przywódca Kuomintangu. Generalissimus, w latach 1928-1931, 1943-1948 przewodniczący Rządu Narodowego, od roku 1947 prezydent Chin. Walczył z komunistami i interwencją japońską. Pozbawiony pomocy amerykańskiej, pokonany przez komunistów, w 1949 przeniósł się na Tajwan; rządził tam przez 26 lat.

Daladier Edouard (1884-1970) francuski premier, jeden z przywódców Partii Radykalnej, trzykrotnie premier Francji (w latach 1933, 1934, 1938-1940). Sygnatariusz traktatu monachijskiego, aresztowany przez rząd Vichy, więziony w Dachau i Buchenwaldzie; po wojnie wielokrotnie deputowany, przeciwnik de Gaulle’a i integracji europejskiej.

Dalbor Edmund (1869-1926) kardynał, arcybiskup gnieźnieński, prymas Polski Odrodzonej.

Darlan Françoise (1881-1942) admirał francuski, w 1939 roku naczelny dowódca marynarki, zaufany marszałka Petaina; podjął

współpracę z aliantami; konkurent de Gaullea. Został zamordowany przez monarchistę Fernanda Bonniera de La Chapelle, który podobno działał na własną rękę.

Daszyński Ignacy (1866-1936) polityk polski, działacz socjalistyczny, premier „rządu lubelskiego” w 1918 roku, potem wicemarszałek Sejmu. Antagonista Piłsudskiego.

Dawes Charles (1865-1951) polityk amerykański, finansista. Wiceprezydent USA w latach 1925-1929. Laureat Nagrody Nobla za „plan Dawesa”, regulujący problem niemieckich reparacji.

Demko Mikołaj – Moczar Mieczysław (1913-1986) generał, działacz komunistyczny, absolwent kursu NKWD (1941), dowódca GL i AL, członek władz PZPR, szef wpływowej w latach sześćdziesiątych frakcji „partyzantów”.

De Niro Robert (ur. 1943) wybitny aktor amerykański.

Disney Walt (1901-1966) producent, reżyser, scenarzysta. Pomysłodawca Myszki Miki i Kaczora Donalda, twórca Disneylandu.

Dmowski Roman (1864-1939) polityk, ideolog narodowej demokracji, autor „Myśli nowoczesnego Polaka”, przeciwnik Józefa Piłsudskiego, sygnatariusz traktatu wersalskiego.

Dobraczyński Jan (1910-1994) pisarz katolicki związany z pro reżimowym PAX-em, aktywnie wspierał komunistów. Szef PRON-u.

Duclos Jacques (1896-1975) francuski działacz komunistyczny, przez 35 lat jeden z przywódców PCF, lider w okresie Ruchu Oporu w 1969 roku. W wyborach prezydenckich otrzymał 21% głosów.

Duracz Teodor (1883-1943) adwokat, obrońca w procesach politycznych, komunista, aktywny współpracownik sowieckiego wywiadu, współtwórca PPR-u.

Dzierżyński Feliks Edmundowicz (1877-1926) komunista polskiego pochodzenia, współtwórca słynnej Czeki, organizator czerwonego terroru.

Einstein Albert (1879-1952) niemiecki fizyk pochodzenia żydowskiego, twórca teorii względności, od roku 1933 na emigracji w USA, inicjator budowy amerykańskiej bomby atomowej.

Eisenhower Dwight (1890-1969) amerykański generał; kierował inwazją na Sycylię i przygotowywał lądowanie w Normandii; dowódca amerykańskich sił w okupowanych Niemczech. Prezydent USA w latach 1953-1961.

Eisenstein Siergiej (1898-1948) wybitny reżyser sowiecki i teoretyk kina. Twórca filmów: „Pancernik Potiomkin”, „Październik”, „Aleksander Newski”, „Iwan Groźny”; czołowy przedstawiciel stalinowskiego socrealizmu.

Fermi Enrico (1901-1954) włoski fizyk, laureat Nagrody Nobla w 1938 roku; od 1939 roku w USA; w roku 1942 stworzył stos Fermiego, pierwszą kontrolowaną reakcję łańcuchową. Ojciec bomby atomowej.

Ford Aleksander (1908-1980) reżyser, przed wojną nakręcił między innymi słynny „Legion Ulicy”, w czasie wojny robił filmy szkoleniowe dla Armii Czerwonej, po wojnie zrealizował między innymi „Krzyżaków”. Wyemigrował w 1969 roku; zmarł śmiercią samobójczą.

Gałczyński Konstanty Ildefons (1905-1953) wybitny poeta, liryk

i satyryk. Przed wojną związany z poetycką grupą „Kwadryga”; uczestnik kampanii wrześniowej. W okresie stalinowskim atakowany za drobnomieszczaństwo, sam wsławił się takimi socrealistycznymi dziełami, jak „Poemat dla Zdrajcy” (o Czesławie Miłoszu) czy „Podróż do Ciemnogrodu”.

Gąsiorowski Wacław (1859-1939) działacz niepodległościowy, autor powieści historycznych, twórca antycarskich, antyrosyjskich „Królobójców”.

Giolitti Giovanni (1842-1928) włoski polityk, pięciokrotny premier, przeciwnik faszyzmu.

Goebbels Joseph (1897-1945) działacz NSDAP. Od 1926 roku gauleiter Berlina. Od 1933 roku minister propagandy III Rzeszy, perfekcjonista w swoim fachu. Wraz z żoną Magdą, po zamordowaniu własnych dzieci, popełnił samobójstwo w oblężonym Berlinie.

Gombrowicz Witold (1904-1969) awangardowy pisarz, autor między innymi „Ferdydurke”, od wybuchu wojny na emigracji w Argentynie, później w Europie.

Gontarz Ryszard (ur. 1930) funkcjonariusz UB i SB, dziennikarz i scenarzysta. Wsławiony publikacjami w roku 1968 podczas czystki antysemitycznej.

Gottwald Klement (1896-1953) czeski komunista, sekretarz KW Międzynarodówki Komunistycznej; kierował komunistycznym przewrotem w 1948 roku; prezydent Czechosłowacji. Zmarł krótko po pogrzebie Stalina.

Gumilow Lew (1912-1992) syn poetki Anny Achmatowej i rozstrzelanego przez bolszewików Nikołaja Gumilowa. Historyk, autor prac o cywilizacjach Wielkiego Stepu.

Haller Józef (1873-1960) polski generał. Dowódca Drugiej Brygady Legionów, bohater spod Rarańczy i Kaniowa. W 1918 roku we Francji szef Polskiej Komisji Wojskowej, twórca Błękitnej dywizji. W 1920 roku dowódca Armii Ochotniczej, dowodził obroną przedpola Warszawy, potępił Zamach Majowy; podczas II wojny światowej minister w rządzie Sikorskiego; zmarł na emigracji w Londynie.

Hearst William Randolph (1863-1951) amerykański magnat prasowy, populist, niezrealizowany polityk, ekscentryczny właściciel zamku Hearst Castle, pierwowzór bohatera filmu „Obywatel Kane”.

Hemingway Ernest (1899-1961) pisarz amerykański, podróżnik i myśliwy, uczestnik wojny domowej w Hiszpanii; gloryfikował republikanów w powieści „Komu bije dzwon”. Otrzymał Nagrodę Nobla do czego w znacznym stopniu przyczyniło się opowiadanie „Stary człowiek i morze”. Wiele lat spędził na Kubie. Wyznawał kult „silnego człowieka”, lecz sam popełnił samobójstwo.

Hollender Tadeusz (1910-1943) poeta, satyryk; we Lwowie odmówił serwilistycznej deklaracji wobec Sowietów. Po powrocie do Warszawy został rozstrzelany na Pawiaku.

Hoover John Edgar (1895-1972) od 1921 roku w policji USA. Dyrektor FBI w latach 1935-1972. Służył ośmiu prezydentom. Oskarżany o nadużywanie władzy.

Jagoda Henryk – Herszel Jahuda (1891-1938) od 1934 roku szef OGPU, w latach 1934-1936 także NKWD, aktywny u początków tzw. wielkiej czystki aresztowany, sądzony „w procesie 21”, a następnie stracony.

Jasieński Bruno – Wiktor Zysman (1901-1938) pisarz, komunista,

autor między innymi powieści „Pałę Paryż”; przebywał na emigracji w ZSRR. Faworyt szefa NKWD Gienrycha Jagody, po jego upadku aresztowany w trakcie wielkiej czystki (1937), skazany na 15 lat więzienia, później osądzony ponownie i stracony.

Kaden-Bandrowski Juliusz (1885-1944) pisarz, autor między innymi powieści „Generał Barcz”, prezes Związku Zawodowego Literatów Polskich, sekretarz PAL-u.

Joyce James Augustine Aloysius (1882-1941) irlandzki pisarz tworzący w języku angielskim, uważany za „Zolę Irlandii” i jednego z najwybitniejszych pisarzy XX wieku.

Rakowski Aleksander (1862-1938) kardynał, arcybiskup warszawski, ostatni prymas Królestwa Polskiego, członek Rady Regencyjnej (1917– 1918). W obliczu bolszewickiej inwazji nie opuścił Warszawy.

Kaganowicz Lazar (1893-1991) prominentny członek stalinowskiego kierownictwa ZSRR. Współodpowiedzialny za zbrodnię katyńską. Usunięty w 1957 roku ze wszystkich stanowisk przez Chruszczowa.

Kalinin Michaił (1875-1946) jako Przewodniczący Rady Najwyższej od 1936 roku formalny przywódca ZSRR. W istocie posłuszny Stalinowi figurant.

Kamieniew Lew – Rozenfeld (1883-1936) komunista rosyjski, członek Politbiura i wiceprezes Rady Komisarzy Ludowych; pomógł Stalinowi w walce z Trockim, później sam był zwalczany; został aresztowany i osądzony w 1934 roku, skazano go na 5 lat więzienia, a następnie powtórnie sądzono w 1936 roku i stracono.

Kapłan Fania (1890-1918) anarchistka rosyjska. Trzydziestego sierpnia 1918 roku dokonała zamachu na Lenina. Została

rozstrzelana.

Kemal Mustafa – Atatürk (1881-1938) turecki wojskowy i polityk, marszałek. Uczestnik ruchu Młodo Turków, odparł agresję grecką (1921-1922). Twórca świeckiej i nowoczesnej Turcji, której został pierwszym prezydentem, po obaleniu sułtanatu w roku 1923.

Kennedy Edward (1932-2009) najmłodszy z braci Kennedych, senator ze stanu Massachusetts. Jego szanse prezydenckie pokrzyżował skandal obyczajowy.

Kennedy John Fitzgerald (1917-1973) prezydent USA (1961-1963) odpowiedzialny za nieudany desant w Zatoce Świń na Kubie i rozszerzenie konfliktu wietnamskiego. Zamordowany w Dallas.

Kennedy Joseph Patrick Jr. (1915-1945) najstarszy syn Josepha P. Kennedyego, brat Johna, Roberta i Edwarda. Zginął w Normandii 1 VIII 1944 w samolocie transportującym trotyl, który wybuchł w powietrzu.

Kennedy Robert (1925-1968) brat pozostałych, za prezydentury Johna prokurator generalny USA, zamordowany przez Palestyńczyka Sirhana w trakcie kampanii prezydenckiej.

King Stephen (ur. 1947) – wybitny pisarz amerykański, mistrz sensacyjnego horroru, autor między innymi powieści „Lśnienie”, „Carrie”, „Misery”.

Kirow Siergiej Mironowicz (1886-1934) komunista sowiecki. Konkurent Stalina na XVII Zjeździe. Zamordowany prawdopodobnie na jego zlecenie w Leningradzie. Jego śmierć była początkiem tzw. wielkiej czystki.

Kohn Feliks (1864-1941) komunista, dziennikarz, przewodniczy



PPS-lewicy, członek Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego w Białymstoku. W 1941 roku kierownik sekcji polskiej Radia Moskwa.

Kun Bela (1886-1939) komunista węgierski pochodzenia żydowskiego. W 1919 roku przywódca Węgierskiej Republiki Rad, później komisarz Armii Czerwonej, odpowiedzialny za rzeź białych oficerów na Krymie. Aresztowany w 1938 roku, a następnie rozstrzelany.

Laval Pierre (1883-1945) francuski polityk, od 1925 roku pełnił liczne funkcje ministerialne. W latach 1942-1944 premier rządu Vichy. Został stracony.

Lenin Włodzimierz (właśc. Ulianow) (1870-1924) przywódca rosyjskich komunistów i twórca sowieckiego państwa opartego na terrorze.

Łomnicki Tadeusz (1927-1992) wybitny polski aktor teatralny i filmowy. Jego wybitne kreacje to między innymi Arturo Ui, pan Wołodyjowski.

MacArthur Douglas (1880-1964) generał amerykański. W czasie II wojny światowej dowódca sił amerykańskich na Dalekim Wschodzie. Drugiego września 1945 roku na pokładzie pancernika „Missouri” przyjął kapitulację Japonii. Dowodził siłami ONZ w początkowej fazie wojny koreańskiej (1950-1951), powstrzymał komunistów. Gotów był do użycia broni jądrowej. Został odwołany. Wbrew namowom nie kandydował na stanowisko prezydenta USA w 1952 roku.

Majakowski Włodzimierz (1893-1930) poeta rosyjski, piewca rewolucji. Z biegiem lat coraz bardziej wobec niej krytyczny. Zginął w niejasnych okolicznościach. Wedle wersji oficjalnej popełnił samobójstwo.

Malenkow Georgi (1901-1988) komunista sowiecki, aparatczyk, uczestnik tzw. wielkiej czystki, organizator „sprawy leningradzkiej”; w latach 1953-1955 premier ZSRR, usunięty przez Chruszczowa; próbował go obalić razem wraz z grupą antypartyjną w 1957 roku.

Małowist Marian (1909-1988) historyk mediewista, profesor Uniwersytetu Warszawskiego; stworzył własną szkołę badawczą i wychował cały zastęp znakomitych naukowców.

Marchlewski Julian (1866-1925) polski i sowiecki działacz komunistyczny, założyciel SDKPiL, w roku 1920 na czele Tymczasowego Rewolucyjnego Komitetu Polski, współtwórca Międzynarodówki. Zmarł podczas wczasów we Włoszech.

Marshall Thomas Rile (1854-1925) wiceprezydent USA z ramienia Partii Demokratycznej u boku Woodrowa Wilsona.

Matteotti Giacomo (1885-1924) włoski polityk socjalistyczny, przeciwnik faszystów; został zamordowany.

Mienżyński Wiaczesław Rudolfowicz (1874-1934) z pochodzenia polski szlachcic, od roku 1923 prawa ręka Dzierżyńskiego, w 1926 roku zastąpił go na czele OGPU. Zmarł na atak serca, chociaż o jego otrucie oskarżono po latach Gienricha Jagodę.

Millerand Alexander (1859-1943) socjalistyczny polityk francuski. Adwokat i dziennikarz. Premier Francji w roku 1920, prezydent w latach 1920-1924.

Mołojec Bolesław (1909-1942) polski komunista. Uczestnik wojny domowej w Hiszpanii, major w Brygadzie Międzynarodowej, członek Grupy Inicjatywnej PPR, komendant Gwardii Ludowej, oskarżony o zabójstwo Marcelego Nowotki. Zastrzelony przez Janka Krasickiego.

Montgomery Bernard Law (1887-1976) I wicehrabia Montgomery of Almain. Marszałek polny British Army, jeden z głównych dowódców alianckich w czasie II wojny światowej. Brał udział w lądowaniu na Sycylii, w Normandii i operacji Market Garden.

Mussolini Benito (1883-1945) początkowo dziennikarz socjalistyczny, następnie twórca faszyzmu. Od 1922 roku premier Włoch, od 1925 roku – Duce. W lipcu 1943 roku został obalony przez Wielką Radę Faszystowską i aresztowany. Został uwolniony przez komandosów Skorzenego. Szef faszystowskiej republiki Salo. Podczas ucieczki ujęty i rozstrzelany przez partyzantów.

Münzenberg Willi (1889-1940) komunista niemiecki, poseł do Reichstagu w latach 1924-1933. Czołowy propagandysta KPD. Stworzył potężny koncern medialny. Po pożarze Reichstagu na emigracji. Oskarżony o trockizm, obawiał się pojechać do Moskwy; znaleziono go powieszzonego w podparyskim lesie.

Nagórski Jan (1888-1976) polski lotnik w służbie rosyjskiej, zasłużony dla badań polarnych. Po rewolucji październikowej przeniósł się do Polski.

Nienacki Zbigniew – Nowicki (1929-1984) pisarz, w PRL-u tworzył popularne powieści dla młodzieży z cyklu „Pan Samochodzik”, a dla dorosłych erotomańskie, takie jak „Raz w roku w Skiroławkach”. Członek PZPR, ORMO i PRON.

Niewiadomski Eligiusz (1969-23) malarz i krytyk sztuki, uczestnik walk niepodległościowych; krótko pracował w kontrwywiadzie, walczył w wojnie z bolszewikami; zdemobilizowany, pracował w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Szesnastego grudnia 1922 roku w „Zachęcie” zastrzelił prezydenta Gabriela Narutowicza. Został stracony.

Oppenheimer Robert (1904-1967) amerykański fizyk, dyrektor

naukowy projektu Manhattan (1943-1945); kierował pracami nad amerykańską bombą atomową. Odsunięty od programu z powodu lewicowych sympatii.

Ordżonikidze Sergo (1886-1937) komunista sowiecki, z pochodzenia Gruzin. Współpracownik Stalina, od 1930 roku członek Politbiura, od 1932 roku komisarz przemysłu ciężkiego. Wedle relacji Chruszczowa zmuszony do popełnienia samobójstwa.

Ortega y Gasset Jose (1883-1955) filozof i eseista hiszpański, autor „Buntu mas”, zwolennik republiki, po krótkiej emigracji powrócił w 1946 roku do Hiszpanii.

Ossietzky Carl von (1889-1938) niemiecki dziennikarz, pisarz i pacyfista, przeciwnik Hitlera, od 1933 roku więziony w obozach koncentracyjnych. W 1936 roku otrzymał pokojową Nagrodę Nobla.

Paderewski Ignacy (1860-1941) pianista, kompozytor, polityk związany z Narodową Demokracją, ambasador sprawy polskiej w trakcie I wojny światowej, premier (1919). U schyłku życia przebywał na emigracji w Szwajcarii. Wraz z Sikorskim założył „Front Morges”, antypiłsudczykowski ośrodek na uchodźstwie.

Pahlavi Reza Szah (1878-1944) szach Iranu w latach 1925-1941. Założyciel dynastii Pahlavi. Dowódca Brygady Kozackiej, obalił dynastię Każarów, ogłaszając się szachinszachem. Próbował zachować neutralność podczas II wojny światowej, odsunięty od władzy w 1941 roku, abdykował na rzecz syna. Zmarł w RPA.

Patton George (1885-1945) generał, legendarny dowódca amerykański podczas II wojny światowej; kontrowersyjny, porywczy, wierzył w reinkarnację. W 1945 roku był gubernatorem Bawarii. Zginął w tajemniczym wypadku samochodowym.

Picasso Pablo (1881-1973) malarz hiszpański osiadły we Francji, uznawany za symbol kultury XX wieku; autor „Guerniki”, przez dłuższy czas członek partii komunistycznej.

Piłsudski Józef (1877-1935) marszałek Polski, twórca Polski Odrodzonej, Naczelnik Państwa w latach 1918-1921. Powrócił do władzy w wyniku zamachu majowego w 1926 roku, oficjalnie zajmując jedynie stanowisko Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych.

Pius XI – Achille Ratti (1857-1939) od odzyskania niepodległości nuncjusz apostolski w Warszawie, której nie opuścił w obliczu bolszewickiej nawały, kardynał w roku 1921, papież od roku 1922.

Polański Roman (ur. 1933) polski reżyser, zrealizował na przykład „Nóż w wodzie”, a także szereg produkcji amerykańskich, między innymi „Chinatown” i europejskich, między innymi „Tess”. Zagrożony procesem o gwałt na nastolatce, opuścił USA. Od 1975 roku obywatel Francji. Aresztowany w 2009 roku w Szwajcarii.

Pound Ezra (1885-1972) wybitny poeta amerykański o silnie prawicowej orientacji, przyznający się do antysemityzmu. W połowie lat dwudziestych przeniósł się do Włoch, gdzie zafascynował go faszyzm. Aresztowany w 1945 roku za kolaborację, do roku 1958 przebywał w zakładzie psychiatrycznym.

Pudowkin Wsiewołod (1893-1953) wybitny reżyser wczesnego kina sowieckiego. Zrealizował między innymi filmy: „Matka”, „Burza nad Azją”, „Suworow”.

Radek Karol – Sobelsohn (1885-1939) komunista rosyjski (pseudonim zapożyczył od bohatera „Syzyfowych Prac”), zwolennik Trockiego, działacz Kominternu, później doradca

Stalina od spraw międzynarodowych. Skazany w roku 1936, zmarł w łagrze.

Reymont Władysław (1867-1925) polski pisarz. Laureat Nagrody Nobla (1924) za powieść „Chłopi”.

Rockefeller Nelson (1908-1979) polityk amerykański z dynastii magnatów przemysłowych. Republikanin. Gubernator stanu Nowy Jork w latach 1959-1973, wiceprezydent USA u boku Geralda Forda (1974-1977). Liberalne poglądy uniemożliwiły mu kandydowanie na prezydenta.

Roja Bolesław (1876-1940) generał, oficer Legionów. W roku 1920 proponował Wincentemu Witosowi powołanie rządu robotniczo-chłopskiego. Zdymisjonowany za defetyzm. Zamordowany przez Niemców w Sachsenhausen.

Rokossowski Konstanty (1896-1968) marszałek ZSRR; więziony w latach 1937-1940. Dowódca armii i frontów podczas II wojny światowej. W latach 1949-1956 minister obrony narodowej PRL i wicepremier. Po październiku 1956 powrócił do ZSRR.

Rosenberg Juliusz (ur. 1918) i Rosenberg Ethel z d. Greenglass (ur. 1915) szpiegzy sowieccy. Poznali się na zebraniu partii komunistycznej. Stworzyli siatkę w Nowym Jorku i dzięki bratu Ethel dotarli do Los Alamos, do centrum projektu Manhattan. Tajemnice amerykańskiej bomby atomowej przekazali ZSRR. Aresztowani w roku 1950, mimo światowej kampanii zorganizowanej w ich obronie (przyłączyli się do niej ludzie od Einsteina do Piusa XII); zostali skazani na śmierć i w roku 1953 straceni na krześle elektrycznym.

Rosmer Alfred – Alfred Griot (1867-1964) francuski działacz związkowy, komunista, współpracownik Trockiego.

Rotschild Edmund James de (1845-1934) inicjator powrotów

Żydów do Syjonu, w 1887 założył w Palestynie pierwsze osiedle z winnicą.

Rozwadowski Tadeusz (1866-1928) generał, w 1920 roku szef sztabu generalnego; uważany za twórcę planu ataku znad Wieprza, który przesądził o losach kampanii. Przeciwnik Piłsudskiego, po zamachu majowym więziony przez rok, a następnie, ciężko chory, zwolniony.

Rydz-Śmigły Edward (1886-1941) malarz, polityk, oficer Legionów. Od 1935 roku Generalny Inspektor Sił Zbrojnych, marszałek Polski. Wódz Naczelny w wojnie obronnej 1939 roku, internowany w Rumunii. W 1941 roku powrócił do kraju, gdzie zmarł w niejasnych okolicznościach.

Schaff Adam (1913-2006) filozof marksistowski, w latach pięćdziesiątych aktywny stalinista, w latach sześćdziesiątych uznany za rewizjonistę. Do końca życia ideolog demokratycznego marksizmu.

Shaw George Bernard (1856-1950) dramaturg brytyjski, apologeta ZSRR.

Sieroszewski Wacław (1858-1945) pisarz, działacz niepodległościowy, podróżnik, prezes Polskiej Akademii Literatury.

Sikorski Władysław (1881-1943) generał, od zamachu majowego przeciwnik Piłsudskiego, od 1939 roku premier rządu RP na wychodźstwie. Twórca Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Zginął w niewyjaśnionej katastrofie w Gibraltarze.

Singer Isaac Bashevis (1902-1991) urodzony w Polsce znakomity pisarz tworzący w języku jidysz (autor między innymi „Sztukmistrza z Lublina”). W 1978 roku otrzymał Nagrodę Nobla.

Barwnie opisywał nieistniejący świat polskich Żydów, ze szczególnym uwzględnieniem różnic pomiędzy Żydami ortodoksyjnymi a zasymilowanymi.

Skalski Stanisław (1915-2004) lotnik, słynny polski as myśliwski podczas II wojny światowej.

Słonimski Antoni (1895-1976) pisarz, felietonista, satyryk, podczas II wojny światowej na emigracji, wrócił w 1951. W latach 1956-1959 prezes Związku Literatów Polskich, w późniejszych latach aktywny opozycjonista.

Sosnkowski Kazimierz (1885-1969) generał, współpracownik Piłsudskiego. W 1926 roku podczas zamachu majowego podjął nieudaną próbę samobójczą. W latach 1939-1944 następca prezydenta. W 1941 roku przeciwnik układu polsko-sowieckiego, ustąpił z rządu; w latach 1943-1944 Wódz Naczelny. W 1944 roku osiadł w Kanadzie.

Stanisławski Konstanty (1863-1938) rosyjski aktor, reżyser i teoretyk teatru, twórca „metody Stanisławskiego” i założyciel MCHaT-u.

Stalin Józef (właśc. Dżugaszwili, ps. Koba, Soso) (1878-1953) Gruzin, przywódca ZSRR, twórca totalitarnego systemu, jeden z największych zbrodniarzy w historii. W okresie II wojny światowej główny rozgrywający Wielkiej Koalicji.

Susłow Michaił (1902-1982) komunista sowiecki; od 1939 roku w KC, główny twardogłowy ideolog doby Breżniewa.

Szenwald Lucjan (1909-1944) lewicowy poeta, członek grupy „Kwadryga”; od 1932 roku należał do KPP w Dywizji Kościuszkowskiej; piewca bitwy pod Lenino, zginął w wypadku samochodowym pod Warszawą, według innych wersji został zastrzelony przez sowieckich żołnierzy.



Thalman Ernest (1886-1944) komunista niemiecki, w 1932 roku kandydował na prezydenta Rzeszy (otrzymał 5 milionów głosów), od roku 1933 więziony. Został zamordowany pod koniec wojny.

Thorez Maurice (1900-1964) francuski komunista; od 1930 roku do śmierci sekretarz generalny FPK podczas wojny w Rosji. W latach 1946-1947 wicepremier. Zmarł podczas rejsu wypoczynkowego po Morzu Czarnym.

Togliatti Palmiro (1893-1964) przywódca włoskich komunistów od 1926 roku; zmarł podczas wakacji w Rosji, wizytując obóz pionierów w Arteku.

Tomaszewski Bohdan (ur. 1921) jeden z najwybitniejszych dziennikarzy sportowych PRL-u i III RP.

Trocki Lew – Lew Dawidowicz Bronstein (1879-1940) działacz komunistyczny, czołowy przywódca bolszewickiego przewrotu w 1917 roku, twórca Armii Czerwonej, przeciwnik Stalina; eliminowany i deportowany w 1929 roku; twórca IV Międzynarodówki; został zamordowany w Meksyku przez agenta sowieckiego Ramona Mercadera.

Tuchaczewski Michaił (1893-1937) oficer rosyjski, marszałek ZSRR. Dowódca wojsk w wojnie z Polską. Został stracony na początku wielkiej czystki.

Vaillant-Couturier Paul (1892-1972) francuski komunista, pisarz i dziennikarz. Deputowany w roku 1920, współtwórca Francuskiej Partii Komunistycznej. Autor reportaży z ZSRR, Chin i wojny hiszpańskiej

Valentino Rodolfo (1895-1926) amerykański aktor, przedwcześnie zmarły. Bożyszcze tłumów.

Warren Earl (1891-1974) prawnik i polityk, szef komisji badającej sprawę śmierci prezydenta Johna Kennedyego.

Warski Adolf – Warszawski (1868-1937) działacz komunistyczny, poseł na Sejm RP, współzałożyciel KPP. Przebywał na emigracji w ZSRR. Oskarżono go o odchylenie prawicowe. Został aresztowany przez NKWD i stracony.

Wasilewska Wanda (1905-1964) pisarka i działaczka komunistyczna, córka działacza PPS Leona Wasilewskiego. Zaufana Stalina. Organizatorka Związku Patriotów Polskich i Dywizji Kościuszkowskiej. Była w kierownictwie PKWN-u. Sprzeciwiała się przyznaniu Lwowa Polsce. Od 1945 roku wraz z mężem Kortnijczukiem w Bajowie, gdzie zmarła.

Wells George Herbert (1866-1946) pisarz brytyjski, klasyk science-fiction, sympatyk ZSRR.

Welles Orson (1915-1985) aktor, radiowiec, reżyser, autor słuchowiska „Wojna światów”, które wywołało ogóln amerykańską panikę, oraz filmu „Obywatel Kane”, w którym sportretował multimilionera Randolfa Hearsta.

Weygand Maxime (1867-1965) generał francuski. Szef misji francuskiej w Polsce w latach 1920-1922. W endeckiej propagandzie uznawany za twórcę cudu nad Wisłą. W roku 1940 wódz naczelny, współodpowiedzialny za klęskę Francji i kapitulację. Minister w rządzie Vichy. Aresztowany przez Niemców w 1942 roku. Po wojnie sądzony i zrehabilitowany.

Wiktor Emmanuel III (1869-1947) z dynastii sabaudzkiej. Król Włoch w latach 1900-1946. Władca pasywny, choć podjął kilka przełomowych decyzji: w 1922 roku oddał władzę Mussoliniemu, w 1943 roku zdymisjonował go. Abdykował na rzecz syna Humberta II.

Wilson Woodrow (1856-1924) prezydent USA. Początkowo zwolennik izolacjonizmu, w roku 1917 przystąpił do wojny. Autor słynnych 14 punktów, które stały się podstawą traktatu wersalskiego, odrzuconego przez Kongres. Założyciel Ligi Narodów w 1919 roku. W roku 1920 przegrał wybory.

Witos Wincenty (1874-1945) polityk, działacz chłopski, trzykrotny premier, w tym premier Rządu Obrony Narodowej (1920-1921); sądzony w procesie brzeskim; przebywał na emigracji w Czechosłowacji (1933-1939). Nakłaniany przez Niemców do stworzenia rządu kolaboracyjnego, odmówił; podobnie nie chciał autoryzować władzy komunistów, którzy mianowali go wiceprzewodniczącym KRN.

Wolińska-Brus Helena (właśc. Fajga Mindla Danielak) (1912-2008) żona Włodzimierza Brusa, wcześniej działacza komunistycznego Franciszka Józwiaka; po ucieczce z getta w biurze sztabu GL-u. Podpułkownik. Prokurator, gorliwie oskarżająca w procesach politycznych okresu stalinowskiego. Wyemigrowała po Marcu 1968 roku. Zmarła w Oksfordzie.

Woy-Wojciechowski Jerzy (ur. 1933) lekarz, pianista i kompozytor (twórca między innymi „Goniąc kormorany”). Od 1992 roku profesor medycyny. Od lat pięćdziesiątych akompaniator, twórca teatrzyku „Eskulap”, kierownik muzyczny kabaretu „Sześćdziesiątka”.

Wyszyński Andriej (1883-1954) mienszewik, później czołowa postać terroru stalinowskiego. W latach 1933-1939 prokurator generalny w trakcie tzw. wielkiej czystki, w latach 1949-1953 minister spraw zagranicznych i szef delegacji ZSRR przy ONZ.

Zetkin Klara (1857-1933) komunistka niemiecka. Mimo stałego pobytu w Moskwie posłanka do Reichstagu w latach 1920-1930.

Zmarła śmiercią naturalną w ZSRR.

Zinowiew Grigorij – Gerszen Radomyslski (1883-1936) czołowy komunista rosyjski, przewodniczący Komitetu Wykonawczego Kominternu; sądzony w 1935 roku, a w 1936 roku stracony.

Żeromski Stefan (1864-1925) znakomity pisarz polski (autor między innymi powieści „Popioły”, „Przedwiośnie”), konkurent Reymonta do Nagrody Nobla.

Żuków Georgij (1896-1974) marszałek sowiecki. Bohater spod Stalingradu, dowódca frontów; w 1945 roku przyjął kapitulację Niemiec. Odegrał znaczną rolę w obaleniu Berii. W latach 1955-1957 minister obrony ZSRR. Usunięty przez Chruszczowa wraz z „grupą antypartyjną” w 1958 roku.

Żymierski Michał – Rola (właśc. Michał Łyżwiński) (1890-1989) komendant POW; generał brygady Wojska Polskiego. W 1926 roku stanął po stronie rządowej. W 1927 roku został zdegradowany i skazany po aferze z maskami przeciwigazowymi. Związał się z komunistami. W 1932 roku zwербowany przez sowieckie służby. Członek niejawni PPR, współpracował z gestapo. W 1944 roku dowódca Armii Ludowej, a następnie Wojska Polskiego. W 1945 roku Marszałek Polski. W 1949 roku usunięty z funkcji ministra obrony. W latach 1952-1955 więziony. Honorowy prezes ZBOWiD-u.

Posłowie (może dwie słowie) o zwycięskiej Bitwie Warszawskiej

Bitwie Warszawskiej, zwanej potocznie cudem nad Wisłą, nazwę nadano przez analogię do bitwy nad Marną, określaną we Francji cudem nad Marną. Owa bitwa ocaliła Paryż i Francję na początku I wojny światowej. Podobnie Bitwa Warszawska ocaliła Polskę, Europę, świat od widma bolszewickiej rewolucji. Co do tego, jak

potoczyłyby się nasze losy, jak ukształtowałyby się dzieje państw i narodów, możemy jedynie snuć przypuszczenia; jedną z wizji opartych na tego rodzaju domniemaniach może być wizja Marcina Wolskiego, moim zdaniem, nazbyt nawet optymistyczna.

Moglibyśmy także pokusić się o snucie historii o przebiegu przeciwstawnym – jaki charakter miałby kontynent euroazjatycki, gdyby Józefowi Piłsudskiemu powiodła się realizacja koncepcji federacyjnej?

Z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby Francuzi przegrali bitwę nad Marną, a także ponieśli klęskę w wojnie z Niemcami w 1914 roku. Zapłaciliby zapewne kontrybucję, podobnie jak po przegranej wojnie w 1870 roku. Jednak nikomu na świecie nie śniłoby się, że Francja przestanie istnieć, albo zostanie czymś w rodzaju niemieckiego protektoratu, a jej elity poddane zostaną eksterminacji.

Natomiast gdyby Polacy przegrali Bitwę Warszawską (gdyby nie było owego cudu nad Wisłą), kto wie, jak potoczyłyby się losy narodu i (odbudowywanego) państwa, ale możliwe byłyby najróżniejsze scenariusze. Jeden z nich zaproponował Marcin Wolski – sowiecka Polska z Wilnem, Lwowem, a na dokładkę z Gdańskiem. Sądzę, że bardziej prawdopodobny był wariant kadłubowej „polskiej” republiki Sowietów, między Wartą a Wieprzem; nie byłoby to najbardziej pesymistyczne rozwiązanie, niezależnie od eksterminacji polskich elit. Mogłoby nas nie być wcale, a procesy rusyfikacji i sowietyzacji mogły głęboko przeorać społeczeństwo pozbawione warstw wykształconych o instynkcie państwowotwórczym. Kto wie, jak potoczyłyby się także losy kontynentu, a może i świata.

Jak zauważył Edgar Vincent wicehrabia D’Abernon, wybitny przedstawiciel establishmentu Imperium Brytyjskiego, ambasador w Berlinie i przewodniczący Misji Ententy w Polsce, latem 1920 roku (w książce „Bitwa Warszawska – osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata”):

„Gdyby bitwa pod Warszawą zakończyła się była zwycięstwem bolszewików, nastąpiłby punkt zwrotny w dziejach Europy, nie

ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, iż z upadkiem Warszawy środkowa Europa stanęłaby otworem dla propagandy komunistycznej i dla sowieckiej inwazji”.

W swoich rozważaniach posłużył się historycznym porównaniem: „Gdyby Karol Martel nie zahamował podbojów saraceńskich w bitwie pod Tours [Poitiers], to niewątpliwie wykładano by dziś Koran w uczelniach Oxfordu, a uczniowie staraliby się udowodniać ludności świętość i prawdę objawień Mahometa. (...) Bitwa natomiast pod Warszawą, rzecz można śmiało, wybawiła Środkową a także częściowo Zachodnią Europę od jeszcze bardziej wywrotowego niebezpieczeństwa, to jest fanatycznej tyranii Sowietów. (...) Zwycięstwo Karola Martela określają jako jedno z tych znamiennych wyzwoleń, które zapewniają ludzkości powodzenie na całe stulecie. Polskie zwycięstwo w sierpniu 1920 roku posiada równe, a nawet pod wieloma względami, być może większe, prawo do chwały. Zagrożona cywilizacja [europejska] stała na znacznie wyższym poziomie; w porównaniu z nią czasy Karola Martela były epoką barbarzyńską. Następstwa przypuszczalnej przegranej przedstawiały się bez porównania groźniej”.

W konkluzji D'Aberton napisał: „Zasadnicze znaczenie polskiego zwycięstwa nie ulega najmniejszej wątpliwości; gdyby wojska sowieckie przełamały opór armii polskiej i zdobyły Warszawę, wówczas bolszewizm ogarnąłby Europę Środkową, a być może, przeniknąłby i cały kontynent”.

Jako bystry obserwator nie szukał fałszywych pretendentów do chwały, wiedział doskonale, kto podejmował zasadnicze decyzje i kto ponosił odpowiedzialność za ewentualną klęskę, a także komu winniśmy przyznać laur chwały:

„Zwycięstwo osiągnięte zostało przede wszystkim dzięki strategicznemu geniuszowi jednego człowieka i dzięki przeprowadzeniu przez niego akcji tak niebezpiecznej, że wymagała ona nie tylko talentu, ale i bohaterstwa”. Tym człowiekiem był Naczelnik Państwa i Wódz Naczelny marszałek Józef Piłsudski, który dźwigał ciężar odpowiedzialności w stopniu

większym niż ktokolwiek inny. Dźwigał go wbrew znacznej części „postępowej” i konserwatywnej Europy oraz dużej części polskiego społeczeństwa oskarżającego go o... bolszewizm i... tajne porozumienie z Kremlem wymierzone w... Polskę. O podłościach, takich jak nagłaśnianie w „narodowej” polskiej prasie rzekomego romansu marszałka z córką Feliksa Perłę, nie wspomnę, ponieważ ten nie miał córki, ale pismacy mieli o czym pisać.

Co nas czekało?

Polska odradzająca się do niepodległego istnienia jesienią 1918 roku stanowiła od samego początku przeszkodę na drodze do przeniesienia w świat zapoczątkowanej w Rosji bolszewickiej rewolucji. Rodząca się wówczas sprzeczność racji stanu obu państw prowadziła do konfliktu, który nie rozpoczął się w 1920 roku, ale 16 listopada 1918 roku wraz z rozpoczętą przez Armię Czerwoną realizacją operacji „Wisła”. Miała ona doprowadzić, w pierwszym etapie, do zsowietyzowania Kresów, rewolucji w Polsce, a następnie do zbolszewizowania zmęczonej wojną światową Europą. Asymetryczność celów tej wojny polegała na tym, że Polska nie zamierzała ani podbijać Rosji, ani opowiadać się po którejkolwiek ze stron i ingerować w przebieg toczącej się tam wojny domowej, a jedynie zapewnić sobie – we współpracy z narodami strefy „miedzymorza” – prawo i warunki niepodległego bytu.

Wojna Polski z bolszewicką Rosją, toczona od 1918 do 1920 roku, miała brutalny charakter, była to – w wydaniu Armii Czerwonej – wojna o charakterze totalnym, obfitująca w zbrodnie dokonywane zarówno przez wojska na froncie, jak i bolszewickie formacje polityczno-policyjne (Nadzwyczajna komisja do walki z kontrrewolucją i sabotażem – Czeka, trybunały rewolucyjne i różnego rodzaju „specotriady”) na zapleczu. W bolszewickiej Rosji i Armii Czerwonej (mimo pozorów internacjonalizmu) element wrogości do wszystkiego, co polskie łączył się

z elementem klasowym. Na terenie zaś dawnych ziem wschodnich Rzeczypospolitej (do Dźwiny, Berezyny i Dniepru), gdzie działania wojenne toczyły się najdłużej, blisko dwa lata, pojęcie „Polak” splatało się z pojęciem „pan”. Walka bolszewików z „klasami posiadającymi” była jednocześnie walką z polskością, a jej ofiarami padły nie tylko setki i tysiące ziemian (i innych tzw. klas posiadających – a pojęcie to było plastyczne), lecz także dużo liczniejsze grupy innych polskich środowisk i zawodów, a nawet młodzieży szkolnej, wszystkich środowisk wykształconych i mających polską świadomość narodową, będących nośnikami polskiego „instynktu państwowego”. Byli oni poddawani najróżniejszym represjom, a także zabijani, a jednym z podstawowych kryteriów było sprawdzanie rąk białaruczkom, aby następnie zanurzać je we wrzółku, zdzierać skórę, wbijać w głowy księżom (i nie tylko) koronę cierniową z gwoździ, oblewać wodą na mrozie, itd., itp., aby nie epatować czytelnika rozmiarem zbrodni...

Rozkaz Tuchaczewskiego: „We krwi rozgromionej armii polskiej utopimy zbrodniczy rząd Piłsudskiego. (...) Przez trupa białej Polski wiedzie droga do światowego pożaru” – nie był tylko poetycką metaforą świeżo nawróconego na komunizm rosyjskiego oficera z rodziny o starych oficerskich tradycjach, w której dziadowie „uśmierzali polski mjatież” w latach 1830-1831 i zdobywali Redutę Ordoña. Zanim Tuchaczewski wydał swój rozkaz, szczególnie ponurą sławą okryła się na Ukrainie I Armia Konna. Do jej największych sukcesów bojowych należy zaliczyć barbarzyńskie wymordowanie personelu i rannych dwóch szpitali polowych w Berdyczowie i pod Koziatynem, permanentne rąbanie szablami wziętych do niewoli jeńców, przede wszystkim podoficerów i oficerów. Armii Konnej nie ustępowały w tym inne formacje kawaleryjskie i piesze Armii Czerwonej (szczególnie III Korpus Konny). Mówią o tym zarówno ujawnione po kilkudziesięciu latach zapiski Izaaka Babela (korespondenta wojennego I Armii Konnej), jak przejęte przez polski radiowywiad meldunki o mordach i pogromach jeńców oraz



ludności cywilnej (wszelkiej narodowości) na okupowanych terytoriach. Osiemnastego sierpnia 1920 roku Babel zanotował w swoim dzienniku: „Meldunki o obronie Lwowa – profesorowie, kobiety, młodzież. Apanasenko będzie ich wyrzynać. (...) Nie patrzyłem im w twarze, przebijali pałaszami, dostrzeliwali, trupy na trupach. (...) Piekło. Jakąż to wolność przynosimy, okropieństwo”. Dowódca III Korpusu Konnego meldował: „(...) oddziały kawalerii...grabią i zajmują się maruderstwem”. Dowódca 47 DS o poczynaniach żołnierzy VI Dywizji Armii Konnej pisał: „Zachowanie się żołnierzy karygodne, urządzono pogromy, są ofiary w rannych i zabitych”. Szlak bojowy Armii Czerwonej i postępujących w ślad za nią oddziałów Czecha (policji politycznej, protoplasty NKWD) znaczony był tysiącami ofiar. Represjom na pierwszej linii frontu towarzyszyły czystki społeczne na dalszym zapleczu, na Kresach mające jednocześnie charakter czystek etnicznych. Rozmiar i bestialstwo zbrodni bolszewickich widoczne są w zapiskach z rozmów Stanisława Michała Kossakowskiego, przedstawiciela Polskiego Czerwonego Krzyża, rozmów, które odbył z przedstawicielami Rosyjskiego Czerwonego Krzyża w Mikaszewiczach jesienią 1919 roku. Podobne informacje o aresztowaniach w środowiskach Polaków na Białorusi, Ukrainie i w Moskwie, torturach i rozstrzelaniach znaleźć można w licznych wspomnieniach i pamiętnikach Polaków, uchodźców z Kresów i Syberii, którzy powracali do Polski w latach dwudziestych.

O tym, co groziło Polsce w przypadku bolszewickiego zwycięstwa w 1920 roku, informuje, nieznaną szerzej w Polsce, dyrektywa Polrewkomu (bolszewickiego rządu dla okupowanej Polski) z 4 sierpnia 1920 roku nakazująca aresztowanie i odesłanie do obozów koncentracyjnych wszystkich przeciwników rewolucji: „Tymczasowy Polski Komitet Rewolucyjny nakazuje aresztowanie wszystkich niebezpiecznych dla rewolucji w Polsce, wszystkich ważniejszych przedstawicieli polskiej burżuazji i ziemiaństwa; wszystkich znaczniejszych współpracowników białopolaków, aresztować i odesłać do obozów koncentracyjnych,

przesyłając ich dane i dokładne liczby do Polrewkomu.

Polrewkom nakazuje nie nazywać aresztowanych więźniami, ale zatrzymanymi jako niebezpiecznych dla rewolucji”.

Dokument ten był rozsyłany telegraficznie z Moskwy, a jego faktycznym twórcą była Nadzwyczajna Komisja do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem (Czeka), zaś realizację dyrektywy (zarządzenia), przesłanej do dowództw frontu zachodniego i południowo-zachodniego, zapewnić miały rejonowe Rewkomy i oddziały specjalne dowództw rosyjskich frontów i armii na terytorium Polski, Litwy, Białorusi, Ukrainy, Wołynia i Podola. Wskazuje to na stopień zależności struktur Polrewkomu od władz bolszewickiej Rosji, podobny do zależności Komunistycznej Partii Polski, która poprzez Komintern była faktycznie gałęzią Rosyjskiej Komunistycznej Partii bolszewików RKP(b).

Konsekwencją powyższej dyrektywy był wydany 15 sierpnia 1920 roku rozkaz numer 22 Polrewkomu nakazujący natychmiastowe aresztowanie wszystkich właścicieli i zarządców oraz pracowników dozoru rolniczego folwarków, a także wysiedlenie ich rodzin. Czekał ich los podobny losowi tysięcy zgładzonych ziemian w Rosji.

Zamiary bolszewików w stosunku do kadry dowódczej Wojska Polskiego, zaczerpnięte były z doświadczeń rosyjskich rozkładu „starej carskiej armii” w 1917 roku. W telegramie, który Lenin przesłał 10 sierpnia 1920 roku do Polrewkomu, polecił wydanie rozkazu do Wojska Polskiego nakazującego „(...) natychmiastowe tworzenie w oddziałach armii Rad Delegatów Żołnierskich, które powinny przejąć całkowitą władzę nad armią, oraz aresztować najbardziej kontrrewolucyjnych generałów”. Dokument uzupełniał telegram Feliksa Dzierżyńskiego z 15 sierpnia 1920 roku do wydziałów politycznych rosyjskich armii w Polsce, nakazujący bezwzględne „(...) zatrzymywanie wziętych do niewoli dowódców oraz personelu wywodzącego się z zawodów inteligenckich”. Los podbitego w 1920 roku Azerbejdżanu, którego elity polityczne z premierem rządu, ministrami, szefem sztabu generalnego i kadrami dowódczymi armii azerskiej wymordowano, pokazuje

metodę działania bolszewickiej Rosji dwadzieścia lat przed dokonaniem zbrodni katyńskiej.

Ukazana w książce rzekoma „polskość” Feliksa Edmundowicza wydaje się nazbyt optymistycznym wariantem konsekwencji przegranej Bitwy Warszawskiej. Bardziej realny wydaje się poziom, z jakiego ku niepodległości startowały po 1990 roku Białoruś i Ukraina.

## Koncepcja Marszałka Piłsudskiego stoczenia wojny z Rosją

Bitwa Warszawska nazywana była cudem nad Wisłą po to, aby odebrać laur zwycięstwa Wodzowi Naczelnemu. Gdybyśmy ją jednak przegrali, wiadomo kogo obarczyłaby historia odpowiedzialnością za klęskę. W potocznej świadomości Bitwa Warszawska ograniczona jest do walk o Radzymin i Ossów; w tym przypadku symbolami bohaterstwa pozostali generał Józef Haller oraz poległy bohaterstwo ksiądz Ignacy Skorupka.

Tymczasem Bitwa Warszawska stoczona została na obszarze większym niż Belgia i Holandia razem wzięte, a głównym architektem tego zwycięstwa nie był ani generał Józef Haller (zaledwie dowódca frontu północnego), ani generał Władysław Sikorski (dowodzący jedną z pięciu armii), ani generał Tadeusz Rozwadowski (od 22 lipca szef sztabu generalnego), ani tym bardziej jego doradca, przybyły (w tym samym czasie) z Francji generał Maxime Weygand. Zarówno pełnia odpowiedzialności, jak i plan bitwy oraz zrealizowanie jego zasadniczych elementów były dziełem marszałka Józefa Piłsudskiego.

Zamiar stoczenia bitwy oraz jej plan były konsekwencją zasadniczej koncepcji prowadzenia przez marszałka Józefa Piłsudskiego wojny na wschodzie (co zapisał Michał Sokolnicki): „Podstawą strategicznej obrony państwa muszą być błota pińskie...dające...możliwość ruchu roszującego, czyli linię [kolejową] przez Łuniniec”. Wódz Naczelny użył tu szachowego terminu – roszady – wzajemnej zmiany położenia „króla”

i „wieży”, z tym że w przeciwieństwie do partii szachów zamierzał jej dokonywać (i dokonywał) wielokrotnie, zależnie od potrzeb. Było to zgodne z Clasewitzowskimi zasadami sztuki wojennej – ekonomii sił, tworzenia miejscowej przewagi, a jednocześnie ubezpieczenia głównej bitwy poprzez zapewnienie sobie swobody działania. Tak tę wojnę prowadził od 1919 roku, opanowując przede wszystkim Polesie i „roszując”, mniej liczne od rosyjskich, siły polskie z Białorusi na Ukrainę i odwrotnie. Gdy w końcu maja 1920 roku na rosyjskim froncie południowo-zachodnim podjęto ofensywę na Ukrainie, zamiarem marszałka Piłsudskiego było przede wszystkim wyeliminowanie Armii Konnej Budionnego. Przy słabości pobitych w kwietniu 1920 roku pozostałych rosyjskich armii w ukraińskim teatrze działań wojennych, możliwe było przerzucenie wojsk (przez Polesie) przeciwko Tuchaczewskiemu, który swoją ofensywę na Białorusi rozpoczynał dwukrotnie: w maju (zakończoną niepowodzeniem) i ponownie w lipcu (która doprowadziła go aż nad Wisłę). Pobicie Armii Czerwonej na południe od Polesia dawało Józefowi Piłsudskiemu swobodę działania w litewsko-białoruskim teatrze działań wojennych. O ile po stronie rosyjskiej bariera Polesia rozdzielała siły frontu zachodniego (na Białorusi) od armii frontu południowo-zachodniego (na Ukrainie), utrudniając lub zgoła uniemożliwiając ich współdziałanie, o tyle po stronie polskiej posiadanie rokadowych (równoległych do frontu) linii (przez Mozytż, Łunieniec i Brześć) umożliwiało manewrowanie z położenia centralnego. Uderzenie na armie frontu zachodniego miało być skierowane od południa, a jego podstawą wyjściową miała być twierdza w Brześciu Litewskim z rozległym przedpołem, będąca na zachodnim skraju Polesia zwornikiem białoruskiego i ukraińskiego TDW.

Już w zapowiedzianej rozkazem NDWP (numer 7344/111 z 9 lipca 1920 roku) „...energicznej kontrofensywie”, uderzenie z rejonu Brześcia Litewskiego na armie frontu zachodniego, stanowiące silniejsze zgrupowanie nieprzyjaciela, warunkowane było pobicie lub choćby zatrzymaniem Armii Konnej

Budionnego, co umożliwiłoby zwolnienie części sił z odcinka południowego, przerzucenie ich na północ i użycie do tej akcji. Zamiar ten marszałek Józef Piłsudski w swoim studium – „Rok 1920” – przedstawił następująco:

„Koniecznym... warunkiem dla tej akcji było usunięcie z góry silnego atutu, który posiadał przeciwnik w jeździe Budionnego. Z piechotą nieprzyjacielską na południowym naszym froncie (tzn. z XII i XIV Armią) liczyłem się bardzo mało. (...) Kołem napędowym na południu była jazda Budionnego i nie sądziłem, by mi było trudno po usunięciu lub przynajmniej znacznym unieszkodliwieniu tej jazdy wyciągnąć większe siły z południa, by je skoncentrować gdzieś między Kowlem a Brześciem i wraz z Grupą Poleską, mało bojami zmęczoną, przejść do kontrataku w kierunku północnym. (...) Wobec tego wszystkiego ogólną strategiczną myślą moją od tego czasu było – aż do sierpniowych dni pod Warszawą:

- 1) front północny wygrywa tylko czas,
- 2) w kraju energiczne przygotowanie rezerw – dyrygowałem je wtedy na Bug, bez płątania ich w walki odwrotowe frontu północnego,
- 3) skończenie z Budionnym i ściągnięcie z południa większych sił dla kontrataku, który planowałem z okolic Brześcia”.

Kilka kolejnych prób zatrzymania Budionnego, podejmowanych w czerwcu i lipcu 1920 roku, nad Uszą, pod Korcem, Równem i Ostrogiem, zwieńczonych zostało ostatecznie (częściowym) powodzeniem na przełomie lipca i sierpnia 1920 roku gdy w bitwie pod Beresteczkiem i Brodami pobita Armia Konna wycofała się na blisko dwa tygodnie do rejonu Dubno-Krzemieniec. Sukces w tej bitwie osiągnięty został między innymi dzięki zorganizowaniu Grupy Operacyjnej Jazdy – siły równoważącej kawalerię Budionnego, przejściu oraz rozszyfrowaniu przez polski radiowywiad rosyjskich rozkazów nakazujących zdobycie Lwowa. Zwycięstwo w bitwie pod Beresteczkiem i Brodami nie doprowadziło wprawdzie do zupełnego wyeliminowania Armii Konnej, ale spowodowało

wyhamowanie jej dotychczasowego tempa natarcia i przyniosło dotkliwe – sięgające 50% – straty w kadrze dowódczej oraz bardzo ciężkie w żołnierzach, koniach i uzbrojeniu.

Druga część planu marszałka Piłsudskiego – zamierzona kontrofensywa – nie została jednak przeprowadzona, z dwóch powodów. Pierwszym była utrata Brześcia 1 sierpnia 1920 roku, a drugim ujawnienie przez polski radiowywiad zgrupowania sześciu nowych radiostacji (rosyjskiej armii rezerwowej?) w rejonie Lidy – a więc na potencjalnym obszarze polskiej kontrofensywy z rejonu Brześcia. Trzy dni później okazało się, że nie była to nowa, rezerwowa armia, ale grupa zapóźnionych radiostacji, ze zmienionymi sygnałami wywoławczymi. Jednak obawa co do tego, gdzie zgromadzili Rosjanie swoje strategiczne rezerwy – pozostała w świadomości Wodza Naczelnego.

Bitwa pod Beresteczkiem i Brodami (czyli pobicie i odrzucenie Armii Konnej) stanowiła wykonanie zaledwie połowy planu marszałka Piłsudskiego (zwanego przezeń „wielką kombinacją”). Realizacja drugiej jego części została przesunięta – w czasie i przestrzeni – znad środkowego Bugu na linię środkowego i dolnego Wieprza. Na korzyść strony polskiej bardzo silnie oddziaływały ówczesne dwa czynniki:

1)zdobyty dzięki odwrotowi Budionnego czas, który został wykorzystany przez stronę polską do przeprowadzenia strategicznego przegrupowania wojsk;

2)zmiana przez przeciwnika jego planów wojny z Polską.

Ad 1) Czas zatrzymania Armii Konnej pozwolił na przegrupowanie kilku polskich dywizji i jednostek kawalerii z południowego i północnego odcinka frontu na środkowy, gdzie na obszarze Lubelszczyzny w połowie sierpnia zgrupowane zostały dwie polskie armie, przygotowujące się do wykonania drugiej części „wielkiej kombinacji” – czyli uderzenia na armie Tuchaczewskiego maszerujące na Warszawę. To właśnie między 6 a 16 sierpnia 1920 roku dokonała się zasadnicza zmiana strategicznego położenia obu stron, powstała lokalna polska przewaga w miejscu, gdzie przeciwnik był najsłabszy.

Najważniejsze wydarzenia miały miejsce właśnie wówczas; natarcie znad Wieprza – bardzo ważne – było tylko konsekwencją przyjętych 6 sierpnia i wprowadzonych w życie decyzji.

Ad 2) Według rosyjskich planów, opracowanych na początku 1920 roku i zatwierdzonych wiosną tego roku, działające na Białorusi front zachodni (Michaiła Tuchaczewskiego) oraz na Ukrainie front południowo-zachodni (Aleksandra Jegorowa), miały – po osiągnięciu linii Niemna i Bugu – zjednoczyć wysiłki i koncentrycznie uderzyć na wojska polskie (które, jak się spodziewano, będą broniły Warszawy). Na podstawie fałszywych ocen o zupełnym rozbiciu polskich armii oraz nadmiernie rozbudzonych aspiracjach rozpętania światowej rewolucji dyktator bolszewickiej Rosji Lenin oraz „superrząd” (w systemie komunistycznym), czyli Komitet Centralny RKP(b) uznał w połowie lipca, że Tuchaczewski poradzi sobie samodzielnie ze zdobyciem Warszawy, a następnie pomaszeruje na Berlin i Paryż. Jegorow zaś (komisarzem politycznym był Józef Stalin) zdobędzie Lwów i przełęcz karpackie oraz wzniesi stłumiony pożar światowej rewolucji na Węgrzech, w Austrii, na Bałkanach oraz we Włoszech. W ten sposób wojska Armii Czerwonej, zamiast zjednoczyć wysiłki na obszarze w stronę Warszawy, rozpraszały swoje działania w dwóch rozbieżnych kierunkach, rozdzielonych Polesiem, których linie rozpięte były pod kątem ponad 90 stopni. Tworzyło to w rejonie Lubelszczyzny (właśnie na wysokości Polesia) przestrzeń słabo tylko osłanianą przez nieliczne rosyjskie jednostki.

To wszystko wiedział marszałek Piłsudski, który tam właśnie zgrupował dwie armie polskiego frontu środkowego. Marszałek otrzymywał regularnie przejmowaną i rozszyfrowywaną korespondencję rosyjską, w tym rozkazy dowództw frontów i armii, śledził ruchy przeciwnika, podczas gdy ten był „ślepy i głuchy”. Z drugiej strony polski radiowywiad był tak dobry, że nawet gdyby Tuchaczewski, Jegorow, Stalin i Trocki byli agentami polskiego wywiadu, nie dostarczyliby stronie polskiej informacji o planach wojennych Armii Czerwonej ani tak wielu,

ani tak szybko (z braku możliwości komunikacji).

## Plan Bitwy Warszawskiej

Ten stan wiedzy o zamiarach, ugrupowaniu i sile przeciwnika był podstawą polskiego przegrupowania do Bitwy Warszawskiej nakazanego rozkazem NDWP (numer 8358/III z 6 sierpnia 1920 roku). Rozkaz ten był konsekwencją przedstawionej wcześniej koncepcji Wodza Naczelnego prowadzenia wojny przeciwko bolszewickiej Rosji, a bezpośrednim następstwem tzw. wielkiej kombinacji. Wojska polskie podzielone zostały na trzy odcinki:

- północny – od granicy pruskiej do Dęblińska (wyłącznie), który obsadzały trzy armie frontu północnego (V, I i II Armia), pod dowództwem generała Józefa Hallera;
- środkowy – od Dęblińska po Brody obsadzały dwie armie frontu środkowego (IV i III Armia), dowodzonego przez generała Edwarda Rydza-Śmigłego, a praktycznie – podczas ofensywy – osobiście przez marszałka Józefa Piłsudskiego;

- południowy – od Brodów do granicy państwa w Karpatach był obsadzony przez front południowy powstały z dotychczasowej VI Armii i podległej jej sprzymierzonej Armii Czynnej URL. Dowodził nim generał Wacław Iwaszkiewicz, a następnie generał Robert Lamezan de Salins.

Odcinek północny miał zadania bierne – związania głównych sił frontu zachodniego, utrzymanie Warszawy, zapewnienia połączeń z Gdańskiem, niedopuszczenie do sforsowania Wisły przez nieprzyjaciela.

Odcinek środkowy miał dwójakiego rodzaju zadania. Główne, do wykonania którego skierowano gros sił stanowiących tzw. grupę uderzeniową, to przeprowadzenie kontrofensywy wojskami zebranymi nad dolnym Wieprzem na skrzydło i tyły wojsk frontu zachodniego, którego wojska atakowały Warszawę. Drugie zadanie, które realizować miały zrazu mniejsze siły, to osłona „grupy uderzeniowej” od wschodu i południowo-wschodu, w przypadku przegrupowania Armii Konnej spod Lwowa na



Lublin, czego spodziewano się po przejęciu rosyjskich rozkazów. Odcinek południowy, podobnie jak północny, miał (ze względu na szczupłość sił własnych) zadanie bierne – wiązania sił nieprzyjaciela, osłonę Lwowa, Borysławsko-Drohobyckiego Zagłębia Naftowego oraz połączeń kolejowych z Rumunią. Jak widać, przyjęcie koncepcji rozegrania Bitwy Warszawskiej wynikało z dobrego rozpoznania zamiarów, ugrupowania i sił przeciwnika, którego główne kierunki uderzenia obu frontów – zamiast koncentrować się na kierunku warszawskim – rozchodziły się na północny zachód i południowy zachód. Ponadto, polski wywiad (szczególnie zaś radiowywiad) obserwował trudności przeciwnika w zakresie komunikacji (dowozu uzupełnień i ewakuacji rannych oraz chorych), zaopatrzenia (w żywność, paszę i amunicję) oraz łączności, a także negatywne oddziaływanie bariery, jaką stanowiło Polesie. Utrudniało ono łączność między oboma rosyjskimi frontami i uniemożliwiało praktycznie podjęcie współdziałania.

Nowe ugrupowanie polskie nakazane rozkazem (numer 8358/III z 6 sierpnia 1920 roku), wymagało między innymi przerwania znacznych sił z frontu południowo-wschodniego na odcinek frontu środkowego, a nawet północnego. Również część polskich jednostek z frontu północnego przechodziła w podporządkowanie frontu środkowego. Przegrupowanie to (z południa na północ) obejmujące blisko 100 tysięcy ludzi (dowództwo II Armii z oddziałami armijnymi, trzy dywizje piechoty i inne mniejsze oddziały, równowartość dywizji jazdy), odbyło się sprawnie, przede wszystkim dzięki wyłożonej pracy kolejnictwa; warto pamiętać, że do transportu jednej dywizji potrzebnych było około czterdziestu eszelonów kolejowych, nie licząc zaplecza w postaci szpitali, składów żywności i amunicji, jednostek łączności, inżynierskich itd. Kolejnictwo (obok sprawnego radiowywiadu) było jednym z filarów polskiego planu ofensywy znad dolnego i środkowego Wieprza. Sprzyjającą okolicznością wspomnianego przegrupowania był brak po stronie polskiej bariery Polesia oraz odrzucenie na wschód Armii Konnej.

## Uchylenie rąbka tajemnicy radiowywiadu

Marszałek Piłsudski napisał po kilku latach – z przymrużeniem oka: „Zasadniczy mój rozkaz, przygotowujący bitwę, spotkał się prawie natychmiast z rozkazem p. Tuchaczewskiego [z 8 sierpnia]. Gdy teraz zaś zestawiam te dwa rozkazy, żałuję niezmiernie, że nie mógł w owe czasy zajrzeć w Mińsku do tajemnic rozkazowych p. Tuchaczewskiego”. Dziś, wiedząc, że tak często, jak to tylko było możliwe, marszałek Piłsudski dzięki radiowywiadowi (owej enigmatycznej wojny 1920 roku) „zaglądał do tajemnic rozkazowych pana Tuchaczewskiego” i zasadnicze decyzje tak pod względem strategicznym, jak operacyjnym, podejmował na podstawie przejmowanej rosyjskiej dokumentacji dowództw dywizji, armii i frontów, możemy lepiej zrozumieć jego słowa. Dopiero dziś dowcip marszałka możemy docenić.

Po kilkudziesięciu latach fakt ten ujawnili współpracownicy Wodza Naczelnego. Generał Tadeusz Pełczyński stwierdził: „Naczelne Dowództwo czerpało dokładne i świeże wiadomości o nieprzyjacielu z radiowywiadu. (...) Odbierana przez nas korespondencja radiowa pomiędzy dowództwami sowieckimi była rozszyfrowywana i przedstawiana Naczelnemu Wodzowi. Radiowywiad dawał najbardziej podstawowe wiadomości o nieprzyjacielu i był dla Naczelnego Wodza przy pobieraniu decyzji źródłem informacji najcenniejszym”.

Szef wojsk łączności pułkownik Tadeusz Jawor wspominał: „Miałem zaszczyt być szefem łączności Naczelnego Dowództwa podczas Bitwy Warszawskiej. Ponieważ ani w książce marszałka Piłsudskiego »Rok 1920«, ani w wykładach Tuchaczewskiego nie jest wspomniana działalność wojsk łączności, pragnąłbym podzielić się z Panami wspomnieniami, z których Panowie mogliby wywnioskować, jak decydujący wpływ na zwycięstwo odegrały w tej bitwie wojska łączności. (...) Radiowywiad... w wojnie 1919/1920 roku umożliwiał przez szybkie i dokładne informacje o nieprzyjacielu, każdorazowe powzięcie decyzji przez

Naczelnego Wodza”.

Porucznik Jan Kowalewski (szef Wydziału II Biura Szyfrów) łamiący, we współpracy z profesorami matematyki Uniwersytetu Warszawskiego, rosyjskie klucze szyfrowe, w swoich wspomnieniach zanotował: „Do dziś dnia mało kto zna rzeczywiste podłoże planu polskiej ofensywy sierpniowej oraz rozbicia Armii Czerwonej w 1920 roku. Powszechnie utarło się powiedzenie: cud na Wisłę. Nasze zwycięstwo nad bolszewikami przypisywano albo francuskim doradcom, albo opatrności bożej. Dziś nie ma więcej powodów utrzymywania w tajemnicy prawdy, gdyż zarówno Rosjanie, jak i Niemcy, mając dostęp do polskich archiwów z tego czasu, doskonale są poinformowani o tym, co się tak walnie przyczyniło do klęski Armii Czerwonej w Polsce w 1920 roku. Zwycięstwo nie spadło z nieba, ani nie było znalezione, lecz było wynikiem ofiarnego wysiłku i ducha polskiego żołnierza na froncie, rzetelnej pracy polskiego sztabu głównego i śmiałej decyzji Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego. Strona polska posiadała w 1920 roku jeden z ważnych elementów decyzji – mianowicie doskonale wiadomości o planach i sytuacji nieprzyjaciela, uzyskane drogą dobrze zorganizowanego podsłuchu radiotelegraficznego i sprawnego rozwiązywania jego tajnych szyfrów. (...) Nikt nie rozumiał dlaczego, ale ta pewność zwycięstwa oparta była nie na nadziei, lecz na faktach. Wszystkie bowiem meldunki i rozkazy armii sowieckiej były przejmowane i odszyfrowywane natychmiast po ich odebraniu. Dzięki otrzymanym w ten sposób informacjom sztab polski był lepiej poinformowany o ruchach, siłach i zamiarach nieprzyjaciela, aniżeli dowódcy poszczególnych grup sowieckich”.

Porucznik Jan Kowalewski, świadek i współpracownik Wodza Naczelnego, wspominał po ponad czterdziestu latach owe wydarzenia: „Na podstawie (...) danych [radiowywiadu] już w końcu lipca ustalono, że dwa główne fronty sowieckie: zachodni pod dowództwem Tuchaczewskiego i południowo-zachodni pod opieką Stalina, posuwały się w rozbieżnych

kierunkach. Tuchaczewski parł na Warszawę, a Stalin na Lwów. Łącząca je w błotach poleskich grupa mozyrska już koło Pińska zaczęła wołać przez radio, że jej front z 30 km rozciągnął się na 80 km, a później na 100 km, a gdy przeszła przez Bug, miała tylko słabe czucie z frontami, które miała łączyć. (...) Dowódca grupy mozyrskiej, która obsadzała środkowy odcinek frontu, między armiami północnymi a armiami południowymi, słał alarmujące depesze, że ma coraz dłuższy odcinek do obsadzenia. Kierunek kontrofensywy nasuwał się sam. (...) Wiedza o tej sytuacji była podstawowym czynnikiem decyzji Piłsudskiego. Dostrzegł on ostatecznie dziurę w nieprzyjacielskim ugrupowaniu, gdzie chciał zaatakować z najwyższą pewnością osiągnięcia przełamania frontu”.

Koncepcja rozegrania Bitwy Warszawskiej powstała więc na długo przed wydaniem rozkazu do przegrupowania (numer 8358/III z 6 sierpnia 1920 roku) i była – jak wynika z badań – konsekwencją głębszych przemyśleń Józefa Piłsudskiego na temat sposobu prowadzenia wojny z Rosją. Podstawową jej zasadą było prowadzenie wojny w dwóch teatrach działań wojennych – białoruskim i ukraińskim, przy wykorzystaniu rozdzielenia sił przeciwnika barierą Polesia, a jednocześnie z zachowaniem możliwości manewrowania wojskami własnymi poprzez tę barierę i, w konsekwencji, bicia nieprzyjaciela częściowo. Zasadę tę konsekwentnie stosował Wódz Naczelny w roku 1919 oraz 1920, począwszy od operacji mozyrskiej (rozpoczętej 5 marca 1920 roku). Z zasady tej wynikał plan polskiej operacji na Ukrainie i zamysł pobicia Jegorowa w kwietniu i maju, a Tuchaczewskiego na Białorusi na przełomie maja i czerwca, następnie okrążenia i rozbicia Armii Konnej pod Równem w połowie lipca, co ostatecznie zrealizowano na przełomie lipca i sierpnia pod Beresteczkiem i Brodami. Z zasady tej narodziła się przeprowadzona połowicznie na tym obszarze „wielka kombinacja”, której drugą częścią miała być bitwa nad Bugiem; ostatecznie do niej nie doszło. Owa „wielka kombinacja” także nie powstała nagle w połowie lipca 1920 roku, ale była skutkiem

przemysłań i planów snutych przez Józefa Piłsudskiego od wielu tygodni i miesięcy. Zamyśl Bitwy Warszawskiej był niczym innym, jak zrealizowaniem planu „wielkiej kombinacji” z przesunięciem jej w przestrzeni i w czasie, z linii Bugu na linię Wieprza, z początku sierpnia na połowę tego miesiąca.

Zasady te zostały wystudiowane z dziejów wojen toczonych przez Rzeczpospolitą z Moskwą, szczególnie na przestrzeni od XVII do XIX wieku. Plan Wodza Naczelnego krystalizował się przez dłuższy czas, przybierając ostateczny kształt pod wpływem (uzyskiwanej dzięki radiowywiadowi) szczegółowej wiedzy o sile, ugrupowaniu i zamiarach przeciwnika. Tak powstał plan uderzenia na grupę mozyrską, stanowiącą lewe skrzydło wojsk Tuchaczewskiego. Rozbicie jej pozwoliło wyprowadzić polską kontrofensywę znad Wieprza i uderzyć w najbardziej wrażliwy odcinek linii nieprzyjaciela – w jego linie komunikacyjne, linie łączności i zaopatrzenia. Zmuszało to przeciwnika do walki w warunkach lokalnej przewagi polskiej, z odwróconym frontem, w półokrążeniu, bez łączności i dostaw amunicji, do walki w warunkach narzuconej inicjatywy operacyjnej, dyktującej miejsce, czas i tempo walki.

Plan Diebitsch – czy plan Paskiewicz?

Rozważając plan rozegrania Bitwy Warszawskiej, polski Wódz Naczelnny, nie znając jeszcze rozkazów wydanych przez Tuchaczewskiego dopiero 8 sierpnia 1920 roku, musiał brać pod uwagę obie hipotezy potencjalnych działań przeciwnika. Musiał zastanawiać się – czy armie Tuchaczewskiego wzorem armii feldmarszałka Johana Diebitscha (z pochodzenia Niemca, zwanego w zniszczonej formie Iwanem Dybiczem) z 1831 roku, będą maszerować traktem wileńskim i szosą brzeską, i podejmą próbę koncentrycznego natarcia na Warszawę, czy też pójdą szlakiem feldmarszałka Iwana Paskiewicza, obejdą Warszawę i Modlin od północy, i po sforsowaniu Wisły zaatakują stolicę Polski od zachodu. Marszałek Piłsudski czytał i znał pamiętniki

Ignacego Prądzyńskiego oraz literaturę poświęconą powstaniu listopadowemu. W swoim dziele „Rok 1920” Wódz Naczelny napisał: „...porównywałem »pochód za Wisłę« pana Tuchaczewskiego do pochodu również »za Wisłę« generała Paskiewicza w roku 1831. Twierdziłem nawet, że koncepcja i budowa tego marszu prawdopodobnie wzięta jest z archiwum wojny polsko-rosyjskiej 1830 roku”. Józef Piłsudski studiował oba warianty rosyjskiego planu wojny z Polską z 1831 roku:

- Plan Diebitsch – do pewnego stopnia wzorowany na planie Suworowa z 1794 roku – zakładał koncentryczny marsz na Warszawę z Białegostoku i Brześcia Litewskiego („starym traktem” z Wilna przez Grodno i Białystok oraz szosą brzeską z Terespoła przez Siedlce do Warszawy), wyprowadzający armię rosyjską do walnej bitwy pod Grochowem i Białolęką;
- Plan Paskiewicz – nowatorski i stanowiący zaskoczenie dla strony polskiej – zakładał obejście Warszawy od północy (z Ostrołeki przez Przasnysz i Ciechanów, między granicą pruską a Modlinem, przeprawę przez Wisłę pod osłoną armat pruskiej twierdzy Toruń) i zdobycie stolicy Polski od zachodu, od strony Woli i Czystego.

Dowódca frontu zachodniego Michaił Tuchaczewski, po ojcu i po matce wnuk oficerów rosyjskiej armii tłumiącej powstanie listopadowe, z tradycji rodzinnej oraz z nauk w szkole wojskowej, gdzie z pewnością studiował podstawowe dzieło generała Aleksandra Puzyrewskiego o wojnie polsko-rosyjskiej, znał i analizował oba wymienione wyżej plany wojny i konsekwencje wynikające z przyjęcia któregośkolwiek z nich. Tuchaczewski zdawał sobie sprawę, że plan Diebitsch, wyprowadzający go wprost na Warszawę, uwikła go w ciężkie walki o zdobycie umocnionego przedmościa Pragi. Ponadto wąski odcinek frontu na południe od Bugu nie pozwalał mu na wykorzystanie wszystkich posiadanych sił. Ponadto koncentryczne uderzenie na Warszawę mogło wystawić jego armie na flankowe polskie uderzenie od północy zza Bugonarwi, gdzie, jak uważał, grupuje się gros polskich armii. Do bezpośredniego szturmowania Warszawy skierował

więc XVI Armię, którą w natarciu na Warszawę i Modlin (od północnego-wschodu) wspierać miała III Armia. Plan Paskiewicz, niezależnie od zamiaru uderzenia na zgrupowane za Narwią (jak oceniał) w większości polskie siły (tam właśnie przez jego wywiad lokowanych), miał wiele innych walorów. Po pierwsze, poprzez uderzenie na Pomorze i przecięcie biegnących wzdłuż Wisły linii kolejowych oraz prawe skrzydło frontu zachodniego przerwałby życiodajne połączenia Warszawy i w ogóle Polski z Gdańskiem, skąd płynęło zaopatrzenie w broń i amunicję. Dałby również czas Warszawie na dojrzanie do wybuchu rewolucji, której on „tylko mógł dopomóc”. Wreszcie manewrem planu Paskiewicz przybliżał się do granic Niemiec i coraz bardziej realnym czynił, wielokrotnie omawiany plan przeniesienia tam bolszewickiej rewolucji. Do realizacji tego planu przeznaczone zostały IV Armia (z III Korpusem Konnym) oraz XV Armia, które miały sforsować Wisłę na odcinku Włocławek-Płock-Wyszogród, rozbić gros polskich armii i wyjść na tyły Warszawy. Jak dowcipnie określili to francuscy doradcy wojskowi – maszerujące na Toruń i Grudziądz rosyjska IV Armia i III Korpus Konny były bardziej zaangażowane w walkę z traktatem wersalskim niżli z wojskami polskimi.

## Przebieg bitwy

Bitwa Warszawska toczona była od końca lipca do końca sierpnia 1920 roku, na obszarze przypominającym ogromny trójkąt, obejmujący północne i wschodnie Mazowsze, Podlasie i lubelskie aż do Roztocza; ograniczony od zachodu linią Wisły i Wieprza, od północy granicą pruską, a na wschodzie linią środkowego Niemna i środkowego Bugu. Bitwa Warszawska, zgodnie z ówczesną terminologią wojskową, miała charakter bitwy strategicznej, a w czasie jej trwania można wyróżnić kilka odrębnych bitew o charakterze operacyjnym, różnych ze względu na wielkość wojsk obu stron, a także obszar, na którym toczyły się działania wojenne:

1) Wstępną fazą Bitwy Warszawskiej była bitwa nad Narwią i Bugiem, toczona od końca lipca do początku sierpnia 1920 roku. Był to element niezrealizowanego wówczas planu polskiej kontrofensywy z rejonu Brześcia. Stoczone wówczas walki nad Narwią (pod Łomżą, Nowogrodem i Ostrołęką) oraz nad Bugiem (gdzie odrzucono nieprzyjaciela na wschodni brzeg rzeki) były pierwszymi tak zaciętymi walkami, jakie spotkały armie frontu zachodniego od początku ofensywy.

2) Bitwa na przedmościu Warszawy, stoczona w dniach 13-17 sierpnia przez jednostki rosyjskiej XVI Armii i części III Armii z polską I Armią. Jej apogeum stanowiły walki o Radzymin i Ossów, a zakończyło ją polskie natarcie na Mińsk Mazowiecki, przedsięwzięte w celu współdziałania z natarciem IV Armii;

3) Bitwa nad Wkrą i dolną Wisłą toczona w dniach 10-23 sierpnia przez III Korpus Konny oraz dywizje IV i XV Armii oraz część III Armii, z polską V Armią i częścią I Armii. W jej toku wojska polskie kolejno były, niemogące zorganizować współdziałania, rosyjskie dywizje XV i III Armii, a następnie zawrócone z zachodniego Mazowsza i Pomorza IV Armię i III Korpus Konny (które utraciły łączność radiową z Tuchaczewskim i nie odbierały przez kilka dni rozkazów);

4) Kontrofensywa znad Wieprza, złożona z pasma bojów i walk toczonych w dniach 16-28 sierpnia przez jednostki polskiej grupy uderzeniowej frontu środkowego (IV i III Armia) z kolejnymi rosyjskimi dywizjami i związkami operacyjnymi: grupą mozyrską, XVI, III, XV i IV Armią (wraz z III Korpusem Konnym). W toku tych decydujących dla Bitwy Warszawskiej działań, armie polskie rozbiły gros rosyjskich związków operacyjnych, przesądzając o polskim zwycięstwie.

5) Bitwa zamojska, trwająca od 28 sierpnia do 5 września, w której polska III Armia i grupa operacyjna generała Stanisława Hallera walczyły z rosyjską XII Armią i I Armią Konną. Te ostatnie próbowały przyjść z odsieczą północnym armiom frontu zachodniego, odzyskać inicjatywę operacyjną i przełamać polski front na kierunku lubelskim. Rosyjskie armie zostały pobite



i odrzucone za Bug, a Armia Konna od tego czasu nie weszła już – całością sił – do działań bojowych, unikała starć z Wojskiem Polskim i z końcem września odeszła na front generała Wrangla.

## Bilans Bitwy Warszawskiej

Straty poniesione przez armie frontu zachodniego w Bitwie Warszawskiej, wyrażające się liczbą ponad 66 tysięcy wziętych do niewoli jeńców rosyjskich, 44 tysięcy internowanych w Prusach Wschodnich, co najmniej kilkunastu (a może nawet ponad dwudziestu) tysięcy poległych i rannych, 400 dział i 1000 karabinów maszynowych zdobytych przez Wojsko Polskie, spowodowały, że Armia Czerwona nie podniosła się już po tej klęsce. Próba odbudowy wojsk frontu zachodniego na linii Niemna i Bugu zakończyła się bitwami – niemeńską oraz ukraińsko-Podolską, w której Rosjanie ponownie ponieśli straty porównywalne z tymi z okresu Bitwy Warszawskiej. Najbardziej dotkliwe były one jeśli chodzi o kadrę dowodzącą oraz sprzęt, którego nie można było szybko uzupełnić.

Zwycięska dla Polski Bitwa Warszawska, a w konsekwencji przegrana przez bolszewicką Rosję wojna z Polską, miała doniosłe znaczenie tak dla Polski, jak dla Rosji, ale też dla tej części – jeżeli nie całej – Europy, a nawet świata. Polsce nie udało się stworzyć sojuszu niepodległych państw między Bałtykiem i Morzem Czarnym (z kluczową Ukrainą), które zdolne byłyby zrównoważyć imperialistyczne dążenia Niemiec i Rosji. Ale Polska obroniła swoją niepodległość, a także niepodległość państw bałtyckich, Finlandii i Rumunii, choć nie republik kaukaskich. Rosji nie udało się ani zsowietyzować Polski, ani rozpaścić pożaru rewolucji w Europie. Wojna z Polską rozpaściła w rosyjskim ruchu komunistycznym nacjonalizm (!), a przegrana zmusiła do rewizji internacjonalistycznych założeń światowego charakteru rewolucji i budowania komunizmu w jednym kraju, a nie w związku państw komunistycznych.

Z drugiej strony zamiar przeniesienia bolszewickiej rewolucji do

Europy (działalność Kominternu) wpłynął jak katalizator na uformowanie ultrapravicowych ruchów faszystowskich, a wybitny udział przedstawicieli mniejszości żydowskiej w partiach komunistycznych spowodował ukształtowanie się antysemitycznego nurtu w programach ugrupowań faszystowskich. Rozejm, który wszedł w życie 18 października 1920 roku, i zawarty w Rydze polsko-rosyjski traktat pokojowy, stanowił na niespełna osiemnaście lat fundament ładu europejskiego, wersalsko-ryskiego, konstytuującego porządek prawny i gwarantującego de facto granice państw sąsiadujących z Rosją. Zamiar rewizji tego porządku przez dwa totalitarne mocarstwa – bolszewicką Rosję i faszystowskie Niemcy, doprowadził do wybuchu II wojny światowej.

W skali kraju zwycięska Bitwa Warszawska i wojna 1920 roku dały narodowi polskiemu niezbędne kilkanaście lat na budowę instytucji państwowych i obywatelskich, które pozwoliły przetrwać kolejne ciężkie próby – dwóch (a w zasadzie czterech) okupacji podczas II wojny światowej oraz powojennego zniewolenia. Dała siłę do pokonania „imperium zła” i ponownego wybicia się na niepodległość w 1989 roku.

Ale dajmy się ponieść sile historyzującej fantazji Marcina Wolskiego – ileż tu wspomnień z niezbyt odległego PRL-u, ileż z sowieckiej rzeczywistości Kraju Rad tam odczytamy, ileż wizji ponurych ze sprawdzającego się przesłania wieszczą: „Na nic Sybir, na nic knuty, lecz narodu duch zatruty – to dopiero bólów ból”.

dr hab. Grzegorz Nowik  
Instytut Studiów Politycznych PAN  
Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku